

KOLORY SZCZĘŚCIA

# ANNA KARPIŃSKA

*Kiedy nadejdiesz*

*Czy warto poświęcić  
spokojne życie dla pełni  
szczęścia i realizacji  
największego marzenia?*

Prószyński i S-ka

KOLORY SZCZĘŚCIA

ANNA  
KARPIŃSKA

*Kiedy nadejdiesz*



Prószyński i S-ka

## Rozdział 1

### Aleksandra

Tego dnia nie zapomnę nigdy. Jak zresztą kilku innych, które mimo wysiłków próbuję zepchnąć w niepamięć, pomyślałam, gapiąc się w okno szpitalnej izolatki.

Dobrze znane, bo już kilkakrotnie przeżywane poczucie straty nie dawało się oswoić, a słowo „nadzieja” na zawsze zniknęło z mojego języka. Widocznie nadużywałam go w trakcie ostatnich lat starań o dziecko, chociaż wiele razy zaklinałam los i prosiłam wszystkich świętych o dar życia dla maluszka, którego pragnęłam każdą komórką ciała.

Straciłam dziecko po raz szósty.

Doktor Witaj, o nazwisku – nomen omen – niezbyt przystającym do mojej sytuacji, zagrzewał do walki po kolejnych poronieniach, wspierał dobrym słowem i przykładem innych kobiet. Zlecał całą masę badań, które miały wykluczyć potencjalne choroby i wyeliminować czynniki ryzyka. Miałam najlepszą opiekę, stosowałam się do zaleceń, chuchałam i dmuchałam na każdą kolejną ciążę, zносиłam modły. Jednak skutek był zawsze taki sam: moje maleństwo umierało po upływie dwunastego tygodnia płodowego.

Za każdym razem doskonale wiedziałam, kiedy nadchodzi czas pożegnania. Zwiastowały go skurcze w podbrzuszu i metaliczny zapach ciepłej krwi. Idąc do łazienki, nie musiałam sprawdzać. Wiedziałam, że się sączy i trzeba jechać do szpitala.

Trzy razy odwoził mnie Janek, kolejne trzy przypadły w udziale rodzicom, bo mój mąż przebywał akurat w podróży służbowej lub nie odbierał telefonu w trakcie rozmów z klientami.

Chociaż miałam oddanych rodziców, kochających jedynaczkę całym sercem, i dobrego męża, tuż po poronieniu wolałam samotność. Żadne „nie martw się”, „uda się następnym razem”, żadne „wszystko będzie dobrze”, „jesteś jeszcze młoda” nie trafiało na podatny grunt.

Traciłam dziecko, które nosiłam w łonie, i przemawiałam do niego. Było dla mnie człowiekiem, którego kochałam od pierwszego USG. Nikt nie mógł mi pomóc w przeżywaniu nieszczęścia. Dlatego przez pierwsze godziny po skrobaniach leżałam sama w kolejnych izolatkach, zbierając siły na rozmowę z rodziną.

Także teraz gapiłam się w okno, na przemian to ocierając łzy, to tłumiąc szloch, to popadając w odrętwienie.

Aura za szybko jak gdyby chciała mnie pocieszyć, otulając świat gęstą pokrywą śniegu, dawno niewidzianego, niemal zapomnianego atrybutu zimy.

A jeszcze kilka dni temu składaliśmy sobie wszyscy sylwestrowe życzenia, pomyślałam. Janek głaskał mój niemal płaski brzuch, który dumnie wypinałam. Odmieniałam słowo „nadzieja” przez przypadki. Po ostatnim poronieniu, które złożyliśmy na karb przeżyć po śmierci taty, założyłam optymistyczny scenariusz.

– Tym razem musi być dobrze – przekonywałam mamę i męża, kiedy po raz szósty zaszłam w ciążę. – Tato w zaświatach nie pozwoli, żeby było inaczej. Prawda? – Szukałam w ich oczach zrozumienia.

– Oczywiście, kochana. Tato czuwa. – Mama z trudem powstrzymywała łzy.

Od śmierci jej Tadeusza minął niecały rok.

Leżąc bez ruchu, nie zauważyłam, że płyn z kroplówki zdążył spłynąć. Uświadomiła mi to pielęgniarka, której postać zastygła nad moim łóżkiem.

– Trzeba było dzwonić, Olu! – zawołała rześkim tonem. – Doktor zaraz u pani będzie. Jemy obiad? – zapytała, nawiązując do spraw przyziemnych.

Pokręciłam przecząco głową.

– I mąż czeka na korytarzu. Może zawołać? – dodała.

Byłam jej wdzięczna za brak natarczywości i za znajomość ludzkiej natury skrywaną pod

oschłym stylem bycia. W końcu nie po raz pierwszy zaglądała do mnie po poronieniu i знаła moje potrzeby.

– Za chwilę, pani Lidko. Poczekam na doktora Witaja – odparłam i poprosiłam jedynie o kilka łyków wody. – Czy ta pacjentka, którą przyjmowaliście przy mnie, już urodziła? – zdobyłam się na masochistyczne pytanie.

Pielęgniarka przysiadła na taborecie i ujęła moją dłoń. Przez dłuższą chwilę milczyłyśmy obie.

– Nie wiem, Olu. Jedyne, co mogę pani powiedzieć w tej chwili, to... Jeśli się czegoś bardzo chce i do tego dąży, kiedyś się to osiągnie.

Machnęłam ręką i odwróciłam głowę do okna. Moja zaufana pielęgniarka dołączyła do grona ludzi szerzących iluzję.

– To znaczy, że mam próbować po raz siódmy?

Wstała i mrugnęła do mnie znacząco.

– To może stwierdzić tylko lekarz. Ja życzę pani jedynie spełnienia marzeń. Nikt z nas nie zna przyszłości, i bardzo dobrze. I niech pani zje obiad. Dzisiaj nie jest tak paskudny jak zazwyczaj.

Od doktora Witaja dowiedziałam się, że po południu będę mogła wrócić do domu. A kiedy wydobrzeję, co powinno nastąpić niebawem, zaprasza mnie do gabinetu.

– Niech mi pan powie, doktorze, czy kiedykolwiek uda mi się donosić ciążę? – dopytywałam desperacko, ale wymówił się zabiegiem.

– Na razie nie mówmy o kolejnej ciąży. Proszę wypocząć, ochłonać i dać sobie trochę czasu. Czekam na panią. – Wstał gwałtownie i skierował się do drzwi.

Z Jankiem, który po chwili zajął jego miejsce, porozumieliśmy się bez słów. Ja, wtulona w niego, ryczałam, on kołysał, kołysał, kołysał. I gładził moje posklejane od płaczu włosy.

– I znowu to samo, Jaś! – łkałam.

– Ciiiicho – szeptał, odgarniając poły zawadzającego mu białego fartucha. – Zabiorę cię do domu, kiedy tylko przygotują wypis. Chcesz, żeby przyszła mama?

– Nie.

– Będzie jej przykro.

– Dobra, niech przyjdzie. Ale niech nic nie mówi – burknęłam. – Żadnego pocieszania.

– Oj, ty mój koziołku... – Z lekkim uśmiechem odgarnął mi z czoła grzywkę.

W domu, w naszej naprawdę ładnej i wygodnej willi otoczonej sosnowym lasem, do której trafiłam pod wieczór, wcale nie poczułam się lepiej. Opadłam na ogromną kanapę zamówioną na wymiar, pasującą do okazałego czterdziestometrowego salonu. Przylegał do otwartej kuchni, starannie zaprojektowanej zgodnie z naszym gustem. Wypełniały ją białe meble z szybkami i podświetlanym wnętrzem. Oba pomieszczenia oddzielała duża wyspa z drewnianym blatem w kolorze jesionu, nad którą zawiesiliśmy rząd loftowych czarnych lamp. Na taras prowadziły francuskie drzwi. Zadbałam o miękkie dywany i dyskretne oświetlenie. Beżowo-szarą całość uzupełniały donice z kwiatami i pastelowe dodatki w postaci miękkich poduch i pledów, którymi można się było okryć w trakcie poobiednich drzemek.

Mimo kilku sypialni na górze, jak dotąd wykorzystywanych wyłącznie przez nas dwoje, zawsze drzemałam w salonie, usypiana dźwiękami smooth jazzu lub szumem ulubionej stacji radiowej.

– Ale masz dobrze! Skończy się, kiedy urodzisz dziecko. – Moja przyjaciółka Milena, matka aktywnej trójki, zazdrościła mi wygody. A ja czekałam na ten dyskomfort.

Niestety, po raz szósty się nie udało, przypomniałam sobie słowa Mileny, przekroczywszy próg domu.

W rogu salonu stała dwuipółmetrowa choinka, którą ubraliśmy dla nas dwojga. Janek zapalił lampki.

– Połóż się, kochanie, przygotuję herbatę. – Mama po krótkim powitaniu poszła do kuchni.

Nietrudno było dostrzec jej opuchnięte od płaczu oczy.

Po chwili siedzieliśmy w milczeniu przy noworocznej szarlotce i parujących filiżankach.

Mama spróbowała zabrać głos jako pierwsza.

– Jak się czujesz, Olu?

– A jak mam się czuć?! – wybuchnęłam. – Tak jak ostatnio, przedostatnio i jeszcze wcześniej!

– Kochanie, podam ci poduszki pod plecy. – Mój mąż zerwał się z miejsca.

Jezu, jacy oni próbowali być przymilni! Najchętniej zapadłabym się pod ziemię lub zakopała w niedźwiedziej gawrze, żeby nie widzieć tych współczujących spojrzeń i nie słyszeć głosów pełnych niepokoju.

– Jest mi wygodnie, Janek! Zostawcie mnie wszyscy w spokoju! – krzyknęłam, zakrywając twarz rękami. Zbyt gwałtownie próbowałam wstać z kanapy i upadłam.

Kilku kolejnych godzin nie pamiętam. Musiałam zasnąć w salonie. A kiedy się obudziłam, wokół panowała ciemność. W fotelu obok spał Jasiek. Otworzył oczy, kiedy usłyszał ruch.

– Gdzie mama? – zapytałam.

– Poszła do domu.

– Przepraszam – wykrztusiłam, sięgając po chusteczkę. – Podasz mi telefon?

– Jest trzecia rano. Zadzwonisz jutro – odparł. – Chyba że chcesz iść do łazienki?

To było zbyt duże przedsięwzięcie.

Kiedy otworzyłam oczy po raz drugi, za oknami dostrzegłam słońce i płaty śniegu pokrywające gałęzie rozłożystej, rosnącej obok tarasu daglezji. Piękny kojący widok na chwilę pozwolił mi zapomnieć o rzeczywistości. Przypomniał o niej lekki ból w dole brzucha i stojąca w kącie pokoju torba, która zawsze towarzyszyła mi w drodze do szpitala.

– Wstałaś, kochanie? A może przeniesiesz się do sypialni? – Jasiek wyrósł jak spod ziemi.

Poczułam potrzebę doprowadzenia się do porządku. Ciepła woda, mydło i szampon splukiwały ze mnie szpitalne zapachy.

Słabość nie pozwoliła mi wejść na piętro. Oparta na ramieniu męża dotarłam na kanapę.

Z każdą godziną fizycznie czułam się lepiej, ale psychika pozostawała zamknięta w klatce. Serce mi ciążyło, z trudem wypowiadałam słowa.

Około południa mama zwolniła Janka z opieki nade mną. Musiał iść do pracy.

– Mamuś, wybacz mi wczoraj – przeprosiłam.

– Nie gniewam się, kochanie. Też mi przykro.

Wprawdzie leżąc w izolatce po poronieniu, postanowiłam zapomnieć o istnieniu słowa „nadzieja”, ale przed wizytą u doktora Witaja ponownie dało o sobie znać. Fizycznie doszłam do formy, w głowie zaczęły zakwitać lepsze myśli.

Zazwyczaj odwiedzałam ginekologa sama, ale tym razem postanowił mi towarzyszyć mąż. Nieco zdziwiona jego gorliwością, wzięłam jego tłumaczenie za dobrą monetę.

– Zawiozę cię. Jest gołoledź, moja terenówka lepiej sobie poradzi w takich warunkach – zapewnił.

Trudno było siedzieć w poczekalni pełnej ciężarnych kobiet, na szczęście nie trwało to długo. Niebawem usłyszałam zachęcający głos pielęgniarki i przywitałam doktora Witaja. Badanie wypadło zadziwiająco dobrze, a doktor poprosił, bym zajęła miejsce naprzeciwko niego, i podparł brodę rękami. Ogarnął mnie lekki niepokój, który szybko odpędziłam. Staralam się dostrzec ślad uśmiechu w kącikach jego ust, ale to pozostawało w sferze marzeń. Zazwyczaj delikatny i oględny, doktor Witaj postanowił nie owijać w bawełnę.

– Olu, niestety nie mam dla pani dobrych wieści. Konsultowałam pani przypadek z wieloma kolegami, szczegółowo przeanalizowaliśmy wyniki wszystkich pani wcześniejszych badań i wnioski nie są zadowalające. Prawdopodobnie, bo nigdy nie można mieć pewności – zaakcentował – cierpi pani na syndrom poronień nawykowych. Oznacza to, że mimo prawidłowego zajścia w ciążę nie może jej pani donosić. Nie mamy pomysłu, jak możemy pani pomóc, ale życie pisze różne scenariusze. Nawet takie, jakich medycyna nie jest w stanie przewidzieć.

– To znaczy, że kolejną ciążę też poronię? – wyszeptałam nie swoim głosem.

– Prawdopodobnie – odparł.

Do Janka odezwałam się dopiero w samochodzie.

– Jasiek, ja nigdy nie urodzę.

## Rozdział 2

### Maria

Budzik, jak zwykle, zadzwonił o piątej rano.

Nawykła do codziennej rutyny przetarłam oczy i energicznie wstałam z łóżka. Władek zakrył głowę poduszką, pozwalając sobie na ostatnie minuty snu. Otworzyłam okno, by wpuścić do pokoju powiew mroźnego styczniowego powietrza. Kilka skłonów, przysiadów i byłam gotowa do podjęcia wyzwań kolejnego dnia w nowym roku.

– Wstawaj, Władek, spadł śnieg! Zobacz, jak ładnie na dworze! – zawołałam, nie licząc na natychmiastową reakcję. Był typową sową. Wieczory ciągnące się do późnych godzin nocnych spędzał przed telewizorem, poranne wylegiwanie w łóżku przeciągał jak strunę. Musiałam zadbać, żeby zjadł śniadanie, drugie zabrał do pracy i zdążył na autobus o piątej trzydzieści pięć. Jego szef nie tolerował spóźnień na budowie, a już szczególnie operatora dźwigu.

Zanim powędrowałam do kuchni, zawiesiłam oko na rozległym widoku, który roztaczał się z okien naszego niewielkiego mieszkania na dziewiątym piętrze. Śnieg otulił wierzchołki drzew, pokrył miejski kurz, sprawiając, że nawet dziesiątki klockowatych bloków największego osiedla w mieście zyskały nowy, świąteczny wygląd. Na wielu balkonach połyskiwały kolorowe światełka, a w oknach choinki.

Kalinka jeszcze spała, w domu panował poranny spokój. Włączyłam ulubioną stację radiową, by przy dźwiękach muzyki oddać się codziennym czynnościom. Po chwili z czajnika parowała woda, a cztery jaja na jajecznicy z boczkiem leżały rozbite w miseczce, czekając na wrzucenie na patelnię.

– Władek, wstałeś? – zawołałam.

Dotarł do mnie odgłos wody spod prysznica.

Nakryłam do stołu i przygotowałam kilka kromek chleba z domowym pasztetem, który został ze świąt. Dołożyłam kilka plasterków kiszzonego ogórka i sięgnęłam po papier śniadaniowy. Zimowa aura za oknem napawała radością.

Mój dobry nastrój przerwało gderanie Władka.

– Znowu z pasztetem? Nie masz nic innego? Jak długo będziemy wyjadać poświęczone resztki?

– Aż się skończą – odburknęłam, schodząc na ziemię. – Mam wyrzucić? Przecież wiesz, że musimy odkładać każdy grosz na operację Kalinki.

Od nieszczęśliwego wypadku naszej piętnastoletniej córki myślałam wyłącznie o jej powrocie do zdrowia. Lekarze dawali szansę, że kiedyś zejdzie z wózka i będzie samodzielnie chodzić, ale jak do tej pory żadna jednostka nie chciała się podjąć operacji.

Nie ustawałam w poszukiwaniach, śledziłam nowinki medyczne, miałam kontakt z rodzicami dzieci w podobnej sytuacji jak nasza córka. Bardzo mi pomagała pani Wiesia, szefowa domu opieki. Znałyśmy się od dawna i traktowałam ją niemal jak członka rodziny.

Pamiętam moment, kiedy wyciągnęła do mnie rękę. Trudno zapomnieć jedną z najgorszych chwil w życiu.

Przygotowywałam się do egzaminów w sesji letniej na drugim roku polonistyki. Nawal lektur do przeczytania przerażał, ale próbowałam przewalczyć sterty książek i dawałam radę. Mieszkałam z rodzicami w tym samym mieszkaniu, co teraz, i stanowiliśmy zgrany zespół. Mama, wówczas salowa w domu opieki, wstawała o piątej rano, by tacie przygotować śniadanie i jedzenie, które zabierał ze sobą, a później wychodziła do pracy. Kiedy po nocnej nauce budziłam się do życia, też zastawałam talerz z kanapkami. Nie była wylewna, uczucia okazywała czynem, chociaż kiedyś obok pełnego talerzyka zastałam kartkę z kilkoma skreślonymi słowami: „Nie przepracowuj się. Kocham Cię”. Przytuliłam ją, kiedy wróciła z pracy, ale udała, że nie rozumie, o co chodzi. Spytała jedynie, czy zdałam egzamin.

Tamten zdałam, ale do kolejnego nie przystąpiłam. Zbyt dużo zadziało się w naszym życiu, bym mogła pomyślnie zakończyć sesję. Do tej pory trudno mi myślami powracać do tamtych czasów, które

najpierw pozbawiły mnie ojca, później zaskoczyły chorobą mamy, aż wreszcie odebrały nadzieję na studiowanie ukochanej polonistyki.

Przygotowywałam się akurat do egzaminu z historii powojennej literatury polskiej. I jak zwykle, tuż przed terminem, sprawdziła się sentencja Sokratesa „wiem, że nic nie wiem”. Wpadłam w panikę i popędziłam zakuwać do Bożeny, do akademika. Siedziałyśmy do rana. A kiedy wreszcie znalazłam się w domu, by wziąć prysznic i włożyć stosowne ciuchy, zastałam mamę siedzącą nieruchomo w fotelu.

– Co się stało? – Wyczułam nieszczęście.

– Tato... Tato miał zawał.

– I? Gdzie jest? Jedźmy do szpitala! Dlaczego tak siedzisz? – Na widok tej bezradności wpadłam w przerażenie.

Nie uzyskawszy odpowiedzi, tknięta złym przeczuciem pobiegłam do sypialni rodziców i zobaczyłam tatusia. Leżał w łóżku, przykryty kocem, jak gdyby uciął sobie poobiednią drzemkę.

– Mamo, dlaczego nie zadzwoniłaś?! Chciałam być przy nim! – wołałam zrozpaczona.

– Kiedy wróciłam z pracy, on już... – Nie mogła spokojnie dokończyć zdania.

Musiałśmy sobie jakoś poradzić. Mama już zrobiła swoje: wezwała karetkę. Lekarz stwierdził zgon i poradził, by zadzwonić do zakładu pogrzebowego. Zamiast zdawać egzamin, załatwiałam pochówek.

– Bożena, przekładałam egzaminy na wrzesień – poinformowałam przyjaciółkę, która dzielnie wspierała mnie w trudnej chwili. Ale do sesji poprawkowej też nie przystąpiłam. Musiałam zająć się mamą, która po śmierci taty podupadła na zdrowiu. Myślałam, że wydobrzeje, ale los chciał inaczej. Diagnoza była powalająca dla nas obu: stwardnienie rozsiane. Uaktywnił je stres.

Pod koniec najgorszych wakacji w moim życiu podjęłam decyzję o przerwaniu studiów i podjęciu pracy. I właśnie wtedy pomogła mi pani Wiesia.

– Marysiu, możesz zająć miejsce mamy. Wiem, że to nie jest praca zgodna z twoimi aspiracjami, ale jeśli chcesz, witamy na pokładzie – zaproponowała.

– Mama jeszcze przez jakiś czas będzie mogła pracować – odparłam z nadzieją, że zajęcie opóźni rozwój choroby.

– Oczywiście. Jak długo da radę. – Pani Wiesia wszystko rozumiała. – Daj znać, jeśli się namyślisz.

Zaczęłam od października. Byłam wdzięczna dyrektorce i jednocześnie przeklinałam niesprawiedliwy los. Straciłam ojca, stawiałam czoła postępującej chorobie matki, a moi koledzy zaczęli trzeci rok studiów. Ja, niestety, zamiast zasiąść w sali wykładowej, wstawałam rano, by na dyżurze zmieniać starszkom pieluchy.

– Zobaczysz, jeszcze się wszystko odmieni. – Bożena próbowała podnosić mnie na duchu, kiedy kilka razy spotkałyśmy się na babskich pogaduchach.

Było mi wstyd, kiedy wracałam do domu po kilku piwach, ale ciężar na sercu musiał znaleźć ujście. Robotą w domu starców, bo tak w duchu nazywałam ośrodek opieki, nie przynosiła satysfakcji, a wręcz przygnębiała. Z czasem trochę się przyzwyczaiłam. Liczyłam, że w wolnych chwilach poczytam to i owo, a w przyszłym roku wrócę do gry.

Mama czuła się nie najgorzej, więc do pracy chodziłyśmy razem. Poznawałam te wszystkie panie Józie, Krysie, Zdzisławy, jak również innych starszusków. Byli mili, ale tęskniłam do rówieśników. Ci jednak balowali wieczorami, kiedy ja musiałam wyspać się przed porannym dyżurem. Moje studenckie kontakty odpływały w niebyt, a marzenia o kontynuacji studiów musiałam odłożyć na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Z czasem mama przesiadła się na wózek.

A potem poznałam Władka, który właśnie narzekał na monotonię odżywiania.

– Jak zwykle wystawiasz ciężkie działa – skwitował moją reakcję na czepianie się pasztetu. – Myślisz, że nie chciałbym, żeby nasza córka wyzdrowiała? Co mam robić? Jako murarz zarabiałem mniej, ale teraz, jak jestem na dźwigu, chyba nie możemy narzekać?

– To wszystko za mało – szepnęłam pod nosem.

– W takim razie sama zmień pracę! – uniósł się. – W tym twoim domu starców płacą ci grosze!

A tak w ogóle to idę do roboty, bo jeśli ją stracę, to dopiero będzie bal! – prychnął, zmiatając z talerza resztki jajecznicy. – Dla odmiany kup przynajmniej kilka plasterków żółtego sera na kanapki – dodał ze złością.

Usiadłam bez sił na kuchennym taborecie i zagapiłam się w pusty talerz. W obliczu małej wiary mojego męża powoli traciłam nadzieję, że Kalinka stanie kiedyś na własnych nogach. A nawet zaczynałam się oskarżać o kiepską przedsiębiorczość. Może rzeczywiście, jak sugerował Włodek, powinnam poszukać innej, lepiej płatnej pracy? Tylko gdzie ją znaleźć bez studiów? I jak mam zostawić moich podopiecznych, do których na przestrzeni lat zdążyłam się przyzwyczaić, a oni obdarzali mnie ogromną sympatią?

Pozostawało ciuć i czekać na cud.

Dzisiaj miałam zmianę na dziesiątą, a Kalina zimowe ferie. Przynajmniej nie musiałam jej prowadzić do szkoły. I na szczęście nie martwić się, co moja ukochana jedynaczka będzie robić sama w domu w czasie mojej nieobecności. Znajdowała przyjemność w czytaniu i – jak kiedyś podpatrzyłam – pisywała do szuflady. Po cichu trzymałam za nią kciuki, egoistycznie dopatrując się w córce własnych pasji z przeszłości, do której już nigdy nie miałam powrócić.

Telefon zadzwonił, kiedy zmywałam po śniadaniu ostatni talerz. Włodek pewnie już siedzi w swoim bocianim gnieździe, pomyślałam i podbiegłam szybko, żeby dźwięk nie obudził Kaliny.

– Pani Leśniewska? – usłyszałam nieznajomy kobiecy głos. – Dzwonię ze szpitala. Przekazuję słuchawkę panu doktorowi.

Przez głowę przemknęła kawalkada myśli. Zerknęłam na zegarek. Pół godziny temu Włodek rozpoczął pracę trzydzieści metrów nad ziemią. Tylko nie to!, przysiadłam, żeby nie upaść.

Wystarczy nieszczęść w tym domu!



## Rozdział 3

### Aleksandra

Wysłałam z gabinetu bez słowa, z trudem łykając łzy. Zostawiłam za sobą doktora Witaja, który próbował wypowiedzieć słowa pociechy, i znalazłam się na korytarzu. Minęłam siedzące pacjentki. Na dwór niemal wybiegłam, bez płaszcza, by zaczerpnąć mroźnego powietrza.

– Ola, poczekaj, przeziębisz się! – usłyszałam wołanie męża, który po chwili otulił mnie ciepłym okryciem.

Podprowadził do samochodu i zaczekał, aż nieco ochłonę.

– Porozmawiamy tutaj czy chcesz jechać do domu? – spytał.

– Jedźmy.

Byłam mu wdzięczna, że pozwolił mi pokonać drogę w milczeniu, a potem, zamiast herbatki uspokajającej, zaproponował kieliszek koniaku. Wychyliłam zawartość i poczułam przyjemny zawrót głowy.

Janek odczekał, aż będę gotowa do wynurzeń.

– Nigdy nie donoszę żadnej ciąży – wypaliłam, by pozbyć się przygniatającej prawdy.

– Tak ci powiedział?

– Oczywiście mami mnie postęпами medycyny, cudami i wróżeniem z fusów, ale konkluzja była właśnie taka. Cierpię na poronienia nawykowe.

Mąż sięgnął po komórkę, by zajrzeć, co w tej materii ma do powiedzenia Wujek Google.

– Kochanie, tutaj piszą, że to można leczyć...

Zaprzeczyłam gwałtownie.

– Nie, Jaś, nic z tego nie będzie. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Sześć razy z rzędu poroniłam. Przecież wiesz, ile przeszłam badań. Gdybym miała nadzieję na cud, próbowałabym w nieskończoność.

– Kochanie, jesteśmy jeszcze młodzi. Teraz kobiety rodzą nawet po czterdziestce. – Mój mąż próbował pocieszać.

Zaśmiałam się gorzko.

– Mam trzydzieści sześć lat, z czego ostatnie dziewięć poświęciłam staraniom o dziecko. Nie wiem, czy będę w stanie przeżyć kolejną stratę.

Janek przytulił mnie i jak zawsze znalazł rozwiązanie.

– Nie wolno ci się poddawać. Może warto poszukać pomocy w innych ośrodkach? Albo pomyśleć o adopcji?

Jego rady wprawiły mnie w przerażenie. Wspomnienie o adopcji było dla mnie jednoznacznym sygnałem, że także on nie wierzy w powodzenie naszych kolejnych starań.

– Chcę mieć swoje dziecko, nie adoptowane! – krzyknęłam. – Nie jestem na to gotowa!

Nasza rozmowa przypominała kilka poprzednich, które prowadziliśmy w podobnych okolicznościach. A jednak podskórnie wyczuwałam, że w Janku coś się zmieniło. Im bardziej ja panikowałam i rozpaczałam, tym on był spokojniejszy.

Niejednokrotnie zwierzałam się Milenie ze swoich wątpliwości.

– Jasiek jest wspaniały i wyrozumiały, ale chyba mu nie zależy na dziecku tak jak mnie.

Dobierała słowa, żeby nas nie poróżnić.

– Wiesz, mężczyźni odnajdują instynkt ojcowski później niż kobiety macierzyński. Ciesz się, że wytrzymuje te wasze problemy i huśtawki nastrojów bez słowa narzekania. Wspiera cię, pociesza, ale także on przeżywa stratę, choć inaczej. W końcu nie nosi dziecka w brzuchu.

Racja. Miałam cudownego męża i nie wolno mi było narzekać, że nie oddaje się rozpaczy po kolejnym poronieniu. Pracował ciężko, prowadząc firmę deweloperską, borykał się z różnymi problemami, byśmy mogli godnie żyć. Zapewniał nam dostatni byt. Ale czułam się wybrakowana. Nie

potrafiłam donosić spłodzonego przez niego dziecka, a jednak nigdy nie robił mi z tego powodu wymówek.

Dzisiaj jednak na twarzy Janka dostrzegłam cień zniecierpliwienia. A jego słowa upewniły mnie w przekonaniu, że się nie mylę.

– Olu, prześpij się trochę, pogadamy później, dobrze? Jutro mam odbiór kilku budynków w Brzozowym Gaju – wspomniał o osiedlu, które jego firma stawiała na obrzeżach miasta od dwóch lat. – I muszę trochę popracować.

– Ale o adopcji nie mówiłeś poważnie? – rzuciłam ostatnie pytanie, zanim zdążył pokonać schody prowadzące do gabinetu.

– Kochanie, nie czas teraz o tym rozmawiać. Zresztą jeśli nie chcesz, nie nalegam – odparł i zniknął za drzwiami.

Zerknęłam na butelkę koniaku, której nie schował do barku, ale zrezygnowałam z kolejnego kieliszka. Nie miałam również ochoty na spotkanie z mamą czy Mileną. Spokój Jaśka pomógł mi złapać pion. Postanowiłam zajrzeć do poczty mejlowej, a przede wszystkim do porzuconej przed dwoma tygodniami książki, którą tłumaczyłam.

Moja praca była dowodem na to, że życie kieruje się względną sprawiedliwością. Oprócz dostatków dnia codziennego cieszyłam się ciekawym zajęciem i znajdowałam w nim sporo zadowolenia. Co prawda nigdy nie udało mi się napisać własnej książki, ale z powodzeniem przekładałam powieści łotewskich autorów. W szczególności Krastsa Mihelonsa, z którym pracowaliśmy już przy czwartej pozycji.

Nigdy nie żałowałam wyboru studiów, chociaż był on wysoce kontrowersyjny dla rodziców. Nieraz wspominałam końcówkę liceum, jakieś dwa miesiące przed maturą, czas podejmowania decyzji. Przedmioty na maturze wybrałam wcześniej, co nie stanowiło większego problemu. Od dawna wiedziałam, że podejmę studia lingwistyczne, jednak do końca nie mogłam się zdecydować na konkretny kierunek. Tato optował za anglistyką.

– Język uniwersalny, zawsze na czasie. Znajdziesz zajęcie w szkole, w biznesie albo i tłumaczeniach, jeśli będziesz chciała – przekonywał i posyłał na prywatne lekcje.

Zastanawiałam się nad polonistyką, ale mój praktyczny ojciec, wzięty architekt, nie okazał zachwyty.

– Książki można czytać hobbystycznie i dla przyjemności, a pensja nauczyciela nie powala.

Byłam grzeczną dziewczynką i liczyłam się ze zdaniem rodziców. Polonistykę odsunęłam na dalszy plan i zaczęłam rozglądać się za czymś bardziej egzotycznym. I pewnie zdecydowałabym się na język angielski, hiszpański lub włoski, gdyby nie dni otwarte na uniwersytecie, na które powieziono mnie szkolnym autobusem.

Rozbiegliśmy się po stoiskach uczelni, ja trafiłam do kącika bałtystyki. Na początku sądziłam, że mam do czynienia z bałkanistyką, i z zainteresowaniem rzuciłam okiem na ofertę. Był rok dziewięćdziesiąty dziewięć, nawet ja, choć nie interesowałam się polityką, wiedziałam, że dwa lata wcześniej na Półwyspie Bałkańskim zakończyła się wojna i z uroków Adriatyku i Gór Dynarskich korzystali już pierwsi turyści. Fajnie byłoby związać losy z tym zakątkiem świata, pomyślałam, z zainteresowaniem przeglądając prospekty promujące kierunek. Szybko jednak zorientowałam się, że moja ignorancja przekracza wszelkie granice.

Stojący na stoisku student zagadał mnie w jakimś dziwnym języku, a ja zorientowałam się, że raczej nie jest to słowiański język.

– Przepraszam, że cię zaskoczyłem – przeszedł na angielski. – Chciałem, żebyś posłuchała, jak brzmi łotewski. Jestem Janis. – Podał mi rękę. – Studiuję w Rydze i przyjechałem namawiać was na bałtystykę.

– Studiujesz w Rydze? – spytałam niezbyt mądrze.

– Tak. Ale u was w Polsce od kilku lat też jest ten kierunek, więc jeśli chcesz, poinformuję cię o wszystkim – zagadywał.

Miałam ochotę zwać, bo ten azymut raczej mnie nie interesował.

Prawdę powiedziawszy, wobec jego zaangażowania trudno mi było to zrobić. Dałam się namówić

na kawę i gadkę o bałtyście, z której dowiedziałam się, że będzie mi dane poznać język łotewski, litewski i ciekawą kulturę, o której nie miałam zielonego pojęcia, jeśli nie liczyć nikłej znajomości historii państwa polskiego z okresu Jagiellonów i kilku scen z Sienkiewiczowskiej *Trylogii*. Po godzinie doszły miłe wrażenia z rozmowy z Janisem, przystojnym i bezpośrednim Łotyszem, i przeświadczenie, że chyba właśnie wybrałam.

Wracając do domu, myślałam o skrzętnie ukrytym w portmonetce numerze telefonu do Janisa i tęsknie obserwowałam krajobraz za oknem, co nie uszło uwagi Mileny.

– Olka, idziesz na bałtystkę? – zapytała ni stąd, ni zowąd.

– Co ci przyszło do głowy? – Spojrzałam na nią.

– Po prostu jestem domyślna. Nie mam racji? – zaśmiała się.

– Zainteresowałam się kierunkiem, o którym nie miałam pojęcia – odparłam.

– Kierunkiem? – Porozumiewawczo puściła oko.

– Głupia jesteś. Byłam na kawie z przystojnym Łotyszem, i tyle. A ty znalazłaś coś dla siebie?

Prychnęła.

– Przecież wiesz, że zostanę w domu. Nie zostawię Kacpra – wspomniała chłopaka, z którym chodziła od trzech lat.

Stare dobre małżeństwo, pomyślałam, ale trzymałam język za zębami. Aż dziw, że jeszcze się nie pobrali.

W domu czekała mnie niezła przeprawa. O wyborze, który trafił mnie jak grom z jasnego nieba, poinformowałam rodziców dopiero po kilku dniach. Jak się spodziewałam, nie bardzo mieli ochotę wypuścić jedynaczkę na studia do innego miasta. Ja jednak byłam uparta i zdeterminowana. W końcu złożyli broń.

– Córku, skoro już musi być tak egzotyczny kierunek, nie będziemy z matką przeciwni – usłyszałam w trakcie kolacji uspokajający werdykt taty. – Ale obiecaj, że będziesz często nas odwiedzać.

Zaklinałam się na wszystkie świętości, szczęśliwa z powodu otwartej drogi. I chociaż nie wiedziałam, co mi przyniesie, postanowiłam brnąć po niej, bo na horyzoncie majaczył Janis. Jego obraz nie schodził mi z oczu i tego dnia, i każdego kolejnego.

Śpiewając zdałam maturę, stukając przed nią niczym dzięcioł. Nie dzwoniłam, Janis również nie kontaktował się ze mną. Pewnie byłam dla niego jak każda licealistka zainteresowana studiowaniem bałtystyki. Jednak to mi nie przeszkadzało, a wręcz napędzało do tego, by w październiku wreszcie zacząć się uczyć łotewskiego i napisać do niego list w jego ojczystym języku. Zdawałam sobie sprawę, że zachowuję się jak Ania z Zielonego Wzgórza, ale widocznie żyłam mrzonkami i przyjemnością platonicznej miłości. Jadąc na studia do innego miasta, liczyłam, że los kiedyś nas ze sobą zetknie. Może wyjadę na Erasmusa do Rygi i wówczas go odnajdę?

Stare dzieje. Dziś Janis istniał wyłącznie w mojej pamięci, ale mój autor, jak nazywałam Krastsa Mihelonsa, pisał, a polskie wydawnictwo zlecało mi tłumaczenie jego powieści. Nad jego ostatnią książką *Burza nad Jurmalą* męczyłam się przez miesiące ostatniej ciąży, ale od poronienia nie skreśliłam zdania. Tymczasem czas leciał.

Z trwogą zajrzałam do poczty mejlowej i omiatając ją wzrokiem, szybko odnalazłam list od Krastsa.

„Aleksandra, wiem, że pracujesz, i nie chcę Ci przeszkadzać – przeczytałam kilka pierwszych słów. – Powiem krótko. Pod koniec kwietnia zapraszam Cię do Rygi na targi książki. Byłbym zaszczycony, gdybyś zgodziła się przyjechać. Będę podpisywać *Krainę mrozu* i chciałbym mieć Cię przy sobie. Pewnie będzie też sporo Polaków i Łotyszów z polskimi korzeniami. Chętnie poznają wspaniałą tłumaczkę moich skromnych powieści. Zrób mi tę grzeczność i przyjmij zaproszenie. Krasts”.

Rozczulił mnie list od najwspanialszego autora, na jakiego trafiłam. Od siwego brodacza z gęstą czupryną, piszącego w skromnym siedlisku nad Zatoką Ryską, gdzie wiecznie wiało, ale kominek nie pozwalał zaznać zimna. Nieraz bywałam jego gościem, ale zwykle sprawy zawodowe nie pozwalały pozostać dłużej.

A gdyby tak przyjąć to zaproszenie?, rozmarzyłam się, odtwarzając pod powiekami obraz bałtyckich fal uderzających o plażę tuż przed domem.

Nie pozwoliłam sobie na czas do namysłu, by nie zmienić zdania. Odpisałam niezwłocznie.

„Dziękuję. Przyjadę. A.”

Odpowiedź nadeszła po chwili.

„Bardzo się cieszę. Wszystko u Ciebie w porządku?”

„Tak – odpisałam. – Pozdrawiam”.

Nie byłam do końca szczerą, ale perspektywa wyjazdu na Łotwę podniosła mnie na duchu.

## Rozdział 4

### Maria

Minęła chwila, zanim dotarło do mnie, że telefon ze szpitala nie dotyczy Władka. Poza nim mogłam martwić się wyłącznie o Kalinę, ale ta spała w sąsiednim pokoju. Mamę pożegnałam siedem lat temu, a z dalszą rodziną nie utrzymywałyśmy kontaktów. Odetchnęłam zatem i względnie spokojna czekałam.

– Tu doktor Kozub – usłyszałam od ortopedy, pod którego opieką moja córka pozostawała od wypadku. – Być może niebawem będę miał dla pani dobre wiadomości. W Lozannie z powodzeniem przeprowadzono kilka operacji kręgosłupa przywracających władzę w nogach osobom ze schorzeniem podobnym do przypadku Kaliny. Po więcej szczegółów zapraszam do gabinetu – dodał i szybko się pożegnał, tłumacząc pośpiech kolejnym zabiegiem.

Siedziałam oszołomiona. Nadeszła chwila, na którą czekałam siedem długich lat. A jednak warto było mieć nadzieję, pomyślałam i podniecona zapragnęłam jak najszybciej podzielić się swoim szczęściem. Jako że z mężem mogłam złapać kontakt dopiero po zakończeniu jego pracy, zadzwoniłam do Honoraty, mojej najbliższej przyjaciółki. Od lat prowadziła niewielką księgarnię na Starym Mieście i tam właśnie się poznałyśmy.

Pracowałam już kilka lat w domu opieki, jeśli pominąć przerwę na urlop macierzyński i wychowawczy po urodzeniu córki. Po pracy zazwyczaj wsiadałam w autobus i jechałam prosto do domu, pozwalając sobie jedynie na zrobienie zakupów w osiedlowym sklepie. Jednak raz na jakiś czas robiłam sobie krótkie wagi i wysiadałam po dwóch przystankach, by przejść się po mieście i zaczerpnąć atmosfery, która przypominała mi dawne lepsze czasy. Czasy, kiedy żył tato, mama była zdrowa, a ja korzystałam ze wspaniałej terażniejszości z kolegami i koleżankami u boku. Biegałam na imprezki, zaliczałam wystawy, byłam za pan brat z książkowymi nowinkami. Miałam przed sobą studencką przyszłość.

Nie potrafiłam o tym zapomnieć, dlatego korzystałam z nielicznych wolniejszych, darowanych przez szefową chwil, by odwiedzać księgarnie na starówce, dotykać nowych, pachnących świeżym drukiem książek, a czasami nawet którąś kupić.

Szczególnie polubiłam Tanią Książkę, miejsce, gdzie za niewielkie pieniądze, a tylko takimi dysponowałam, mogłam nabyć choćby coś ciekawego dla Kalinki. Tam właśnie poznałam Honoratę, sympatyczną ekspedientkę, jak się później okazało, właścicielkę, która doglądała interesu zawsze, gdy tylko zaglądałam do księgarni. Kasowała te moje zakupy po złotówce czy piątce i musiała widzieć, że wysupłuję drobniaki z portmonetki. Było mi wstyd odkładać droższe pozycje na półkę, co jednak nie powstrzymywało mnie od wizyt.

Przed którymiś świętami Bożego Narodzenia jak zwykle kupowałam książeczkę z szopką, którą miałyśmy w planie ustawić z córką, kiedy ekspedientka podeszła do mnie i wręczyła mi egzemplarz bestselera. Nieraz miałam go w rękach.

– To dla pani ode mnie. Proszę nie odmawiać – wyszeptala aksamitnym głosem, na tyle jednak stanowczym, że odmowa, która wypłynęła z moich ust, mnie samej wydała się niestosowna.

– Nie mogę tego przyjąć. Dlaczego właśnie ja?

Kobieta spojrzała życzliwie i wyciągnęła dłoń.

– Jestem Honorata, właścicielka. To taki bonus dla stałej klientki. Życzę spokojnych świąt i dobrej lektury – dodała, dorzuciwszy kilka kolorowych zakładek. – Proszę przyjąć.

Gest otwartą dłonią nakazał mi wyrazić zgodę na prezent.

Wymruczałam pod nosem słowa podziękowania i zmyłam się z poczuciem wstydu. Muszę chyba wyglądać jak żebraczka, skoro ta elegancka kobieta zdobyła się w stosunku do mnie na charytatywny gest, pomyślałam.

Długo potem nie zachodziłam do Taniej Książki, omijając ją szerokim łukiem. Zbierałam

drobniaki na jakąś droższą pozycję i choć niewielki prezent dla właścicielki. Nastąpiło to dopiero w pobliżu Wielkanocy. Upiekłyśmy z Kaliną marcepanowe ciasteczka w kształcie jaj i zajaczków, ozdobiłyśmy kolorowym lukrem i migdałami, opakowałyśmy w celofan. Podobne przygotowałam dla pani Wiesi i moich podopiecznych z domu opieki.

Dumna i zadowolona z siebie weszłam do księgarni, by wręczyć prezent pani Honoracie i wyjść z książką za czterdzieści złotych, którą wcześniej wypatrzyłam.

Na jej miejscu dostrzegłam jednak inną osobę.

– Przepraszam, czy zastałam właścicielkę? – spytałam, rozglądając się wokół.

– Niestety, szefowej do świąt już nie będzie. Czym mogę służyć?

Zawiedziona zostawiłam ciasteczka i zamierzałam wyjść, ale sprzedawczyni mnie zatrzymała.

– Może mi pani podać swój numer telefonu? – zapytała.

– Nie ma takiej potrzeby. Proszę powiedzieć pani Honoracie, że to od stałej klientki – odparłam, ale kobieta nie dawała za wygraną.

– Nalegam, bo będę mieć nieprzyjemności...

Targana wątpliwościami podałam numer, spodziewając się co najwyżej esemesa z podziękowaniami. Nadszedł niebawem, ale z propozycją spotkania na kawie, od której zaczęła się nasza znajomość, a potem i przyjaźń. Do tej pory dziękowałam za nią losowi.

Teraz, podniecona wiadomością od doktora Kozuba, wybrałam numer Honoraty, która zapewne jeszcze nie dotarła do księgarni. Do dziesiątej pozostawały dwie godziny. Odebrała natychmiast. Nie wymieniając porannych uprzejmości, przystąpiłam do rzeczy.

– Dzwonił do mnie Kozub i podobno w Szwajcarii robią już operacje, które mogą przywrócić Kalince władzę w nogach! – wykrzyknęłam, cała w emocjach.

– To wspaniale! Powiedz coś więcej.

– Dowiem się w trakcie wizyty u lekarza. Jestem taka szczęśliwa! Wyobrażasz sobie, jest szansa, że Kalina będzie chodzić!

Jednak Honoracie trudno było wykrzesać entuzjazm. Nie rozumiałam, o co chodzi, dopóki nie wspomniała o kosztach. Dotarło do mnie, że w życiu nie ma nic za darmo.

Mogłam pomyśleć o tym wcześniej...

– Nie chciałam cię zgasić – wyjaśniła dystans w swoim głosie. – Pieniądze można jakoś załatwić. Najważniejsze, żeby medycyna stanęła na wysokości zadania. Może wpadniesz do mnie dzisiaj po pracy?

Odmówiłam. Kończyłam dyżur o dwudziestej, a szefowa poprosiła, żebym została dwie godziny dłużej.

– Innym razem, Honorka. Po wizycie u Kozuba, dob-rze?

Wychodziłam na dziesiątą, więc Kalinka zdążyła jeszcze wstać i zjeść ze mną śniadanie. Nie wspominałam o telefonie ze szpitala, choć trudno mi było utrzymać język za zębami. Do chwili poznania szczegółów nie chciałam robić jej nadziei.

– W lodówce macie kotlety mielone i surówkę z kiszzonej kapusty. Wystarczy ugotować ziemniaki – wydawałam ostatnie instrukcje przed dwunastogodzinnym dyżurem. – Dacie radę?

Moja córka rzuciła mi pobłażliwe spojrzenie.

– A kiedyś nie daliśmy?

– Dobrze, kochanie. Przykro mi, że nie możemy razem wyjść na dwór. Spadł taki piękny śnieg...

– Odruchowo spojrzałam za okno. – Może namówisz tatę? – dodałam bez specjalnej wiary.

Władek od dawna nie angażował się w opiekę nad córką, o ile nie zachodziła taka konieczność.

– Nie martw się, mamo. Poczytam i spotkam się z koleżankami – odparła z optymizmem Kalina, mając na myśli czat na Skypie.

Nadzieja podpowiadała, że być może już wkrótce -wyjdzie z domu samodzielnie i jak inne koleżanki pójdzie na sanki czy łyżwy. Co mi przychodzi do głowy?, uśmiechnęłam się w myślach, bo nagle zdałam sobie sprawę, ile moja córka ma lat. Piętnasto-, niebawem szesnastolatki chodzą dziś pewnie na kawę do miasta. W każdym razie przemierzają się na własnych nogach, i to jest najważniejsze.

Myśl, że niebawem dołączy do nich moja ukochana jedynaczka, trzymała mnie w stanie

permanentnego podniecenia przez kilka kolejnych dni dzielących mnie od wizyty u doktora Kozuba.

Przyszłam do gabinetu, zgodnie z jego zaleceniem, sama. O operacjach w szwajcarskiej klinice powiedziałam jedynie Władkowi. Podszedł do nich podobnie jak Honorata, z dystansem.

– Marysiu, to musi być strasznie drogie. Nie stać nas – gasił mój entuzjazm.

– A nawet gdyby, to co? Od lat ci mówię, że musimy zbierać pieniądze. Teraz przynajmniej pojawiła się szansa na powodzenie operacji. – Nie dawałam za wygraną.

– Idź, pogadaj z lekarzem. – Machnął ręką i zawiesił wzrok na kolejnym meczu w telewizji.

Nienawidziłam go w tym momencie. A myśl, że odpuścił kwestię zdrowia naszej córki, jątrzyła umysł.

– Będę za dwie godziny – rzuciłam szorstko, udając się do Kozuba.

Wróciłamby wcześniej, bo wizyta ograniczyła się do oszacowania kosztów, ale musiałam gdzieś usiąść i przetrwać uzyskane informacje w samotności.

– Poproszę kawę – złożyłam zamówienie w osiedlowej kafejce.

– Ze śmietanką?

– Tak. Albo właściwie nie. Bez. I jakieś ciastko z bitą śmietaną – dodałam, dostrzegając w oczach kelnera błysk niezadowolenia z niezdecydowania klientki.

Nic mnie nie obchodził. Myślałam wyłącznie o tym, co usłyszałam wcześniej.

– Proszę pani, w Lozannie powiodły się jak do tej pory trzy operacje, ale na ich ostateczny rezultat musimy poczekać jeszcze kilka miesięcy. Koledzy lekarze będą obserwować i rehabilitować chorych. Na razie wygląda to obiecująco. Pacjenci odzyskali czucie w nogach, ale czy będą chodzić, zobaczymy. Niemniej jednak jesteście dobrej myśli, a klinika wstępnie przygotowuje się do przyjęcia kolejnych przypadków.

Patrzyłam na Kozuba wzrokiem nastolatki zafascynowanej idolem, spijając z jego ust słodkie głoski o nadziei na wyzdrowienie Kaliny. Z kluską w gardle zdobyłam się nawet na pytanie.

– Czy to znaczy, że mogliby operować moją córkę?

– Oczywiście. Zarekomendowałbym Kalinę i poprosił doktora Davisa o przyjęcie jej w pierwszej kolejności. Mam z nim stały i dobry kontakt.

– Panie doktorze, jestem taka wdzięczna! A ile by to kosztowało?

Doktor Kozub powoli odsunął krzesło, wstał i wsparł się na blacie biurka. Wpatrzony we mnie wyjawiał sumę, która zwała mnie z nóg.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Oczywiście z dwumiesięcznym pobytem w szpitalu na rehabilitacji.

– Kawa dla pani – przerwał mi katastroficzne myśli kelner.

– Dziękuję – odparłam odruchowo, uwikłana w kombinacje, skąd wziąć tyle pieniędzy.

Zdecydowałam, że podejmę rękawicę. Wychodziłam z kawiarni z pewnością w sercu, że je zdobędę. Chociażby nie wiadomo co.

## Rozdział 5

### Aleksandra

Zaproszenie od Krastsa na targi wprawiło mnie w nieco lepszy nastrój, ale przede wszystkim uzmysłowiło mi bezmiar zaległości, na jakie sobie pozwoliłam. Zaczęłam siedem miesięcy wcześniej. Nie atakowały mnie ani mdłości, ani słabość jak przy poprzednich ciążach.

– Tym razem urodzę – mówiłam Milenie, towarzysząc jej w spacerach z kilkumiesięcznym synem Leosiem. Czekali na niego z Kacprem, usatysfakcjonowani posiadaniem dwóch córek. – Czuję się fantastycznie, a Witaj jest zadowolony.

Przyjaciółka wspierała mnie dobrym słowem.

– Na pewno się uda. Tylko uważaj na siebie i nie szarżuj z robotą – przestrzegała przed nocnymi nasiadówkami.

Lubiłam pracować po zapadnięciu zmroku i odsypiać w godzinach przedpołudniowych. Wieczorami odnajdowałam w sobie jasność umysłu i giętkość języka, dzięki którym książki Krastsa pisały mi się same i były dobrze przyjmowane przez polskich czytelników. Cieszyłam się, że mogę przyczynić się do sukcesu pięknych opowieści o ludziach nieco egzotycznej dla nas Łotwy, przybliżyć poetycki styl autora i jego ciekawe pomysły na fabułę.

*Burza nad Jurmalą* to jedna z dłuższych powieści Mihelonsa i najbardziej osobista. Zapewne dlatego wydawnictwo dało mi na nią więcej czasu niż zwykle. Praca wymagała częstszych kontaktów z autorem i wyjątkowej staranności. Początki wyglądały obiecująco: stron przybywało, z efektów byłam zadowolona.

Tyle że po trzech miesiącach ciąży i stu przetłumaczonych stronach trafiłam do szpitala z obfitym plamieniem. Wyszłam po dwóch dniach zdruzgotana i niezdolna do jakiegokolwiek pracy.

Lekarz przestrzegł mnie przed zbyt szybkim zajściem w kolejną ciążę.

– Proszę odczekać co najmniej pół roku – zalecił, wręczając wypis.

Po poronieniu bez skutku próbowałam wdrożyć się do normalnego życia. Wiecznie zajęty na budowie Janek wybywał na całe dni, a ja ślęczałam przed komputerem, patrząc w ekran jak sroka w gnat. Nie byłam w stanie wykrzesać z siebie żadnego sensownego zdania i popchnąć tłumaczenia do przodu. Opowieść bohatera powieści, Marisa, starego człowieka, rybaka znad Zatoki Ryskiej, który w obliczu śmierci rozprawia się z dobrą i złą przeszłością swojej rodziny, tak mnie rozculiła, że odebrała zdolność koncentracji. Współczułam Marisowi Freigbersowi samotnej starości i trudnych relacji z dziećmi, jednocześnie czując w sercu zazdrość, że ma o kim myśleć. Mnie wydawało się, że już do końca życia pozostanę bezdzietna i pozbawiona dużej rodziny. Ale choć każdą komórką ciała pragnęłam kłopotów z dziećmi, wnukami, prawnukami, musiałam odczekać pół roku, by po raz szósty spróbować szczęścia. Bo bez niego nie widziałam rodzinnej przyszłości.

Książka Krastsa musiała zaczekać, aż dojdę do siebie.

Nie wiem, jak to się stało, ale po dwóch miesiącach ponownie byłam w ciąży. Wprawdzie doktor Witaj nie był zadowolony z tempa, ale wyraził ostrożny optymizm.

– Pani Olu, teraz musimy szczególnie dbać o dziecko. Zalecam absolutny spokój i relaks. Nie musi pani leżeć, ale proszę spacerować, przebywać dużo na powietrzu i pracować z umiarem.

Kiedy obwieściłam Jankowi dobrą nowinę, nie zauważyłam entuzjazmu. Najwyraźniej był już zmęczony licznymi próbami, które przynosiły zawsze ten sam zły skutek.

– Witaj mówił, żeby odczekać – skwitował, ledwie podnosząc wzrok znad projektów domów w Brzozowym Gaju.

– Jaś, tym razem się uda! Przecież zachodzę w ciążę, więc kiedyś także urodzę! Będę leżeć, łykać tabletki na wzmocnienie i przerwę pracę nad tłumaczeniem. Mówiłam ci, że mam jeszcze sporo czasu. Krasts zrozumie, wydawnictwo też. Dzidzius jest najważniejszy! – Wiadomość o nowym życiu w moim łonie dodawała mi skrzydeł.



Jednym słowem, odpuściłam sobie robotę, do której teraz wracałam. Tyle że już bez nadziei, że kiedykolwiek skonfrontuję się ze swoimi dziećmi, będę na nie zła lub będę się z nich cieszyć.

Odsunęłam od siebie żale i wzięłam się do pracy. Tłumaczyłam rozdział, w którym Maris czeka na spotkanie z dziećmi; mają dopłynąć łódką do jego siedliska i zabrać ojca do domu starców. Nie zamierzał na to pozwolić. Wolał umrzeć w swoim skromnym domu nad morzem, niż dać się pogrzebać za życia.

Płynęłam przez kolejne strony, coraz bardziej zanurzając się w treści, lecz natrafiałam na rafy. Nie brakowało mi słów, ale doświadczenia. Zmarły przed rokiem tato był pełnym życia, młodym duchem sześćdziesięciopięcioletkiem, również mama bardzo dobrze się trzymała. Wokół mnie nie było starych ludzi. Zdawałam sobie sprawę, że mogę mieć problem z oddaniem emocji bohatera. A jednak brnęłam słowo po słowie, bo przyzwoitość nakazywała wyrobić się z tłumaczeniem w nieodległym terminie.

Pod wieczór do domu wrócił Jaś.

– Jak się czujesz? – Wszedł zniemacka do mojego pokoju i pocałował mnie w szyję.

– Dobrze, piszę – odparłam, starając się pewnością w głosie pokryć zakłopotanie wynikające z oporu materii. – Nie idzie mi – dodałam. Odsunęłam krzesło od biurka i splótłam dłonie na karku.

– Niebawem zaskoczy, kochanie. Jadłaś coś? Może zamówimy pizzę? – zapytał.

– Chyba do niczego się już nie nadaję – poskarżyłam się, chowając twarz w dłoniach.

– Może zbyt szybko wróciłaś do pracy? – Zamiast współczucia dostrzegłam w oczach męża zniecierpliwienie.

– A co mam robić? Chodzić po naszym pięknym domu i ścierać kurze? Czy może spotykać się z Mileną i bawić Leona? Wszędzie widzę kobiety w ciąży i nie potrafię myśleć o niczym innym. Nawet stary, stojący nad grobem Maris mnie denerwuje!

– Kto taki? – Głos Janka wyrażał głębokie zdziwienie.

– Nikt. – Machnęłam ręką. – Bohater książki Mihelson-sa. Nie zrozumiesz.

– W takim razie może jednak zamówię pizzę – odparł i nie czekając na zgodę, sięgnął po komórkę.

Sytuację zażegnaliśmy capricciosą i kieliszkiem wina na głowę. Janek przysnął przed telewizorem, ja długo jeszcze tkwiłam przed ekranem komputera, próbując zebrać najlepsze myśli i najpotężniejsze siły do opowiedzenia po polsku historii łotewskiego rybaka. Zwojowałam niewiele, zaledwie kilka koślawych zdań skreślonych do momentu, kiedy za oknami ujrzałam świt.

Rano, bez minuty snu, wypiliśmy z mężem poranną kawę i pożegnałam się z nim na cały dzień. Miałam go przeżyć w jałowej samotności, bez potrzeby spotkania z mamą, z Mileną, z kimkolwiek. Żeby chociaż książka posuwała się do przodu. Z czym pojedę do Krastsa na Łotwę?, pomyślałam, parząc kolejną kawę.

Zadzwoiła Milena i zaproponowała, że wpadnie z Leosiem. Odmówiłam.

– Jestem zajęta tłumaczeniem. Może w przyszłym tygodniu? – zaproponowałam.

Nie odpuszczała.

– Stoimy przed twoim domem. Wpuścisz nas?

Uległam i otworzyłam drzwi. Przeprosiłam za podomkę i niedbały wygląd.

Przyjaciółka podarowała mi doniczkę z trzema hiacyntami i nie zadając zbędnych pytań, zaczęła rozbierać synka. Leon miesiąc temu skończył rok i stawiał właśnie pierwsze kroki przy meblach. Milena posadziła go na dywanie i wręczyła mu kilka drobnych zabawek, które wozila w wózkowej torbie. Nie bacząc na okoliczności, zaproponowała, że przygotowuje kawę.

– Kupiłam dla nas dwie wuzetki – dodała, sięgając do kredensu po talerz. – Zjesz, zanim mi całkiem znikniesz. – Spojrzała z wyrzutem na moją smukłą kibić. – Znów nie spałaś?

– Robota mi nie idzie. Mam duże tyły – odparłam.

Przyjaciółka popatrzyła z niepokojem.

– Nie wiem, co ci poradzić. Może wyjedźcie z Jankiem na narty albo gdzieś dalej? Przewietrzysz umysł, oderwiesz się od złych myśli. Nabierzesz sił i nadziei.

– Miła, ja właśnie straciłam nadzieję. Nigdy nie donoszę dziecka, bo cierpię na poronienia nawykowe, rozumiesz? I nie mogę się pogodzić z tym faktem.

– A gdyby tak... – zaczęła i przerwała.

– Co masz na myśli?

Byłam skłonna wysłuchać wszystkich rad, a nawet zawrzeć pakt z diabłem.

– Nic, to głupi pomysł.

– Skoro zaczęłaś, mów! – nacisnęłam, czując przyływ adrenaliny. Czyżby Milena znalazła cudowne antidotum na moje nieszczęście?

– Olka, nie powinnam proponować ci takiego rozwiązania, ale czytałam niedawno o parze, która w podobnym do waszego przypadku wynajęła surogatkę. Rozumiesz, kobietę, która nosi dziecko zamiast biologicznej matki. Nic więcej nie wiem, po prostu zakiełkowała mi taka myśl. Może głupia.

Milena przerwała, bo w tym samym momencie mały Leon zrzucił na podłogę moją ulubioną cukiernicę i rozbił ją w drobny mak. A ja, po raz pierwszy od dwóch tygodni, śmiałam się pełną pierśią. Więc jednak mieliśmy z Jankiem szansę, by zostać rodzicami. Że też nie pomyślałam o niej wcześniej!

Uściskałam przyjaciółkę i z apetytem zjadłam wuzetkę. Było miło, ale niecierpliwie czekałam, aż wyjdzie, by mimo senności zajrzeć do internetu i spenetrować temat. Musiałam przygotować się do rozmowy z Jaśkiem i przekonać go, że w temacie dzieci jeszcze nie wszystko stracone.

## Rozdział 6

### Maria

Sprawa pieniędzy na operację i rehabilitację córki spędzała mi sen z powiek. Ogromna kwota dwustu pięćdziesięciu tysięcy jawiła mi się niczym niemożliwy do osiągnięcia szczyt w Himalajach, do którego wiodła droga pełna wybojów i niebezpieczeństw. Zdawałam sobie sprawę, że nie będę w stanie pokonać jej sama, choć to na mnie spoczywa trud zorganizowania wyprawy.

Władek w dalszym ciągu torpedował wszelkie pomysły na zdobycie pieniędzy.

– Marysiu, nawet gdybyśmy sprzedali mieszkanie i poszli pod most, i tak zbierzemy tylko połowę. Nie mamy oszczędności, a o podwyżce pensji w najbliższym czasie mogę zapomnieć.

– Dlaczego? Przecież majster bardzo cię ceni, a na osiedlu stawiacie kolejny dom. Gdybyś poprosił... – Szukałam rozwiązania. – A poza tym uciułałam całe siedem tysięcy – dodałam ciszej, spodziewając się reakcji męża, która nastąpiła natychmiast.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiedziałem? – podniósł głos.

– Przecież to dla Kalinki. Dla naszej córki.

– Nie musisz mi przypominać, że jestem jej ojcem, i sugerować, że nie mam na względzie jej dobra! Ale kiedyś wyraziłem się jasno w sprawie rodzinnych finansów: chcę znać wszystkie większe wydatki i oszczędności. Gdzie masz te pieniądze, bo na naszym wspólnym koncie ich nie widzę? – zapytał zdenerwowany.

Skoro sprawa się wydała, przyznałam się do założenia własnego konta i przelewania na nie po trochu marnych groszy.

– Władek, nie zbierałam tych pieniędzy dla siebie – odparłam. – Chciałam tylko, by były bezpieczne i poza zasięgiem wzroku. Nie ma tego wiele, ale wiesz, jak to jest. Pod ręką rozeszłyby się nie wiadomo kiedy. Na jakiś zbędny wyjazd czy...

– Na przykład na nowy samochód, bo nasz rżęch już ledwo jeździ? – wypomniał mi liczne rozmowy na ten temat.

Przyznałam w duchu, że założenie konta było brakiem zaufania do męża, ale działałam w dobrej sprawie.

Władek nie zamierzał odpuścić.

– Marysia, a może te zbędne, jak twierdzisz, wyjazdy nad morze czy do lasu były właśnie Kalinie bardziej potrzebne niż siedem uciułanych tysięcy, za które kupisz bilet do Szwajcarii w obie strony? Jakie masz prawo samodzielnie decydować o tym, co dobre dla naszej córki? I jeszcze robisz to za moimi plecami! Masz zaraz dopisać mnie do swojego konta! A teraz wejdź do banku i pokaż mi jego stan. Koniec tajemnic.

Drżącymi rękami zalogowałam się na stronę banku i ocierając łzy, podsunęłam mężowi pod nos ekran komputera. Kwota się zgadzała.

Razem z pieniędzmi, które zbierałam legalnie na małżeńskim koncie, mieliśmy piętnaście tysięcy oszczędności. Dużo za mało, by myśleć o szwajcarskiej wyprawie.

Tego dnia Władek postanowił ukarać mnie za niesubordynację i wyszedł z domu na kilka godzin. Najpierw usłyszałam, że umawia się na piwo ze Staszkiem, a potem odgłos zatraskiwanych drzwi.

– Mamo, co się dzieje? – W progu dostrzegłam wózek Kaliny. – Pokłóciliście się?

Szybkim ruchem otarłam łzy i przyłożyłam chłodne dłonie do rozpalonych policzków. Wiedziałam, że żadne tłumaczenie nie zmyli córki, a mimo to próbowałam zbagatelizować sprawę. Oby tylko nie podsłuchiwała rozmowy!

– Trochę się posprzeczaaliśmy – przyznałam. – Jak to w małżeństwie. Napijiesz się herbaty?

– To naprawdę nic poważnego? – zignorowała pytanie. – Możesz mi powiedzieć, nie jestem już dzieckiem.

Uśmiechnęłam się w duchu na to wyznanie poważnej piętnastolatki.

– Oczywiście. Tato miał ciężki dzień, ja zresztą też. I zaiskrzyło.

Nie pierwszy raz i nie ostatni. Od dawna już nie bardzo dogadywaliśmy się z Władkiem. Czasami, leżąc obok niego w łóżku i próbując walczyć z bezsennością, zastanawiałam się, czy kiedykolwiek potrafilibyśmy się porozumieć i co właściwie skłoniło mnie do małżeństwa. Oczywiście nie licząc ciąży, która spadła na mnie jak grom z jasnego nieba w momencie, gdy dopiero zaczynałam dojrzewać do dorosłego życia.

Nie mogłam tłumaczyć własnych wyborów trudną sytuacją po śmierci ojca i ujawnieniu się choroby mamy, którą musiałam się zaopiekować. Na początku nie było źle: przetrawiliśmy diagnozę o stwardnieniu rozsianym, a po jakimś czasie nabrałyśmy nawet nadziei, że nie będzie postępować szybko. Zwłaszcza że przychyłał się do tego lekarz, mimo że nie szczędził nam szczegółów dotyczących potencjalnych komplikacji. Trudno mi było wyobrazić sobie sytuację, że mama przestaje chodzić, potem traci władzę w rękach... O dalszej degradacji organizmu wolałam nie myśleć.

Rano wciąż razem dojeżdżałyśmy do pracy, a wieczorem ręka w rękę wracałyśmy do domu. Mama była zupełnie sprawna i nie rezygnowała z żadnej dotychczasowej aktywności. Mimo depresji po śmierci taty kręciła się po kuchni i udawała, że gotuje dla całej naszej trójki. Ten nadmiar zbierałam ze stołu, dyskretnie pakując do pudełka porcję ziemniaków i zimny kotlet, a do drugiego surówkę.

Dopiero po kilku miesiącach odważyłam się poprosić, by przestała gotować dla taty. Wywołałam tym lawinę łez, tym bardziej zaskakującą, że do tej pory mama nie okazywała emocji.

– Córuś, wybacz, ale trudno mi żyć bez niego! – załkała, a mnie opadły ręce.

Nadeszło lato. Zaczęłam wkładać kolorowe sukienki, a nawet, w przyływie rozrzutności, kupiłam sobie całkiem ładne sandały na obcasach.

– Poznałaś kogoś, córeczko? – zapytała mama, przyglądając się moim przygotowaniom do wieczornego wyjścia.

Podmalowywałam oko, z zadowoleniem spoglądając w lustro. Dostrzegałam długie, ciemne kręcone włosy z lekkością opadające na ramiona, o których istnieniu dawno zapomniałam. Ściśnięte gumką zazwyczaj przylegały do głowy, w pracy przygniatał je pielęgniarzski czepek. Zawsze biały i wykrochmalony.

– Co też przychodzi ci do głowy? – odparłam, wydymając usta. – Spotykam się z Bożeną i naszymi znajomymi z roku. Są po letniej sesji – wyjaśniłam zadowolona z wyjścia.

Nie myślałam wtedy o żadnym chłopaku. Uskrzydlało mnie wystarczająco towarzystwo młodych ludzi, jakże innych od pensjonariuszy domu starców.

W knajpie pod murami ratusza spotkałam całą swoją starą ekipę. Przy dźwiękach muzyki zagłuszającej wszystkie rozmowy sączyliśmy piwo. Świętowaliśmy sesję i nadejście lata. Starłam się nie myśleć o przerwanych studiach, do których oczywiście miałam zamiar powrócić w przyszłości, i dobrze się bawiłam. Do czasu, kiedy pojawił się Wojtek, a wraz z nim sentymenty.

Przystojny jak zawsze, z tym swoim tajemniczym uśmiechem, którego nie sposób zapomnieć. Byliśmy na randce kilka razy, wysyłaliśmy sobie sygnały sympatii, ale moje wyautowanie po drugim roku przekreśliło dalsze kontakty.

– Wyjdiesz na papierosa? – spytał nieoczekiwanie.

Skinęłam głową.

Na dworze otuliło nas ciepłe aksamitne powietrze letniego wieczoru. Przysiedliśmy na murku. Wojtek poczęstował mnie fajką i przypalił. Zaciągnęłam się głęboko i natychmiast zakręciło mi się w głowie. Od papierosa, stwierdziłam, zerkając kątem oka. Nie pamiętam, o czym wtedy myślałam, ale z pewnością nie o tym, co usłyszałam po chwili.

– Żenię się – oznajmił, a ja poczułam ukłucie w sercu. – Pamiętasz nasz wyjazd do Iławy? – wspominał weekend sprzed dwóch lat.

Czy mogłabym o nim zapomnieć? Szalony rejs żaglówką zakończony ogniskiem na polu namiotowym, gitara, ostre picie, pełnia księżyca i Wojciu, jak go wszyscy nazywaliśmy, tylko przy mnie i tylko dla mnie. Najprzystojniejszy mężczyzna w drużynie. Miałam na niego oko od dawna, a i on nie pozostawał obojętny. Chłopak z dobrej rodziny, z dużymi możliwościami i ja, skromna dziewczyna. Nigdy nie zapomnę tańców przy ognisku, najpierw szybkich, zwariowanych, potem tych w jego

ramionach, niemal pościelowych. Ukołysana spodziewałam się deklaracji, ale żadne intymne słowo nie padło. Za to dzisiaj usłyszałam o zbliżającym się małżeństwie Wojcia.

– Kto jest szczęśliwą wybranką? – zapytałam, odsuwając wspomnienia.

– Karolina, koleżanka z medycyny. Jest w ciąży. – Odetchnął głęboko i zaciągnął się papierosem.

– Nie planowaliśmy, ale to fajna dziewczyna, więc chyba nie będę żałować – dodał, spoglądając w gwiazdy. – A ty? Słyszałem, że pracujesz w domu opieki?

– Tak – odparłam i z niewiadomego powodu zrobiło mi się wstyd, że nie studiuje.

Chyba nie pasowałam do tego towarzystwa.

Być może pogadalibyśmy jeszcze przez chwilę, ale rozmowa zesłała na niedobre tory. Oboje poczuliśmy się niekomfortowo i postanowiliśmy wrócić do towarzystwa. Przyszły żonkoś i nieudaczna studentka. Zerkaliśmy na siebie od czasu do czasu, ale każde szło w swoją stronę.

I wtedy pojawił się Władek, brat Wicka, jedynego chłopaka na moim roku.

– Władek, Wicek. Macie oryginalne imiona – zdobyłam się na niezbyt ciekawą uwagę, kiedy Wic przedstawił mi brata. – Co robisz? – zagadnęłam barczystego mężczyznę u boku kolegi.

– Jestem murarzem – odparł.

– Ale jakim! Postawił już niejedyn dom – wsparł go brat.

Niewątpliwie duże osiągnięcie, pomyślałam przelotnie. Na kanapie w rogu knajpy siedział zagadywany przez Kaśkę Wojtek, który nie przestawał patrzeć w moją stronę. Tyle że w moich uszach pulsowały słowa: „Żenię się”. I to chyba one sprowokowały mnie do zainteresowania się nowym znajomym, który okazał się całkiem przyjemnym człowiekiem.

Poczułam się przy nim piękna i mądra. Z imprezy wyszliśmy razem i pozostaliśmy parą do dziś. Niedawno świętowaliśmy piętnastą rocznicę ślubu.

– Kalinko, pozwól, że będziemy z ojcem sami załatwiać swoje sprawy – odpowiedziałam córce i z werwą przystąpiłam do zmywania naczyń. – Pamiętasz, że od poniedziałku idziesz do szkoły?

– Pamiętam, mam. I nie musisz mnie odwozić. Przyjdzie po mnie Krzyś.

Zaskoczona chciałam zapytać, kim jest ów tajemniczy chłopak, ale odpuściłam. Tym bardziej, że córka zgrabnie wykręciła wózkem i opuściła kuchnię, dając mi do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych indagacji.

## Rozdział 7

### Aleksandra

Pomysł Mileny, by znaleźć surogatkę, tak mnie rozemocjonował, że nie mogłam oderwać oczu od ekranu. Przerzucałam kolejne strony, z każdą godziną zyskując coraz większe rozeznanie w temacie. Przede wszystkim pragnęłam zasięgnąć informacji, czy proceder jest legalny. Wyniki poszukiwań okazały się zadowalające. Z ulgą przeczytałam, że w Polsce kwestie te podlegają zasadzie: „Co nie jest zakazane prawem, jest dozwolone”. I dalej: „W przepisach prawa surogatka nie istnieje, co jednak nie przeszkadza jej funkcjonować na rynku”. Tak więc mieliśmy z Jankiem szansę, by pójść tą drogą bez groźby kary.

Mogłam jedynie żałować, że nie jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Grecji, Finlandii czy Ukrainy, w których to krajach przepisy sankcjonują „zawód” surogatki, określają, w jakich okolicznościach para może szukać pomocy u matki zastępczej, a niejednokrotnie obligują potencjalne kandydatki do badania stanu zdrowia, zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Jak wyczytałam, państwo greckie finansuje im nawet koszty opieki medycznej.

Takich luksusów natomiast nie ma się co spodziewać we Francji, Niemczech, Norwegii i Szwecji, gdzie proceder jest zakazany i podlega karze. Na szczęście Polski to nie dotyczyło.

Drażyłam zatem, pochłaniając artykuły na ten temat, i nabierałam coraz głębszego przekonania co do słuszności drogi, jaka pojawiła się na horyzoncie. Żeby tylko jeszcze przekonać Jaśka...

Mimo że byłam wymęczona nieprzespaną nocą, postanowiłam zebrać siły i przygotować grunt.

Zaczęłam od łązienki, ale krzepiąca kąpiel nie przywróciła mi dobrej kondycji. Skutki braku snu dały o sobie znać, a nogi same znalazły drogę do łóżka. *Burza nad Jurmalą* też musiała poczekać na lepszy czas.

Obudziłam się po kilku godzinach i przerażona zmrokiem za oknem, zamasyżycie odgarnęłam koc. Janek esemesem zapowiedział swój powrót o siódmej. Pozostało niewiele czasu, ale adrenalina pomogła mi zakręcić się w kuchni wokół jego ulubionej tarty. Szybciutko zagniotłam ciasto i poszatkowałam świeży szpinak. Na szczęście w lodówce miałam płatki boczku, suszone pomidory z pestkami dyni i kilka pieczarek, więc przygotowałam farsz i włączyłam piekarnik. W międzyczasie zajęłam się stołem. Oboje lubiliśmy powiew luksusu i szczyptę elegancji. Co mi szkodzi położyć biały obrus i wyjąć talerze z kolekcji Rosenthala, a na środku postawić aromatyczną świecę o zapachu rajskiej plaży? Pomyślałam również o ulubionym winie mojego męża.

Kręciłam się po kuchni, raz po raz zerkając w okno i wypatrując samochodu. Kiedy nadjechał, tarta dochodziła w piekarniku, a jej aromat unosił się w całym mieszkaniu.

Spodziewałam się ochów i achów, a przynajmniej całusa na powitanie, ale Jaś wyraźnie nie był w nastroju. Wszedł niemal bez słowa, rzuciwszy krótkie „cześć”, postawił teczkę w przedpokoju i pobiegł do gabinetu. Czyżby nasza dzisiejsza rozmowa miała nie dojść do skutku?, pomyślałam ogarnięta nagłą rezygnacją.

Mimo wszystko postanowiłam dać mu chwilę.

Pojawił się zaraz, wciąż podminowany, ale już bez krawata. Najwidoczniej swój firmowy atrybut zostawił w łazience i przeistoczył się w człowieka domowego. Krok do przodu.

Ubrana w fartuszek wyjrzałam zza kuchennej wyspy.

– Podać już kolację czy chcesz trochę odpocząć? – zagałam.

– Jaka to okazja?

– Żadna. Może zjemy przy ławie? – spytałam, dostrzegając zmęczenie.

– Nie, usiądźmy przy stole. Po prostu miałem ciężki dzień – wytłumaczył, odbierając ode mnie naczynie z tartą. – Wyobraź sobie, że mój dźwigowy przyszedł do pracy wczorajszy i musiałem go odesłać do domu – dodał. – Cały dzień roboty do tyłu, bo jego zmiennik wyjechał i nie miałem pracownika.

– To karygodne! Zwolniłeś go?

– Tak mnie wkurzył, że chętnie bym to zrobił, ale facet błagał i zaklinał się na wszystkie świętości, że to wyjątkowa sytuacja. Zresztą nie potrafiłem, bo gość ma córkę na wózku i potrzebuje pieniędzy. Ale następnym razem wyleci, bez względu na sprawy rodzinne.

Nieraz martwiłam się tym, że Janka tak wiele kosztuje praca z ludźmi, którzy nie wahają się grać na jego emocjach. Ale trzymał się dzielnie, choć takie sytuacje jak ta dzisiejsza wcale nie należały do rzadkości.

– Spróbuj tarty. – Nałożyłam na talerz trójkątny kawałek.

Straciłam jednocześnie nadzieję na poważną rozmowę o naszych sprawach, lecz kieliszek wina i dobra kolacja odwróciły bieg wieczoru. Kiedy usiedliśmy obok siebie na kanapie, Janek całkiem odzyskał wigor.

– Jutro jadę do pracy na dziesiątą – usłyszałam. – A dzisiaj jestem cały twój. – Spojrzał mi głęboko w oczy.

Może warto poczekać jeszcze chwilę?, przemknęło mi przez głowę.

Mimo wszystko nie byłam aż tak wyrachowana, by wykorzystywać seks do własnych celów. Postanowiłam wyłożyć kawę na ławę.

– Jaś, wpadł mi do głowy pewien pomysł – zaczęłam ostrożnie.

– To wspaniale! Zdecydowałaś się na narty w Alpach? – zapytał z nadzieją.

Od dawna planowaliśmy wyjazd, ale z powodu mojej ciąży zszedł na dalszy plan. Wiedziałam jednak, że mojemu mężowi zależy na tygodniu relaksu w górach.

– To też – odparłam. – Ale pomyślałam także o czymś innym.

Spojrzał z zaciekawieniem i dolał nam do kieliszków odrobinę wina.

– Dolomity? A może Grenoble? – przypomniał o ubiegłorocznych zimowych wakacjach we Francji.

– Nie o to chodzi, kochanie – przerwałam tę litanię domysłów. – Pomyślałam sobie, że moglibyśmy zatrudnić do urodzenia naszego dziecka surogatkę – wypaliłam.

– Kogo? Olu, czy ja dobrze rozumiem? Obca kobieta miałaby nosić nasze dziecko?

Głos Jaśka poraził mnie niczym prąd po dotknięciu niezabezpieczonego kontaktu. Na szczęście wiedziałam, że nie będzie łatwo, więc przygotowałam się do walki. W zanadrzu miałam twardego pancera i ostrą broń.

– Jaś, wiemy oboje, że nie donoszę żadnej ciąży. Oczywiście możemy próbować w nieskończoność, a ja ze swojej strony mogę cię zapewnić, że będę znosić kolejne śmierci naszych nienarodzonych dzieci. – Celowo użyłam dobitnych słów. – Ale i tak nic z tego nie będzie. A tu jest szansa na powodzenie. Dlaczego z niej nie skorzystać? To będzie nasze dziecko, z ciebie i ze mnie. Ta kobieta tylko je donosi, bo ja nie jestem w stanie – zakończyłam i zakryłam twarz dłońmi.

Mój mąż ponownie dolał sobie wina. W milczeniu zbierał myśli, by po chwili przedstawić swój punkt widzenia.

– Zaskoczyłaś mnie, Olu. Nie brałem pod uwagę takiego rozwiązania. Czy to w ogóle w Polsce możliwe?

Szczęśliwa, że podjął temat, podzieliłam się z nim swoją zaczerpniętą z internetu wiedzą.

– A skąd weźmiemy tę surogatkę? – zapytał. – Z Ukrainy? Bo z tego, co mówisz, to tam jest agencja, która zajmuje się pośrednictwem. Wolałbym nie wdawać się w takie zagraniczne manewry. To brzmi podejrzanie.

Osiągnęłam sukces. Jaś nie posłał mnie na drzewo i chciał rozmawiać. Nie mogłam jeszcze przedstawić mu żadnej „pani Kowalskiej”, która zgodzi się zostać matką zastępczą, ale odnalezienie jej jawiło mi się jako znacznie prostsze niż przekonanie męża do pomysłu.

– Znajdę kogoś odpowiedniego – zapewniłam gorliwie. – Ale oboje musimy tego chcieć.

– Olka, przecież widzę, że nie odpuścisz. – Zrezygnowany Janek machnął ręką.

– A ty? Nie chcesz mieć dziecka? – zaatakowałam.

Nie dostrzegłam w jego oczach żaru i przez moment zastanowiłam się, czy gramy do tej samej bramki. Bo ja byłam niemal zdecydowana na ten dramatyczny i ryzykowny krok. Na podjęcie ryzyka,

że kobieta nosząca nasze dziecko zakocha się w nim i nigdy nam go nie odda. Nawiasem mówiąc, ma do tego prawo, bo w Polsce matką jest ta, która rodzi. Tyle że to była moja jedyna szansa i gotowa byłam o nią walczyć. Pragnienie dziecka zawładnęło każdą komórką mojego ciała i nie odpuszczało ani na moment.

Jaś wreszcie się odezwał.

– Kochanie, oczywiście, że chcę. Ale jestem zaskoczony tą propozycją. Nie wiem, co mam myśleć. Prześpijmy się z problemem i pogadajmy później.

Mój mąż negocjator znalazł stosowne rozwiązanie, które polegało na zniwelowaniu emocji i zamknięciu tematu na święty nigdy. Nasz ponaddziesięcioletni staż małżeński nauczył mnie i Jaśka, i jego zachowań.

Tyle że ja nie zamierzałam odpuścić.

– Wiem, że surogatka kosztuje, i to dużo – ciągnęłam.

– Nie o to chodzi, Ola.

– A o co?

– Czy ja wiem? To bardzo niekonwencjonalne rozwiązanie. Muszę pomyśleć – odparł Jaś i zostawił mnie samą.

Okej.

Posiedziałam jeszcze pół godziny, po czym zaczęłam sprzątać, żeby zająć czymś ręce. Nie wygrałam bitwy, ale wciąż miałam zamiar wygrać wojnę.

Nabuzowana emocjami zadzwoniłam do Mileny.

– Rozmawiałam z Jaśkiem o surogatce. Poszedł spać – poinformowałam.

– Co sądzi na ten temat?

– Na razie bez rewelacji, ale może się przekona.

– Olka, nie naciskaj. Daj mu czas. Poczekaj.

– A jeśli się nie zgodzi?

– Zgodzi się, bo cię kocha. Jeśli nawet nie ma takiego parcia na dziecko jak ty, i tak się zdecyduje.

A pieniądze nie stanowią problemu.

– Tylko skąd wezmę surogatkę? Przecież nie będę kombinować z agencją na Ukrainie...

– Nie wiem. Ale może los ci kogoś podeśle?

Przestałam wierzyć w łaskawość losu już dawno. A może jednak nie do końca, skoro nadzieja na posiadanie dziecka nie umarła? I miałam Milenę, która mnie wspierała.

– Gdybyś spotkała na ulicy kobietę, która będzie mieć wypisane na czole, że donosi moje dziecko, daj znać – zażartowałam na zakończenie rozmowy.

Na dobre odechciało mi się spać, a perspektywa liczenia baranów do rana zagnała mnie do komputera. Powinnam wreszcie zasiąść do książki. Tym razem czułam, że uda mi się przepchnąć choć kilka stron.

Na surogatkę były potrzebne pieniądze, i to, jak wyczytałam w internecie, niemałe. Czułam, oczywiście, że nie ich dotyczą wątpliwości Jaśka, ale jedyne, co mogłam zrobić w tej chwili, to na nie zapracować.



## Rozdział 8

### Maria

Moje miejsce pracy leżało na drugim brzegu rzeki, więc jeżdżąc codziennie przez most, miałam okazję podziwiać przepiękną panoramę starówki. Wieczorami jej urodę podkreślała świetlna iluminacja, tworząc bajkowy widok, niezmiennie zachwycający nie tylko turystów, ale i mieszkańców.

Taka lokalizacja domu opieki odpowiadała także jego pensjonariuszom. Stał na sporym terenie niedaleko nadrzecznych błoni. Otoczony lasem od wschodu i zachodu parterowy budynek przyciągał wzrok czerwoną dachówką i zielonymi okiennicami, pełniącymi funkcję raczej ozdobną. Pani Wiesia dbała o porządek i skrupulatnie wykorzystywała każdy grosz na utrzymanie całości w dobrym stanie. Nie drenowaliśmy kieszeni rodzin płacących za pobyt tutaj naszych staruszków, więc luksusy nie wchodziły w rachubę, ale nadrabialiśmy rodzinną atmosferą i zaangażowaniem. Jednak o dobrych zarobkach nie mogło być mowy.

Pracowałam w Jesiennej Przystani już szesnasty rok, choć na początku traktowałam to zajęcie jako przejściowe. Zaczynałam od stanowiska salowej: sprzątałam, nakrywałam do stołu, rozwoziłam jedzenie, pomagałam pensjonariuszom przemieszczać się po budynku, czasami dotrzymywałam im towarzystwa. Nie myślałam o podnoszeniu kwalifikacji, licząc dni do powrotu na studia. Jednak mimo dużej motywacji mój plan okazał się nierealny. Po przyjeździe na świat Kalinki obie z mamą wyładowałyśmy w domu: ona już na stałe, ja na urlopie macierzyńskim, a potem wychowawczyni.

Po trzech latach zaczęłam się dusić. W naszej dwupokojowej klitce brakowało i miejsca, i powietrza. Choroba mamy postępowała, by niebawem posadzić ją na wózek. Marzyłam o kontaktach z ludźmi i odskoczni od domowych obowiązków, ale Władek dużo pracował. Poza tym nie przywykłam do zajmowania się dzieckiem, a tym bardziej mamą. Jedynie czasami kradłam chwile dla siebie poza domem, jak wówczas, gdy wzięłam córkę pod pachę i odwiedziłam swoje miejsce pracy.

Pani Wiesia przyjęła mnie kawą i uśmiechem. W pierwszej kolejności chciałam pobiec do mojej ulubionej pensjonariuszki, ale szefowa powstrzymała mnie gestem dłoni.

– Olu, zaczekaj, muszę ci o czymś powiedzieć. Pani Gertruda nie żyje. – Odgadła mój plan.

Zerknęłam na zawiniątko z piernikami, które przyniosłam dla staruszki, i opadłam na krzesło.

– Nie informowałam cię, bo syn zabrał ją i pochował na Śląsku – tłumaczyła się pani Wiesia. – Przepraszam, powinnam ci powiedzieć.

To była zwykła kolej rzeczy, ale mimo wszystko było mi przykro z powodu śmierci Trudy, jak kazała się nazywać. Wspomniałam pasjansa, które lubiła stawiać, i niejednego przegranego remika. Była w tej grze prawdziwą mistrzynią, jak również wspaniałą nauczycielką. Ciągnęła do stolika każdego, mnie także zaraziła miłością do kart.

Że też na urlopie tak rzadko się z nią kontaktowałam!

– Kiedy odeszła? – zapytałam.

– Miesiąc temu.

– Chcę do łazienki! – przypomniała o sobie wołaniem Kalinka.

– Nie nosi pieluchy? – Pani Wiesia zerknęła z podziwem na trzylatkę.

– Jeszcze nosi, ale zazwyczaj sygnalizuje. W końcu po wakacjach idzie do przedszkola, więc robię, co mogę, żeby ją nauczyć.

– Zostaniesz ze mną, Kalinko, kiedy zrobisz już siusiu? – Dyrektorka nieoczekiwanie wyciągnęła rękę do małej. – Pokażę ci zabawki i książeczki moich wnucząt. A mamusia sobie na chwilę wyjdzie...

Trafiła bez pudła, bo po niewielkiej paczce pierników przyniosłam także dla pana Zdzisława i pani Cecylii. Obdarzyłam szefową uśmiechem wdzięczności i zaprowadziłam córkę do ubikacji. Klucz od toalety dla personelu był na swoim miejscu.

Po chwili, już wolna, przemierzałam korytarz, mijając nieznanymi ludźmi. Trzy lata oddalenia dawały o sobie znać. To dużo czasu dla wielu staruszków, myślałam przygnębiona. Z tym większą

radością spotkałam się z Cecylią i Zdzisławem.

Przyjęli mnie życzliwie, żeby nie powiedzieć entuzjastycznie.

– Wiesz, że Truda nas opuściła? Nie mamy z kim grać w remika – mówili jedno przez drugie. – Ciebie też tak długo nie ma. Kiedy zamierzasz wrócić? – Poczułam na sobie przenikliwe, pełne nadziei spojrzenia.

I zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi brakuje pracy w domu opieki. Nie jakiegokolwiek, ale właśnie tej.

– Postaram się jak najszybciej – złożyłam przyrzeczenie, na razie bez pokrycia, i pewna decyzji, którą pomogli mi podjąć, powędrowałam po dłuższej pogawędce zawalczyć o powrót. – Przyjdę do was jeszcze na moment przedstawić moją córkę – obiecałam.

Etat na mnie czekał. Pani Wiesia przyjęła moją decyzję z szerokim uśmiechem.

– Po cichu na to liczyłam – odparła. – A jak sobie poradzisz z Tereską? Jak ona się teraz czuje?

– Na razie jest samodzielna, choć porusza się na wózku, więc mogę zostawiać ją samą. I mieć nadzieję, że kolejne pogorszenie nie nastąpi zbyt szybko.

Do domu wracałam pełna optymizmu i siły, by przekonać Władka o konieczności powrotu do pracy. A poza tym uskrzydlała mnie przedstawiona przez panią Wiesię perspektywa podniesienia kwalifikacji i zdobycia świadectwa opiekuna osób starszych. Nareszcie pojawiła się szansa, że zacznę się uczyć, ucieknę od codziennej rutyny i się rozwinę.

A co najważniejsze – zrobiłam to! Pokonałam opory męża, zyskałam aprobatę mamy, w sercu zawitał maj.

Władka przekonał argument o ważności państwowego świadectwa w krajach Unii Europejskiej. Wprawdzie było mało prawdopodobne, że wyjadę opiekować się niemiec-kimi czy angielskimi starszami, mając w domu chorą matkę i małe dziecko, ale warto było podkreślić taką możliwość. Mąż złapał się na haczyk i zgodził się, żebym podjęła pracę od września. Czasami nawet, kiedy miałam nocny dyżur, odbierał Kalinkę z przedszkola i kładł ją spać.

Podjęłam naukę, poświęcając jej każdą wolną chwilę. Uczyłam się, jak radzić sobie z problemem odleżyn, posiadałam wiedzę na temat diety, bólu, komunikacji z ludźmi starymi i cierpiącymi, poznałam choroby, zasady pielęgnacji, pierwszej pomocy, farmakologii w geriatricznym i wiele innych zagadnień dotyczących starości i upośledzeń. Większość problemów znałam z doświadczenia, ale ono nie gwarantowało gładkiego potwierdzającego moje kwalifikacje. W perspektywie miałam możliwość wyjazdu na Zachód i zarabiania w euro lub funtach. A w pracy dostałam nawet niewielką podwyżkę.

Zdążyłam ukończyć szkołę, zanim mama straciła władzę w rękach i sprawa opieki nad nią zaczęła się komplikować.

Wieczorami, kiedy zostawialiśmy z Władkiem sami, zastanawialiśmy się, co dalej.

– Chyba powinnaś zrezygnować z pracy – sugerował.

Kalinka bardzo dobrze zaaklimatyzowała się w przedszkolu, gdzie miała spędzić jeszcze rok. Cieszyłam się, że moja córka ma stałą opiekę do wpół do piątej. W szkole będzie gorzej, myślałam o nieregularnym planie lekcji, ale to miało dopiero nadejść. Martwiła mnie natomiast mama. Nie dość, że choroba postępowała i stawiała fizyczne ograniczenia, to jeszcze jej stan psychiczny nie był najlepszy.

Słyszałam, jak popłakuje w samotności, chociaż otwarcie nie chciała się przyznać do depresji.

– Władek, może nie zarabiam dużo, ale te pieniądze są nam potrzebne – tłumaczyłam. – A poza wszystkim jestem w tej pracy niezbędna. Nawet nie wiesz, że niektórzy ludzie tam na mnie czekają.

Przez kolejny rok udawało mi się łączyć obowiązki zawodowe z opieką nad Kalinką i mamą. Czasami na kilka godzin przychodziła sąsiadka, innym razem pomagała nam pani Brygida, przyjaciółka mamy. I pewnie taka sytuacja by trwała, gdyby nie wypadek mojej córki. Nieszczęsny wypadek samochodowy, do którego doszło kilkaset metrów od domu. Jeden nieoczekiwany poślizg, uderzenie w drzewo...

Nasza mała dziewczynka uszkodziła sobie kręgosłup.

Od tej pory nic już nie wyglądało tak samo jak wcześniej. Tygodnie spędzone w szpitalu, huśtawka nadziei i beznadziei, bezsenne noce na szpitalnych korytarzach i wizyty w domu, by podać mamie posiłek. Sama nie potrafiła sobie poradzić.

Przez kilka miesięcy miałam w domu dwie najbliższe mi osoby na wózku. Małą, która wymagała szczególnej opieki, by przystosować się do nowych warunków, i dużą, pozbawioną złudzeń.

W ostatnich miesiącach mama zaczęła mieć kłopoty z mową – choroba postępowała w zastraszającym tempie – ale wciąż świadoma na umyśle poprosiła mnie o rozmowę. To, co usłyszałam, nie pozwoliło mi pohamować łez.

– Oleńko, postanowiłam rozporządzić własnym życiem. I proszę, żebyś to uszanowała – zaczęła nieskładnie. Mimo że nieco bełkotała, rozumiałam każde słowo. – Chcę zamieszkać w Jesiennej Przystani. Nie mogę dłużej być dla was ciężarem. Nie przerywaj! – Podniosła rękę, kiedy zamierzałam zaoponować. – Rozmawiałam już z Wiesławą, znajdzie dla mnie pokój. Przepraszam, że zrobiłam to za twoimi plecami, ale teraz musisz skupić się na Kalince. Będziemy niedaleko, codziennie mnie odwiedzisz, a ja... Przecież wiesz, jak lubię to miejsce.

– Mamo, nigdy cię nie oddam. – Łzy leciały mi ciurkiem.

– Oczywiście. To moja decyzja, córciu. I tylko moja. Pomożesz mi spakować walizkę?

Niezbadane są wyroki losu. Nigdy wcześniej bym nie przypuszczała, że wywiozę matkę do domu opieki, a tymczasem to właśnie zrobiłam.

– Będzie jej u nas dobrze – zapewniła mnie pani Wiesia. – I nie straciecie kontaktu. Zajmij się dzieckiem, to w tej chwili najważniejsze.

Mama żyła jeszcze przez kilka miesięcy, ale ja nigdy nie pozbyłam się wyrzutów sumienia.

Tak bardzo pogrzeżyłam się we wspomnieniach, że niemal przegapiłam przystanek autobusowy.

Kalina skończyła piętnaście lat i jakiś tam Krzys codziennie przychodził, by odwozić ją do szkoły. Moja córka dojrzywała bez pojęcia o perspektywie odzyskania władzy w nogach. Jechałam dzisiaj do pracy z zamiarem porozmawiania z szefową. Może udałoby się uzyskać pożyczkę z kasy zapomogowej?, kombinowałam, z góry wiedząc, na jak niewielką kwotę mogę liczyć. Cztery, pięć tysięcy, co razem z oszczędnościami dawałoby dwadzieścia. To nawet nie dziesięć procent wymaganej sumy, przeraziłam się. Kredyt w banku nie wchodził w rachubę, a jeśli już, to bardzo niewielki. Zresztą z czego go spłacać?

Zrezygnowana weszłam do budynku i z miejsca wpadłam na panią Gabrysię. Wracała do pokoju po śniadaniu.

– Zaraz odwiedzi mnie Milena! – relacjonowała podniecona.

– To dobrze. Jak zdrowie dzisiaj? Dobrze pani spała? – zagadałam z promiennym uśmiechem.

– Budziłam się kilka razy – zamarudziła, jak zwykle, staruszka. – Ale kiedy już zasnęłam, miałam piękne sny. – Dostrzegłam w jej oczach rozmarzenie. – O Ludwiku – wspomniała męża. – Zajrzysz do mnie dzisiaj?

Oczywiście obiecałam. Do moich obowiązków, szczególnie tych, które sama sobie narzucałam, należał również kontakt z podopiecznymi. I zawsze o to dbałam.

– To czekam! – zachichotała. Przypominała mi pannę Marple z ekranizacji powieści Agathy Christie. – Milenko, zapraszam na herbatę. – Rozpromieniła się na widok gościa.

Pozdrowiłam panią Milenę, którą znałam od pierwszej chwili, gdy jej ciotka Gabriela zamieszkała w domu opieki.

Po wizycie podeszła do mnie i poprosiła o chwilę rozmowy.

– Oczywiście, zapraszam do mojej kanciapy – zachęciłam. Pewnie chodzi jej o zaniki pamięci, z którymi ostatnimi czasy zmaga się pani Gabrysia, pomyślałam.

Już dawno zdjęłam płaszcz i włożyłam biały fartuch. Byłam gotowa do pracy.

## Rozdział 9

### Aleksandra

Minęło sporo czasu od ostatniego poronienia, a ja wciąż nie widziałam się z mamą. W pierwszym momencie nie miałam na to ochoty, później ona wyjechała do siostry, ciotki Walerii, teraz zasiadłam do tłumaczenia. Dobrze, że nabrałam wigoru, bo wydawnictwo zaczęło tracić cierpliwość.

Stron przybywało, chociaż nie do końca byłam zadowolona z efektów. Postanowiłam poprosić o pomoc Milenę, a nawet o rozmowę z właścicielką domu starców, w którym przebywała jej ciotka, ale stale brakowało czasu, zarówno mojego, jak i przyjaciółki.

Oboje z Kacprem wykańczali dom, na tyle duży, by pomieścić ich piątkę i mamę Mileny, którą zamierzali zabrać pod swój dach. Kacper w biurze rachunkowym, które prowadził, spędzał większą część dnia, Milena przejęła obowiązek opieki nad dziećmi. Od narodzin rocznego Leona nie wystarczało jej czasu, by pomagać mężowi w księgowych obliczeniach.

Zmęczona codziennością z dziećmiakami w domu, nieraz wylewała żale.

– Nawet nie wiesz, jak chciałabym tak po prostu ubrać się jak kobieta i pójść do biura. Spędzić w nim osiem godzin, przetrząsnąć papiery, policzyć, spotkać się z klientami. A tu ciągle nocnik, zupki, gry i odrabianie lekcji.

Próbowałam jej współczuć, chociaż właśnie marzyłam o takich niedogodnościach.

Po chwili Milena przeproszała za swoje gadanie.

– Chętnie ci pomogę – deklarowałam opiekę nad starszymi dziećmi.

Leos jeszcze trzymał się maminej spódnicy i nie funkcjonował bez piersi, ale pięcioletnia Lena i sześć lat od niej starsza Natasza spokojnie mogły zawitać do nas na weekend, więc czasami braliśmy je do siebie.

Dzięki dzieciakom dowiedziałam się, co czytają małe dziewczynki i jakimi bawią się lalkami. W pokoju gościnnym na dole przybywało niezbędnych akcesoriów, z czasem zamówiliśmy piętrowe łóżko. Natasza, oczywiście, zarezerwowała miejsce na górze.

Pamiętam moment, kiedy zaprowadziliśmy je do pokoju i zaprezentowaliśmy nowy nabytek.

– Ciociu, ja wysoko! – Natasza nie pozostawiła siostrze wyboru.

– A ja na dole! – dodała Lena, jak zwykle zadowolona z tego, co przynosi jej życie.

Obie były wspaniałe i obie uwielbiałam. Jeśli nawet Milena narzekała na siostrzane bójki i różnice zdań, nie mogłam powiedzieć na dziewczynki złego słowa. Wszystko, co im proponowałam, przyjmowały z gorliwością i radością, czy dotyczyło to jedzenia, spaceru, wizyty w ogrodzie zoologicznym, czy bajki w telewizji.

Cieszyło mnie, że jestem ich najlepszą ciotką, i z kontaktów z dziewczynkami czerpałam przyjemność. Gdy jeszcze żyła mama, przestrzegała mnie przed tą zbyt bliską relacją.

– Kochanie, to nie są twoje dzieci. Żebyś tylko zbyt mocno nie zaangażowała się w opiekę nad nimi.

– Nie wiem, o co ci chodzi – burczałam. – Pomagam Milenie i mam z tego uciechę. To chyba dobrze?

– Słonko, nie uważasz, że pokój dla dziewczynek w naszym domu to trochę za dużo?

– Nie – odparłam zdecydowanie. – I nie rozmawiajmy o tym dłużej, bo chyba się nie dogadamy. Mieliście z tatą tylko mnie, więc nie rozumiesz, co to znaczy pragnienie dużej rodziny. W każdym razie ja jej pragnę – zakończyłam dyskusję.

Mama przełknęła gorycz porażki w rozmowie z córką, która nie potrafiła urodzić choćby jednego dziecka, i zamilkła.

Przyznam, że trudne miałam z mamą rozmowy o prokreacji. Wydawało mi się, że nie jest wobec mnie otwarta i szczerą, chociaż starała się mnie wspierać w kolejnych próbach posiadania dziecka. Również tato trzymał dystans.

Pamiętam rozmowę z nimi po moim pierwszym poronieniu. Mówili, że różnie w życiu się układa i trzeba spokojnie czekać na swoją kolej.

– Łatwo wam mówić, skoro sami tego nie zaznaliście! – pokrzykiwałam. – Poroniłaś kiedyś, musiałaś rozstać się z dzieckiem? – pytałam, ale mama zamykała usta i wychodziła z pokoju. W pewnym momencie podejrzewałam nawet, że nie chce rozmawiać o swoich ciężowych niepowodzeniach, i wprost zapytałam o nie tatę. Ten zaprzeczył.

– Mogę cię zapewnić, że Jadzia nigdy nie poroniła – odparł. – Po prostu nie zabiegaliśmy o większą rodzinę.

Tak czy inaczej, temat dzieci pozostał trudny i pewnie najbliższa rozmowa z mamą nie należałaby do najłatwiejszych, gdyby nie ciotka Waleria. Starsza, bezdzietna i niezamężna siostra mamy zawsze była dla mnie ostoją. Emerytowana nauczycielka z małego miasteczka mieszkała w domu po swoich rodzicach, a moich dziadkach, i chętnie zapraszała do siebie nas obie. Mama jeździła do niej w trudnych dla siebie momentach, a za taki uznała zapewne moje kolejne niepowodzenie. Wróciły razem. Kiedy zostałam zaproszona na podwieczorek, domyśliłam się, że wspólnym frontem chcą mnie wesprzeć. Przyjęłam zaproszenie. Kiedyś i tak musiało dojść do rozmowy, w której zamierzałam nakreślić swoje plany. Nie udało mi się ukryć surogatki, na której wynajęcie byłam zdecydowana. Żywiłam pewność, że w ciotce Walerii zyskam sprzymierzeńca. Zawsze była światła i otwarta na wszelkie możliwości, jak również bardzo mnie kochała.

– Wejdz, Olusiu. – Otworzyła mi drzwi do mieszkania rodziców.

Wytarła brudne od mąki ręce w kolorowy fartuch i przytuliła mnie niezgrabnie.

– Kończę racuchy – usprawiedliwiła swój niezbyt elegancki wygląd.

Zanim zdążyłam dojść do kuchni, mama pozbyła się fartuszka i zaproponowała kawę.

Niebawem wszystkie trzy siedziałyśmy przy okrągłym stole w salonie, otoczone aromatem świeżo zaparzonej kawy i posypanych cukrem pudrem racuchów. Poczułam, że tego popołudnia przybiorę kilka deko, ale w niczym mi to nie przeszkadzało. Podniebienie szalało z radości, a endorfiny kazały zapomnieć o trudnych sprawach.

Waleria opowiadała o pracy w gminnej bibliotece i planach przeorganizowania ogródka. Nie bardzo rozumiałam, po co chce upiększać uroczy ukwiecony teren wokół domu, ale słuchałam z zainteresowaniem.

– Wiosną przywiozę ci rozsady i bulwy różnych kwiatów na rabatę – obiecała. – Iglaki są ładne, ale trochę koloru nie zaszkodzi.

Fakt, mój ogród, choć zadbane, nie należał do specjalnie barwnych.

– Jeśli chcesz, pomogę ci je posadzić – dodała.

– Oczywiście, ciociu. Skoro masz chęć i siłę.

Spojrzały z mamą na siebie. Domyśliłam się, że szykują się do rozmowy, ale nie bardzo wiedzą, jak zacząć. Ja im tego nie ułatwiałam.

Po kilkunastu minutach jałowej wymiany zdań miałam dość. Postanowiłam wyjawić moje plany w stosunku do dziecka.

– Zamierzamy z Jaśkiem wynająć surogatkę – powiedziałam spokojnie, jakbym informowała o wyjeździe na narty. – To jest kobietę, która urodzi nasze dziecko – ciągnęłam, nie bacząc na zdziwione miny.

– Kochanie, jak ty to sobie wyobrażasz? – W oczach mamy dostrzegłam przerażenie.

Waleria trawiła wiadomość w milczeniu.

– Przyjmie zapłodnione jajeczko i donosi ciążę, której ja nie jestem w stanie donosić – wyjaśniłam rzeczowo.

– Olu, ale to chyba nie jest legalne? I w ogóle wydaje mi się jakieś podejrzane i nieetyczne. Poczekajcie jeszcze z tą decyzją, przemyślcie, poradźcie się kogoś. Waleria, co ty o tym sądzisz? – Mama szukała pomocy u siostry.

– A cóż ja mogę sądzić? Olka tyle razy próbowała, że może to jest jakiś sposób? Jesteście zdecydowani?

Mimo braku ostatecznej decyzji ze strony Jaśka wolałam przytaknąć. A szczegóły pozostawiłam

na później.

Obie panie wyglądały na nieco zszokowane i chyba dlatego nie drażyły tematu. Być może, zanim zaczną mnie odwodzić od pomysłu, postanowiły same go zgłębić, pomyślałam i pochłonęłam kilka kolejnych racuchów. Nie miałam złudzeń, z mamą czekała mnie niezła przeprawa. Wyczytałam to w jej oczach.

– Gdzie byłaś tak długo? – W progu powitał mnie głos Janka. – Przyszedłem wcześniej z pracy, chciałem zabrać cię na kolację.

Był wyraźnie zawiedziony.

– U mamy. Przyjechała ciotka Waleria, chciałam się z nią spotkać.

– Co u niej?

– To, co zawsze. W bibliotece przygotowuje na wiosnę cykl spotkań autorskich i chce nam koniecznie sadzić kwiaty w ogrodzie. Mówiłam o surogatce. – Wykonałam rzut na taśmę.

Jasiek spojrzął z niesmakiem.

– Przecież jeszcze nie podjęliśmy decyzji.

– Tak, kochanie. Ale podejmiemy, prawda? – Objęłam go wpół i obdarzyłam najpiękniejszym uśmiechem, jaki udało mi się przywołać.

Odsunął mnie nieco, ale nie odepchnął. Dobry znak.

– Chciałem ci przedstawić swoje stanowisko przy kolacji i tak zrobię – usłyszałam. – Ubieraj się. Idziemy, bo zamówiłem stół.

Z chochlików w jego oczach wyczytałam decyzję i w podskokach pobiegłam na górę włożyć stosowne -ciuchy.

Na szczęście zabukował miejsce w restauracji w pobliżu naszego domu. Taksówkarz nie zarobił i wkrótce padły oczekiwane przeze mnie słowa.

– Dobrze, Olu. Zgadza się na surogatkę, chociaż łączą się z tym różne obawy...

– Dziękuję! – Zerwałam się z krzesła, by ucałować męża.

– Jeszcze nie skończyłem. – Próbował okiełznać mój entuzjazm. – Rozmawiałem z prawnikiem, sprawa nie jest taka prosta.

– Wiem, wiem, kochany, ale najważniejsze, że się zgodziłeś! Tak się cieszę!

Nie zdradzałam Jasiowi swoich obaw dotyczących znalezienia kobiety chętnej, by nosić nasze dziecko. Byłam nastrojona tak optymistycznie, że liczyłam na szczęśliwe zrządzenie losu.

I los chyba zaczął mi sprzyjać.

– Wypijesz kieliszek wina na dobranoc? – Janek wyjął ze stojaka butelkę bordeaux, ledwie odwiesiliśmy płaszcze w przedpokoju.

– Chętnie. Poczekaj, dzwoni Milena, odbiorę. – Wyciągnęłam z torebki komórkę.

Wiadomość od przyjaciółki dodała mi skrzydeł.

– Olka, znalazłam dla was surogatkę!

## Rozdział 10

### Maria

Pensjonariusze byli już po śniadaniu i czekali, aż ich przejmę i zadbam o poranną porcję leków. Nasz dom był stosunkowo mały, przeznaczony dla zaledwie kilkunastu osób, więc gdybym ograniczała się do rozniesienia medykamentów, szybko zakończyłabym wizyty. Zawsze jednak poświęcałam kilka minut na rozmowy ze starszami. Potrzebowali codziennego kontaktu, a spragnieni bliskości traktowali mnie jak członka rodziny.

Na tyle, na ile pozwalały mi obowiązki, rozmawiałam o samopoczuciu, najbliższych, pogodzie. Każdy temat był dobry, byleby tylko przytrzymać mnie jak najdłużej. Dziś jednak wyjątkowo wypatrywałam chwili, kiedy zakończę swoje poranne wizyty i udam się do pani Wiesi z prośbą o pożyczkę. Nie spodziewałam się wiele, ale ważny był każdy grosz.

Los mi sprzyjał. Dłuższą pogawędkę z panią Kazimierą przerwała mi właśnie szefowa pilnym wezwaniem do gabinetu.

– Olu, mam do ciebie sprawę. Wypadł mi nieoczekiwany wyjazd na kilka dni. Chciałabym cię prosić, żebyś mnie zastąpiła – wyjawiała powód. – Zgodzisz się?

Nie po raz pierwszy placówka miała zostać pod moją opieką, dlatego nie widziałam problemu.

– Oczywiście, pani Wiesiu. Do kiedy?

– Do końca tygodnia. Znasz nasz dom lepiej ode mnie, poradzisz sobie. Postaram się wynagrodzić ci dodatkową pracę – dodała.

Było mi niezręcznie podsuwać szefowej pomysł na tę rekompensatę, ale sprawa Kaliny stanowiła dla mnie priorytet. Schowałam do kieszeni wstyd i korzystając z okazji, wyłożyłam problem.

– Na razie nie przyjmują jeszcze nowych pacjentów, ale kiedy rehabilitacja obecnych zacznie przynosić efekty, także Kalinka mogłaby poddać się operacji w Szwajcarii – zakończyłam przekazywanie informacji otrzymanych od doktora Kozuba. Wstrzymałam oddech przed wypowiedzeniem najtrudniejszej kwestii. – Tylko te koszty... Dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych, a ja mam zaledwie dwadzieścia. Czy mogę liczyć na niewielką pożyczkę? Oczywiście zrozumieć, jeśli pani odmówi – dodałam, widząc zafrasowaną twarz dyrektorki.

– Marysiu, sama nie mam dużych pieniędzy, ale kilka tysięcy mogłabym zaoferować. To jednak nie załatwi twoich potrzeb. Może powinniśmy pomyśleć o jakiejś zbiórce? Pamiętasz, że kiedyś Iza zebrała na swojego syna trzydzieści tysięcy? – wspomniała. – To już coś. No i oczywiście możecie z Władkiem postarać się o kredyt. Chyba oboje macie zdolność kredytową i mieszkanie pod hipotekę? – podsunęła.

Miała rację. Nie łudziłam się jednak, że bank udzieli nam dużego kredytu. Co prawda od niedawna mój mąż lepiej zarabiał jako dźwigowy, ale pensja podstawowa na papierze prezentowała się skromnie. Resztę dostawał na czarno. Jak zresztą we wszystkich poprzednich miejscach pracy.

– Przepraszam, że wystąpiłam z taką prośbą, ale ostatnio o niczym innym nie potrafię myśleć. – Wstałam z krzesła z zamiarem ucieczki gdzie pieprz rośnie.

Z trudem przychodziło mi nagabywanie ludzi o pomoc.

– Marysiu, ze swojej strony mogę zadeklarować pięć tysięcy pożyczki. Zgłoś się, jeśli będziesz jej potrzebować – powiedziała pani Wiesia i poprosiła, bym została jeszcze przez kilka minut, by dogadać bieżące sprawy dotyczące domu opieki.

Wyszłam od szefowej z listą rzeczy do załatwienia i planem działania na najbliższe dni. Przejęcie obowiązków pani Wiesi wiązało się z koordynowaniem pracy całej jednostki, doglądaniem dostaw do kuchni, dopilnowaniem umówionych wizyt lekarskich naszych pensjonariuszy, zadbaniem o zajęcia kulturalne, a przede wszystkim o samopoczucie starszami. Z pełną głową zmierzałam do pokoiku, który dzieliłam z koleżankami. W drodze tam wpadłam na panią Milenę, która dała mi gestem znać, że chce porozmawiać.

– Zapraszam do siebie. Może kawa? – Wskazałam na drzwi.

Odmówiła.

– Dziękuję. Przed chwilą wypięłam z ciocią.

– A jak się czuje pani Gabrysia? – zagadnęłam.

Podziękowała i usiadła na skromnym taborecie przy oknie. Nie miałyśmy przepastnych foteli, zresztą nie byłoby czasu korzystać z wygód. Śmiałam się, że moja praca polega głównie na przemierzaniu korytarzy i bieganiu od jednego do drugiego pensjonariusza. Odpocznę na emeryturze, machałam ręką ze świadomością, że dzieli mnie od niej sporo lat. W tym roku miałam skończyć trzydzieści siedem.

– W takim razie co panią do mnie sprowadza? – spytałam.

Zanim przeszła do rzeczy, powierciła się na taborecie i zaczerpnęła powietrza. Czekałam spokojnie. W końcu pani Milena sformułowała nietypową prośbę.

– Pani Mario, moja koleżanka ma problem z donoszeniem ciąży. Cierpi na poronienia nawykowe i lekarze nie dają jej szans na urodzenia dziecka.

Nie przerywałam, zastanawiając się w duchu, w jaki sposób może mnie to dotyczyć.

– Oboje z mężem podjęli decyzję, by zatrudnić surogatkę.

Nigdy nie spotkałam się z podobnym przypadkiem w realu, ale nauczona doświadczeniem uznałam za stosowne wysłuchać do końca. Ludzie miewali przeróżne pomysły, szczególnie kiedy osiąkali pewien wiek i ich umysły zaczynały szwankować. Pani Milena była jednak młoda i nie wyglądała na osobę z dewiacjami psychicznymi. Mówiła całkiem serio.

– Rozumiem. Tylko dlaczego wspomina o tym pani właśnie mnie? – zapytałam.

– Bo szukam odpowiedniej kobiety – wyrzuciła z siebie zawstydzona i pośpieszyła z wyjaśnieniami. – Bardzo chcę pomóc przyjaciółce, a nie zamierzamy dawać ogłoszenia do gazety. Można różnie trafić. Nie miałam pojęcia, kogo się poradzić, ale że znamy się już mnóstwo lat, nabrałam odwagi. Wiem, jak to brzmi, ale dla Oli to jedyne rozwiązanie. A potencjalna kandydatka mogłaby zrobić dobry uczynek i przy okazji nieźle zarobić.

Skoncentrowałam się na ostatnim zdaniu, walcząc ze sobą, by nie zapytać wprost, o jakie kwoty chodzi. Pani Milena wyczytała w moich oczach zainteresowanie.

– Nawet do stu pięćdziesięciu tysięcy – dodała.

Omal nie spadłam z krzesła.

– Czy mogłabym liczyć na pani pomoc w poszukiwaniach?

– Czy to jest legalne? – powzięłam wątpliwość.

– Tak. Nie ma przepisów, które zabraniałyby kobiecie nosić ciężę innej pary.

– A jakie wymagania musi spełniać kandydatka? – zapytałam.

– Przede wszystkim powinna już raz urodzić zdrowe dziecko i sama być zdrowa. Odnosnie do wieku nie ma żadnych wymogów, choć oczywiście lepiej, żeby była dość młoda.

– To znaczy?

– Nie dam pani wiążącej odpowiedzi. Z pewnością nie po czterdziestce, bo wzrasta ryzyko chorób. Na razie chciałabym się po prostu zorientować, czy znajdzie się jakakolwiek zainteresowana pomocą mojej przyjaciółce.

Prośba była mocno nietypowa, ale trafiła na podatny grunt. Naturalnie z miejsca pomyślałam o sobie i perspektywie nieoczekiwanego zarobku. Przedstawiona przez panią Milenę kwota była niewyobrażalnie wysoka i spadała mi jak z nieba, chociaż prowadziła do niej droga wyboista i śliska. Pomyślałam o Kalinie, która teraz pewnie kręciła się na wózku po szkole, a niebawem z pomocą Krzyśka wróci do domu. Wszystkie wątpliwości natury moralnej odbiegły w siną dal.

Nie zamierzałam składać wiążących deklaracji, choć czułam, że decyzja podejmuje się sama.

– Pomyślę, porozmawiam z koleżankami, zachowam całkowitą dyskrecję – odparłam ostrożnie.

– Nikt się nie dowie, że poprosiła mnie pani o pomoc. Dam znać.

Resztę dnia pracy przeżyłam jak w transie. Myśl o niespodziewanej możliwości zarobienia takiej masy pieniędzy dla Kaliny z jednej strony uskrzydlała, z drugiej wydawała się karkołomna. Oglądałam amerykańskie filmy o surogatkach, ale przecież mieszkałam w Polsce. Czy mogłabym nosić cudzą ciężę



bez narażania się na społeczne wykluczenie? Czy udźwignęłabym ciężar ludzkiego ostracyzmu? Bo nie wątpiłam, że wiele osób potępią ten proceder. A poza wszystkim obawiałam się reakcji Władka. I wreszcie samej Kaliny.

Może jednak warto pomówić z mężem o kredycie?

Wieczorem, po powrocie, szczęśliwie zastałam Władka w domu. Ostatnimi czasy często wychodził ze Staszkiem na piwo i wracał pod dobrą datą. Tym razem jednak siedział grzecznie przed telewizorem, zmiatając kanapki, które przygotowała mu Kalina.

– Co tak późno? – usłyszałam na powitanie.

– Zastępuję Wiesię.

– Mam nadzieję, że ci za to zapłaci – burknął.

Nie miałam pojęcia, co go tak optymistycznie nastawiło do świata, jednak powstrzymałam się od zadawania dalszych pytań. Rozpakowałam zakupy i zajrzałam do pokoju córki. Ślęczała nad lekcjami albo pisała pamiętnik.

– Cześć, kochanie, jak tam w szkole? Widzę, że przygotowałaś ojcu kolację. Dziękuję.

– Nie musisz, mamu. Od powrotu z pracy tato przez cały czas siedzi przed telewizorem. Pomyślałam, że zgłodniał.

Westchnęłam, ale opanowałam rozdrażnienie zachowaniem męża. Czulałam, jak opadam z sił na myśl o naszej dalszej wspólnej przyszłości.

Nie lubiłam narzekać, ale czasami w rozmowie z Honoratą coś mi się ulewało.

– Byłam głupia, wiążąc się z Władkiem. Gdzie ja miałam oczy, gdy wpadałam wprost w ramiona tego nieuka? Zakochałam się w jego portkach i komplementach? – zadawałam retoryczne pytania, złorzecząc na męża, który – jak się okazało – nie wykazywał potrzeby równania w górę. Wystarczyło mu przekładanie cegieł na budowie i telewizor.

– Byłaś w trudnej sytuacji, Marysiu. – Honorata próbowała ratować moje ego.

– I poszłam na łatwiznę. Złapałam pierwszego faceta, który się nawinął, i związałam się z nim na całe życie. Żałuję. Nawet nie wiesz, jak żałuję! – pokrzykiwałam, ale byłam w sytuacji bez wyjścia. – I nie chodzi nawet o jego wykształcenie, ja też niczego w życiu nie osiągnęłam. Ale ja nie mam z nim o czym rozmawiać! Nie czyta, ogląda tylko sensację, jest beznadziejny!

Mimo to wracałam do domu i z pokorą przyjmowałam kolejny dzień. A nawet miałam wyrzuty sumienia, że oczerniam męża przed przyjaciółką.

Pomagała mi wieczorna książka, czasami jakiś bardziej ambitny film po dwudziestej czwartej, bo wcześniej takowych nie puszczano. Ale przede wszystkim świadomość, że mam mądrą córkę.

Dzisiejszego wieczoru schowałam jednak anse i dosiadłam się do Władka. Postawiłam przed nami filiżanki z herbatą. Musieliśmy poważnie porozmawiać.

– Kochanie, Wiesia zaoferowała nam prywatną pożyczkę w wysokości pięciu tysięcy na operację Kalinki. Jest opcja zorganizowania jakiejś zbiórki w internecie, ale to wciąż za mało. Co byś powiedział na bankowy kredyt? Oboje pracujemy, mamy mieszkanie. Zastawimy je, zawsze to parę groszy.

– Nic z tego – przerwał moją tyradę. – Straciłem pracę.

– Co takiego?!

– To, co słyszysz, kobieto! Ten cholerny Boryk wyrzucił mnie z roboty!

– Ale dlaczego? – Wiadomość zwała mnie z nóg.

– Bo ostatnio zachciało mu się sprawdzać pracowników alkomatem. I miałem trochę za dużo.

– Władek, czy ty siebie słyszysz? Teraz, kiedy potrzebujemy na operację Kaliny, pozwalasz sobie na utratę pracy?

– Znajdę inną – odburknął i przerzucił kanał pilotem.

Nie potrafiłam uwierzyć w niefrasobliwość męża i w jego głupotę. Bez porozumienia z nim wybrałam numer Mileny, pewna podjętej decyzji jak nigdy, a jednocześnie przygotowana na jej konsekwencje. Liczyło się wyłącznie dobro mojej córki.

– Pani Milena? Tu Maria Leśniewska z domu opieki – przedstawiłam się. – Znalazłam surogatkę dla pani przyjaciółki. To ja.

## Rozdział 11

### Aleksandra

Mimo próśb Milena nie chciała mi zdradzić przez telefon szczegółów. Przetrzymała mnie do spotkania następnego dnia.

Do kawiarni Jedyna, ulubionego miejsca babskich randek, gnałam jak na skrzydłach. Nawet Jaś przy porannej kawie dostrzegł błysk w moim oku i zapytał o powód dobrego nastroju. Jednak do rozmowy z Mileną postanowiłam zachować milczenie. Bez jakiegokolwiek wiedzy na temat kobiety, która miała odegrać tak dużą rolę w naszym życiu, wołałam nie wzniecać niepotrzebnych nadziei.

– Kochanie, dobrze mi idzie tłumaczenie. I zerknij tylko, jak pięknie na dworze. Nie pamiętam, kiedy na początku lutego w ogrodzie leżała tak gruba warstwa śniegu. – Zgrabnie dryfowałam ku niewinnym kłamstewkom.

– O właśnie. Zamów Artura do odśnieżenia chodnika. – Jaś przypomniał sobie o sąsiedzie, który latem pomagał nam w ogrodzie, a zimą utrzymywał porządek w obejściu. – I chyba musimy mu zapłacić za styczeń. Masz pieniądze?

Szybko zapewniłam go o posiadaniu gotówki, w razie gdyby chciał jeszcze bardziej przeciągać moment wyjścia do pracy. Wyjątkowo mu się dzisiaj nie śpieszyło, w przeciwieństwie do mnie. Za piętnaście minut miałam umówione spotkanie z Mileną, na które za żadne skarby nie chciałam się spóźnić.

A jednak kiedy wpadłam do Jedynej, przyjaciółka z małym Leonem zajmowała już miejsce przy kąciku dla dzieci.

– Przepraszam, Miłka, już myślałam, że Janek nigdy nie wyjdzie do firmy! A to, a tamto, dwie kawy, a w łazience siedział z pół godziny – zasypałam ją gradem informacji o porannej opieszałości męża. – Cześć, Leosiu! – Posłałam malcowi całusa i pieszczotliwie podrapałam go po nosku. – Co u ciebie?

Najchętniej od razu przymusiłabym Milenę do zwierzeń, ale powstrzymałam ciekawość do momentu, kiedy stanęły przed nami dwie filiżanki aromatycznej kawy waniliowej i dwa spore kawałki tortu Pavlova. Okazja była na tyle doniosła, że postanowiłam nie liczyć kalorii.

Stół został zaopatrzony, Leon budował wieżę, a właściwie próbował postawić jeden klocek na drugim, a ja wlepiłam oczy w koleżankę.

– A teraz mów.

– Olka, ochłoń. Mam nadzieję, że wszystko się uda, ale zachowaj dystans. Potraktujmy ten kontakt jako pierwszą próbę.

– Możesz przestać chodzić okrężną drogą? Po prostu powiedz mi, kim jest ta kobieta.

Milena zaczerpnęła powietrza.

– To pani Maria Leśniewska. Z domu starców, w którym mieszka ciotka Gabrysia.

– To w jakim ona jest wieku? – zażartowałam.

– To pielęgniarka, głuptasie. Ma trzydzieści siedem lat i pracuje tam od piętnastu. Bardzo fajna, mądra i ułożona babka. Ciotka za nią przepada.

– Dlaczego chce to zrobić? – spytałam.

– Potrzebuje pieniędzy na operację córki w Szwajcarii. Jest zdeterminowana.

Zrozumiałam, dlaczego Milena tak zachowawczo i bez entuzjazmu podchodzi do kandydatki. Kobieta miała chorą córkę, więc niestety nie nadawała się na matkę zastępczą.

Milena, zauważywszy mój spadek nastroju, pośpieszyła z wyjaśnieniami, jakiego schorzenia dotyczy zabieg.

– Kalina, jej piętnastoletnia córka, po wypadku, którego doznała osiem lat temu, straciła władzę w nogach. Teraz potrzebują dwustu pięćdziesięciu tysięcy na pobyt, operację i rehabilitację.

Kwota także zwała mnie z nóg.

– To chyba trochę za dużo na naszą kieszeń... – Poczułam, jak nadzieje na dziecko odpływają w niebyt.

– Nikt nie mówi, że wy musicie sfinansować całość. Zapłacicie tyle, na ile się umówicie. Zresztą w kwestie finansowe nie chcę wnikać. Znalazłam ci kandydatkę, pozostałe sprawy załatwicie sami.

Miała rację. Niepotrzebnie wpadłam w popłoch. Teraz musiałam zasięgnąć jak najwięcej informacji o pani Marii.

– Nie wiem zbyt wiele – odparła Milena. – Ma męża murarza, a z córki jest dumna. To podobno mądra i inteligentna dziewczyna. Pani Wiesia, szefowa domu opieki, wypowiada się o niej w samych superlatywach. Przyszła do pracy jako salowa, kiedy z powodu śmierci ojca i choroby matki musiała przerwać studia polonistyczne. Z czasem skończyła szkołę dla opiekunów osób starszych. Jest troskliwa, oddana, organizuje starszkom zajęcia kulturalne. Wszyscy ją kochają, a moja ciotka chyba najbardziej. Tyle. Dam ci namiary i dalej działaj sama – zakończyła, sięgając po kartkę z numerem telefonu.

Wpatrywałam się w dziewięć drobnych cyferek, zastanawiając się, czy wpisywać je na stałe do listy kontaktów. Na wszelki wypadek kliknęłam na zielony telefonik i dołączyłam numer do pani Marii Leśniewskiej pod hasłem „surogatka”.

Nie spodobało mi się, więc skreśliłam zapis, zastępując go terminem „matka zastępcza”. Sugerował wprawdzie, że nasze dziecko będzie mieć dwie matki, mnie i tę drugą, ale wydawał się bardziej przyjazny. Surogatka, surykatka... Brzmienie podobne, choć pojęcia dotyczą dwóch odmiennych światów, ludzkiego i zwierzęcego. Ale nazwa nazwą, a ja niebawem miałam spotkać się z kobietą, która miała mi pomóc.

Posiedziałyśmy z Mileną jeszcze kilka kwadransów, mimo że nie potrafiłam skoncentrować się na rozmowie. Świerzbiło mnie, żeby zadzwonić do pani Marii natychmiast, ale czułam się w obowiązku zrewanżować przyjaciółce za jej serce.

– Milena, może weźmiemy na weekend dziewczynki? – zaproponowałam. – Mówiłaś, że remontujesz łazienkę, więc...

– A wiesz, bardzo chętnie, jeśli nie zburzy to waszych planów. Na razie mamy, nomen omen, zburzone ściany w łazience, a płytki leżą w torbie przed domem. Wszędzie kurz, nieład, Leona kąpię w misce, dziewczynki chodzą spać brudne. – Na migi pokazała w powietrzu dwa cudzysłowy. – Wprawdzie im się to podoba, ale mnie znacznie mniej. W dodatku Kacper zapowiedział wyjazd do Warszawy i zostawi mnie ze wszystkim samą.

Już przemyślałam nad atrakcjami do zaproponowania Nataszy i Lenie. Mimo zimy pomyślałam o wyjeździe nad morze. A co? Plaża zawsze oferuje to samo i jednocześnie coś innego. Uwielbiałam chrząst piasku pod nogami, nastrój nielicznych otwartych zimą kafejek, morską bryzę, zapach jodu i bursztyny, które zawsze, o każdej porze roku można było znaleźć na plaży, jeśli człowiek wyteżył wzrok.

– W takim razie odbieramy młode w piątkowe popołudnie i masz czas do niedzieli wieczorem – zaklepałam układ.

Pożegnałam się z Mileną i Leonem i popędziłam do domu, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy zadzwonię do Marii. Bo w głębi duszy tak właśnie zaczęłam ją nazywać, z pominięciem słowa „pani”.

W myślach była już niemal moją rodziną.

Jej chyba również śpieszyło się do spotkania ze mną, bo zaproponowała termin tego samego wieczoru, po pracy.

Umówiliśmy się na starówce. O dziwo, w miejscu, które również mnie było bliskie: niewielkiej knajpce przy rynku, na tyle kameralnej, by każdy znalazł w niej kąt dla siebie, a jednocześnie popularnej i tętniącej życiem.

Poznałam ją od razu, gdy tylko przekroczyła próg. To, co zobaczyłam, zgadzało się z opisem Mileny. Dostrzegłam ciemne, kręcone, spadające na ramiona włosy. Lecz chociaż sądziłam, że spotkam kobietę, przede mną stała dziewczyna. Sylwetka nastolatki ujmowała jej lat. Boże złoty, ona jest dwa lata starsza ode mnie!, pomyślałam.

Rozejrzała się wokół i ruszyła w moim kierunku. Widocznie opis Mileny działał w obie strony.

– Maria Leśniewska. Czy pani czeka na mnie? – zapytała, zawiesiwszy rękę w powietrzu.

– Aleksandra Boryk. Chyba tak. – Wstałam i podałam swoją.

Spodziewałam się ostrych targów, dostałam miłą rozmowę. Nawet gdyby niczym nie zaowocowała, sama osobowość nowo poznanej łagodziła wszelkie obawy i napięcia. Pani Leśniewska była miła i wzbudzała zaufanie. Ale, co najistotniejsze, dobrze się nam rozmawiało. Mimo okoliczności, które w większości ludzi mogły wzbudzać kontrowersje.

Dobra atmosfera szczerości od początku spotkania pozwoliła mi wyznać, że nie wspomniałam mężowi o naszej kawie.

Maria była w podobnej sytuacji.

– Mój również nic o nas nie wie – odparła.

Miałyśmy własne konszachty za plecami innych zainteresowanych.

Nie spodziewałam się aż tak przyjemnego spotkania. Mimo jego rynkowego oblicza, zanim zdążyliśmy przejść do rzeczy, znalazłyśmy kontakt na wielu płaszczyznach. Pani Maria opowiedziała mi o niedokończonych studiach polonistycznych, ja jej o bałtystyce i tłumaczeniu książki Krastsa. Pograżone w rozmowie o literaturze niemal zapomnieliśmy, po co przyszliśmy do kawiarni. Przypomniał nam o tym kelner, który zobaczywszy puste filiżanki po kawie, zapytał, czy przynieść rachunek.

– Nie – odparłam zdecydowanie i zaproponowałam Marii pizzę na pół. – A jaką? – dopytałam, dostrzegłszy aprobujące skinienie głową.

– Lubię z serem i salami – odparła.

– To tak jak ja! Tylko ja bez sosu.

– Oczywiście. Nie toleruję sosu na pizzy – przytaknęła.

Aż do chwili, kiedy osiem trójkątów pizzy zniknęło z talerza, nie przeszliśmy do meritum sprawy. Siedziałam obok tej przyjemnej, radosnej kobiety i trudno mi było zagać o jej przyszłą rolę.

Przejęła inicjatywę.

– To może porozmawiamy? – usłyszałam i spięłam się w sobie.

– Przepraszam, jest mi niezręcznie, ale w końcu musimy. Jest pani zdecydowana?

– Maria. Proszę mi mówić po imieniu.

– Aleksandra. – Skinęłam głową.

Odwzajemniła mój uśmiech.

– Tak, jestem. Potrzebuję pieniędzy na operację ortopedyczną córki. Jestem zdrowa, córka również urodziła się zdrowa, ale siedem lat temu uległa wypadkowi. Może nie jestem najmłodsza, ale nigdy nie chorowałam. Czy rozważycie państwo moją propozycję...? – zawiesiła głos.

– A pani jest pewna, że odda nam dziecko po urodzeniu? – Wystawiłam ciężkie działa.

– Dla mnie najważniejsza jest Kalina. I zrobię dla niej wszystko – odparła. – Sama się trochę boję, Olu – dodała. – A ty?

– Ja też. Ale bardzo pragnę dziecka.

– To co? Powiemy mężom?

– Tak. Porozmawiam z Jaśkiem o tym, ile możemy ci zaproponować.

– A ja z Władkiem, co sądzi o tym pomysłe.

– Mario, nie zawieź mnie, proszę. – Przy pożegnaniu przytrzymałam jej dłoń i spojrzałam głęboko w oczy.

– Nigdy. Czy Władek się zgodzi, czy nie, zrobię to dla Kaliny.

Pierwszy krok ku realizacji marzeń został zrobiony. Wprowadzie czekało mnie jeszcze wiele raf po drodze, ale wiosna w sercu pozwoli je pokonać, pomyślałam, przestępując próg domu.

## Rozdział 12

### Maria

Pani Milena nie podała mi przez telefon numeru swojej przyjaciółki, ale zaaranżowała spotkanie. Najwyraźniej postanowiła czuwać nad pierwszym castingiem.

Wygospodarowałam czas po pracy i podjechałam pod wskazany adres.

Przywitała mnie w drzwiach mieszkania, z dzieckiem na rękach.

– Przepraszam, Mario, że ściągnęłam panią do siebie, ale mąż wyjechał i mam pod opieką dzieci. A Aleksandra czeka na wieści – wytłumaczyła, dlaczego spotykamy się u niej, a chwilę później przeprosiła za wszechobecny bałagan. – Zaczęliśmy właśnie remont, więc proszę nie zwracać uwagi na nieład i kurz. Nie daję rady z tym wszystkim.

Znałam i lubiłam siostrzenicę pani Gabrieli od lat, ale teraz, na tle domowych pieleszy, wydała mi się jeszcze bardziej sympatyczna. Nie chciałam stwarzać problemów, więc odmówiłam herbaty, chociaż pół godziny na mrozie, w oczekiwaniu na autobus, dało mi się we znaki.

– To żaden problem. Leon panią zabawi, a ja skoczę do kuchni – zdecydowała i posadziła synka na dywanie.

Chłopiec był śmiały jak na swój wiek i chętnie przystąpił do zabawy z nieznajomą. Z przyjemnością wciągnęłam się, ulegając jego czarowi. Przez moment zatęskniłam do takiego malca we własnym domu, ale szybko przepędziłam niesforne myśli. Nie przyszłam tu po to, by rozniecać w sobie niespełniony do końca macierzyński instynkt. Kochałam Kalinę i ona musiała mi wystarczyć.

– Prawda, że jest towarzyski? – Milena przywróciła mnie do rzeczywistości.

– Bardzo. Rezolutny za dwóch – pochwaliłam.

– Ma dwie starsze siostry, więc musi sobie radzić – dodała i postawiła na ławie talerz z domowymi ciastkami. – Dzisiaj upiekłyśmy z Nataszą.

Znałam małą z domu opieki. Czasami towarzyszyła mamie w trakcie wizyt u ciotki.

Po wstępnych towarzyskich uprzejmościach rozsiadłyśmy się z panią Mileną wygodniej.

– Zapewne dziwi panią, że mam być surogatką – zaczęłam. – Prawdę powiedziawszy, nie musiałam zbyt długo nad tym myśleć. Potrzebuję pieniędzy dla córki – opisałam sytuację Kaliny i możliwość operacji w Szwajcarii – a nie mam żadnej innej szansy ich zdobycia. Znamy się długo, więc chyba jestem wiarygodna? Zrobię wszystko, żeby pani przyjaciółka z mężem byli zadowoleni i powitali na świecie swoje dziecko.

– Pani Mario, bardzo zależy mi na Aleksandrze i jej szczęściu, ale mam świadomość, że to rozwiązanie wyjątkowo niekonwencjonalne i niespotykane. Czy jest pani gotowa wziąć na siebie tak duży wysiłek, obowiązek? Nie boi się pani krytyki otoczenia? Cięży nie da się ukryć, a ujawnienie ludziom prawdziwych intencji może okazać się niemożliwe do zniesienia. Myślała pani o zagrożeniach?

Zdawałam sobie sprawę, że mnie testuje, i uważałam, że słusznie. Rzeczywiście, mogłam uciec w przedbiegach lub załamać się pod wpływem ludzkiej nietolerancji. Wprawdzie nie zdążyłam ułożyć sobie planu postępowania w ciąży, ale cel, jakim było zdobycie pieniędzy dla Kaliny, kazał mi zachowywać daleko idący optymizm. Wszystko musiało się udać.

– Pani Mileno, może na ostatnie miesiące wezmę urlop bezpłatny? – Przyszedł mi do głowy dobry pomysł. – A z sąsiadami nie mam bliskich kontaktów. Bardziej obawiam się, czy nie jestem za stara. Mam trzydzieści siedem lat.

– Ostatecznie i tak zdecyduje lekarz – odparła. – Nie jestem biegła w temacie, jedynie na tyle, ile można wyczytać w internecie, ale na razie liczy się pani gotowość. Czy mogę umówić was z Aleksandrą? – zapytała, a ja odetchnęłam z ulgą, że casting przebiegł pomyślnie.

Dalsza część rozmowy potoczyła się w luźniejszej atmosferze. Nie wypytywałam o matkę dziecka, które miałam nosić, ale mimo woli dowiedziałam się kilku rzeczy na jej temat. Była dwa lata młodsza ode mnie, z Mileną łączyła ją przyjaźń z liceum, po którym drogi przyjaciółek rozeszły się na

czas studiów. Milena została w rodzinnym mieście, gdzie ukończyła polonistykę (moją polonistykę!), Ola po bałtyście wróciła do domu i starych przyjaciół. Wkrótce została mężatką. Jan pracował w firmie jej ojca, architekta, którą teraz, po śmierci teścia, prowadził sam. Mogłam przypuszczać, że małżeństwu wiedzie się nie najgorzej, skoro chciało zapłacić mi kilkadziesiąt tysięcy, bo o wyższej kwocie nie śmiałam marzyć. Zresztą byłoby mi niezręcznie targować się z ludźmi tak ciężko doświadczonymi przez los. Trudno wyobrazić sobie sześciokrotne przeżywanie utraty dziecka, nawet jeśli ma to miejsce w dwunastym tygodniu ciąży.

Wychodziłam od pani Mileny z przeświadczeniem, że oprócz pieniędzy, które dostanę, chcę tym ludziom pomóc. I zadawałam sobie pytanie, czy utwierdzę się w nim po spotkaniu z matką mojego dziecka, jak zaczęłam je roboczo nazywać.

Czułam, że chęć noszenia tej ciąży zaczyna przejmować nade mną władzę. Tak bardzo byłam ciekawa pani Aleksandry, że po jej telefonie natychmiast zgodziłam się na spotkanie. Wyznaczyłam je w mojej ulubionej kawiarence na starówce, do której nie zaglądałam od niepamiętnych czasów. Kiedy przyszłam, siedziała przy stoliku pod oknem. Zawsze go wybierałam. Dostrzegłam bardzo ładną, zadbaną kobietę, o nieskazitelnie prostych jasnych włosach. Jej delikatne rysy nie były jednak trywialne, jak u lalki Barbie. Być może wpływała na to lekka asymetria ust, sprawiająca, że wyglądała na obdarzoną uśmiechem, a może ledwo widoczne mimiczne zmarszczki wokół oczu, przynależne ludziom, których nie opuszcza pogoda ducha.

Podeszłam do jej stolika jak w dym i po chwili dokonaliśmy prezentacji.

Przyznam, że nie chciałam rozpoczynać tematu, a moja rozmówczyni również się do tego nie kwapiła. Wypiłyśmy kawę, potem ona zaproponowała pizzę. Wybrałyśmy tę samą: z salami i serem, bez sosu.

Spotkanie się przedłużało, a w domu czekał Włodek, ale bardzo dobrze się nam rozmawiało i przekornie chciałam je przeciągnąć. Tym bardziej, że nie podjęłyśmy zasadniczej kwestii, dopóki osiem trójkątów pizzy nie zniknęło z talerza.

Koniec końców zaczęłam ja.

– To może porozmawiamy? – Odkręciłam kurek z odwagą.

Odparła, że czuje się niezręcznie.

Zaproponowałam przejście na ty, a ona chętnie wyraziła zgodę.

Wyjawiłam, na co potrzebuję pieniędzy, zapewniłam o swoim zdrowiu i zapytałam, czy rozważą z mężem moją propozycję.

– A pani jest pewna, że odda nam dziecko po urodzeniu?

Byłam przygotowana na takie pytanie. Również odrobiłam lekcję w internecie i doczytałam o przypadkach różnych surogatek na świecie. O instynkcie macierzyńskim, który rodzi się w ciąży i nie pozwala wywiązać się z obietnicy, mimo zainkasowanych pieniędzy. Wiedziałam również, że polskie prawo uznaje za matkę kobietę, która urodzi. Aleksandra miała prawo się obawiać.

– Dla mnie najważniejsza jest Kalina. I zrobię dla niej wszystko – odparłam z przekonaniem.

Żaden instynkt nie mógł mi przesłonić zasadniczego celu, jakim było zdrowie córki.

Baliśmy się obie i obie miałyśmy wątpliwości, ale i odpowiedni poziom determinacji.

Na pożegnanie Aleksandra, patrząc mi głęboko w oczy, w których poszukiwała akceptacji, zapytała, czy jej nie zawiodę. Odparłam, że nigdy. Miałam przeczucie, że trafiłam na osobę, której dziecko chcę donosić, a jednocześnie że się jej spodobałam.

Na koniec zainteresowałam się, czy jej mąż jest blondynem.

– Jest, i to jasnym. A dlaczego pytasz?

– Bo mój to istny Cygan, a i ja mam ciemne włosy. Zabawnie będzie urodzić blondasa – zakończyłam ze śmiechem, szczęśliwa, że zrobiłam kolejny krok na drodze do zdrowia Kalinki.

A przy okazji poznałam bardzo miłą osobę i nawiązałyśmy nieuchwytną więź.

– Nie uważasz, że będzie po prostu łyse? – odpowiedziała, pozostając w żartobliwej konwencji.

– Może? Ważne, żeby w ogóle pojawiło się na świecie.

– Tak – przyznała, już poważnie. I niemal siłą poprowadziła mnie na parking, gdzie zostawiła samochód.

Drogę do mojego domu, do którego postanowiła mnie zawieźć, spędziłyśmy głównie w milczeniu.

– To kiedy się spotkamy, żeby umówić się konkretnie? – zapytała Ola, parkując przed moim blokiem.

– Dam znać. Muszę porozmawiać z Władkiem.

– A ja z Jaśkiem.

– Dziękuję za podwiezienie.

– To ja ci dziękuję. Za wszystko – szepnęła i nasunęła na oczy czapkę, żebym nie dostrzegła jej wzruszenia. – To czekam. A teraz idź, bo na dworze ziąb – dodała, machając ręką przez otwartą szybę.

Kiedy po chwili odwróciłam się, wciąż siedziała w aucie, z głową opartą o zagłówek. Dałabym sobie uciąć rękę, że z jej oczu ciekły łzy.

## Rozdział 13

### Aleksandra

Gdzie byłaś tak długo? – dopytywał Jaś, kiedy po spotkaniu z Marią wróciłam do domu późnym wieczorem.

Świerbiło mnie, żeby przekazać mu swoje wrażenia, jednak instynkt podpowiadał znalezienie dogodniejszej chwili, kiedy oboje będziemy mieć czas i wolne głowy. Chciałam poukładać sobie informacje usłyszane od naszej surogatki, on, jak dostrzegłam, wrócił zmęczony. Trudny temat lepiej przełożyć na później, stwierdziłam. Najlepiej na moment, kiedy pojedziemy z dziewczynkami Mileny nad morze.

Na realizacji tego planu chwilowo postanowiłam się skoncentrować.

O dziwo, mój mąż nie stawiał murów nie do pokonania. Ochoczo wyraził zgodę, by mimo lutowej, wietrznej i nie najlepszej pogody wyruszyć na weekend do Krynicy Morskiej.

– Jesteś pewien, że chcesz zabrać dziewczynki? – dopytywałam. – Bo jeśli nie, to zajmę się nimi w domu – czarowałam, choć widziałam w jego oczach przyzwolenie.

– Chętnie się stąd wyrwę. W przyszłym tygodniu mam przekazanie kolejnego budynku, musiałem zwolnić kilku następnych pracowników, bo przychodzili mi do pracy pod wpływem, nie możemy wyrobić się z planem. Same kłopoty. Może warto na chwilę zostawić je za sobą.

– Ale pamiętaj, że obiecałam Milenie opiekę nad Nataszą i Leną – wspomniałam po raz kolejny, gdyby jednak zapomniał o słodkim, przynajmniej dla mnie, balasście, który miał towarzyszyć nam w podróży.

Mój ukochany mąż nie widział żadnego problemu.

– Będzie fajnie. To dzieci ograniczonej odpowiedzialności. Pobawisz się, będziesz dobrym wujkiem. Wieczorem, gdy pójdą spać, nacieszysz się winem i żoną, a potem oddasz zachwycone stęsknionym rodzicom i wrócisz do swoich pieleszy.

Przyznam, że mimo szacunku dla Jaśka i jego bardzo dob-nej relacji z dziewczynkami nieco speszyło mnie to podsumowanie. Ja nigdy nie miałam ochoty oddawać ich Milenie. Ale widocznie mężczyźni są inni, westchnęłam. I tak byłam zadowolona z męża, który potrafił rozmawiać z dziećmi, a zatem stanowił wspaniały materiał na ojca.

Byłam szczęściarą.

Natkę i Lenę zabraliśmy w piątkowe popołudnie. Wcześniej zarezerwowałam mały apartament w Krynicy, ulokowany w pobliżu głównego traktu prowadzącego na plażę. Nie było łatwo znaleźć miejsce. Większość ofert dotyczyła sezonu letniego, który zaczynał się dopiero w połowie czerwca. Kosztowało mnie to sporo, ale zapewniało możliwość przyjazdu nawet w tak dziwnym terminie jak luty. Oferta obejmowała nawet basen i śniadanie.

Dziewczynki miały radochę nie mniejszą niż ja.

– Pójdziemy się kąpać? – dopytywały od chwili, kiedy postawiliśmy bagaże w hotelowym przedpokoju.

– A może najpierw na spacer nad morze? – zaproponowałam delikatnie, chociaż na dworze panowała już absolutna ciemność.

– Nieee! Ciociu, obiecałaś, że tu będzie basen! – Natasza nie dawała za wygraną.

– I jest – odparłam. I tak szukałam już w torbie kostiumu kąpielowego. – Dziewczyny, idziemy się poplaskać! A ty, kochanie? – Spojrzałam na męża, który postanowił dołączyć chwilę później.

Ubrane w białe szlafroki frotté, na dziewczynki nieco za duże, popędziłyśmy za strzałką z napisem „basen”. Lecz nawet gdyby jej nie było, przyciągnąłby nas zgiełk charakterystyczny dla tego rodzaju przybytku. W sali nie było zbyt wiele osób, a wystrój, przyjemne ciepło i chlupot wody podziały kojąco. Zajęłyśmy wolne leżaki w pobliżu wody i poczułyśmy się jak na wakacjach.

Natasza pobiegła popływać do głębszego basenu, ja zostałam z Leną w brodziku.



– Naprawdę dasz sobie radę? – zawołałam, ale Natasza odpowiedziała tylko machnięciem ręki. Uczyła się pływać od czterech lat i trafiła nawet do lokalnego klubu. Jednak ostrożność nie zawadzi, stwierdziłam.

– Niech się pani nie martwi, będę mieć oko na córkę! – doszły mnie słowa mężczyzny, sądząc po posturze i pomarańczowych gatkach, ratownika.

Przyznam, że szeroki uśmiech, który mi posłał, sprawił mi przyjemność. Chwała Bogu, nie musiałam się wstydzić ani nowego kostiumu, ani sylwetki. Co prawda zawdzięczałam ją niemiłym przeżyciom związanym z ostatnim poronieniem, ale nikt nie musiał o tym wiedzieć.

Nie wyprowadzałam go też z błędu, kiedy wspomniał o córce. Odwzajemniłam uśmiech i mocniej chwyciłam Lenkę za rękę. Tak. Dzisiaj byłam szczęśliwą mamą dwóch jasnowłosych i błękitnookich dziewczynek, ukierunkowaną na to, żeby sprawić im przyjemność. A przy okazji także sobie.

Ratownik jeszcze kilka razy obdarowywał mnie uśmiechem, ale wkrótce nadszedł Jaś. Oboje zajęliśmy się dziewczynkami. On ścigał się z Nataszą, ja wozilałam Lenkę w dmuchanej łódce i przelewałam wodę z wiaderka do wiaderka. Odetchnęliśmy, kiedy małe po długotrwałej taplaninie w basenie trafiły na leżaki, gdzie miały za zadanie się ogrzać.

– I jak? – Jasiak zadał retoryczne pytanie, na które odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Super!

– Głodne? – zadałam drugie, równie ważne.

– Taaak!

– Jeszcze moment poczekacie? – Spojrzałam na męża. – Możesz zerknąć na nie przez chwilę? – zapytałam i nie czekając na odpowiedź, wskoczyłam do basenu, by przemierzyć go kilkakrotnie.

W zapamiętaniu, bijąc rękami o wodę, dawałam z siebie wszystko. Jak gdyby od tego dystansu zależało moje życie. Woda nad głową bulgotała, a ja starałam się pokonywać kolejne długości basenu. Sprawdzałam swoje możliwości, zbierałam siły, by przygotować organizm do rozmowy z Jaśkiem.

Kątem nieco zalanego oka dostrzegałam go na brzegu. Siedział z dziewczynkami, zajmował je rozmową. Czasami wskazywał na mnie ręką.

Będzie wspinałym ojcem, myślałam, nie wiedzieć czemu mając pod powiekami obraz mojego taty.

To było wiele lat temu. Miałam chyba jedenaście lat, tyle, ile teraz Natasza. I podobnie jak ona trenowałam pływanie. Mama prowadziła mnie na basen cztery razy w tygodniu, potem, kiedy dostałam się do klubu, chodziłyśmy tam codziennie.

Tamtego dnia zakwalifikowałam się do zawodów wojewódzkich w stylu grzbietowym. Trener powiedział, że jestem najlepsza i mam szansę sięgnąć po mistrzostwo.

– Pojadę z nią – usłyszałam słowa ojca.

– Nie. Ja z nią pojadę. – Mama podjęła decyzję.

– Jadwiga, możesz zaszkodzić sobie i dziecku. Przecież wiesz, że to ciąża podwyższonego ryzyka.

– Nic mi nie będzie. A zresztą jeśli nawet, to chyba po twojej myśli?

– O czym ty mówisz?

– Oboje wiemy o czym, Tadeusz. Kiedyś podjęliśmy straszliwą decyzję, a teraz los się mści. Co ma być, to będzie – stwierdziła mama i postawiła na swoim.

Zdobyłam mistrzostwo, a ona trafiła do szpitala. Nie wiedziałam, na co zachorowała, ale echo tamtej rozmowy czasami rozbrzmiewało w moich uszach do dziś. Jak również pogłos innych dyskusji moich rodziców.

– Masz rację, Jadziu, że my nie powinniśmy mieć więcej dzieci – twierdził ojciec.

– Dlaczego? Tadeusz, ja jednak myślę...

– To nie myśl. Aleksandra jest wspaniałą córką, a ja nie chcę już próbować. Zrobiliśmy, co było trzeba, teraz mamy Olkę, wspaniale nam się chowa, jest naszym oczkiem w głowie. I na tym poprzestańmy.

– Tadeusz, proszę...

– Nie prosź mnie o to, kochanie. Kolejny raz bym tego nie przeżył.

Widziałam mamę zamyślona, zatroskana, żeby nie powiedzieć zrozpaczona. Nawet kiedy odbierałam puchar na kolejnych zawodach, miała przymglone oczy. Wtedy myślałam, że ze wzruszenia.

Nagle doznałam olśnienia. Przecież kiedyś tato zapewniał mnie, że mama nigdy nie poroniła! Więc co stało się z dzieckiem?

Kiedy wychodziłam z basenu, Jaś wciąż siedział z dziewczynkami. Grali w jakieś państwa-miasta czy inne chińczyki. Podeszłam owinięta w ręcznik, a cała trójka zaczęła dopytywać o kolację.

– Przepraszam was, już dawno powinniśmy siedzieć przy stole. – Posłałam im uśmiech i zgarnęłam do wyjścia.

Miły wieczór zaczęliśmy przy posiłku, zakończyliśmy przy łózkach dziewczynek.

– Ciociu, czy kiedy już będziesz mieć swoje dzieci, zabierzesz nas jeszcze nad morze? – Pytanie Nataszy dało mi do myślenia.

– Oczywiście, dlaczego pytasz? Zawsze was zabiorę, a teraz nawet nie jestem w ciąży – odparłam, przyciągając ją do siebie. – Zawsze będziecie moimi kochanymi dziewczynkami – dodałam, obejmując również Lenę. – A teraz spać, diabełki! Chcemy z wujkiem trochę pobyć sami.

Po krótkiej rozmowie i przytulankach mogłam wrócić do męża.

– I jak, jesteś zmęczony? – zapytałam, znalazłszy przytulne zagłębienie w jego ramieniu, z którego nie chciało się wychodzić.

W pokoju dziewczynek panował spokój, w tle leciał smooth jazz, a na stole stała butelka białego wina.

– I co z naszymi córeczkami? – zażartował. – Śpią?

– Chyba tak – potwierdziłam. – I były w łazience, więc chyba nie powinny wstawać siusiu – dodałam.

– Zatem pozwól, żono, że napełnię twój kieliszek – zagaił wytwornie, a ja poczułam się jak w niebie.

Mogłam spokojnie podjąć temat naszej surogatki.

Kiedy zaczęłam, mój mąż wydawał się zdezorientowany. A nawet próbował mnie zbyć.

– Kochanie, czy możemy porozmawiać o tym później? Spójrz na księżyc, jest pełnia. A jutro pójdziemy na plażę – mamił.

– Jasiek, spotkałam się z kobietą, która chce nosić nasze dziecko. Czekałam na moment, kiedy ci o tym powiem, a ty nie chcesz słuchać?

– Chcę, chcę. Ale może jednak teraz wyjdziemy na chwilę nad morze? Dziewczynki śpią, to tylko kilka kroków.

Miałam wątpliwości, więc zajrzałam do małych. Lena pochrapywała, ale zorientowałam się, że Natasza nie śpi.

– Kochanie, wyjdziemy z wujkiem na chwilę. Nie masz nic przeciwko temu? – zapytałam, wpatrując się w jej otwarte oczy.

– Jasne. Zostanę z Lenką. Ciociu, naprawdę nie zapomnisz o nas, kiedy będziesz miała swoje dzieci?

– Nigdy, kochanie – uspokoiłam. – Nie jestem w ciąży – zapewniłam po raz drugi, ale Natasza nie wyglądała na przekonaną.

Pogłaskałam ją po głowie i poszliśmy z Jaśkiem na plażę. Gdy wróciliśmy, obie dziewczynki już smacznie spały.

Stałam w drzwiach ich pokoju i przyglądałam się rytmicznym oddechom, podświadomie myśląc o swoich własnych dzieciach.

– Spójrz, Jaś, jak pięknie śpią. – Wskazałam na sylwetki w łózkach.

– Ale my jeszcze nie! – Objął mnie w pasie.

Wiedziałałam, że ma ochotę na seks, a ja powinnam mu go dać za to, że jest taki dobry i wyrozumiały. Nie zaprotestował, gdy zdecydowałam, że zabierzemy dziewczynki nad morze, współodczuwał moje frustracje wywołane ciężowymi kłopotami. I cały czas byliśmy razem. Ale w mojej głowie dudnił tylko jeden temat: surogatka. I choćby nie wiadomo co musiałam go podjąć, odkładając

na bok wieczorny seks i wszelkie walory mojego męża.

– Poznałam panią Marię, która gotowa jest się podjąć donoszenia naszego dziecka – powiedziałam, gdy usiadł naprzeciwko.

Nie zareagował, więc przedstawiłam portfolio kandydatki i mocno ją zareklamowałam.

– Nie wiem, ile jej zaproponować. Inni dają od kilkudziesięciu do stu pięćdziesięciu tysięcy – dodałam, wstrzymując oddech. – Za dużo?

– Wiesz, że nas na to stać. Tylko czy jesteś zdecydowana na ten krok?

– Jasiek, ja chcę mieć dziecko. A ty się zgodziłeś.

Rozmowa wchodziła w kulminacyjną fazę, kiedy obudziła się Lenka. Pobiełam do niej i nie wracałam przez kilka dobrych minut. Miała zły sen i potrzebowała wsparcia.

Kiedy z powrotem usiadłam przy Jaśku na kanapie, wydawał się zdecydowany.

– Zasnęła? – zapytał.

Przytaknęłam.

– Olu, jeżeli nawet do tej pory myślałem, że zrezygnujesz z surogatki, to się myliłem. Dobrze. Będzie, jak chcesz. Porozmawiamy z tą kobietą i z prawnikiem, dojdziemy wspólnie do porozumienia. Donosi nasze dziecko i dostanie za to pieniądze. Dla mnie najważniejsze jest twoje szczęście.

– Jasiek, ty też musisz tego chcieć... – Spojrzałam prosząco.

– Oczywiście, że chcę. I zapłacę tyle, ile będzie trzeba.

Zachował się wspaniale, ale w jego oczach nie dostrzegłam pragnienia powiększenia się naszej rodziny. I nagle poczułam się bardzo samotna.

## Rozdział 14

### Maria

Dlaczego tak późno? Gdzie byłaś tak długo? – od progu usłyszałam wyrzuty. – Zamierzasz zamieszkać w robocie?

Zauważywszy jego zachmurzoną twarz, nie chciałam od razu podejmować kwestii ciąży. Miałam również na względzie obecność Kaliny. W naszym małym mieszkaniu nie było kąta, żeby spokojnie porozmawiać, więc postanowiłam zaprosić męża na pizzę do pobliskiego baru. Co prawda ja już jadłam, ale potężny chłop mógł bez problemu uporać się z całą.

– Kochanie, miałam ważną rozmowę, o której chcę ci opowiedzieć. Może zejdziemy do Carmen? Zjesz pizzę, bo pewnie jesteś głodny – zaproponowałam.

O dziwo, chętnie wyraził zgodę, zapewne licząc także na kufel piwa. Zamówiłam mu zatem lokalne z kija, a kiedy na stół wjechała chłopska z boczkiem, przystąpiłam do rzeczy.

– Rozmawiałam z panią Aleksandrą, kobietą, która wraz z mężem chce wynająć mnie na matkę zastępczą.

– Na co?

– Miałabym przyjąć zapłodnione jajeczko i donosić ciążę rodziców, którzy nie mogą mieć dzieci.

– Ty chyba zwariowałaś?!

– Niezupełnie. To jedyna możliwość zdobycia pieniędzy na operację Kaliny. Płacą kilkadziesiąt tysięcy złotych – poinformowałam, celowo przemilczawszy najwyższe kwoty za usługę, sięgające nawet stu pięćdziesięciu tysięcy. – Oni potrzebują mnie, a ja ich. Po sześciu poronieniach lekarze nie dają jej szans na donoszenie dziecka.

– Sam nie wiem... – Wizja zarobku chyba podziałała!, ucieszyłam się. – Ale co powiemy ludziom? Przecież nie będzie się czym chwalić.

Do tej chwili starałam się odsuwać myśli o ciąży, którą trudno ukryć. Ale mieszkałam w blokowisku, otoczona mrowiem sąsiadów, i mogłam się spodziewać reakcji i pytań wynikających z czystej ludzkiej ciekawości czy życzliwości. Oczywiście nie zakładałam, że komukolwiek ujawnię prawdę. Obawiałam się nietolerancji, a może i napiętnowania. Nie mieszkaliśmy w Ameryce.

Zebrałam myśli, by odpowiedzieć mężowi.

– Władek, ja również bardzo się boję. I gdyby nie głęboka potrzeba, nigdy nie zdecydowałabym się na taki krok. Ale to szansa dla naszej córki.

– A co jej powiesz?

– Myślę, że prawdę. To konieczne. Trudno, jakoś przeżyjemy i damy radę, prawda? – Spojrzałam Władkowi prosto w oczy.

Widać było, że bije się z myślami, ale przynajmniej nie oponował. A kiedy zapytał o personalia pani Oli, wiedziałam, że pierwsze lody zostały przełamane. Odetchnęłam.

– Jak ona się nazywa? Co to za ludzie? – usłyszałam.

– Ma na imię Aleksandra. Jest tłumaczką z lotewskiego, ma trzydzieści pięć lat i męża, który prowadzi firmę. Poleciała mi ją pani Milena, siostrzenica mojej pensjonariuszki, pani Gabrieli. Znamy się od kilku lat.

– A nazwisko?

Mąż zadał mi bobu. Przedstawialiśmy się sobie, ale byłam tak zaaferowana, że nie zapamiętałam nazwiska.

– Zaczekaj, zostawiła mi wizytówkę z numerem telefonu. Zerknę. – Sięgnęłam do torebki. – Boryk. Aleksandra Boryk – odczytałam z karteluszka.

– A mąż prowadzi firmę budowlaną?! – Władek niemal podskoczył na krześle.

W tym momencie olśniło i mnie. Czyżbyśmy myśleli o tym samym Boryku?

– Tak, chyba budowlaną – przyznałam, łącząc fakty.

To niemożliwe, że ona jest żoną byłego szefa Władka!, myślałam w popłochu. Mężczyzny, który zwolnił go z pracy kilka dni temu!

– Maryśka, jeśli szczęśliwym tatusiem, któremu masz urodzić dziecko, ma być ta kanalia, to ja ci zabraniam!

W jednej chwili z wyżyn radości spadłam w otchłań rozpaczy.

– Może ten Boryk ma brata? Albo po prostu nastąpiła zbieżność nazwisk? – szukałam rozwiązania.

– Jan Boryk nie ma brata – wycedził Władek. – Ma za to firmę budowlaną, wypasioną chatę i kupę forsy. To on. Wykluczone. Nie będziesz nosić jego bachora!

Owładnięty nienawiścią nie myślał trzeźwo, ale ja nie zamierzałam odpuścić. Zagrałam na innej strunie.

– Skoro ma tyle pieniędzy, to powinien się z nami podzielić – podsunęłam. – A może nawet przyjąć cię z powrotem? Będziesz potrzebował pracy, żeby właściwie zajmować się żoną w ciąży – zablefowałam.

Staralam się ukryć niesmak, jaki poczułam, wypowiadając tę kwestię. Niskie pobudki to nigdy nie była moja bajka, ale znałam swojego męża i przeczuwałam, że na niego mogą zadziałać.

Nie pomyliłam się. Rozparty na krześle Władek trawił, oczywiście oprócz pizzy, moje słowa. A ja bez nacisków, żeby go nie spłoszyć, czekałam na zmianę zdania.

– A wiesz, że to niegłupie? – powiedział wreszcie. – Niech płaci i przyjmie mnie z powrotem do roboty. Nie trzeba się obrażać na dojną krowę. To ile można z tego wyciągnąć?

Już miałam przypomnieć mu o celu, na który mamy przeznaczyć pieniądze, w razie gdyby zamierzał sprawić sobie nowy samochód, ale utrzymałam język za zębami. Metoda małych kroczków była w tym momencie najwłaściwsza. A kiedy pojawią się pieniądze, będę wiedzieć, jak je zatrzymać dla Kaliny, pomyślałam. Podałam niewygórowaną kwotę, która nie rozwiązywała zdrowotnych problemów, ale i tak pobudziła wyobraźnię Władka.

– Kilkadziesiąt tysięcy. To zawsze coś.

– Hm. Właściwie czemu nie? Ale pod warunkiem, że wracam na dźwig i Boryk daje mi podwyżkę! – Mój mąż piekł własną pieczeń.

– Dobrze, postaram się, żeby było, jak chcesz. A teraz wracajmy, bo jutro muszę być rano w pracy – odparłam po wygranej bitwie.

Kalinka jeszcze ślezczała nad książkami. Zaszłam do niej i wtuliłam się w jej długie ciemne włosy.

– Kocham cię, wiesz? – westchnęłam i przeprosiłam za całodzienną nieobecność.

– Ja ciebie też. Mamuś, wszystko w porządku?

– Jak najbardziej. A możesz uchylić rąbka tajemnicy, jeśli chodzi o tego Krzyśka? – Zaciekawiona uniosłam brwi.

– Jasne. Udziela się charytatywnie w organizacji, która pomaga niepełnosprawnym, i dostał mnie w pakiecie. Do jego zadań należy odprowadzanie i przyprowadzanie mnie ze szkoły.

– Czy tylko? – Pozwoliłam sobie na tajemniczy uśmiech.

– Oczywiście. A co miałaś na myśli? On ma dziewczynę, Klaudię. Jutro przyjdą po mnie oboje.

A miało być tak optymistycznie...

– Jeszcze tylko jutro wrócę później – powiedziałam. – A potem wraca Wiesia i będę chodzić tylko na swoje dyżury. W sobotę ugotuję coś smacznego i przejdziemy się na spacer nad rzekę – obiecałam, odsuwając marzenia o wyjeździe z córką do pięknego, wygodnego spa, na przykład nad morze, gdzie byłby basen, a uprzejmi kelnerzy podawaliby kolację. Chodziłybyśmy w białych szlafrokach frotté, ja popijałabym drinki, a ona pluskałaby się w wodzie. W tej wizji nie dostrzegałam Władka. Pewnie najchętniej zostałaby w domu i poszedł ze Staszkiem na piwo.

– Fajnie. Możemy pójść nad rzekę, chociaż... Teraz piszę opowiadanie na konkurs i jestem trochę zajęta. Mamuś, w maju jest wycieczka do Krakowa. Będziesz miała pieniądze? Bo jeśli nie, to ja nie muszę jechać – zastrzegła się Kalina.

– Oczywiście, że tak, kochanie. Do kiedy trzeba wpłacić?

– Dwieście pięćdziesiąt złotych do końca lutego. Nie zależy mi. – Wzrok mojego dziecka

zwiastował coś zupełnie innego.

– Poczekaj, zaraz przyniosę.

Pobiegłam do torebki, zadowolona, że właśnie wypłaciłam trochę gotówki. Co prawda na bieżące opłaty, ale nic to.

– Naprawdę możesz? – Kalina ważyła w rękach trzy banknoty.

– Oczywiście. Wpłać i baw się dobrze – zapewniłam ją, licząc na rekompensatę od pani Wiesi.

Przejrzałam wiadomości w komórce, szukając tej najbardziej oczekiwanej, od Aleksandry. Pożegnałyśmy się, mając w perspektywie rozmowy z naszymi mężami. Mój wydawał się przekonany, choć na trudnych zasadach, które jednak miałam nadzieję zrealizować. Czekałam na wieści z drugiej strony.

Esemes nadszedł sobotniego wieczoru.

„Jaś się zgodził i oboje jesteśmy zdecydowani. Z tego, co pisałaś, wy również. Kiedy się spotkamy, żeby omówić warunki?”

„Czy można u Was? Nie chciałabym na razie informować córki”, odpisałam.

„Oczywiście. Proponuję w najbliższy piątek na ósmą. Zapraszamy na kolację”.

Władek, jak zawsze ostatnio, miał wolny wieczór, więc potwierdziłam termin. Od tego spotkania zależało, czy zostanę zastępczą matką dziecka Boryków.

## Rozdział 15

### Aleksandra

Lutowy weekend nad morzem okazał się bardzo udany. Wróciliśmy wysmagani wiatrem, z torebką pełną bursztynów. Dziewczynki skrupulatnie liczyły co większe okazy, z dumą pokazując je rodzicom.

– Fantastyczne! I jak dużo! – Milena chwaliła córki, zdziwiona, że w lutym trafiliśmy na taką obfitość żółtobrazowych klejnotów.

– Mieliśmy dobry wiatr – wyjaśniłam, powtarzając za miejscowym zbieraczem bursztynów, którego spotkaliśmy na plaży. – Otóż, moja droga, podobno skandynawski wiatr nie wystarcza. Powinno wiać z północnego wchodu, od obwodu kaliningradzkiego, bo tylko wówczas bursztyn ma szansę wypłynąć. Oczywiście jeśli wcześniej wiało z południa.

– No proszę, jaka rozległa wiedza! Może mi jeszcze powiesz, że przed wyjazdem do Krynicy sprawdzałaś mapy pogody? – Milena ze śmiechem tuliła córki.

– A jakże. Przecież nie mogliśmy wrócić z pustymi rękami – wtórowałam jej żartem.

Widać było, że dziewczynki rozpięta energia i radość z pobytu. Lence nie zamykała się buzia, Natasza, choć nieco bardziej wstrzemięźliwa w okazywaniu uczuć, nie odstępowała mnie na krok.

– A ty, kochanie, co robiłaś? – Milenie udało się w końcu przekrzyczeć młodszą córkę i przenieść zainteresowanie na starszą.

– Pływałam w basenie. Chodziłyśmy w białych szlafrokach, a na śniadanie piłam sok wyciskany z pomarańczy. – Zapamiętała najważniejsze dla niej wydarzenia. – Ratownik mówił, że jeśli jeszcze trochę potrenuję, dostanę się do kadry młodzików.

– A ja pływałam z cicią w dmuchanej łódce. – Lena nie pozostała dłużna siostrze.

– Nie ma się czym chwalić. – Natasza spojrzała na nią z góry i z niesmakiem wydeła usta. – Ciociu, przyjdiesz kiedyś obejrzeć mój trening? – usłyszałam prośbę.

– Oczywiście. I sama chętnie popływam w drugim basenie – odparłam.

– Przyjdź też do mojego przedszkola na rytmikę. Pani Edytka gra na pianinie, a my tańczymy. Przyjdiesz? – nagabywała Lena.

Musiałam przyznać, że jest bardzo rezolutna i potrafi walczyć o swoje. Lubiałam je obie, ale lepiej dogadywałam się z Nataszą. Odpowiadał mi jej lekki dystans do świata, wrażliwa dusza, wnikliwe spostrzeżenia, dojrzałość, mimo dopiero co ukończonych jedenastu lat. Leną trzeba było się wciąż opiekować, Nataszę traktowałam jak partnerkę do rozmowy.

Czy i ja będę mieć kiedyś córkę, z którą pójdę na basen?, rozmyślałam wśród rodzinnego zgiełku w domu Adamczyków. A jednocześnie nie mogłam się doczekać, by zostać z Mileną sam na sam i przekazać jej dobre wieści po rozmowie z panią Marią.

A może lepiej poczekać do spotkania z Leśniewskimi i podzielić się ostatecznym rozstrzygnięciem?

Moje wątpliwości rozwiązała przyjaciółka, która odesłała dziewczynki do ich pokoju, a Kacpra obarczyła Leonem.

– Kochanie, wychodzimy z Olą na chwilę – oznajmiła. – Wykąpiesz małego? A ty chodź, pokażę ci łazienkę. Jeszcze nie skończona, ale wanna i prysznic działają. *Arrivederci*, misko! To wszystko dzięki wam – piała z zachwytem, choć miałam świadomość, że rozczuła się nad niewielkim pomieszczeniem, które dopiero w ciągu ostatnich dwóch dni nabrało rumieńców. – Co prawda Kacpra wczoraj nie było, ale dałam radę z fachowcami. Z jednym dzieckiem to żaden problem. Jeszcze raz serdecznie wam dziękuję za wspaniały weekend, który zafundowaliście małym.

– Wiesz, jak je lubimy.

– Wiem, wiem. Czy powinnam być zazdrosna? – Zerknęła na mnie z szelmowskim uśmiechem.

– Bo Natka najchętniej by się do ciebie przeprowadziła.

Po chwili siedziałyśmy już w pobliskiej kawiarence i sączyłyśmy kawę.

– A teraz mów, jak ci poszła rozmowa z panią Marią, bo przez telefon byłaś bardzo tajemnicza.

– Milena znaczącym gestem zasznurowała usta i oddała mi głos.

Rzeczywiście, nieustanne towarzystwo Jaśka i dziewczynek sprawiało, że zbywałam przyjaciółkę lakonicznym słowem. Wiedziała jedynie, że Maria potwierdziła gotowość. O swojej ostatniej rozmowie z mężem jeszcze jej nie wspomniałam.

– Miła kobieta, i przynajmniej na pierwszy rzut oka wzbudza zaufanie – zaczęłam. – Jest inteligentna, dużo rozmawialiśmy o literaturze, zainteresowaniach. Skromna, sprawia wrażenie, że ma jakieś kompleksy. Jest ciepła, z miłością mówiła o córce, rzadziej o mężu. W pewnym momencie poczułam z nią niewidzialną więź. Zresztą nie wiem. Może po prostu bardzo mi zależy, żeby widzieć panią Marię w jasnych barwach? W końcu ma urodzić nasze dziecko.

– Są z mężem zdecydowani?

– Chyba tak. Umówiliśmy się na spotkanie. Jaś też podjął decyzję, chociaż... – zawałam się.

Milena nie nalegała. Zamilkła, ale nie spuszczała ze mnie wzroku.

– No dobrze, skoro już zaczęłam... – nawiązałam do niedokończonego zdania. – Wyraził się, że zapłaci za surogatkę, jeśli ma mi to dać szczęście.

– Każda by chciała mieć takiego męża – pochwaliła Milena.

– Jasne, ale chodzi o niuanse. Chociaż właściwie muszę powiedzieć inaczej. Chodzi o coś istotniejszego. Chyba oboje powinniśmy pragnąć dziecka jednakowo, tymczasem sądzę, że zmęczony wieloletnimi zmaganiem Jaś gotów jest zapłacić, żeby pozbyć się problemu.

– Kochana, teraz zapłaci, a później w domu pojawi się wasz maluszek i postawicie grubą kreskę na tym, co było. Bo ten mały człowiek wywróci wasze życie do góry nogami. Jaś będzie najlepszym ojcem na świecie – powiedziała z przekonaniem Milena. – Że o tobie nie wspomnę. Najwyżej Natasza będzie trochę zazdrosna, bo jej ukochana ciocia skoncentruje swoją uwagę na kimś innym – roześmiała się szczerze, a mnie na wspomnienie ulubienicy mocniej zabiło serce.

Skoro potrafię kochać cudze dziecko, swojemu oddam wszystko, pomyślałam.

– To kiedy się spotykacie? – spytała Milena przy pożegnaniu.

– W najbliższy piątek wieczorem. Zaprosiłam ich do siebie na kolację. Dam ci znać.

Dwa uniesione kciuki świadczyły o tym, że przyjaciółka życzy mi pomyślnych wiatrów.

Potrzebowałam spokoju i wyciszenia.

Od poniedziałku przez cały tydzień Jaś chodził na budowę rano i wracał wieczorem, zostawiając mi pusty dom. Lubiłam momenty, kiedy po jego wyjściu sprzątałam po śniadaniu i parzyłam sobie kolejną kawę. A teraz dodatkowo sprzyjała mi zimowa aura. Ośnieżone gałęzie daglezi zaglądały przez okno, biały dywan na trawniku pokryty był śladami ptasich łapek. Nasz dom leżał w niewielkiej odległości od ulicy, tak że mogłam doświadczać ciszy, nie tracąc kontaktu z odgłosami miejskiego życia. Od czasu do czasu dochodziło mnie szuranie łopaty Artura zgarniającego śnieg przed posesją. A w domu miałam miły smooth jazz albo równie pożądane dźwięki muzyki ulubionej stacji radiowej. Na tyle ciche, by nie słyszeć treści reklam, nachalnych i niepożądanych gości.

Uruchomiłam ekspres, by tym razem zrobić latte na zebranie sił do tłumaczenia kolejnych stron książki Krast-sa. Ostatnio ponowił zaproszenie na kwietniowe targi, a ja potwierdziłam je z dużym entuzjazmem. Przecież z pewnością nie będę w ciąży i żadna podróż nie zaszkodzi dziecku, myślałam. Poczynałam się jednak do podciągnięcia pracy, chociaż autor miał podpisywać swoje poprzednie, również przeze mnie przełożone dzieło.

Myśl, żeby wyjechać na Łotwę, nastawiała mnie optymistycznie do życia. Uwielbiałam wycieczki z Jaśkiem nad Morze Śródziemne, gdzie penetrowaliśmy miasta, plaże i restauracje szczęśliwych południowców, którzy dopieszczali podniebienia neapolitańską pizzą, grecką sałatką czy tokańską bruschettą, ale moje wyprawy nad Zatokę Ryską również należały do udanych. Przeważnie samotne, najpierw, jeszcze w czasie studiów, na wymianę studencką w ramach Erasmusa, potem z uwagi na zobowiązania zawodowe.

Pamiętałam o przystojnym Janisie, łotewskim studencie, obiekcie moich licealnych wzruszeń, dzięki któremu wybrałam właśnie bałtystkę. A nawet odszukałam go w trakcie pierwszej wizyty w Rydze po trzecim roku, w momencie, kiedy poznałam już język na poziomie komunikatywnym i mogłam się z nim porozumieć. Spełniło się moje wielkie marzenie i ogarnęło szczęście, że mnie poznał.



Kto wie, czy nie byłibyśmy razem, gdyby nie okoliczności, o których wolałam nie pamiętać.

Kiedy po latach bywałam w Rydze i przemierzałam ulice nad Dźwiną, siadywałam w staromiejskich knajpkach przy bałtyckich śledziach i mimo woli wypatrywałam Janisa. Choć od lat byłam szczęśliwą żoną Jaśka, młodzieńcza fascynacja, która zawiodła mnie na Łotwę i związała z nią moje losy, nieraz dręczyła umysł.

Przysiadłam przy komputerze i skupiłam się na tłumaczeniu. Szło mi jak z płatka i zapewne zrobiłabym dużo więcej, gdyby nie dzwonek do drzwi, który przerwał mi pracę. Z niechęcią oderwałam się od biurka, sądząc, że to pan Artur chce się dostać do garażu po kolejną miotłę czy skrobak.

Ku swojemu zdziwieniu za drzwiami dostrzegłam mamę. W tym momencie nic gorszego nie mogło mnie spotkać. Nie musiałam dużo myśleć, by zorientować się, w jakim celu przychodzi. Pewnie chce pogadać o surogatce, westchnęłam w duchu. A ja niekoniecznie.

– Wejdz, proszę – zaprosiłam ją gestem.

– Pracujesz?

– Trochę – odparłam, starając się ukryć niechęć w głosie.

– Byłam w pobliżu i postanowiłam wpaść – usłyszałam słowa, które każdy by wymyślił w takiej sytuacji. – Jeśli ci przeszkadzam...

Oczywiście musiałam zaprzeczyć. Matka nigdy nie przeszkadza, nawet jeśli tak jest.

– Wejdz, mamus. Tłumaczę, ale chętnie zrobię sobie przerwę. – Wskazałam na przytulne wnętrze przedpokoju i odebrałam od niej płaszcz. – Kawa, herbata? Ciocia Waleria wyjechała? – zapytałam dla porządku, pamiętając, że ostatnio spotkałyśmy się we trzy.

– Wyjechała. A ja nie zajmę ci dużo czasu, Olu. Po pros-tu chciałabym wiedzieć, co postanowiliście w sprawie.

W głębi duszy się zdenerwowałam. Nawet nie potrafi wypowiedzieć słowa „surogatka”! Nie ułatwiałam jej zadania.

– W jakiej sprawie? – udałam głupią.

– No, wiesz, o czym mówię.

– Tak?

– Chodzi o tę... surogatkę. Naprawdę zamierzasz zatrudnić kobietę, która urodzi ci dziecko?

– Urodzi nam dziecko, mamó – podkreśliłam, zanim woda na kawę zdążyła się zagotować. – Tak, znalazłam kobietę, która to robi.

Mama pokręciła się w fotelu i przetarła ręką czoło.

– Kochanie, porozumiałam się z Kazimierzem – wspomniała prawnika, a jednocześnie przyjaciela taty – i on przestrzega przed takim procederem. Ta kobieta może ci nie oddać dziecka, jeśli odezwie się w niej instynkt macierzyński. A poza tym wiesz, że ono przyjdzie na świat dzięki in vitro?

– Mamó, wszystko wiem.

– I co?

Widziałam, z jakim trudem artykułuje słowa.

– Chcę zostać matką. Zamierzam mieć taką Nataszę albo Lenę czy Leona i prawdziwą rodzinę. Dziwi cię to? Proszę, nie próbuj mnie od tego odwozić, bo to i tak nic nie da.

– Kochanie, czasami popełnione błędy mszczą się przez całe życie...

– Masz mi coś do powiedzenia na ten temat? – Przypomniałam sobie, że miałam zapytać mamę o dziecko, o którym wspominał ojciec w podsłuchanej przeze mnie wiele lat temu rozmowie.

– Chodzi mi o to, że... Może jednak spróbujecie raz jeszcze? Co komu pisane, to będzie. Kochanie, może nie warto uciekać się do tak dramatycznych kroków jak matka zastępcza? Nie każdy to toleruje...

Nic mnie nie obchodziło, kto to toleruje, a kto nie. Może w tym momencie powinnam drążyć i dopytać o dziecko moich rodziców, ale najważniejsze było moje dziecko, o którym myślałam bezustannie. Dlatego odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Mamó, zdecydowaliśmy z Jaśkiem pójść taką drogą, a ty nie jesteś w stanie nas zniechęcić. Nie wiem, co się przydarzyło tobie i tacie, może kiedyś mi to wyjaśnisz. Poznałam wspaniałą kobietę, która urodzi nasze dziecko, a twojego wnuka. Życz mi szczęścia.

## Rozdział 16

### Maria

Chodziłam podenerwowana przez cały weekend. Pogoda nie dopisała, więc i spacer nad rzeką z Kaliną nie bardzo się udał. Przechodził front, temperatura znacznie wzrosła, sprawiając, że do padającego śniegu dołączył deszcz. Zawróciłam wózek i szybkim krokiem podążyłam z córką do domu, ale i tak dobrnęłyśmy tam w przemokniętych okryciach.

Na szczęście Władek pojechał do brata na wieś, więc nie musiałam od razu gonić do kuchni i przygotowywać obiadu. Marcin wraz z żoną Marzeną przejęli położone kilkadziesiąt kilometrów od nas gospodarstwo po moich teściach. Niestety, nie wiodło się im najlepiej. Agroturystyka wymagała nakładów i przedsiębiorczości, której brakowało obojgu. O umiejętności prowadzenia wysokotowarowego gospodarstwa nie wspominając. Zarabiali na własne potrzeby, ale spłata pozostałych braci, której nieraz domagał się Władek, była poza ich zasięgiem. Drugi brat, a jednocześnie mój kolega z roku Wicek, już dawno wyprowadził się na drugi koniec Polski i postawił kreskę na rodzinnych rozliczeniach. Z żoną Joanną wiedli życie licealnych nauczycieli.

Kiedy dzisiejszego ranka Władek wspomniał o wizycie u Marcina, od razu domyśliłam się, co skłoniło go do wyjazdu.

– Oni nie mają żadnych pieniędzy – rzuciłam w przestrzeń, wkładając do opiekacza tostowe pieczywo.

– Nie idę po pożyczkę, tylko po swoje. W końcu powinni mnie spłacić, więc niech się postarają. Nie będę czekać do usranej śmierci! – burknął.

– Nie liczyłabym na żadne szybkie rozwiązania. Mają sprzedać swój skromny domek, podupadające budynki gospodarcze i pozbawić się dachu nad głową? Bo ty tego chcesz? Władek, to nierealny plan.

– A mówiłem, żeby nie wyzbywać się ziemi, kiedy jeszcze była tania! – zagrzmiał. – To zachciało im się kupić jakiś durny traktor i wydać wszystko!

– Przypominam ci, że wtedy jeszcze żyli rodzice, a oni zrobili to w porozumieniu z tatą. Też bym wolała, żeby byli zamożni i mogli nam pożyczyć pieniądze, ale nic nie poradzisz. Wicek również nie śmierdzi groszem na nauczycielskiej pensji – dodałam. – Jedź, ale nie rób awantur.

Z miny męża wywnioskowałam, że nie przekonały go moje argumenty. Opuściłam, bo w końcu była to jego rodzina i mógł postępować tak, jak uważał za stosowne. W głębi duszy nawet odczułam radość, że dzień spędzimy same z Kaliną i będę mogła poświęcić jej trochę czasu.

Niestety, spacer nie wypalił.

– Co za plucha! Pomogę ci zdjąć kurtkę. – Obie z trudem manewrowałyśmy w przedpokoju, pozbywając się zimowych okryć. – Wszystko nadaje się do suszenia. – Obwieszałam kaloryfery ciuchami. – Przygotuję gorącą herbatę. A może podać już obiad? Tylko podgrzeję bitki i ugotuję ziemniaki.

Czekałam na decyzję, ale Kalina jedynie przyglądała mi się przenikliwie.

– Stało się coś? – zapytałam zaniepokojona brakiem reakcji.

– To ty mi powiedz.

– Nie rozumiem.

Rumieńce po czubki uszu zdradziły moją nieszczerłość. Czyżby Władek się sypnął i wspomniał o surogatce?

– Mamo, słyszałam kilka twoich rozmów telefonicznych z doktorem Kozubem i czekałam na wiadomości. Ale milczysz, więc pytam. Czy dzieje się coś złego?

– Kochanie, co mogłoby się dziać?

– Ostatnio jesteś podenerwowana i jakaś nieswoja. Mamuś, czy ty jesteś chora na to, co babcia?  
– wyrzuciła z siebie ze strachem w oczach.

Z prędkością światła połączyłam fakty. Rzeczywiście, w pierwszej fazie choroby mamy, w momencie, kiedy zaczynała mieć kłopoty z chodzeniem, zasięgałam opinii doktora Kozuba. Stąd znajomość z późniejszym lekarzem Kaliny. Moja córka snuła domysły nie w tę stronę, co trzeba, ale jej troska o mnie była miła.

– Jestem całkowicie zdrowa, córuś – odetchnęłam. – Kontaktowałam się z Kozubem w zupełnie innej sprawie – dodałam, nabierając powietrza na dalszą część zwierzeń.

Czułam, że nadszedł czas, by poinformować Kalinę o możliwości operacji w Szwajcarii i związanych z nią kosztach. Miałam nadzieję, że nie będzie mieć mi za złe ukrywania prawdy.

– Kochanie, rzeczywiście ostatnio rozmawiałam z doktorem Kozubem. – Starłam się starannie dobierać słowa, by nie wzbudzić zbyt dużych nadziei. – Poinformował mnie, że w Szwajcarii przeprowadzono kilka nowatorskich operacji, które przywróciły władzę w nogach osobom z urazami podobnymi do twoich. Ale to dopiero początki. Na ostateczny efekt trzeba będzie jeszcze poczekać.

– To znaczy, że jest szansa, że będę chodzić?!

– Na pewno, córuś. Pytanie brzmi: kiedy. Ale nie należy tracić nadziei. Zrobię wszystko, żeby zgromadzić pieniądze na operację.

Kalina była już dużą panną i nie musiałam jej tłumaczyć, jak drogie jest leczenie w zagranicznym ośrodku. Jej początkowy entuzjazm stracił na sile.

– Możesz mi powiedzieć, ile potrzeba? – spytała.

– Dużo. Ale mam plan i zapoznam cię z nim, kiedy pozalutwiam formalności. A teraz, proszę, nie pytaj.

Nie byłam przygotowana na wyjawienie szczegółów. A przynajmniej nie przed spotkaniem z Borykami.

– Ale dlaczego? Chcecie wziąć kredyt? – drążyła.

– Nie. I nie zadawaj więcej pytań. Obiecuję, że wszystkiego się dowiesz w swoim czasie.

Odwróciła wózek i zniecierpliwiona wyjechała z pokoju.

– Może niepotrzebnie dałam jej nadzieję? – przekazałam swoje wątpliwości Honoracie. – Miałas rację, zgromadzenie takiej furi pieniędzy jest bardzo trudne.

Przyjaciółka zaproponowała pożyczkę.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, ale znajoma podsunęła mi pewien pomysł na zarobienie sporej kwoty – podziękowałam. – Być może skorzystam.

– Chcesz napaść na bank? – Honorata niemal się roześmiała. – Powiedz coś więcej.

Ją również zbyłam. W głębi duszy bałam się jej reakcji. Sama nie wiedziałam, jak zareagowałabym na taką rewelację. Nie mogłam jednak tracić z oczu głównego celu, jakim było zdrowie mojej córki.

– Spotkajmy się w przyszłym tygodniu – zaproponowałam, żałując telefonu do przyjaciółki.

Nie potrafiłam być wobec niej szczerą, co utrudniało rozmowę. Zakończyłyśmy ją po krótkiej wymianie zdań na temat jej, Mariana i dzieciaków.

Władek wrócił w niedzielne popołudnie podenerwowany i zmęczony. Długie Polaków rozmowy z bratem przy butelce nie przyniosły, nie licząc kaca, żadnych rezultatów. Położył się spać, a kiedy w poniedziałek rano wychodziłam do pracy, nawet nie mrugnął powieką.

Zaczęłam poważnie obawiać się rozmowy z Borykami. Mój mąż z dnia na dzień pograżał się w bezrobotności i wykazywał postawę pełną roszczeń w stosunku do byłego szefa.

Nie mając z kim porozmawiać o czekającym mnie spotkaniu, myślałam o nim w samotności, rozważając różnorakie zgryzoty. Jak przekonać tych ludzi, że nie jesteśmy rodziną patologiczną, a mąż ma jedynie chwilowe problemy przez utratę pracy? Jak namówić Jana Boryka, by przyjął Władka z powrotem, jeśli mój mąż pojawi się na spotkaniu podchmielony? Jak zapewnić rodziców, że ich dziecko będzie bezpieczne i spokojne w moim ciele i domu?

Nawet szefowa zauważyła moje rozdrażnienie i spytała o powód.

– Marysiu, jeżeli masz problemy, to zawsze możesz ze mną porozmawiać.

Gdyby to było takie proste!, pomyślałam i przeprosiłam za roztargnienie. Musiałam wziąć się w garść i pilnować swoich obowiązków. Zwłaszcza że wizja piątkowego spotkania u Boryków

całkowicie rozpraszała moją uwagę, a im bardziej zbliżał się jej termin, tym bardziej traciłam grunt pod nogami.

W czwartek wieczorem poprosiłam Władka, żeby nie pił.

– Kochanie, pamiętasz, że jesteśmy z nimi umówieni jutro na ósmą?

– Jasne. O niczym innym ostatnio nie mówisz – odburknął.

– To może dzisiaj już sobie odpuścisz?

– Zajmij się sobą. Nie jestem dzieckiem, które ciągle trzeba strofować.

– Przecież mamy z nimi coś załatwić. Jak zamierzasz się zaprezentować? Sądzisz, że Boryk przyjmie cię z otwartymi rękami, gdy zobaczy cię w takim stanie? Zwolnił cię za pijaństwo.

– Martw się, żebyś to ty mu się spodobała. A mnie ma przywrócić do roboty, i tyle.

I jak go miałam ze sobą zabrać?

Nie lepiej wyglądał w piątkowe popołudnie. Ogarnął mnie tak niewyobrażalny wstyd za męża, że postanowiłam zostawić go w domu. Nawet gdyby konsekwencją tej decyzji były jego humory.

W przestronnym salonie Boryków czekał luksusowo przygotowany stół z białą stylową zastawą, a z kuchni dobiegał aromat ryby i owoców morza. Kolorowe sałatki dopełniały całości. Poczułam ogromną treść i lęk, jak poradzę sobie z wytłumaczeniem nieobecności Władka, ale gospodarze przyjęli mnie ciepło i nie zadawali niewygodnych pytań. Nie miałam ochoty kłamać, więc poprzestałam na wymianie uprzejmości z panem Borykiem i zajęłam miejsce przy stole.

Odmówiłam, kiedy gospodarz zaproponował mi kieliszek wina. Tak naprawdę miałam ochotę zwać z tego pięknego wnętrza, do którego nie pasowałam. Uciec od pytań, których się spodziewałam, zapłakać nad przedsięwzięciem, które nie mogło się udać.

Nagle poczułam, że powinnam wytłumaczyć, dlaczego przyszłam sama.

– Przepraszam za męża – bąknęłam. – Niedawno zwolnił go pan z pracy i... no właśnie.

Spodziewałam się kurtuazyjnej gadki, krótkiej kolacji i szybkiego pożegnania. Żona faceta, którego przyłapano na nadużywaniu alkoholu, z pewnością była podejrzana. Ale Borykowie chyba jednak postanowili mnie sprawdzić i nie przepędzili na cztery wiatry, a wręcz zachęcili do rozmowy. Okazało się, że Aleksandra ma męża na poziomie.

– Pani Mario, słyszałem od żony dużo dobrego o pani. Myślę, że poradzimy sobie w nieco okrojonym gronie. – Uśmiechnął się do mnie, proponując paellę, danie znane mi wyłącznie z książek.

Pachniało wspaniale i smakowało równie dobrze. Tak, że na moment zapomniałam, po co tu przyszłam, ale pan Jan wkrótce mi przypomniał.

– Po pierwsze bardzo dziękujemy, że zgodziła się pani rozważyć naszą propozycję. Dla nas to również trudna decyzja. I, hm, kontrowersyjna – dodał. – Rozumiem, że pani także wnikliwie ją przemyślała?

– Jak najbardziej.

– Kontaktowałem się z prawnikiem. Zdaję sobie sprawę zarówno z zagrożeń, jak i z naszych zobowiązań wobec matki zastępczej.

W oczach Aleksandry dostrzegłam popłoch, ale nie przerywała mężowi.

– Będziemy się panią opiekować do porodu, zapewnimy pani opiekę lekarską, zapłacimy za stosowne badania. Jeżeli będzie pani potrzebować, to również wesprzemy pewną kwotą na codzienne życie.

– Nie trzeba – zaproponowałam, choć był to doskonały moment, by poprosić o przywrócenie Władka do pracy.

– Oboje wiemy, że to konieczne – przerwał. – Właśnie dowiedziałem się, że pan Władek jest pani mężem – spojrzał na żonę z wyraźnym wyrzutem – i zdecydowałem się przyjąć go z powrotem, ale... – Pod spojrzeniem żony zmiękł i dokończył: – Mam nadzieję, że nie będę żałować.

Pragnęłam go zapewnić o nagłym przeobrażeniu Władka, ale nie potrafiłam. Coś mi mówiło, że najwyższy czas opuścić dom ludzi, którzy zapewne zastanawiali się, czy żona patologicznego pracownika firmy Jana Boryka to właściwy materiał na matkę ich dziecka.

– Przepraszam, ale chyba powinnam się już pożegnać. – Wstałam z krzesła, gotowa zakończyć wieczór.

– Mario, zaczekaj – usłyszałam Aleksandrę. – Czy możemy wrócić do rozmowy? – Dostrzegłam przeproszające spojrzenie.

– Nie musi pan go przywracać do pracy – powiedziałam. – Nie po to przyszłam. Rozumiem państwa obiekcje, więc na mnie czas.

Mimo to udało się im powstrzymać mnie przed wyjściem. Zawstydzona wróciłam na miejsce przy stole. A kiedy zaproponowali mi sto dwadzieścia tysięcy, prawie zemdlałam.

– Zatem widzimy się u prawnika? – pożegnał się ze mną za jakiś czas mąż Aleksandry.

Jego pewny uścisk przypieczętował transakcję. Teraz martwiło mnie wyłącznie to, czy będę w stanie urodzić im zdrowe i piękne dziecko i tym samym zarobić na operację córki.

Władek miał się jutro zgłosić do kadr.

## Rozdział 17

### Aleksandra

Jesteś pewna, że dobrze zrobiliśmy?

Po wyjściu Marii mój mąż zamaszystym ruchem zgarnął ze stołu talerze.

Zazwyczaj po pożegnaniu gości siadywaliśmy razem na kanapie i kończyliśmy miły wieczór przy lampce wina, kontemplując przebieg spotkania. Tym razem jednak Jaś był wyraźnie podenerwowany, co próbował zatuszować nadmierną aktywnością.

– Może usiądziesz na chwilę i porozmawiamy? – zagadałam z nadzieją.

Mimo wieczornej pory z kuchni dobiegł mnie znajomy bulgot ekspresu.

– Zaraz przyniosę kawę! – usłyszałam.

Może żałuje, że zaproponował Marii zbyt dużą kwotę?, spłoszyłam się.

– No więc jak? Jesteś pewna? – ponowił pytanie, kiedy zajął miejsce w fotelu naprzeciwko mnie.

– O co pytasz? O ciążę, którą będzie nosić obca kobieta, czy o Marię?

– O jedno i drugie, Aleksandro.

Przestraszyłam się tej formy swojego imienia w jego ustach. Używał jej wyjątkowo rzadko. Przeważnie kiedy miał do mnie o coś pretensje.

– Jaś, przecież decyzję podjęliśmy już wcześniej – powiedziałam spokojnie. – A dzisiaj sam zaproponowałeś jej sto dwadzieścia tysięcy. I nagle dopadły cię wątpliwości? Nie spodobała ci się?

– Nie w tym rzecz. Ona wydaje się w porządku, chociaż ten jej mąż bardzo mi podpadł. Co będzie, jeśli w pracy zaczniesz zbyt dużo mówić? Nie chciałbym, żeby pracownicy wzięli mnie na języki.

– Mogłeś poprosić Irka, żeby go zatrudnił... – wspomniałam kolegę, właściciela innej firmy budowlanej.

– U siebie będę miał nad nim przynajmniej jakąś kontrolę – odparł. – A nawiasem mówiąc, mogłaś powiedzieć mi wcześniej, że Maria to żona mojego byłego dźwigowego – fuknął. – Chyba że uknułyście spisek?

– Nie! Nie miałam o tym pojęcia! – sprzeciwiłam się gwałtownie. – Zresztą w momencie, kiedy rozmawialiśmy z Marią, ona również nie była świadoma, kto go zwolnił z pracy.

– A jeśli celowo nie ujawniała prawdy?

– Dlaczego jesteś taki nieufny? W pewnym momencie chciała przecież przerwać rozmowę i wyjść.

– Olu, od lat pracuję z ludźmi i wiem, co potrafią wyczyniać, żeby osiągnąć cel.

Wytknął mi samotną pracę przy komputerze i brak znajomości ludzkiej natury. Może nawet miał trochę racji. Do tej pory, jeśli nie liczyć traumatycznych przeżyć związanych z poronieniami, życie obchodziło się ze mną łagodnie, stawiając na mojej drodze najpierw troskliwych rodziców, a potem opiekuńczego męża.

– Kochanie, wciąż nie podpisaliśmy jeszcze umowy – powiedziałam. – Jeżeli masz wątpliwości, to możemy się wycofać. Chociaż bardzo bym tego nie chciała.

Jaś wstał i zaczął nerwowo przemierzać pokój.

– Tak właśnie wygląda rozmowa z tobą! – wybuchnął. – Robisz tę swoją zbolałą minę i wymuszasz na mnie każdą decyzję! Przecież wiem, że surogatki nie rosną na drzewach i znalezienie drugiej granicy z cudem! Właśnie dlatego nie przepędziłem pani Marii na cztery wiatry, chociaż z uwagi na jej męża powinienem!

– Czy to oznacza, że chcesz się wycofać? – spytałam zaniepokojona.

– Olu, zanim jej zapłacę, rozmawiam z Kazimierzem i zabezpieczę w umowie nasze prawa. A tego dźwigowego będę mieć na oku. Nie mogę pozwolić, żeby nasze dziecko rozwijało się w patologicznej rodzinie – zakończył i nalał sobie kieliszek koniaku.

Z pewnością był to szlachetniejszy trunek niż piwko przed pracą.

Następnego dnia od świtu wypatrywałam przedpołudnia, by uspokoić nerwy w towarzystwie Mileny. Gdy Leon uciął sobie południową drzemkę w wózku na tarasie, ja zdałam przyjaciółce relację ze spotkania.

– Janek wciąż ma wątpliwości. Istnieje wiele niewiadomych, bo sytuacja jest nietypowa. Ale Maria to wspaniały wybór i nie chciałabym jej stracić... – Prosiłam wzrokiem o wsparcie.

Moja przyjaciółka znalazła sensowne rozwiązanie.

– Prawnik wam pomoże, a pani Maria robi, co do niej należy, bo jest porządną kobietą i bardzo potrzebuje pieniędzy. Uważam, że dobraliście się jak w korcu maku, Olu.

Bardzo liczyłam na wujka Kazimierza, jak od lat nazywałam najbliższego przyjaciela taty, dlatego szłam do niego w towarzystwie męża z dużym zastrzykiem nadziei.

Przyjął nas w swojej dostojnej staroświeckiej kancelarii, która pamiętała jeszcze praktykę jego ojca, mecenasa Juliana Alerta. Nie próbował kryć, że w tej sprawie była u niego moja mama.

– Odwiedziła mnie Jadzia, ponieważ chciała się dowiedzieć, jak wygląda sprawa matki zastępczej w naszym prawodawstwie. Rozmawialiśmy o uwarunkowaniach prawnych, nie o was. Cała nasza rozmowa zostanie między nami – zapewnił, w razie gdybyśmy powzięli wątpliwość. – A teraz, kochani, może macie ochotę na szklankę wody?

Miałam zaschnięte gardło, więc wypłam dwie. Jaś był spokojniejszy. Do rozmowy podszedł bardziej racjonalnie, a nawet się do niej przygotował.

– Panie Kazimierzu, na wstępie proszę powiedzieć, czym nam grozi skorzystanie z usług matki zastępczej? – zaczął.

Dostrzegłam lekki uśmiech w kątku ust mecenasa.

– Janku, z pewnością nie więzieniem. Ale jest kilka niebezpieczeństw.

Cała zamieniłam się w słuch.

– Na szczęście dla was wynajęcie matki zastępczej nie jest w Polsce karane. Ale dziecko, które będzie nosić surogatka, będzie formalnie dzieckiem jej i ojca, czyli w tym przypadku Jana. Przykro mi. – Spojrzał na mnie współczująco. – Jeżeli ta osoba – wykazał się delikatnością i nie nazwał Marii matką – po porodzie nie zechce go oddać, będzie mieć do tego pełne prawo. A ty – zwrócił się do Jaśka – obowiązek alimentacyjny. Oczywiście możemy, a nawet z wielu względów musimy doprowadzić do podpisania umowy z matką zastępczą, ale tak naprawdę, poza aspektem psychologicznym, nie będzie ona mieć większego znaczenia. Nie uda się również, w razie niefortunnego obrotu sprawy, odzyskać pieniędzy, które zapłacicie tej pani. Musicie zdecydować, czy podejmiecie ryzyko utraty i dziecka, i pieniędzy.

Nie powiedział nic, czego wcześniej nie wiedziałam, a jednak w ustach dobrego adwokata takie słowa zabrzmiały złowieszczo.

Janek spojrzał na mnie znacząco, sprawdzając, jakie wrażenie na mnie wywarły. Jeżeli jednak sądził, że mnie zniechęci, to trafił kulą w płot. Byłam zdeterminowana, by doprowadzić sprawę do końca.

– Wujku, przygotujesz dla nas umowę? – zabrałam głos, spoglądając na Jaśka.

Znalazłam w jego oczach chłód i zniechęcenie, lecz jednocześnie pełne rezygnacji przyzwolenie na ten ostateczny akt, który miał powieść nas w nieznaną i pełną zasadzek przyszłość na drodze do posiadania dziecka.

– Oczywiście – odparł. – Janku? – zerknął pytająco na mojego męża.

– Tak, panie Kazimierzu. Prosimy o przygotowanie umowy – odparł Jaś, choć w jego wzroku nie dostrzegłam przekonania.

Być może widzenie zakłócały mi łzy szczęścia. Kolejny krok do sukcesu został poczyniony.

Podpisanie umowy u wujka Kazimierza miało nastąpić za kilka dni. Maria szczęśliwie nie zmieniła zdania i zaakceptowała termin.

Jaś zaczął wcześniej wychodzić do pracy i później wracać. Tłumaczył się napiętymi terminami oddawania kolejnych domów i problemami na budowie. Wiedziałam, że to tylko pretekst, by jak najmniej czasu spędzać w domu i nie roztrząsać trudnych tematów.

– Przeżywa stres przed złożeniem podpisu – podsumowała Milena, kiedy poskarżyłam się jej na te ciągłe nieobecności.

– Miłka, jeśli już teraz jest problem, to co będzie później? – płakałam w słuchawkę. – Nawet jeszcze nie zaczęliśmy jazdy bez trzymanki, a on odpada!

– Mówiłam ci: więcej wiary w Jaśka. Facet potrzebuje czasu. Przemysli, przetrawi, oswoi się i będzie dobrze. Kocha cię, więc przeżyje. A jak mama?

O mamie wolałam nie myśleć. Następne spotkanie z nią zaplanowałam post factum, kiedy już podpiszemy umowę z Marią, a moje zapłodnione jajeczko będzie bezpiecznie ulokowane w jej brzuchu. Niepotrzebne mi było kolejne nękanie i mendzenie. Dość miałam swoich i Jaśkowych wątpliwości i lęków.

Oczami wyobraźni widziałam ludzi pytających, skąd wzięłam dziecko, skoro nikt nie widział mnie w ciąży, oskarżenia o egoizm i narcyzm, który mi nie pozwala urodzić, by nie stracić sylwetki, sprzeciwianie się nauce Kościoła.

Panie Boże, nie chcę Ci się sprzeciwiać, powtarzałam w myślach, usprawiedliwiając się przed losem. Ale muszę, bo tak bardzo pragnę mieć małą Nataszę, Lenę czy Leona, że nie mogę zrobić inaczej! Przecież człowiek ma tylko jedno życie.

Nie chciałam przeżyć go tylko z Jaśkiem.

Opanowana pragnieniem i bliskością tego, co ma nastąpić, przestałam zwracać uwagę na uniki męża. On chyba również pogodził się z sytuacją i wyznaczonego dnia wrócił z pracy na czas, by towarzyszyć mi w trakcie podpisywania umowy.

Stanęliśmy we trójkę przed kancelarią wujka Kazimierza, gotowi, by rozpocząć wspólną podróż w nieznane.

Po wszystkim Jaś zaprosił nas do kawiarni.

– Mam nadzieję, że ten karkołomny plan się powiedzie... – zaczął przy kawie i ciastku. – Zgodnie z ustaleniami: na początku zapłacimy połowę, po porodzie drugą część. No i oczywiście będziemy wywiązywać się ze wszystkich pozostałych punktów umowy.

– Możecie być państwo pewni, że zrobię wszystko, żeby wasze dziecko urodziło się zdrowe. Z mojej strony nie musicie się obawiać żadnych niespodzianek – zapewniła Maria.

Mina Jaśka zwiastowała wątpliwości, ale opanował emocje.

– Mamy taką nadzieję. A teraz, panie, pilnujcie tych wszystkich medycznych terminów i do dzieła. – Podniósł kieliszek, którego zawartość wysączył do końca.

Spojrzałyśmy po sobie z Marią. Miałam wrażenie, że obie byłyśmy zadowolone i spokojne, że wszystko się uda.



## Rozdział 18

### Maria

Po mojej samotnej wizycie u Boryków nie liczyłam na miłe przyjęcie po powrocie, i miałam rację. Mąż siedział przed telewizorem naburmuszony i popijał piwo. Jedyne, co go interesowało, to jego praca.

– Mogę wracać na dźwig? – usłyszałam pierwsze słowa po przekroczeniu progu pokoju.

Z trudem powstrzymałam złość.

– Możesz, jeżeli obiecasz, że już nigdy nie pójdziesz na budowę pod wpływem alkoholu – wycedziłam, opanowując chęć przyłożenia mu w głupi łeb. – Zjesz kolację? – zapytałam na widok pustego kuchennego stołu.

Powodowała mną nie tyle chęć napchania jego brzucha, ile potrzeba porozmawiania o efektach rozmowy z Borykami. Postanowiłam skorzystać z okazji, że Kalina nocuje u swojej koleżanki Agaty, więc możemy rozmawiać głośno.

– Trzy kromki – usłyszałam.

Schowałam zniecierpliwienie do kieszeni i zabrałam się do przygotowania kolacji.

W mojej głowie pulsowała myśl, że Władek ostatnimi czasy bardzo się zmienił na niekorzyść. Nie zamierzałam dłużej tolerować jego roszczeniowej postawy wobec mnie. Czekala mnie bardzo ważna ciąża, o którą powinniśmy zadbać oboje. Niestety, Władek po utracie pracy pozwolił sobie na całkowite rozprężenie i folgował sobie na wszystkich frontach. Dla dobra dziecka Boryków, zdrowia Kaliny i siebie samej musiałam zmienić ten stan rzeczy. Tyle że nie bardzo wiedziałam jak.

Zaczęłam od smacznej kolacji i filiżanki herbaty, na którą zamieniłam kolejną butelkę piwa.

– Dogadaliśmy się z Aleksandrą i jej mężem – rozpoczęłam relację z wieczoru.

– Widzę, że przeszłyście na ty – zauważył.

Pominęłam milczeniem tę uwagę.

– Zaproponowali sto dwadzieścia tysięcy. Przyjęłam warunki. Przed nami podpisanie umowy u prawnika.

Władek aż gwizdnął z wrażenia.

– Sto dwadzieścia? Nieźle. A jak będą bliźniaki, to dostaniesz podwójną stawkę? – pozwolił sobie na niewybredny żart.

– Władek, bądź poważny. Czekają nas trudny okres, o którym musimy pogadać. Przede wszystkim liczę na ciebie.

Spojrzał pytająco.

– Właśnie tak – ciągnęłam. – Po pierwsze trzeba powiedzieć Kalinie. Po drugie zastanawiam się, czy informować szefową. Po trzecie muszę dbać o ciążę jak o źrenicę oka, bo za to mi płacą, a ja poczuwam się do obowiązku. I ty masz mi w tym pomóc.

Nie mówiłam po chińsku, ale Władek wyglądał na mocno zdziwionego.

– A co ja mam robić? – zapytał, jak gdybym wspomniała o konieczności pokonania przyłądka Horn.

– Przede wszystkim nie stresować mnie, a czasami nawet przynieść zakupy. Pamiętasz początki ciąży z Kalinką? Moje nudności, słabość i późniejsze bóle w podbrzuszu? A wówczas byłam młoda. Teraz lat przybyło i należy się spodziewać różnych dolegliwości. Władek, ja muszę urodzić Borykom dziecko, i to bez żadnych problemów! To nasz wspólny obowiązek i szansa na operację Kaliny. Pomożesz?

Chyba udało mi się przemówić mu do rozumu. Wkurzało mnie, że muszę tłumaczyć rzeczy oczywiste, ale przynajmniej przyswajał treści, które mu kładłam do głowy.

– To kiedy podpisujesz umowę? – zainteresował się wreszcie.

– Dadzą znać. I oby się nie rozmyślili. A ty jutro idź do kadr – poleciłam z nadzieją, że z tej okazji

mój mąż nie chłapnie kolejnego piwa.

Po weekendzie z Władkiem i jego telewizyjnym uzależnieniem z ulgą powitałam poniedziałek i zajęłam miejsce w autobusie, który powiózł mnie do pracy. Dwadzieścia minut drogi, trzynaście przystanków, ta sama trasa od lat, znajome widoki za oknem, kojąca duszę monotonia. Czas, który miałam tylko dla siebie. Przeważnie odpoczywałam, choć zdarzało mi się marzyć. Kiedy obserwowałam przez okno turystów, tęskniłam za dalekimi podróżami czy ciekawymi miejscami, tak różnymi od naszego osiedla. Śniłam na jawie o zdrowej i sprawnej Kalinie.

Nieraz miałam żal do losu o to, jak potraktował córkę. Obraziłam się na Boga i przestałam wierzyć w sprawiedliwość. Dlaczego rozlana kilkaset metrów od domu plama oleju tak bardzo zmieniła nasze życie?

Tamten dzień miał już na zawsze pozostać w mojej pamięci. Wiele razy odtwarzałam każdy jego fragment, minuta po minucie.

To się zdarzyło osiem lat temu. Właśnie zrzuciłam palto po powrocie ze zmiany. Miałam ciężki dzień, bo akurat zmarła jedna z naszych pensjonariuszek, pani Rozalia. Wprawdzie od dawna było wiadomo, że staruszka jest słaba, ale nikt nie spodziewał się najgorszego. Dlatego gdy w trakcie moich porannych odwiedzin u niej zauważyłam zmianę w wyglądzie, wpadłam do szefowej.

– Pani Wiesiu, chyba musimy zawołać lekarza do Rozalii. Kiepsko się czuje.

– O co chodzi?

– Ma kłopoty z oddychaniem i ogólnie jest słaba. Proszę do niej zajrzeć – dodałam i podążyłam do pozostałych pensjonariuszy.

Ale choć obowiązki nie pozwoliły mi zajrzeć do niej powtórnie, a nawet chwilowo zapomniałam o sprawie, niepokój z tyłu głowy pozostał.

Gdy przed budynkiem domu opieki stanęła karetka pogotowia, poruszenie na korytarzu wywołało zamęt wśród mieszkańców.

– Do kogo to? – dopytywała wsparta na balkoniku pani Zdzisława.

– Proszę wracać do pokoju – poprosiłam, zgodnie z procedurą.

– Widziałem, że wchodzi do Rozalii – odezwał się pan Zygmunt.

Ja również dostrzegłam, gdzie zmierzał lekarz. Zaniepokoiło mnie to, ale musiałam opanować emocje pensjonariuszy.

– Zaraz obiad, zapraszam miłych państwa do stołówki. – Zagarnęłam ramieniem powietrze, wskazując właściwy kierunek.

Zerknęłam ukradkiem na korytarz, dopiero gdy wszyscy zajęli swoje miejsca przy stołach. Lekarz wyszedł właśnie z pokoju pani Rozalii i rozmawiał z Wiesią. Po minie szefowej zorientowałam się, że sytuacja jest poważna. Po chwili okazało się, że bardzo.

Zostawiłam moich podopiecznych przy zupie, upewniwszy się, że każdy ma na talerzu swój przydział, i podbiegłam do dyrektorki. Siedziała na krześle w holu i dłonią zakrywała usta.

– Co z nią?

W odpowiedzi pokręciła przecząco głową.

Zrozumiałam i podobnie jak pani Wiesia nie opanowałam łez. Pani Rozalia była u nas od siedmiu lat i obie traktowałyśmy ją jak bliską osobę. Jak zresztą każdego, kto mieszkał w naszym domu.

– Mam powiadomić rodzinę? – spytałam.

– Chodźmy do mnie. – Dyrektorka wzięła się w garść.

Po obiedzie ustaliłyśmy plan działania.

Wracałam do domu z obrazem kolejnej osoby, która nas opuściła, pod powiekami. W głowie miałam słowa psychologa, które usłyszałam, gdy zdobywałam szlify opiekunki osób starszych.

– Pamiętajcie, że nieraz zetkniecie się ze śmiercią. Taki sobie wybieracie zawód. Piękną i trudną profesję. Nie traficie do miejsc, w których będziecie obserwować, jak rosną i rozwijają się dzieci. Ale również i na tym polu można odnaleźć satysfakcję i piękno. Chociażby w pomaganiu ludziom w przeżywaniu codzienności, w znajdowaniu przez nich radości i w bliskości relacji. Choć zapłaczenie nad ich śmiercią, kiedy przyjdzie czas.

I nadszedł. Jednak mimo tego, co było do przewidzenia, ciężar na sercu z powodu śmierci pani

Rozalii mnie nie opuszczał. Najchętniej ułożyłabym głowę na poduszce i przespała problem, ale miałam tylko pół godziny jakiego takiego luzu. Władek miał przywieźć Kalinkę od koleżanki, więc zabrałam się do przygotowywania kolacji, raz po raz zerkając przez okno na parking.

Minęło trzydzieści minut, ale moich nie było, więc przelałam świeżo ugotowane jajka na twardo zimną wodą i posmarowałam chleb masłem. W kuchni unosił się przyjemny zapach szczypiorku, na talerzu czekały pokrojone pomidory i kiszony ogórek. Wyjęłam z lodówki kilka plasterków szynki i pasztetową, bez której, w mniemaniu mojego męża, żadne kanapki nie miały prawa się udać.

Kiedy jajka zajęły miejsce na kromkach chleba, a kanapki zostały muśnięte majonezem, zaczęłam się niepokoić. Próbowałam połączyć się z Władkiem, ale jego telefon nie odpowiadał. Gdy wreszcie na ekranie komórki wyświetlił mi się jego numer, odetchnęłam.

– Gdzie jesteście? Czekam z kolacją – napadłam na męża z wymówkami.

Odpowiedzi nie usłyszałam od razu.

– Marysiu... Mieliśmy wypadek. Kalinka jest w szpitalu. Siedzę na korytarzu.

Nic więcej nie było mi trzeba. Natychmiast złapałam płaszcz i zamówiłam taksówkę.

Drogę do szpitala przebyłam jak w malignie. Przed gabinetem lekarskim zaczęłam szarpać Władka za poły skafandra.

– Co się stało? Gdzie ona jest? Żyje?

Żyła. A ja przez kilka następnych dni umierałam ze zmartwienia. Aż wreszcie usłyszeliśmy diagnozę. Lekarze nie pozostawili wątpliwości: Kalinę czekał wózek.

Wiedziałam, że zawiniła plama oleju na jezdni, wobec której Władek nie miał żadnych szans, a jednak w myślach go obwiniałam. Może powinien jechać wolniej? Dlaczego nie potrafił wyprowadzić auta z poślizgu i zapobiec dachowaniu i uderzeniu w drzewo? Rozum podpowiadał, by wybaczyć mężowi, który jak ja zatracił się w rozpacz, ale serce długo nosiło urazę.

Kto zatem, jeśli nie on, powinien dziś pragnąć operacji Kaliny i jej powrotu do zdrowia?

– Pójdziesz do kadr? – ponowiłam pytanie.

– Jasne. Kiedy wpłyną pieniądze?

– Będziemy dostawać po dwanaście tysięcy w dziesięciu równych ratach. Pierwsza po przeprowadzeniu wstępnych badań. Pamiętaj jednak, że cała kwota jest przeznaczona na operację Kaliny – ostrzegłam, gdyby przyszło mu do głowy jakiegokolwiek inne rozwiązanie. – Rozumiesz?

Miałam wrażenie, że się dogadaliśmy.

Kilka dni później Borykowie umówili się ze mną u adwokata, przyjaciela rodziny, jak zrozumiłam. Po spotkaniu mąż Aleksandry zaprosił nas na kawę i ciastko.

– Mam nadzieję, że ten karkołomny plan się powiedzie – oznajmił, kiedy zasiadłyśmy przy zastawionym stoliku.

Ponownie przypomniał mi o warunkach umowy. Zapewnił, że będą się wywiązywać ze wszystkich pozostałych punktów, a ja obiecałam im zdrowe dziecko i żadnych niespodzianek. Dostrzegłam w oczach pana Jana zwątpienie, ale koniec końców zobowiązał mnie i Aleksandrę do pilnowania wszystkich medycznych terminów i wysączył do dna kieliszek wina.

Spojrzenia, które wymieniliśmy, dały nam obu namiastkę spokoju i wiary, że wszystko się uda.

## Rozdział 19

### Aleksandra

Formalnie kropka nad „i” została postawiona.

Egzemplarz umowy z Marią bezpiecznie spoczywał na stole, a ja, szczęśliwa z pomyślnego zakończenia sprawy, przynajmniej na tym etapie, miałam ochotę ciągle do niego zaglądać. Jak gdybym chciała wśród liter dostrzec buzię naszego nienarodzonego jeszcze dziecka. Penetrowałam poszczególne strony, zapamiętywałam akapity. Planowałam kolejne działania. Jaś jasno dał mi do zrozumienia, że przekazuje inicjatywę w moje ręce. Tyle że, szczerze mówiąc, nie miałam bladego pojęcia, od czego zacząć. Informacje pozyskane ze stron internetowych były nader skąpe, a już na pewno nie było na nich poradnika, jak stać się matką z pomocą surogatki. Mogłam co najwyżej dowiedzieć się, kto z amerykańskich celebrytów został rodzicem tą drogą i jakie agencje pośredniczą w kontaktach z kobietami gotowymi udostępnić swoje ciało potrzebującym. Znajdowałam również artykuły o niejasnościach prawnych związanych z macierzyństwem zastępczym w Polsce, przeglądałam sensacyjne doniesienia na temat firm pośredniczących pomiędzy parami i kandydatkami. Wszystkie straszyły psychologicznymi konsekwencjami tego procederu. Lektura zestresowała mnie do tego stopnia, że zarzuciłam grzebanie w internecie i skupiłam się na celu.

Wobec szumu w eterze i własnej nieświadomości najlepszym wyjściem z sytuacji było zasięgnięcie języka u doktora Witaja. Umówiłam się na wizytę.

– Co słyhać, pani Aleksandro? – zapytał, kiedy po kilku dniach zajęłam miejsce po drugiej stronie potężnego antycznego biurka, za którym siedział. – Jak zdrowie? Doszła już pani do siebie?

Oboje wiedzieliśmy, do czego nawiązuje.

– Tak, jak najbardziej – odparłam, szukając słów, by zapoznać go z naszym planem.

– To zapraszam na fotel. – Wstał. – Proszę się rozebrać.

Pozostałam na swoim miejscu.

– Panie doktorze, tym razem przyszłam w innej sprawie. Wynajęliśmy z mężem surogatkę i chciałabym zasięgnąć informacji, co musimy zrobić, żeby urodziła nam dziecko – wypaliłam.

Bez słowa opadł na krzesło.

Zdumienie na jego twarzy sprawiło, że wpadłam w popłoch. Na szczęście doktor Witaj opanował zaskoczenie i po odchrząknięciu przeprosił za swoją reakcję.

– Pani Olu, proszę wybaczyć, ale to dość niecodzienne przedsięwzięcie – usprawiedliwił się. – Prawdę mówiąc, po raz pierwszy w mojej praktyce stykam się z parą, która wybrała drogę zatrudnienia matki zastępczej. Ale oczywiście jestem do dyspozycji. Proszę powiedzieć, czego pani ode mnie oczekuje.

Pierwsze koty za płoty, odetchnęłam. Dalej miało być już tylko lepiej.

– Czy mógłby pan doktor skierować nas do dobrej kliniki, gdzie przeprowadza się in vitro? A przy okazji oświecić mnie, na czym polega zabieg? Czytałam o tym sporo, ale wołałabym, żeby pan osobiście wprowadził mnie w temat.

Rozmawialiśmy jeszcze długo. Aż zaczęłam mieć wyrzuty sumienia wobec kolejnej oczekującej pacjentki.

Wysłałam od doktora Witaja z adresem prywatnej kliniki leczenia niepłodności, która, choć odległa od naszego miasta o niemal dwieście kilometrów, pozostawała w zasięgu. Dobrze, że nie musieliśmy przekraczać granicy i udawać się na Ukrainę, do Grecji czy Wielkiej Brytanii.

Przede wszystkim zostałam precyzyjnie poinformowana, na czym będzie polegać zapłodnienie pozaustrojowe, a potem umieszczenie zarodka w ciele Marii. I że cała operacja będzie od nas wszystkich wymagać trochę czasu, który powinniśmy wygospodarować.

Wieczorem całą swoją wiedzę przekazałam Jaśkowi.

– Mam na niemal dwa tygodnie zostawić firmę? To niemożliwe! – oznajmił głosem na krawędzi

krzyku, kiedy skończyłam swój wywód.

– Nie przesadzaj. Raptem dwa razy pojedziesz ze mną do kliniki, na pierwszą wizytę i na pobranie nasienia. Nie mieliśmy nigdy problemów z zapłodnieniem, więc sądzę, że badania, nie licząc USG, nie będą potrzebne. A jeśli nawet, to nie zajmą dużo czasu. Tylko ja będę musiała pozostać przez kilka dni i poddać się stymulacji hormonalnej, która ma zwiększyć liczbę dojrzałych komórek jajowych.

– Rozumiem, że zostanę wezwany, kiedy będziesz gotowa?

– Lekarz wyznaczy dzień wizyty. Ode mnie pobiorą komórki, od ciebie nasienie, połączą je w laboratorium i powstanie zarodek. Pamiętaj, żebyś na kilka dni przed powstrzymała się od aktywności seksualnej – zażartowałam.

– Bardzo śmieszne – skwitował.

– A potem będziemy mieć kilka dni przerwy – kontynuowałam, udając, że nie dostrzegam złego humoru Jaśka. – Aż nasz zarodek będzie przygotowany do zamieszkania w łonie Marii. Mam nadzieję, że tak się stanie i wyniki badań potwierdzą ciążę.

– A jeśli nie?

Nie traciłam optymizmu.

– To spróbujemy jeszcze raz. Oni zachowują kilka zarodków, więc in vitro może odbyć się już bez naszego udziału. Tylko Marię trzeba będzie dowieźć na miejsce.

– A jeśli lekarz stwierdzi, że ona się nie nadaje? – wyraził wątpliwość.

Trafił w czuły punkt.

Też zaświtał mi w głowie taki scenariusz. Rzeczywiście, przed podpisaniem umowy powinniśmy zaprowadzić Marię do ginekologa, ale zabrakło nam wyobraźni. Liczyłam na szczęście, bo jak wspomniał kiedyś Janek, surogatki nie rosną na drzewach. A Maria na pierwszy, a nawet na drugi rzut oka sprawiała wrażenie porządnej kobiety.

– Umówiliśmy się na płatności w dziesięciu równych ratach, pierwsza po wstępnych badaniach. Gdyby coś poszło nie tak, stracimy co najwyżej dwanaście tysięcy – odparłam.

– Może dla ciebie to mało... – powiedział z przekąsem.

– Dużo, Jaś, ale co mam ci powiedzieć? Nie zabezpieczysz się przed wszystkimi ewentualnościami. Wujek Kazimierz mówił przecież, że umowa nie gwarantuje bezpieczeństwa żadnej ze stron, a zwłaszcza nam. To ryzyko, ale przecież je podjęliśmy. Prawda? – Zerknęłam na męża z niepokojem.

Machnął ręką i zakończył rozmowę pod pretekstem przejrzenia papierów przed ważnym spotkaniem z klientem.

– Jaś? Mogę umówić się z Marią? – Pytaniem zawróciłam go ze schodów.

Usłyszałam tylko, że słowo się rzekło, kobyłka u płotu.

Lepsze to niżeli kolejne wątpliwości, westchnęłam w duchu i sięgnęłam po telefon, by wybrać numer kliniki, którą wskazał doktor Witaj. Należało zacząć działać, zanim przepadniemy w gąszczu krętych zaułków i odbijemy się od kolejnego muru niemożności.

Prywatna klinika, jak można było przypuszczać, okazała się bardzo przyjaznym miejscem, a mój „problem” nikogo nie zdziwił. Pani rejestratorka po uzgodnieniu z lekarzem chciała od razu ustalić konkretny termin wizyty, ale musiałam go skonsultować z mężem i Marią.

Jaś wyznaczył kilka wolniejszych dni, w których mógłby mi towarzyszyć, z Marią umówiłam się na mieście. Chciałam jej przekazać informacje od Witaja i rozeznąć się w jej sytuacji rodzinnej. Z lekkim niepokojem oczekiwałam ostatecznej decyzji. Wprawdzie nie dzwoniła, żeby wycofać się z umowy, ale i tak targał mną niepokój.

Niepotrzebnie. Przyszła w dobrym nastroju, a nawet postanowiła się nim podzielić ze mną.

– Dzisiaj przyjęliśmy nową pensjonariuszkę – powiedziała. – Ciekawa sprawa. Pani Zofia pochodzi z naszego miasta i nawet ma tu duży dom, w którym do tej pory mieszkał jej syn. Niestety, niedawno zmarł.

– Została sama i musiała znaleźć się u was? Nie poradziłaby sobie sama?

– Nie w tym rzecz. Lata temu wyjechała z rodziną drugiego syna do Niemiec, by pomóc przy dzieciach. Miała wtedy czterdzieści dziewięć lat, teraz ma osiemdziesiąt sześć. Łatwo policzyć, że

spędziła za granicą około czterdziestu. Bardzo fajna i wciąż żywotna kobieta, chociaż chyba wszystkiego nie mówi... – Myśli Marii nie przestawały krążyć wokół staruszki. – Nie wiem, co się wydarzyło, że opuściła rodzinę i osiadła u nas, w domu opieki. W każdym razie do swojego rodzinnego domu nie wróciła, bo stary i zaniedbany. Ale przynajmniej do miasta, w którym spędziła dzieciństwo i młodość.

– Smutna sprawa, ale jednocześnie zastanawiająca. Może ten syn z Niemiec wyprawił ją do Polski?

– Kto wie? W każdym razie poznałam ją i chyba się zaprzyjaźnimy. Ale przepraszam za te opowieści. Nie zawsze potrafię zostawić pracę za sobą, a przecież mamy rozmawiać o ważnych sprawach. – Spojrzała trzeźwo.

Pomyślałam o tłumaczeniu książki Krastsa i bohaterze *Burzy nad Jurmalą*, o jego samotnej starości i niełatwej relacji z dorosłymi dziećmi, którą trudno mi było zrozumieć. Miałam odpowiedni warsztat i doświadczenie, żeby przełożyć tekst na polski, natomiast brakowało mi emocji, by w pełni oddać przeżycia Marisa Freibergsa. Egoistycznie pomyślałam, że mogą mi w tym pomóc doświadczenia owej pani Zofii.

– Marysiu, a czy mogłabym kiedyś poznać tę waszą nową pensjonariuszkę? – zapytałam z nadzieją.

– Dlaczego ci na tym zależy?

– Z powodu książki Krastsa – wyjaśniłam zażenowana. Nie powinnam traktować ludzi instrumentalnie. – Przepraszam, to zły pomysł – wycofałam się.

Maria nie wyglądała na zniesmaczoną.

– Dlaczego nie? Myślę, że ona chętnie z tobą porozmawia. Jest bardzo otwarta i szczerą. I nikogo tu nie ma – dodała. – Zapytam ją, czy chce poznać miłą tłumaczkę z łotewskiego i z nią pogadać.

Przyjemnie się nam rozmawiało i zapewne mogłybyśmy tak bez końca, ale nie po to się spotkałyśmy. Na horyzoncie widniało nasze dziecko, które Maria miała urodzić, a ja przyszedłam z nowymi informacjami. Niebawem je przekazałam.

– Zawiozę cię do kliniki na wstępne badania, a potem po raz drugi, kiedy będziesz mogła przyjąć zarodek. Potrzebujemy dwóch dni. Czy możesz wziąć jeden dzień urlopu w przyszłym tygodniu? Zarezerwowałabym termin.

– Tak – odparła, choć lęk w jej oczach wskazywał na problem.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście. Po prostu jeszcze nie rozmawiałam z szefową. Ale zrobię to jutro.

– Jesteś absolutnie pewna, że chcesz urodzić nasze dziecko?

– Zdecydowanie. Powiedz tylko, kiedy jedziemy – odparła.

Badania Marii wypadły bardzo obiecująco, podobnie jak moje, którym poddałam się kilka dni później. Doktor zaordynował stymulację hormonalną. Zamieszkałam w hotelu, by pozostawać pod kontrolą lekarzy, Jasiak wrócił do domu.

– Uważaj na drodze – żegnałam męża, widząc za oknem marznącą mżawkę.

– Niczym się nie martw. Za dwie godziny zajadę. Pilnuj tych swoich pęcherzyków w jajniku i śpij dobrze – uspokajał mnie, całując w usta.

– Wiesz, że cię kocham? – Przytuliłam się.

– Ja ciebie też. Bo gdyby nie, to...

– Hm?

– Nie przeżyłbym tych twoich marzeń o dziecku.

– Wiem, wiem. – Łasiłam się do niego, wdzięczna za wyrozumiałość.

Sukces był na wyciągnięcie ręki.

Wieczorem zadzwonił z domu.

– Dojechałam i odgrzewam sobie tartę. Daj znać, kiedy po ciebie przyjechać.

Zdawałam sobie sprawę, że jeszcze nieraz przemierzmy tę samą trasę. Jak dotąd wszystko szło jak z płatka. Wkrótce lekarz zaprosił mnie na pobranie komórek, a Jaśka na oddanie nasienia. Niebawem wybrałam się w drogę z Marią. Denerwowałam się bardziej niż wtedy, gdy chodziło o mnie.

Po dwunastu dniach wiozłam ją ponownie, tym razem na badanie poziomu hormonu hCG, który

miał potwierdzić ciążę biochemiczną, cokolwiek to miało oznaczać. Wypadło pomyślnie, ale na ostateczne potwierdzenie musiałyśmy czekać pięć tygodni, do kontrolnego USG.

Właśnie wtedy usłyszałam słowa, które lekarz wypowiedział do Marii. Były dla mojej duszy jak balsam.

– Jest pani w ciąży.

Siedziałam obok niej i nie potrafiłam ukryć wzruszenia. Słyszałam tę kwestię aż sześciokrotnie, zawsze reagowałam jednakowo: tłumionym płaczem ze szczęścia.

Tym razem również, chociaż to nie ja leżałam na -kozetce.

## Rozdział 20

### Maria

Pan Boryk wywiązał się z obietnicy i z powrotem przyjął Władka do pracy. Z radością żegnałam męża każdego ranka; nawet przygotowanie codziennej porcji kanapek na drugie śniadanie przestało mi ciążyć. Składałam ręce do Boga za to cudowne nawrócenie, dzięki któremu Władek wyrwał się wreszcie z zakłętęgo kręgu nieróbstwa i życia bez sensu. Na szczęście nie wpadł w szpony nałogu i potrafił odmawiać sobie codziennej dawki procentów.

Pozostało mi czekać na telefon od Aleksandry i wyznaczenie terminu in vitro.

Próbowałam na własną rękę szukać w internecie informacji, zainteresowana przede wszystkim procedurą medyczną. Okazało się, że nie jest tak skomplikowana ani tajemna, jak mi się wydawało. Moja rola sprowadzała się do poddania się badaniom ginekologicznym, przyjęcia zarodka, a potem już tylko czekania na określenie poziomu hCG i ultrasonografię po pięciu tygodniach od potencjalnego zapłodnienia.

Z taką wiedzą przyszedłam na spotkanie z Aleksandrą. Ona również spenetrowała temat i nawet zaproponowała konkretne terminy. Musiałam poprosić szefową o urlop, nie to jednak było problemem, ale wątpliwości, czy powinnam wyjawić jej prawdziwy powód mojej jednodniowej nieobecności w pracy.

Władek, jak zwykle, nie widział problemu.

– Powiesz, że starasz się o dziecko i musisz zrobić badania – rzucił znad gazety.

– To znaczy, że do końca ciąży mam milczeć, że postanowiłam zostać surogatką?

– A co ją to obchodzi?

– Władek, tak nie można. – Opadły mi ręce. – Nie zamierzam biegać po osiedlu i krzyczeć, na co się zdecydowałam, ale Wiesia chyba powinna wiedzieć – rozważałam strategię. – Co jej powiem po porodzie? Każde kłamstwo kiedyś wychodzi na jaw.

– Rób, jak uważasz. – Mojego męża temat wyraźnie męczył. – Obyś tylko sobie nie zaszkodziła.

I tym właśnie zdaniem ponownie zasiał wątpliwości. A jeśli moja szefowa uzna, że dom opieki to nie miejsce dla surogatek, a mój karkołomny plan jest niegodziwy i godny potępienia?, łamałam sobie głowę.

Koniec końców zdecydowałam, że odłożę rozmowę z panią Wiesią na później, a wnioskuje o urlop, podam inny powód. Faktycznie w ciąży jeszcze nie byłam, a in vitro mogło zakończyć się fiaskiem.

Wyjawię prawdę w stosownym czasie, postanowiłam i spokojnie chodziłam do pracy.

Ta, jak zwykle, obfitowała w nowe doznania.

W poniedziałek około południa na podjeździe domu opieki zatrzymał się elegancki samochód na niemieckich numerach. Kilkunastoletnie doświadczenie pozwoliło mi na domysły, że za moment nasz dom opieki zyska nowego pensjonariusza: matkę lub ojca dzieciom, którzy wyemigrowali przed laty. Ceny w polskich domach opieki pozostawały w porównaniu z tymi zza zachodniej granicy bardzo konkurencyjne, i w tym tkwił cały wic. A że mama czy tatuś będą daleko? Przecież aż do teraz zapewnialiśmy im wspaniałą opiekę. A z Niemiec tylko żabi skok, więc można raz do roku przyjechać. Albo raz na trzy lata, pokpiwałam w myślach, znając historie kilkorga naszych starsuszków.

Z góry współczułam nowemu mieszkańcowi naszego domu, jej lub jemu, bo tożsamości jeszcze nie znałam. Cekało mnie przepracowanie tej sytuacji z osobą, która jak zawsze czuła się porzucona.

Piłam akurat szybką kawę w kanciapie, kiedy wezwała mnie szefowa.

– Marysiu, chodź, kogoś ci przedstawię. – Stała w drzwiach w towarzystwie około sześćdziesięcioletniego mężczyzny. – Pan Thomas Muller. Jego mama Zofia od dziś zamieszka w naszym domu.

Mężczyzna był elegancki i nieźle utrzymany: dobrze skrojony garnitur, szpakowate włosy prosto



od fryzjera, delikatna nuta wody toaletowej. Atrybuty mężczyzny, który ma pieniądze i nie zaniedbuje wizerunku.

– Bardzo mi miło. – Odwzajemniłam uścisk dłoni.

Nie zapytałam go o motyw, i tak je znałam.

– Maria to nasza najlepsza pracowniczka – usłyszałam głos pani Wiesi. – Potrafi znaleźć wspólny język ze wszystkimi mieszkańcami naszego domu. I proszę mi wierzyć, najlepiej się nimi opiekuje. Pani Zofii będzie u nas bardzo dobrze – rekomendowała mnie ponad miarę.

Poczułam się nieswojo. Bąknęłam coś pod nosem i spytałam, w którym pokoju zamieszka matka pana Thomasa.

Szefowa zatrzymała mnie, jak gdybym zamierzała już tam biec.

– Pójdiesz, kiedy pan Muller się pożegna. – Posłała mi służbowy uśmiech.

I dodała, że przekazuje jego mamę w moje ręce.

– Dziękuję. Od tej chwili będę spokojny.

Po chwili moja szefowa i pan Muller skierowali się do jedyńki na końcu korytarza.

Nie poznałam jeszcze pani Zofii, ale i tak jej współczułam. Znałam przebieg pożegnań i wiedziałam, że zazwyczaj trwają długo i nie należą do przyjemnych. Zawsze powtarza się ten sam scenariusz: stary człowiek ma łzy w oczach, dzieci obiecują nieodległe w czasie spotkanie, a kolejne za tydzień, co najwyżej dwa, zachwalają dom opieki, wypróbowały miękkość materaca, twierdząc, że lepszego nie widziały nigdy. Podziwiają widok z okna i menu, które właśnie przejrzyli, a potem mówią, że sami by się tak chętnie żywili. A jeśli rodzic ma dzielić pokój z kimś jeszcze, rozplývają się w pochwałach nad sąsiadem. Krótko mówiąc: staruszkowie powinni docenić fakt, że trafili w odpowiednie miejsce, aby dzieci wyjechały z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Samochód pana Mullera ruszył w drogę powrotną z piskiem opon. A kiedy już eleganckie bmw zniknęło z mojego pola widzenia, zajrzałam do naszej nowej pensjonariuszki.

– Maria Leśniewska, czy mogę? – delikatnie zaczęłam od progu.

Starsza pani krzątała się, rozpakowując walizkę. Z przyjemnością dostrzegłam, że nie jest przygnębiona. Wręcz przeciwnie, działa z wigorem.

Zaproponowałam jej pomoc.

– Nie trzeba, moje dziecko. Daję radę – odparła żywo.

Dała się jednak namówić na kawę, pod warunkiem że zaparzę tę, którą przywiozła. Spełniłam jej życzenie. Postawiłam na stoliku dwie filiżanki z aromatyczną zawartością i dostrzegłam talerzyk z czekoladą.

– Choceur Alpen Sahne – oznajmiła pani Zofia. – Moja ulubiona. Pełnomleczna, o kremowej konsystencji. Thomas obiecał, że będzie mi ją przysyłał. – Spojrzała w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, ale szybko wróciła na ziemię. – Spróbuj – zachęciła.

Szybko zorientowałam się, że nawiążemy bliższy kontakt. Nowa pensjonariuszka od razu zaczęła mi mówić po imieniu. Prezentowała spory optymizm, zważywszy na fakt, że syn, który teraz zapewne przemierzał kilometry do własnego domu, zostawił ją nam zaledwie pół godziny wcześniej.

Przecucie mnie nie myliło. Z każdym dniem pani Zofia coraz bardziej otwierała się przede mną i opowiadała mi swoją historię. Wiedziałam już, że pochodzi z naszego miasta i niedawno straciła drugiego syna, który mieszkał tu w jej rodzinnym domu. I że za Thomasem wyjechała do Niemiec przed trzydziestoma siedmioma laty.

– Chciałam im pomóc przy dzieciach i zostałam – wspominała przy kolejnej filiżance kawy. – Moje wnuki już dawno są po studiach. Alex skończył biotechnologię, a Katerina jest psychologiem... – Posmutniała.

Tęskniła.

Powstrzymałam się od pytania, dlaczego znalazła się u nas. Przyjdzie czas i na to, pomyślałam.

Jednak pani Zofia absorbowała mnie do tego stopnia, że zaczęłam opowiadać o niej na spotkaniu z Aleksandrą, zamiast skupić się na naszym dziecku. Niemniej i ona była zainteresowana, a nawet wyraziła chęć poznania mojej podopiecznej. Miała nadzieję, że ta znajomość może okazać się nieocenioną pomocą przy tłumaczeniu książki o starszym mężczyźnie, który miał trudne kontakty

z dziećmi.

Rozmawialiśmy jak dobre przyjaciółki, ale w końcu trzeba było przejść do meritum.

Tydzień później Aleksandra zawiozła mnie do kliniki na badania, które wypadły pomyślnie. Po kilku dniach przyjechałam dziecko Oli i Jana do swojego łona, a po dwunastu okazało się, że jestem w ciąży biochemicznej. Po pięciu tygodniach formalnie potwierdził to wynik USG.

Do kliniki pojechaliśmy z Aleksandrą jej samochodem. Obie spięte, chociaż próbowaliśmy zachowywać spokój i dobry nastrój. Zdawałam sobie sprawę, że dla Boryków, a zwłaszcza dla Oli, to duża szansa na spełnienie marzeń, ale i w moim przypadku było podobnie; od dzisiejszego werdyktu zależało, czy zarobię na operację Kaliny. Próbowalam utwierdzać się w takim myśleniu, lecz mózg drażyła jeszcze jedna, przepędzana, bo niepożądana, refleksja.

Z medycznego punktu widzenia wszystko było w porządku: przeżywałam poranne nudności i słabość, która ogarniała mnie w godzinach wieczornych. Nie miałam wątpliwości, że zarodek zagnieździł się w organizmie. Byłam przekonana, że diagnoza okaże się formalnością. Niepokoiła mnie natomiast inna sprawa. Niespodziewanie poczułam więź z dzieckiem, które nosiłam. I chociaż rozum krzyczał, że nie jest moje, serce podpowiadało coś zgoła innego.

Czułam się niezręcznie, kiedy lekarz położył mnie na kozetce i przystąpił do badania USG. Próbowalam ukryć wzruszenie krótkim stwierdzeniem: „Jest pani w ciąży”, choćby ze względu na Aleksandrę, której zamgliły się oczy.

Dotarło do mnie, że sytuacja się komplikuje. Obie zapalałyśmy miłością do tego dziecka.

Uczucie z mojej strony było tak silne, że na moment zapomniałam nawet o Kalince.

## Rozdział 21

### Aleksandra

Wracałyśmy z Marią z kliniki w dobrych nastrojach. Marcowe słońce przygrzewało przez szyby, na polach nie było już śladu po zamarzniętych zaspach, które w tym roku wyjątkowo długo spowijały ziemię. Wypatrywałam oznak wiosny, ale na próżno – do bladozielonych listków na wiotkich gałązkach brzozy czy choćby zawiązków tulipanów było jeszcze daleko. Mijane ogródki ziały pustką w oczekiwaniu na kwietne dywany. Natura dopiero zrzucała ciężkie zimowe okrycie, dając jednak nadzieję na zmianę pierwszymi powiewami ciepłego wiatru.

– Jesteś głodna, Marysiu? – zagadnęłam, kiedy na horyzoncie dostrzegłam przydrożną gospodę.  
– Bo mnie kiszki grają marsza.

– Jeśli ty tak, to ja chętnie – odezwała się po raz pierwszy od pół godziny.

Kątem oka kierowcy dostrzegałam jej zamyślenie i niechęć do towarzyskiej dysputy. Uszanowałam tę małomówność, chociaż najchętniej podśpiewywałabym pod nosem z radości. Musiałam zadowolić się rytmemi płynącymi z radia i wtórować muzykom w myślach. Teraz jednak miałyśmy przerwać milczenie i wrzucić coś na ruszt. Organizm doskonale wyczuwał porę obiadową.

Podjechałam do gospody, zamasyżycie wprowadziłam samochód na parking.

Z zewnątrz powiało zimnem. Szybkim krokiem pokonałyśmy drogę do lokalu, w którym otuliło nas przyjemne ciepło z otwartego grilla. Zamarzyłam o potężnej karkówce w ziołach i solidnej porcji frytek. Tego dnia kobieta elegancka, skubiąca zazwyczaj sałatkę z tuńczykiem popijaną szklanką wody, przeistoczyła się w głodnego zwierza, który właśnie upolował kawał mięsiwa.

– Ależ pachnie! – Na wspaniały widok skwierczących płatów karkówki nie pohamowałam komentarza. – Co będziesz jeść? – spytałam, zanim dotarłyśmy do drewnianego stołu z ławami po obu stronach.

Uwielbiałam przydrożne karczmy i ich ludowo-swojskie klimaty. Pachnące schabowym z kapustą, zdobione kafłowym piecem i belkowaną powałą, z której zwisały ozdoby wykonane przez zręczne ręce ludowych twórców. Jeśli do tego dodać zapach suszonych ziół i czosnku, kwiaty na stole i miłą obsługę, na którą zawsze liczyłam, mogłabym przeciągać obiad w nieskończoność. Zazwyczaj z zawartości talerza również byłam zadowolona, ponieważ tak dobrej karkówki z grilla jakoś nie potrafiłam przygotować.

– Co zamawiamy? – rzuciłam ozywiona, gdy Maria przejrzała menu.

– Może wezmę filet z piersi kurczaka sauté z ziemniakami i gotowaną marchewką? – wybrała.

– Tak cieniutko? Nie patrz na ceny, proszę. Ja płacę – wyjaśniłam, zauważywszy, że postawiła na najtańszą pozycję.

– Jestem zdecydowana. I wodę.

Najwyraźniej musiałyśmy sobie coś wyjaśnić. Nie było mi zżęcznie wracać do warunków umowy, szczególnie w momencie, kiedy mogła odnieść wrażenie, że interesują mnie tylko potrzeby dziecka w jej łonie. Ale nie było wyjścia.

– Mario, zgodnie z umową pokrywamy wszystkie koszty leczenia, dojazdów, witamin, a nawet innych twoich potrzeb, które będziesz miała w związku z ciążą. Postanowiliśmy z Jaśkiem o przekazywaniu ci miesięcznie tysiąca złotych na bieżące wydatki. No nie wiem, na przykład na dożywianie, taksówki. Proszę, nie miej skrupułów.

– Dziękuję. I tak dużo mi zapłacicie. A na grilla nie mam ochoty. Po prostu jeszcze żołądek mi skacze. To przejdzie za dwa, trzy tygodnie.

Poczułam się, jak gdyby ktoś dał mi w twarz. Głupia, ale zamożna baba, która nie potrafi zrozumieć, że w początkowej fazie ciąży kobieta zmagą się z nudnościami!

– Przepraszam, nie pomyślałam. Chciałam dobrze – bąknęłam i zostawiłam ją na chwilę, by pójść do łazienki przemyć twarz.

Korzystając z chwili samotności, zadzwoniłam do Jaśka. Szybkie „Halo!” uświadomiło mi, że przerwałam mu jakąś ważną firmową czynność. Może rozmowę z klientem albo przepychanki z dostawcą? Postanowiłam się nie zrażać.

– Kochanie, dostałeś mojego esemesa? – przypominałam o wiadomości z pomyślnie zdiagnozowaną ciążą Marii. O naszym maluszku w jej brzuchu.

Musiał szybko zajrzeć do skrzynki, ponieważ w kolejnej sekundzie odpowiedział twierdząco.

– Sam widzisz, udało się! Wracamy. Zatrzymaliśmy się na chwilę w gospodzie, a Maria zamówiła najtańsze danie.

– Co z tego?

– Jaś, widziałeś, jaka ona jest szczupła? Powiedziałam jej, że dodamy jej tysiąc złotych na miesiąc na lepsze odżywianie i inne potrzeby związane z ciążą, na przykład na taksówki.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy o tym rozmawiali – usłyszałam głos podszyty zniecierpliwieniem.

– Wyszło spontanicznie. Bardzo cię przepraszam. Ale to chyba nie jest dla nas zbyt duży wydatek...?

Czułam zdenerwowanie męża i wiedziałam, że jest ono słuszne. Powinnam wcześniej ustalić z nim decyzje dotyczące płatności.

– Już dobrze. Ale na przyszłość...

Przerwałam mu.

– Oczywiście. Wszystko będę z tobą konsultować.

– Mam nadzieję. Ten luksus i tak nas sporo kosztuje – odparł i przeprosił.

Musiał wrócić do spraw zawodowych, a ja do Marii.

Radość z dziecka w jej łonie nieco zakłócił brak męzowskiego entuzjazmu. Wiedziałam, że wydajemy kupę kasy, ale wobec szczęścia, które jawiło się na horyzoncie, lekceważyłam wartość pieniądza.

Widocznie jednak, jak twierdziła Milena, mężczyźni, na co trzeba wziąć poprawkę, są z innej gliny. Muszą przemyśleć dogłębnie każdą kwestię.

Kiedy dotarłam do stolika, obiad już pachniał na talerzach.

– Nie przeszkadza ci aromat mięsa? – spytałam Marię, która małymi kęsami pochłaniała pierś z kurczaka.

– Już nie. Mam mdłości we wczesnych godzinach rannych. A potem wieczorem ogarnia mnie słabość, ale przechodzi, kiedy kładę się do łóżka – odparła.

Poczułam jej dobrą wolę. Dopuszczała mnie do swojej ciąży, bym również w niej uczestniczyła, i byłam jej za to wdzięczna.

– Pamiętasz, jak się czułaś z Kalinką? – zapytałam.

– Tak samo. Ale to było ponad piętnaście lat temu.

Przyjęłam jej wyznanie za dobry omen. Skoro wówczas urodziła zdrową córkę, to teraz też się uda.

Miałam ochotę dopytać o Kalinę, ale dobry moment przerwała nam kelnerka propozycją deseru. -Odmówiliśmy obie i wkrótce wsiadałyśmy do samochodu.

Odwiozłam Marię pod dom i ponownie zadeklarowałam wszelką pomoc w każdej sytuacji.

– Bądźmy w kontakcie, Marysiu. Bardzo się cieszę. – Chwycałam ją za przedramię i mocno uściskałam.

– Ja również. – Odwzajemniła uśmiech i wysiadła.

Wróciłam do pustego domu. Sądziłam, że Jaś przyjmie mnie fanfarami, ale tak się nie stało.

Zastałam karteczkę z przeprosinami za nieobecność i dziesięć setek leżących na stole.

„Mam spotkanie z klientem i wrócę późno. Zapłać jej za pierwszy miesiąc. J.”

Nie miałam z kim świętować poczęcia naszego dziec-ka, więc nie pozostawało mi nic innego, jak zabrać się do roboty. Przysiadłam nad tłumaczeniem, popchnęłam kilka stron. I może nadrobiłabym nieco zaległości, gdyby nie zadzwoniła mama.

– Kochanie, nie odbierasz od kilku dni, żeby nie powiedzieć od tygodni – usłyszałam wyrzut

w jej głosie – więc dzwonię. Wszystko u was w porządku?

Nie bacząc na późną porę, pojechałam do rodzinnego domu, do którego nie zaglądałam od dłuższego czasu. Miałam z tego powodu wyrzuty sumienia. Dziecko było w drodze, bilet został kupiony w jedną stronę. Mama niczego nie mogła zawrócić, a jedynie mnie wysłuchać. A ja, z braku Jaśka, potrzebowałam słuchacza.

– Wróciłam dzisiaj z kliniki z Marią, naszą matką zastępczą – zakomunikowałam od progu, pragnąc powstrzymać pytania. – Jest w piątym tygodniu ciąży i ma termin porodu na koniec grudnia.

Mama nie odezwała się ani słowem. Moje wyznanie spokojnie przyjęła na klatę. Przyniosła z kuchni dzbanek z kawą i zaproponowała kolację. Odmówiłam, w dalszym ciągu strosząc piórka w obawie przed atakiem. Przecież musiała mnie zrugać za działania, które nie przystawały do naszej rzeczywistości.

– Czyli dziecko jest w drodze? – zapytała wreszcie retorycznie.

– Tak – odparłam buńczucznie, wciąż nastawiona na walkę.

– Opowiesz mi o kobiecie, którą wynajęliście? – usłyszałam pojednawczy ton.

– Wynając to można taksówkę na wesele. A Maria nosi naszą ciężę – nie rezygnowałam z bojowego nastroju.

Mama wstała z fotela, wsparła się na półce kominka. Z trudem panowała nad emocjami, ale najwyraźniej i tak wychodziło jej to lepiej niż mnie.

– Olu, w takim razie czy opowiesz mi o kobiecie, która nosi waszą ciężę? – powtórzyła pytanie w zmienionej wersji.

– Przepraszam – zreflektowałam się. – Miałam bardzo intensywny dzień. Zobaczyłam nasze dziecko na USG, i to nie w swoim brzuchu. – Powróciły wspomnienia sprzed kilku godzin. – Nie oceniaj mnie, proszę, bo to niczego nie zmieni.

Mama chyba nie zamierzała mnie nawracać. A kiedy usiadła obok mnie i objęła ramieniem, poczułam się zaopiekowana. Mimo że wołałabym mieć u boku Jaśka.

– Maria pracuje w domu opieki w naszym mieście. – Podjęłam próbę zaprezentowania sylwetki naszej surogatki. – Milena za nią ręczy. Zdążyłam ją już trochę poznać. – Słowa płynęły, a mama nie przerywała. – I jak wspomniałam, dzisiaj wróciłyśmy z kliniki, a w grudniu mamy termin – zakończyłam.

– Rozumiem. Olu, wiem, jak pragniesz dziecka, i będę cię wspierać. Jesteś dla mnie najważniejsza i twoje pragnienia też. Chociaż...

– Co masz na myśli? – przerwałam.

– Nic już. Po prostu będę z tobą do urodzenia dziecka. Oby zakończenie było szczęśliwe – dodała, przyciągając mnie do siebie.

Dlaczego niby miałyby być inaczej?, rozmyślałam, wracając do domu. Zarodek zagnieździł się w jej łonie, a małe ciało mojego dzieciątka, w postaci krążących po ekranie pasczków, widziałam na własne oczy.

Niepotrzebne wątpliwości.

Jasiek wrócił późnym wieczorem, więc zamieniliśmy zaledwie kilka zdań.

– Zaczekamy na następny miesiąc. Teraz niech o siebie dba, i tyle – stwierdził na koniec i pożegnał się, zmęczony po pracowitym dniu. – A, i jeszcze jedno – dodał, zanim poszedł do łazienki. – Wysłałem jej dwanaście tysięcy złotych.

Pierwsza transza pieniędzy poszła, dziecko było w drodze, plan się realizował. Według Jaśka, który zasnął zaraz po przyłożeniu głowy do poduszki. Ja jeszcze długo przewracałam się z boku na bok. Myślałam o maluszku, który za osiem miesięcy miał pojawić się na świecie.

Pozostawało mi zbierać siły i dotrzymywać zobowiązań, żeby w momencie porodu nie mieć żadnych tyłów i zaszłości.

Rano zadzwoniłam do Marii z pytaniem o samopoczucie.

– Wszystko w porządku – oznajmiła. – Siedzę w autobusie i jadę do pracy. Przepraszam za nie najlepszy wczorajszy humor, po prostu byłam trochę zmęczona – usprawiedliwiła się i zapewniła, że skontaktuje mnie z panią Zofią.

Ochoczo zasiadłam do komputera i wróciłam do powieści. Jak nigdy dotąd przed południem udało mi się przetłumaczyć dziesięć stron. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy rozmowa z nową pensjonariuszką domu opieki ma sens. Przy obiedzie w gospodzie Maria przekazała mi tyle informacji i wrażeń z kontaktów ze swoimi staruszkami, że wróciłam naładowana emocjami. Robota ruszyła, bohater powieści Mihelonsa nabierał rumieńców w polskiej wersji.

Wiedziałam, że jeśli moja forma się utrzyma, a dzisiejsza rodziła na to nadzieję, za kilka dni będę mogła skontaktować się z moim łotewskim autorem i z podniesioną przyłbicą pogadać z nim o wyjeździe na targi. Rozpoczęły się już za siedem tygodni.

Uśmiechnęłam się do tej myśli, a nawet, w porywie spontanicznej radości, postanowiłam napisać do Krastsa Mihelonsa.

„Praca nad Twoim tekstem sprawia mi dużą przyjemność. A jeszcze większą nadchodzący wyjazd do Rygi. Nie byłam u Was dawno i tęsknię. U mnie dużo się dzieje, ale wszystko dobrze się układa. Mam nadzieję, że w Jurmale nie dokuczają Ci zbyt duże wiatry, a nowa powieść płynie niczym kuter po Bałtyku. Zasobny, bezpieczny i piękny. Pozdrawiam Cię serdecznie. Do zobaczenia na targach. A.”

Odpisał niezwłocznie.

„Aleksandra, ja też czekam. I mój nowy asystent Janis. Pomaga mi robić researche, redaguje i trzyma starego dziadka w ryzach, żeby nie odpadł przy pracy. Mam nadzieję, że się polubicie. Przyjeżdżaj! Krasts”.

Z przyjemnością kilka razy przeczytałam wiadomość.

Teraz, kiedy dziecko spokojnie rozwijało się w łonie Marii, mogłam pomyśleć o krótkim wyjeździe bez stresu. Za sześć tygodni czeka nas jeszcze badanie prenatalne, a potem już tylko lot do Rygi!, zamknęłam komputer.

## Rozdział 22

### Maria

Czuję się tak, jakbym wyłudzała pieniądze od Boryków. – Ważyłam w dłoniach dziesięć setek, które wcisnęła mi Aleksandra, ale Władek nie dostrzegął problemu.

– Należą się nam, i tyle – skomentował, zadowolony z mojej zaradności. – W końcu to ty nosisz ich dzieciaka, a szanowna pani dostanie, co chce, bez utraty figury. To nie jej mąż wysłuchuje twoich porannych wymiotów, nie musi dźwigać zakupów i spać obok słonicy na skrawku łóżka.

Ceniłam sobie szczerość, ale forma wypowiedzi mojego męża nie przypadła mi do gustu. Ostro zareagowałam na grubiańskie teksty.

– Władek, po pierwsze oceniasz Aleksandrę niesprawiedliwie, bo jak dobrze wiesz, wielokrotnie próbowała urodzić dziecko. Po drugie mógłbyś powściągnąć język. Zakupy i tak powinieneś robić, a ja nie będę żadną słonicą, tylko kobietą w ciąży. Zbyt długo już toleruję twoje prymitywne odzywki.

– To może się ze mną rozwiedź?

Byłam podenerwowana i w tym momencie najchętniej posłałabym go do diabła, ale w życiu nic nie bywa proste. Kolejna małżeńska utarczka zakończyła się polubownie. Na szczęście bez udziału Kaliny, którą Krzysztof zabrał już do szkoły.

– Przestań zaogniać i idź do pracy – odparłam. – Pamiętaj, że jestem w ciąży dla naszej córki – przypominałam. – I muszę urodzić zdrowe dziecko za wszelką cenę. Przynajmniej nie dokładaj mi problemów.

Odetchnęłam, kiedy zamknął za sobą drzwi.

Przypominałam sobie wczorajszy powrót z kliniki i uśmiechnęłam się na myśl o radości i podnieceniu Oli, które z trudem próbowała ukryć, gdy milczałam. Bardzo chciałam zrewanżować się podobnie dobrym humorem, ale emocje nieco wymknęły się spod kontroli. Miałam przed oczami obraz ekranu komputera, a na nim poruszające się pasczki, z których lekarz od USG wyczytał wszystko, a my przyjełyśmy na wiarę istnienie maleństwa. I obie zareagowałyśmy wzruszeniem.

Do momentu, w którym Ola zaprosiła mnie na obiad, walczyłam z macierzyńskim instynktem. Dopiero podczas dalszej drogi udało mi się go opanować i prowadzić z towarzyszką normalną rozmowę. O swojej pracy, starszuchach z naszego domu opieki, bieżących sprawach. Wcześniej nie przypuszczałam, że tak trudno będzie mi podejść do noszonego płodu beznamiętnie. Nie wspominałam jednak Aleksandrze o swoich rozterkach, licząc na cudowne otrzeźwienie.

Najgorsza w tym wszystkim była psychiczna samotność, brak możliwości porozmawiania z kimś zyczliwym i podzielenia się problemem.

Postanowiłam otworzyć serce przed Honoratą i powiadomić szefową. Teraz, kiedy ciąża stała się faktem, musiałam stawić czoła otoczeniu w osobach bliskich mi kobiet. Na koniec zostawiłam Kalinę. Najbardziej obawiałam się jej reakcji.

W pierwszej kolejności zajrzałam do księgarni Honorki.

– Dawno cię nie było! Jak miło, że wpadłaś, i to w samą porę! Właśnie wychodzę coś przekąsić. – Entuzjastycznie przywitała mnie w progu. – A tak w ogóle, to co robisz na starówce o tej porze? – dopytywała, przekazując pracownicze ostatnie polecenia.

– Szefowa wysłała mnie do urzędu i dała wolne na resztę dnia. Jutro zostanę dłużej, bo pani Zofia, nasza nowa pensjonariuszka, funduje powitalną kolację. No wiesz, ona funduje, ja muszę wszystkiego dopilnować. – Uśmiechnęłam się. – Ale dzięki temu dzisiaj możemy porozmawiać.

Usiadłyśmy w przytulnej knajpce, w jednej z uliczek prowadzących od głównego deptaku. Oferowała, co bardzo mi teraz odpowiadało, lekkie sałatki i niskokaloryczne dania lunchowe. Przynajmniej nie roztaczała wokół zapachu grillowanej karkówki, który, jak wiedziałam z doświadczenia, zacznie mnie przyciągać dopiero za jakiś czas. Teraz nieprzyjemnie drażnił nozdrza.

– Jestem w ciąży – zdobyłam się na wyznanie, kiedy kelner postawił przed nami talerze pełne

zieleniny.

– To wspaniale! – Honorata omal nie udławiła się liściem sałaty. – Który to tydzień, bo nic nie widać? – Zerknęła w kierunku mojego brzucha.

– Piąty. Ale nie noszę swojego dziecka.

Okrągłe oczy mojej rozmówczyni zwiastowały kompletne zaskoczenie.

– Jestem matką zastępczą dla ludzi, którzy nie mogą mieć dzieci – wyjaśniłam. Zdawałam sobie sprawę, że na tym się nie skończy.

– To znaczy, że jesteś surogatką?!

Zgodnie z prawdą przytaknęłam, a potem obie w milczeniu przystąpiłyśmy do wcinania sałatek.

– Powiedz coś więcej – zachęciła Honorka przy filiżance kawy.

Była zszokowana, ale po wstępnych wyjaśnieniach zaczynała rozumieć.

– Jasne, znalazłaś sposób na zarobienie pieniędzy na operację Kaliny. Jestem pełna uznania, chociaż...

Mój pytający wzrok nakazał jej dokończyć zdanie.

– Chociaż to dość kontrowersyjne posunięcie.

– Co masz na myśli? – Każdy nerw ciała kazał mi podjąć walkę z jej wątpliwościami.

– Nic takiego. Po prostu nie każdy to zaakceptuje.

– A ty?

– Ja? Pewnie tak. Masz ważny powód.

– Pewnie, Honorata?

Moja przyjaciółka zaczęła się kręcić na krześle.

– Skąd wiesz, że ta kobieta nie wykorzystała wszystkich możliwych środków, aby zająć w ciążę?

– Aleksandra była w niej już sześć razy i zawsze traciła dziecko w dwunastym tygodniu. Lekarz powiedział, że to poronienia nawykowe i prawdopodobnie kolejna ciąża również się nie uda – wyjaśniałam coraz bardziej podenerwowana.

– Sama widzisz. Nigdy nie wiadomo, co i kiedy się powiedzie. Powinni próbować.

– Co chcesz mi przez to powiedzieć? Że zrobiłam błąd, przyjmując ich ofertę? Jestem czemuś winna? – podniosłam głos.

– Marysiu, zdajesz sobie sprawę, że kilka jajeczek, które zapłodnili lekarze, leży teraz zamrożonych. I prawdopodobnie nie będą wykorzystane. A to są ludzie, którzy nigdy się nie narodzą.

Byłam przerażona i wywoдем Honorki, i wizją kilkorga dzieci, które skazałam na wieczne oczekiwanie. Ale w moim łonie rozwijał się mały człowiek upragniony przez swoich rodziców. A poza tym lekarze twierdzili, że zarodki mogą leżeć nawet do kilkunastu lat.

Honorata na krótko wprowadziła zamęt w moich myślach. Jednak po chwili pozbierałam się i byłam w stanie jej odpowiedzieć.

– Wiem jedno: urodzę dziecko i uszczęśliwię rodzinę, a jednocześnie zarobię na operację Kaliny, na czym zależy mi. Moim zdaniem nie robię nikomu krzywdy.

Honorata przeczołgała mnie jak nikt nigdy dotąd. Wprawdzie pożegnałyśmy się ciepło, ale dowiedziałam się, że przyjaciółka nie pochwała tego, co zrobiłam, a jej „do zobaczenia” znaczyło niewiele.

Było mi przykro, choć powinnam przewidzieć taką reakcję. Za to zyskałam pewność, że nie należy się chwalić transakcją z Borykami. Była zbyt nowatorska i kontrowersyjna jak na nasze polskie warunki. Dlatego kiedy następnego dnia poszłam do pracy, zaniechałam wprowadzenia szefowej w moje plany, a jedynie postanowiłam poinformować ją o ciąży.

– Pani Wiesiu, przywiozłam z urzędu dokumenty, o które pani prosiła. – Wręczyłam jej dość grubą kopertę.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że nasz wniosek o dotację na zagospodarowanie ogrodu od strony rzeki przejdzie. – Odebrała pakiet i zaprosiła mnie do biurka. – Marysiu, zaraz przekażę ci plan działania na dzisiaj. Weźmiesz pana Mietka i pojedziecie w kilka miejsc. Trzeba odebrać ciasta i trunki – znacząco uniosła brew – które za moim pośrednictwem zamówiła pani Zofia, a potem dopilnować stołów. Kucharka już pichci coś smacznego – dodała z uśmiechem. – Wszystko w porządku? – spytała, widząc,



że zaległam na krześle.

– Oczywiście rozumiem i zaraz się tym zajmę – odparłam, próbując opanować lekkie zawroty głowy.

– Mario, czy ty się dobrze czujesz?

– Jestem w ciąży – wypaliłam.

– Gratuluję! A już myślałam, że Kalina zostanie jedynaczką!

Bo zostanie, pomyślałam, ale nie zamierzałam wyprowadzać szefowej z błędu. Nie po rozmowie z Honoratą. Miałam dość emocji i zmagania z oporem materii. Dobrych rad i moralnych dywagacji. Trudno. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko się kryć i dbać o dziecko.

Może powinnam zaufać szefowej, ale jeszcze nie byłam na to gotowa.

– Mam termin w połowie grudnia. Postaram się, by ciąża nie wpłynęła na moją pracę, pani Wiesiu.

– Kochanie, podczas dzisiejszej kolacji musimy ogłosić wspaniałą nowinę!

– Wolałabym nie. Do trzeciego miesiąca wszystko się może zdarzyć. Jestem ostrożna – poprosiłam o dyskrecję.

Zgodziła się zachować informację dla siebie.

– A co z operacją Kaliny? – zagadnęła. – Potrzebujesz pożyczki?

Odmówiłam, kłamliwie tłumacząc, że zaciągnęliśmy ją u rodziny.

Sponsorowany przez panią Zofię wieczór okazał się bardzo udany. Staruszka podbiła serca pensjonariuszy wystawną kolacją i bąbelkami szampana. Doprowadzanie podopiecznych do łóżek zajęło więcej czasu, niż przypuszczałam. Wróciłam do domu taksówką, bezsilna i zmęczona po całym dniu. Rzucenie na taśmę odwiedziłam jedynie pobliskie delikatesy.

Marzyłam wyłącznie o łóżku, tymczasem czekała mnie niemiła niespodzianka.

Już od progu dostrzegłam, że Włodek na mój widok poderwał się z fotela i wyłączył telewizor. W tym samym momencie ze swojego pokoju wyjechała Kalina i rzuciła mi nienawistne spojrzenie.

– Mamo, czy to prawda, że jesteś w ciąży dla pieniędzy? – usłyszałam zarzut.

– Tak. – Potwierdzenie ledwie przeszło mi przez gardło.

– Jak mogłaś się tak poniżyć?!

– Kalinko...

Próbowałam ją zatrzymać, ale odjechała.

## Rozdział 23

### Maria

Nie znalazłam sposobu, by przywołać córkę z powrotem ani nawet nawiązać z nią jakikolwiek kontakt. Zamknęła drzwi na klucz i całkowicie zamilkła. A na znak protestu włączyła głośną muzykę.

– Widzisz, co narobiłeś?! – naskoczyłam na męża. – Prosiłam, żeby zostawić temat na później i przygotować się do rozmowy! Przeczuwałam taką reakcję!

Niepewna mina Władka zdradzała wyrzuty sumienia.

– Spytała, czy jesteś chora, bo kilka razy usłyszała dochodzące z łazienki wymioty. No, chlapnąłem o ciąży, a potem już poszło. Wygadałem się, nic na to nie poradzę – próbował się tłumaczyć.

Przynajmniej tyle.

– Kalinka jest dojrzała jak na swój wiek, ale to jeszcze dziecko. – Opadły mi ręce. – Należało się jej lżejsze lądowanie, a ty jak zwykle obuchem w łeb! W ostatnich dniach nieustannie myślałam, w jaki sposób przekazać jej wiadomość o ciąży. Tymczasem dzięki słoniowi w składzie porcelany jest po temacie.

Władek, po wstępnym położeniu uszu po sobie, powoli odzyskiwał grunt pod nogami.

– Bo też czekasz nie wiadomo jak długo! Mam już dosyć tych twoich podchodów! Żeby człowiek we własnym domu musiał uważać na każde słowo! – podniósł głos.

Przerażał mnie brakiem wycucia i łopatologicznym podejściem do życia.

Nic nie mówiłam na jego jałowość intelektualną; w końcu działała zasada „widziały gały, co brały”. Rozumiałam, że wystarczyło mu technikum budowlane. W końcu także ja nie wróciłam na studia, choć w głębi duszy nie przestałam tego żałować. Nie znosiłam jednak, kiedy, najczęściej po kieliszku, zdarzały mu się niewybredne odzywki i głupie żarty.

Ale to nie był czas, by żałować róż. Chodziłam w ciąży z dzieckiem Boryków i na tym powinnam się skoncentrować, bo w kwestii konkretnego grosza na Władka nie miałam co liczyć. Jego próby wytrzaśnięcia pieniędzy ograniczały się do wyciągania ręki po schedę po rodzicach. Mógłby mi przynajmniej nie przeszkadzać, a nie startować do Kaliny z informacją o dziecku.

Mleko się wylało. A ponieważ chwilowo nic nie mogłam z tym zrobić, machnęłam ręką i powędrowałam do kuchni, by przygotować kolację. I przeczekać najgorszy nastrój córki.

– Postawiłam na stole kanapki! – przywołałam moich domowych pensjonariuszy, kiedy, choć opornie z powodu wieczornej słabości, udało mi się obłożyć chleb pastą z wędzonego łososia i świeżą szynką za niemal pięćdziesiąt złotych za kilogram oraz ozdobić fikuśnymi warzywami.

Muszę przyznać, że w sklepie zaszalałam, wkładając do koszyka mięsiste oliwki prosto z włoskich gajów, wędzone pomidorki, a nawet kapary, których zapach po otwarciu słoika nieco mnie zniechęcił. Za to kanapkowy raj przyciągał zapachem i kolorami.

Władek pośpieszył jako pierwszy.

– A co to takiego? Rozbiłaś bank? – zareagował zaskoczeniem.

Przypomniałam mu o pieniądzach od Boryków.

– Zapraszam na kolację. Przecież nie będę podjadać za waszymi plecami – zachęciłam. – Tylko się zbytnio nie przyzwyczajaj. Preparatami na wzmocnienie i odżywkami cię nie poczęstuję.

Niestety, Kalina pozostała u siebie i plan rozmowy spalił na panewce. Obrażona na mnie, pozwoliła Władkowi podać sobie kanapki przez drzwi.

Postanowiłam dać jej spokój do jutra, ale dłużej nie zamierzałam tolerować buntu. Dla naszej rodzinnej harmonii, która wymagała wyjaśnienia sytuacji.

Szczęśliwie kolejnego dnia szła do szkoły na dziesiątą, a ja, z uwagi na przedłużoną dniówkę, mogłam rozpocząć pracę nieco później. Najważniejsze, że po wyjściu Władka zostałyśmy same. W moim mniemaniu mąż już swoje zrobił, więc chwilowo podziękowałam mu za współpracę.

Zagadnęłam córkę przy śniadaniu, którego nie pozwoliłam jej zawieźć do jej pokoju.

– Kalinko, musimy porozmawiać. I proszę, nie uciekaj.

Spojrzała na mnie nienawistnie, jakże niepasującym do niej wzrokiem bazyliuszka, który pragnie zabić ofiarę.

– Tato już mi wszystko wyjaśnił. Nie kłopotz się.

– Może jednak nie wszystko? Córeczko, nawet oskarżony ma prawo do obrony. Daj mi szansę – zacytowałam słowa zaczerpnięte z licznych filmów.

Kiedy mimo to próbowała mi się wyślizgnąć z rąk, postawiłam na bardziej kategoryczny ton. Nie mogłabym pracować, wiedząc, że pozostajemy w konflikcie.

– Proszę, zostań i wysłuchaj mnie. Potem wrócisz do pokoju i wyrobisz sobie opinię. – Stanowczo przytrzymałam wózek i spojrzałam Kalinie prosto w oczy.

Wprawdzie rumieńce na jej twarzy wciąż zdradzały złość, ale napięte mięśnie na kościach policzkowych powoli zaczęły się rozluźniać. Prychnęła kilka razy, ale została na miejscu.

– Pamiętasz naszą rozmowę o operacji w Szwajcarii, o której ci niedawno wspominałam?

Spojrzała z lekką nutą zainteresowania i zapytała, czy mam nowe wiadomości.

– Jeszcze nie. Ale musimy się przygotować na ewentualność zabiegu.

– A niby jak?

– Córuś, chodzi o pieniądze.

Po spojrzeniu Kaliny zorientowałam się, że zaczyna pojmować.

– Dobrze myślisz – przytaknęłam. – Nie mamy takiej kwoty ani możliwości jej pożyczania. Ani załatwienia w żaden inny sposób niż ten, na który się zdecydowałam – wyjaśniłam oględnie, bez użycia frazy „matka zastępcza”.

– Chcesz urodzić dziecko za pieniądze dla mnie. – Bardziej stwierdziła niż spytała.

– Tak. I je urodzę, bo pragnę twojego wyzdrowienia. Tato ci nie wspominał?

Pokręciła głową.

– Mamuś, przepraszam...

– Nie musisz, kochanie. Po prostu zaakceptuj fakt. Nikomu nie powiemy, że jestem surogatką. – Celowo obłas-kawiłam niepopularne słowo. – I nie będziesz musiała się tłumaczyć przed nikim.

Wciąż była skołowana, ale stres najwyraźniej zelżał.

– A wiesz, że nawet chyba chciałabym mieć rodzeństwo? – Rozbroiła mnie nostalgicznym uśmiechem.

Ja również nie pogardziłabym kolejnym dzieckiem, pomyślałam, jednak zachowałam tę refleksję dla siebie. Dla córki miałam inną odpowiedź.

– Noszę dziecko państwa Boryków. Może pozwolą nam je odwiedzać.

Była nieco zawiedziona, ale zaakceptowała to rozwiązanie.

Po udanej rozmowie pognałam do pracy jak na skrzydłach. Ostatnie spotkanie z Honoratą i obietnica złożona córce tylko utwierdziły mnie w przekonaniu, że nie będę wprowadzać postronnych osób w swoją sytuację. Podjęłam decyzję i nie zamierzałam jej tłumaczyć wszystkim po kolei. Tym bardziej, że mało kto byłby w stanie ją zrozumieć. Jeśli popełniałam grzech stulecia, brałam go na własne barki z pełną świadomością. Wszyscy zainteresowani wiedzieli. Borykowie, oczywiście Władek i Kalina, a nawet Honorata, na której srodze się zawiodłam. Widocznie jednak nie znałam jej wystarczająco. Mimo to kontakt z przyjaciółką był dobrą lekcją i przestrzegł przed szczerą rozmową z panią Wiesią. Nie znałam jej poglądów i nie wiedziałam, czy zaakceptuje moją służebną ciężę. Mimo pieniędzy od Boryków potrzebowałam pracy. Ze względu na finanse i kontakty z moimi starszami.

– Marysiu, chciałabym ci kogoś przedstawić. – Szefowa złapała mnie w korytarzu, kiedy przekroczyłam próg domu opieki.

W pierwszej chwili pomyślałam, że przyjmujemy kolejnego pensjonariusza, a moim oczom ukaże się ktoś, kto przywiózł rodzica, by zapewnić mu szczęśliwą starość, ale nie.

– To Julian Nosowski, nasz nowy rehabilitant. – Pani Wiesia zaprezentowała mi młodego mężczyznę, którego najbardziej niebieskie oczy, jakie do tej pory widziałam, spoglądały zza rogowych okularów.

– Maria, najlepsza opiekunka w tym domu – zaanonsowała mnie godnie, wprawiwszy

w zakłopotanie.

Wymieniliśmy uprzejme spojrzenia i niezręczny uścisk dłoni.

– Pan Julian będzie do nas przychodzić na razie dwa razy w tygodniu albo w miarę potrzeb. Będziecie współpracować. Ciebie, Marysiu, zobowiązuję do przygotowania grafiku zabiegów i sprawowania pieczy, żeby wszystkie się odbyły. W razie problemów jesteśmy w kontakcie. – Szefowa rozłożyła ręce, akcentując koniec rozmowy.

Poczułam się w obowiązku zaproszenia pana Juliana na kawę do kanciapy i omówienia z nim tych planów.

– Przepraszam, mam niewiele czasu, bo za chwilę rozpoczynam obchód po śniadaniu – zaczęłam, włączywszy ekspres. – Ze śmietanką?

– Bez. Wolę czarną i mocną – ujawnił swoje preferencje.

Przyjęłam je do wiadomości i zareagowałam niespodziewanym onieśmieniem. Głupia laska, skoro na widok faceta tracę rezon, napomniałam się w duchu. A przecież wcale taka nie jestem!

Porozmawialiśmy chwilę przy kawie i umówiliśmy się na kolejną rozmowę, kiedy już przygotowuję grafik zabiegów dla pensjonariuszy.

– Miło mi było poznać. – Julian wstał i sięgnął po torbę.

Pożegnałam go grzecznie i zebrałam filiżanki do mycia. Zawsze to sympatycznie w tak specyficznym miejscu pracy spotkać kogoś młodego i pełnego zapału, pomyślałam.

Nawet miałam ochotę wysłać wiadomość Honoracie i podzielić się wrażeniami z nowej znajomości, ale w końcu zrezygnowałam. Nasze kontakty stały się ostatnio jakby mniej intensywne. Mimo to dobry nastrój nie opuszczał mnie do końca dnia.

Jak również w kolejnych.

Zrobiłam grafik zajęć rehabilitacyjnych i zostawiłam go u szefowej. Musiała go przekazać Julianowi, a on zaakceptować, bo w następnych dniach nie zwracał się do mnie z prośbami o pomoc.

Ciążowo czułam się w miarę dobrze, więc gdy zadzwoniła Aleksandra i poprosiła o znalezienie czasu na wizytę u lekarza, przystałam ochoczo.

Doktor Witaj, bo tak nazywał się lekarz Oli, przyjął nas w swoim gabinecie jako ostatnie z kolejki. Od pierwszego momentu poczułam, że w kwestii mojej ciąży zastępczej jest na bieżąco i mogę czuć się w jego obecności swobodnie. Aleksandra pozostała na swoim krześle w trakcie ginekologicznego badania za parawanem, ale zapytała, czy może uczestniczyć w badaniu USG.

– Oczywiście – odparł doktor. – O ile pani się zgodzi? – posłał pytanie w moją stronę.

Wykazał się taktem i kulturą. Odebrałam ten gest jako wyraz szacunku i przytaknęłam z uśmiechem.

Ola miała prawo zobaczyć swoje dziecko na ekranie komputera.

Obie wpatrywałyśmy się w ekran i wsłuchiwałyśmy w dochodzące z głośnika szemranie. Jednak mimo wyężania uwagi nie dostrzegałam w kręgach płaszących pasków kształtu dziecka ani niczego, co mogłoby je przypominać.

Doktor Witaj, na szczęście, był lepiej zorientowany.

Zerkałam na niego i niepokoiłam się coraz bardziej. Na czole lekarza pojawiła się głęboka bruzda.

Nie wiedziałam, czy także Aleksandra zauważyła to strapienie, ale odsunęłam od siebie tę myśl, skupiwszy się na własnym niepokoju. Czekałam na koniec badania i końące słowa, że wszystko jest w porządku. A wręcz się o nie modliłam.

Informacja, którą przekazał nam doktor, zszokowała nas obie.

– Drogie panie, mamy ciążę bliźniaczą.

## Rozdział 24

### Aleksandra

Słowa doktora Witaja podziały jak zimny prysznic zarówno na mnie, jak i na Marię, która posłała mi przerażone spojrzenie. Takiej ewentualności żadna z nas nie brała pod uwagę.

W pierwszym momencie poczułam irracjonalne wyrzuty sumienia, jak gdybym była winna zaistniałej sytuacji, i pomyślałam o reakcji Jaśka, przeczuwając kłopoty.

– Doktorze, jest pan absolutnie pewien? Lekarz w klinice robił badanie po pięciu tygodniach i niczego nie zauważył. – Oczekiwałam choćby odrobiny wątpliwości.

Doktor tylko się uśmiechnął i pogrążył w czynności zdejmowania lateksowych rękawiczek. Słowa, które za chwilę padły, potwierdziły z całą pewnością istnienie dwóch płodów.

– Proszę pań, przy ciąży bliźniaczej widzimy dwa pęcherzyki, ale jeśli mamy do czynienia z ciążą jednojajową, na miarodajny wynik trzeba poczekać dłużej. Widocznie lekarz zauważył tylko jeden pęcherzyk. Teraz jednak nie mam żadnych wątpliwości w sprawie bliźniąt. Świadczą o nich dwa bijące serca.

Zaskoczenie odebrało nam mowę. Zdołałam tylko zapytać, czy wszystko jest w porządku.

– Na razie nie widzę żadnych nieprawidłowości, ale sytuacja jest nietypowa, więc radziłbym poddać się badaniom prenatalnym między jedenastym a czternastym tygodniem ciąży, kiedy długość ciemieniowo-siedzeniowa płodu będzie wynosić od czterdziestu pięciu do osiemdziesięciu czterech milimetrów. Tylko w tym czasie wyniki będą wiarygodne.

Tym stwierdzeniem nas nie zaskoczył. Lekarz z kliniki już zarezerwował termin, argumentując potrzebę wiekiem Marii i koniecznością zachowania ostrożności.

– Proszę nie obawiać się przesiewowych badań prenatalnych, które obejmują USG genetyczne i test podwójny PAPP-A i beta-hCG z surowicy krwi. Są całkowicie nieinwazyjne, bezpieczne dla matki i dziecka. Mają na celu oszacowanie ryzyka wystąpienia wad genetycznych. Właściwie każda kobieta powinna się im poddawać – przekonywał doktor.

Mimo, jak wyjaśnił, małego prawdopodobieństwa wystąpienia wad całość zabrzmiała groźnie i nieznajomo. W żadnej ze swoich sześciu ciąż nie doczekałam do badań, wcześniej tracąc kolejne dzieci. Dopiero teraz pojawiła się refleksja, czy powodem poronień nie były wady genetyczne i co, jeśli któreś z dzieci w łonie Marii też jest nimi obciążone. Co, jeśli przyjdzie nam po raz kolejny przeżywać stratę?

Wyszliśmy z gabinetu skołowane i nieco przytłoczone informacją. Maria tego dnia wzięła urlop i dała się zaprosić do mnie na kawę. Spytała jedynie, czy zastanie Jaśka.

– Gdzie tam! Mój mąż wziął ślub z pracą i mamy czas do wieczora – zaśmiałam się, wskazując jej miejsce w samochodzie.

Piękna słoneczna pogoda za oknem zachęcała do optymizmu, podnosiła poziom endorfin, ale ciężar na sercu nieco przytłaczał. A przecież lekarz przekazał nam dobrą wiadomość: ciąża rozwija się prawidłowo, serduszka biją. A o badaniach prenatalnych wiedziałyśmy już wcześniej.

Postawiłam samochód na podjeździe. Zanim weszłam do domu, wyrwałam kilka pierwszych chwastów z rabaty z tulipanami.

– Piękny dywan kwiatowy! – zachwyciła się Maria, dyskretnie omiatając wzrokiem ogród.

– Rozejrzyj się, a ja przygotuję kawę – zachęciłam ją do spaceru po pozostałej części posesji.

Pierwsza trawa była przycięta, migdałowiec tego roku zakwitł wyjątkowo wcześniej i zdobił ogród różowymi kwiatami, zewsząd spoglądały tulipany, żonkile i narcyzy. Nasz ogrodnik, pan Artur, skrupulatnie dbał o każdy kąt zielonej przestrzeni wokół domu.

– I jak? – zapytałam po zakończonym rekonesansie.

– Marzenie! – westchnęła, wieszając w przedpokoju okrycie.

– Robi się cieplej z każdym dniem. Przyjeżdżaj do mnie i odpoczywaj na łonie natury – zaproponowałam, odczuwając potrzebę opieki nad Marią i naszym dzieckiem.

A nawet, co mnie nieco przerażało, dwójgim dzieci.

Ona jednak wydawała się spięta. Musiałyśmy porozmawiać.

Kawa, herbata, sałatka z awokado, rukolą, pistacjami i serem pleśniowym, którą przygotowałam naprędce, stanęły na stole. Kończyłam jeszcze miksowanie smoothie ze szpinaku z owocami i sokiem jabłkowym.

– Oto król dzisiejszego stołu. – Podsunęłam Marii pucharek z bombą witaminową. – Spróbuj, czy ci smakuje.

Zanurzyła usta w gęstym zielonym płynie.

– Wspaniały! Jestem pod wrażeniem, Olu. – Z apetytem wysączyła zawartość do dna.

Ale kiedy spojrzała pytająco, zrozumiałam, że doszliśmy do momentu, którego już dłużej nie mogliśmy odwlekać.

Całą sobą pytała, co dalej. Ja również byłam w rozterce. Nie bacząc na południową porę, nalałam sobie kieliszek wina i usiadłam naprzeciwko Marii.

– Co o tym sądzisz? – spytałam niezbyt mądrze, przerzucając piłeczkę na jej boisko.

– To ja chyba powinnam zadać takie pytanie. Zamówiliście dziecko, będzie dwoje. Co z tym zrobimy?

Dostrzegłam w jej oczach lęk.

– Marysiu, to dzieci moje i Jaśka. Nie masz nic wspólnego z ciążą bliźniaczą. Będę szczęśliwa, jeśli dostanę dwójkę za jednym zamachem – zapewniłam nieco na wyrost, czyli bez zasięgnięcia opinii męża.

Jak widać, życie pisze najróżniejsze scenariusze...

– Ulżyło mi – usłyszałam. – Nie sądzę, żeby Władek zaakceptował wasze dziecko.

Nie wątpiłam, chociaż jak dotąd nie dane mi było poznać męża Marii. Zdawałam sobie jednak sprawę, że z mężami nie zawsze łatwo idzie.

Za kilka tygodni czekało nas badanie prenatalne, które miało wykluczyć wady genetyczne u dzieci. Przejrzałyśmy kalendarz.

– Jedziemy do kliniki w przedostatnim tygodniu kwietnia, zaraz po Świątach Wielkanocnych. – Wodziłam palcem po kartkach. – W kolejną sobotę mam targi książki w Rydze. A kiedy wrócę, będą już wyniki.

– Ale USG będzie już znane?

– Tak. Wyjeżdżam po USG.

Strach w jej oczach przypomniął mi o moim.

– Marysiu, wszystko będzie dobrze. – Spróbowałam pocieszenia. – Badania to formalność. Słyszałaś, co mówił Witaj. Wszystkie kobiety powinny im się poddać, a jedynie pięć procent rodzi dzieci z wadami.

– Masz rację. Porozmawiaj z mężem i poinformuj mnie, co zdecydujecie w sprawie drugiego dziecka.

Ledwie dosłyszałam prośbę, wypowiedzianą cichym głosem.

– Jak to co? Gdybym zaszła w bliźniaczą ciążę, byśmy się cieszyli! I teraz będzie tak samo – dodałam, nie do końca zadowolona z udawanego entuzjazmu.

Gdyby to zależało wyłącznie ode mnie, mój głos brzmiałby pewniej. Ale musiałam liczyć się z Jaśkiem, którego reakcja pozostawała jedną wielką niewiadomą.

Kiedy później napisał mi, że wróci o dwudziestej, zabrałam się do tłumaczenia. Nie było łatwo. Musiałam przerwać i zadzwonić do Mileny.

– Co ty mówisz? Bliźnięta?! Janek już wie? – dopytywała, grając na czulej strunie.

– Nie pytasz, jak ja podchodzę do sprawy? – Poczulałam się zawiedziona reakcją przyjaciółki.

– No właśnie. Jak?

– Daj spokój! Mówisz, jak gdyby moje zdanie cię nie interesowało. Nie mam ochoty gadać. – Postanowiłam zakończyć rozmowę.

Do mamy nie zadzwoniłam w obawie przed kolejną oceną.

Jasia powitałam cała spięta i bez kolacji z fanfarami, a nawet nieco zbuntowana i gotowa do

walki.

Niestety, jak się miało okazać, moje obawy nie były bezpodstawne. Na wieść o bliźniętach mój mąż zareagował alergicznie.

– Chyba żartujesz? O ile się nie mylę, spodziewaliśmy się dziecka, a nie dwojga? – wypalił, nie starając się nawet powstrzymać niezadowolenia.

– Przecież to nie jest wina Marii! To moje jajeczko się podzieliło.

– Ciekawe, że w trakcie twoich sześciu ciąży nigdy nie doszło do takiej sytuacji! Aleksandro, znoszę twoje macierzyńskie zapędy od tylu lat... Ale nie namówisz mnie na wydanie dwustu czterdziestu tysięcy!

– A kto mówi o pieniądzach? – wybuchnęłam. – Jaś, sądziłam, że się ucieszysz, a ty... – Zakryłam twarz dłońmi, by ukryć rozczarowanie.

– Zapłacę tylko za jedno dziecko! Koniec dyskusji.

Dostałam dreszczy.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Może zawałił mu się w pracy kolejny plan, może musiał zwolnić kolejnego pracownika albo oszukał go dostawca materiałów budowlanych. Nie wiedziałam. W każdym razie mój mąż pozwolił sobie na niezły wybuch.

Zabrałam swoją pościel z sypialni i przeniosłam do gabinetu na dół. Nie miałam ochoty na czułe słówka, w razie gdyby nabrał chęci na seks. On jednak zasnął jak zabity.

Rano, jak gdyby nigdy nic, krzątał się po kuchni.

– Kochanie, zaparzyłem kawę i przygotowałem tosty. – Otworzył drzwi do pokoju, w którym spałam, słodkim głosem obwieszczając dobrą nowinę. – Widzę, że moja pani jeszcze smacznie śpi – zaszemrał mi w ucho.

– Daj spokój. Pracowałam w nocy i chcę poleżeć – skłamałam.

– Przepraszam. – Poczulałam przy twarzy jego oddech. – Byłem zmęczony i nie wiedziałem, co mówię. Bardzo się cieszę, że będzie dwójka, ale sama rozumiesz, że w takim razie musimy porozmawiać z Leśniewską. Uważam, że powinniśmy pozostać przy obecnej kwocie.

Uniosłam się na poduszkach i trzeźwo spojrzałam na męża.

– Czy ty stale musisz mówić o pieniądzach? Właśnie się dowiedziałam, że będziemy mieć bliźnięta, i ucieszyłam, choć oczywiście jest to wyzwanie. Ale może i rodzaj rekompensaty za to, co przeżywaliśmy przez ostatnich kilka lat? Od razu dwoje! – rozmarzyłam się, nie bacząc na obecność niezbyt zadowolonego męża. – Albo dwóch, albo dwie? – Puściłam wodze wyobraźni.

Popatrzył na mnie przenikliwie, przytulił i podał szlafrok. Zapachniało tostami i kawą, więc wysunęłam nogi spod kołdry i pozwoliłam się poprowadzić do salonu, gdzie na stole czekały już rozłożone serwetki. Ten widok ostatecznie rozproszył moją złość. Janek starał się od samego rana.

– Z serem dla mojej pani. – Podał mi talerzyk z tostami zamaszystym gestem wprawnego kelnera. – Do tego oliwki, pomidorki koktajlowe i liście sałaty.

Jadłam te przygotowane przez męża doskonałości z lekką obawą, czy nie zamierza mnie zmiękczyć. Ale kiedy usłyszałam z jego ust, że zgadza się na bliźniaki, odetchnęłam.

– Powiem Marii, bo też się zestresowała. – Wtuliłam głowę w jego ramię.

– Olu, wiesz, że nie jestem wyrachowanym człowiekiem, prawda? – zapytał.

– Wręcz przeciwnie, Jaś.

– Ale niech Leśniewscy sobie nie wyobrażają, że trafili na kurę znoszącą złote jaja.

– Nie myślą tak. Kochanie, wszystko będzie dobrze. Cieszysz się?

– Oczywiście. Jeśli tylko jesteś zadowolona.

Nie lubiłam takich odpowiedzi, ale skoro inna nie padła, zaakceptowałam stanowisko Jaśka. Dobrze, że przynajmniej zgodził się na dwoje dzieci w cenie jednego.

## Rozdział 25

### Maria

Aleksandra pięknie mieszkała. Wnętrze domu poznałam już kilka tygodni wcześniej, kiedy Borykowie zaprosili nas na kolację, ale wówczas byłam tak zestresowana czekającą mnie rozmową o zastępczym macierzyństwie, że nie rozglądałam się wokół.

Dopiero dzisiaj, na kawie, którą po wizycie u doktora Witaja postanowiłyśmy wypić u Oli, zyskałam okazję, żeby kontemplować urok rozległego salonu, podziwiać nowoczesny wystrój uzupełniony klimatem starych, pięknie odrestaurowanych mebli oraz licznych obrazów i grafik.

Przed kawą gospodyni zachęciła mnie do spaceru po całej posesji, która niewątpliwie była teatrem działań profesjonalnego ogrodnika. Morze wiosennych tulipanów i innych kwiatów, przycięta trawa, wymodelowane krzewy i brak jakichkolwiek chwastów (choć Ola dopatrzyła się kilku ździebełek przed domem) świadczyły o dużej dbałości, a nawet artystycznym zmyśle opiekuna zieleni lub właścicieli.

Jak z czasopism ogrodniczo-wnętrzarskich, pomyślałam. Nie ukrywam, że po cichu porównałam tę rezydencję ze swoim skromnym mieszkankiem, ale stłumiłam niskie uczucie zazdrości.

Aleksandra przygotowała wykwintną sałatkę z awokado, rukolą, pistacjami i serem pleśniowym, a nawet owocowo-warzywny koktajl. Zdawałam sobie sprawę, że zasłużyłam na te wszystkie dobroci wyłącznie dzięki ciąży, ale i tak byłam jej wdzięczna za miłe potraktowanie. Podobnie jak za zaproszenie do odwiedzin w tym pięknym miejscu w kolejnych miesiącach.

Kalince też by się tutaj spodobało, pomyślałam, oczami wyobraźni zobaczywszy córkę w pomalowanej na biało świątyni dumania, z książką w dłoni.

– I jak? – zapytała Aleksandra, kiedy wróciłam z rekonesansu po terenie.

– Marzenie!

Tylko to słowo zdołało odzwierciedlić moje wrażenia.

Mimo to zdawałam sobie sprawę, że nie przybyłam tu towarzysko. Długo rozmawiałyśmy z Ołą o bliźniętach, których istnienie odkrył dzisiaj doktor Witaj. Obie starałyśmy się wykrzesać w sobie dobre nastawienie, choć nie było łatwo. Przypuszczałam, że Aleksandra, podobnie jak ja, obawia się reakcji męża. Ale przynajmniej wypowiedziała słowa, które chciałam usłyszeć.

– Marysiu, to dzieci moje i Jaśka. Nie masz nic wspólnego z ciążą bliźniaczą. Będę szczęśliwa, jeśli dostanę dwójkę za jednym zamachem.

Oby pan Boryk myślał tak samo!, westchnęłam w duchu.

Do domu wracałam autobusem, zrezygnowawszy z propozycji odwiezienia. Dzień był ładny, a w perspektywie miałam pół godziny samotności, jeśli nie liczyć pozostałych pasażerów autobusu. Musiałam zebrać myśli przed rozmową z Władkiem i nastawić się na jego ataki. Nie sądziłam, by przyjął moje rewelacje spokojnie.

– Już jesteś? – zdziwiłam się, zobaczywszy męża w domu przed szesnastą.

– Masz obiad? – zapytał, ignorując moją reakcję.

– Muszę tylko ugotować ziemniaki. Słyszę, że Kalina też wróciła. – Dobięły mnie odgłosy z pokoju córki.

– Jest z tym Krzysztofem. Przyszedłem wcześniej, bo dzisiaj nie było roboty. Ale jutro idę na dwanaście godzin, a oni tu sobie siedzą. Nie uważasz, że ten chłopak niebezpiecznie często odwiedza Kalinę?

– Władek, to tylko kolega. Powinniśmy być mu wdzięczni, że pomaga naszej córce. Zaproponuję mu obiad – zdecydowałam, wkładając fartuch i biorąc się do obierania ziemniaków.

Mój mąż machnął ręką i posłał mi pełne politowania spojrzenie. Zapukałam do młodych.

– Za pół godziny podaję kopytka z mięsem i sosem grzybowym – powiedziałam. – Zostaniesz? Spodziewałam się uprzejmej odmowy.



– Chętnie. Musimy jeszcze pouczyć się fizyki.

Pochwyciłam spłoszone spojrzenie Kaliny i serce matki podpowiedziało mi, że to jednak nie tylko koleżeńska znajomość. Wołałam nie ujawniać tego spostrzeżenia Władkowi. Należało dozować emocje, a dzisiaj na tapecie była wizyta u doktora Witaja.

Z nadzieją, że się zgodzą, zaproponowałam młodym obiad w pokoju Kaliny, czym zaskarbiłam sobie wdzięczność córki. My z Władkiem usiedliśmy przy kuchennym stole.

– Byłam dzisiaj z Aleksandrą na kontrolnej wizycie u ginekologa – zaczęłam.

– I jak? Wszystko w porządku? – Nałożył na talerz kopytka i polał sosem.

– Tak. Ciąża przebiega prawidłowo. – Krążyłam wokół tematu, by w końcu zrezygnować z motania i wywalić kawę na ławę. – Władek, będą bliźnięta.

Mój mąż obdarzył mnie przerażonym spojrzeniem.

– Jak to możliwe? Czy w tej klinice nie potrafią zrobić jednego dziecka?

– To nie fabryka! Komórka się podzieliła i będą bliźnięta jednojajowe. Nikt nie jest temu winien!

– I co teraz?! Borykowie będą musieli wziąć dwójkę! – niemal krzyknął. – Wezmą? Bo ja nie chcę ich dzieciaka!

Zaczerpnęłam powietrza przed dalszym wywodem.

– Władek, na razie rozmawiałam tylko z Aleksandrą, a ona musi uzgodnić wszystko z mężem. Jak ja to teraz robię z tobą.

– Co tu uzgadniać? Podpisałaś umowę, że będziesz za nich nosiła brzuch, i bierzesz za to pieniądze. Umówiłaś się na kilkoro dzieci? – zapytał zaniepokojony.

Faktycznie, w umowie nie było zapisu o ciąży mnogiej.

Niestety stało się to, czego się obawiałam. Mój mąż wpadł na diabelski pomysł wyciągnięcia od Boryków dodatkowej kasy.

– Właściwie może to i dobrze? – zastanawiał się na głos. – Dostaną dwójkę dzieciaków, niech płacą podwójnie.

– A co, jeśli pan Boryk zgodzi się tylko na jedno? – spytałam.

– Pójdziemy do sądu! – Władek znalazł rozwiązanie.

– Przecież wiesz, że w tej umowie jedyny pewnik to rola pana Jana. Jest ojcem obojga bliźniąt.

– To będzie płacił alimenty.

Pazerność sprawiła, że Władek zapętlił się w swoich planach. Wyglądało na to, że według niego miałabym oddać jedno dziecko Borykom, a drugie zachować i brać na nie pieniądze. Idiotyzm do potęgi. Przed chwilą uchylał się od wychowywania „tego dzieciaka”! Poza tym nie wyobrażałam sobie, żeby bliźnięta, w dodatku jednojajowe, wychowywały się w dwóch rodzinach.

– Władek, posłuchaj mnie uważnie. Mam nadzieję, że Ola i Jan przyjmą, co zesłał los. Nikt nie przewidział ciąży bliźniaczej i trzeba stawić czoła tej sytuacji. Przecież gdyby Aleksandra urodziła dwoje, byłoby to całkiem naturalne. Ale urodzę je ja. I im je oddam.

– Powinni zapłacić podwójnie! – Władek śnił sny o potędze.

– Niby dlaczego? Nie będę handlować dziećmi! Nigdy bym nie przyjęła pieniędzy, gdyby nie chodziło o Kalinkę. Ja tymi dziećmi nie kupczę. Pomagam je urodzić, bo Borykowie są w trudnej sytuacji. A płacą mi, bo i ja jestem w niełatwej.

– Ciekawe, czy byłabyś w stanie poświęcić się tak za darmo?

– Owszem. Na przykład dla siostry, której nie mam. Ale to bezprzedmiotowe dywagacje. Mam nadzieję, że pan Boryk przyjmie werdykt losu z dobrodziejstwem inwentarza.

Władek próbował jeszcze nakłonić mnie do targów, ale odparłam jego atak.

Wieczorem zadzwoniła Aleksandra i potwierdziła radość z bliźniąt. Jaś się zgodził, a ja odetchnęłam z ulgą. Władek nie miał więcej argumentów, żeby mącić. Próbował wprawdzie nakłonić mnie do wyłudzenia większej kwoty na comiesięczne utrzymanie, ale zaprotestowałam stanowczo.

– Dają wystarczająco dużo.

Zasypiałam jednak z obawą o dwa życia, która nosiłam. Ciąża tego typu nie była mi znana, a była z pewnością bardziej wymagająca. Wiedziałam, że muszę o siebie dbać, by zakończyła się pomyślnie. Badania prenatalne również spędzały mi sen z powiek. Na szczęście miały nastąpić już za kilka tygodni.

Nie licząc Aleksandry, nie miałam nikogo, z kim mogłabym przegadać temat i chociażby przykręcić kurek niepewności. Jedynie praca pozwalała mi na kilka godzin zapomnieć o sytuacji, w jakiej się znalazłam, i wątpliwościach. Moi starszycy mieli moc angażowania mnie w swoje sprawy i czynili z niej użytek każdego dnia.

Dzisiejszego ranka po raz pierwszy od kilku tygodni nie zaliczyłam wizyty w łazience z sedesem w objęciach. Czyżby przeszły poranne mdłości?, opanowała mnie wątpliwa myśl, obiecująca zmiany. Spodziewałam się ataku mdłości w autobusie, ale o dziwo podróż przetrwałam ze spokojnym żołądkiem. A nawet zaczęłam się niepokoić, czy z dziećmi wszystko w porządku.

W kuchennej kanciapie dla personelu zastałam Juliana. Przed pierwszym zabiegiem parzył sobie kawę.

– Wypijesz ze mną? – zaproponował, ale aromat kawy nieprzyjemnie mnie pobudził.

Wybrałam miętę.

– Jak ci idzie praca? – spytałam grzecznościowo, niezbyt skora do rozmowy.

– Bardzo dobrze. Zdaję sobie sprawę, że jestem nowy i tylko od rehabilitacji, więc nawet nie wiem, czy powinienem mówić... – plątał się w zeznaniach.

Spojrzeniem wymusiłam dalszy ciąg.

– Ta pani Zofia jest chyba bardzo samotna?

– Dopiero tu przyjechała. Musi się zaaklimatyzować.

– Pewnie masz rację. Pójdę już. – Wziął filiżankę i skierował się do wyjścia.

– Powiedz, o co chodzi. – Próbowałam go zatrzymać. – Skarzyła się?

– Porozmawiaj z nią – rzucił i zamknął za sobą drzwi.

Znalazłam czas dla pani Zofii około południa. Była jak wiele innych osób, które do nas trafiały: porzucona, samotna i niepewna. Wyrzucałam sobie, że nie dotarłam do niej wcześniej, ale wydawało mi się, że jest pełna werwy. A powitalną kolację, którą zafundowała pensjonariuszom, wzięłam za przejaw jej dobrej woli i nastroju. Czyżbym przeoczyła jej prawdziwe rozterki?

Siedziała z książką w dłoniach i wydawała się zadowolona.

– Co pani czyta? – spytałam na powitanie.

– Romansidło, moja kochana. Uwielbiam miłosne historie i rodzinne tajemnice.

– U mnie w rodzinie nie było żadnych tajemnic – odparłam. – Nuda, pani Zofio. A jak u pani? – dodałam ze śmiechem.

– Kochana, każda rodzina przechowuje jakąś tajemnicę. – Spojrzała znad okularów. – Potrzeba tylko pisarza, który by ją ujawnił na kartach powieści.

Wspomniałam czasy, kiedy sama myślałam o pisaniu i wymyślaniu ciekawych fabuł. Przypomniała mi się polonistyka i moje nadzieje, co będę po niej robić. Może uczyć dzieci ojczystego języka, a może redagować książki? O nieosiągalnym marzeniu ich tworzenia nie chciałam myśleć.

– Pewnie tak, pani Zofio – odparłam. – Jak się pani u nas czuje? Zawsze jestem w pobliżu, więc proszę mną dysponować. Zawsze podejdę i porozmawiamy. Chyba że mnie pani z punktu nie polubiła? – zagadnęłam przekornie.

– Marysiu... Czy mogę tak do pani mówić?

Przytaknęłam ochoczo. Przełamywałyśmy kolejne lody.

– Wspominałam, że mam tutaj dom – westchnęła. – Chciałabym go odwiedzić. Dom pełen wspomnień – dodała z łezką w oku. – Czy miałabyś ochotę mi towarzyszyć?

– Oczywiście – zadeklarowałam, wiedząc, że sprawię przyjemność starszej pani.

– To jesteśmy umówione. – Dostrzegłam błysk w jej oku.

Musiałam już tylko skonsultować naszą wyprawę z szefową.

## Rozdział 26

### Aleksandra

Do Wielkanocy pozostawały dwa tygodnie, które w całości postanowiłam poświęcić pracy. Z jednej strony gonił mnie termin oddania tłumaczenia, z drugiej pragnęłam odsunąć od siebie obawy o wynik badania prenatalnego, które wyznaczono na pierwszy tydzień po świętach.

Nie planowałam gigantycznego sprzątanego ani gotowania dla naszej niewielkiej rodzinnej gromadki. Tradycyjnie zapraszaliśmy rodziców, ale teraz zostały mi tylko mama i ciotka Waleria, która po śmierci taty częściej odwiedzała siostrę. Byłam jej wdzięczna za zainteresowanie i ceniłam tę siostrzaną relację. Czasami wyobrażałam sobie, jak bym się czuła, mając rodzeństwo, jednak nie dane mi było tego doświadczyć.

Od momentu, kiedy Jaś przyjął do wiadomości istnienie dwóch płodów, a nawet jak gdyby zaczął się cieszyć z zaistniałej sytuacji, wstąpił we mnie radosny duch.

Pozostawało dbać o Marię i jej ciążę, i modlić się o szczęśliwe narodziny maluchów.

Dzwoniłam do niej codziennie, zapraszałam do domu, za każdym razem przygotowując coś smacznego. Mimo pewnych oporów zgodziła się przedstawić mi swoją córkę Kalinę.

Okazała się bardzo podobna do matki. Odziedziczyła po niej ciemne, gęste włosy, przenikliwe spojrzenie spod długich rzęs i ładny szczery uśmiech. Mimo kalectwa wydała mi się dużo bardziej pogodna niż Maria. I bardziej bezpośrednia. Bez problemu nawiązałyśmy kontakt. Chętnie odpowiadała na dość rutynowe pytania o szkołę i zainteresowania, niezrażona obecnością matki, która siedziała obok niej jak trusia. Oddała córce cały pierwszy plan.

Mogła być dumna z córki, którą odebrałam jako niezwykle elokwentną młodą osobę o sprecyzowanych planach, co w przypadku piętnasto- czy niemal szesnastolatki nie jest sprawą oczywistą. Ja w jej wieku bujałam w obłokach, korzystałam z wolności i dobrobytu, ona już wiedziała, że będzie studiować polonistykę. Pisywała dla przyjemności, a nawet wysyłała teksty na różne konkursy.

Nie śmiałam pytać, z jakim skutkiem, dopóki sama nie zdradziła mi, że niedawno zdobyła wyróżnienie za opowiadanie w konkursie rozpisany przez duże wydawnictwo.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Zaskoczona Maria wtrąciła się do rozmowy.

– Och, wygadałam się! Przykro mi, mamuś, to miał być prezent dla ciebie na święta... – Kalina posłała matce przepraszające spojrzenie.

– Które to opowiadanie?

– Nie znasz. Takie tam... O miłości nastolatków. Nic specjalnego.

Próbowała porzucić temat, więc przysłam jej z pomocą.

– Czy kiedyś pozwolisz mi je przeczytać?

– Nie będę mieć wyboru. Ukaże się drukiem w specjalnym numerze kwartalnika „Młodzi Piszą”.

– Oczywiście kupię i poproszę autorkę o autograf. – Uśmiechem podsumowałam wiadomość o literackich uzdolnieniach panny Leśniewskiej.

Nie rozmawiałyśmy o ciąży Marii, nie poruszałyśmy trudnych zagadnień. Zostałam poinformowana, że Kalina wie o wszystkim, ale nie widziałam powodu, by w jej obecności przepracowywać temat.

– Jestem pod jej ogromnym wrażeniem – relacjonowałam Jaśkowi spotkanie z Marią i jej córką.

– Mądra, wyważona dziewczyna, o ogromnej wrażliwości. Przekonam się, jak pisze, ale na podstawie jej wypowiedzi i sądów robię sobie duże nadzieje.

– Na co? – nie zrozumiał mój mąż.

– Nie wątpię, że Kalina wdała się w Marię. Pamiętasz, mówiłam o jej studiach polonistycznych?

Co prawda dzieci odziedziczą nasze geny, ale miło, że nosi je rozsądna, inteligentna kobieta, która potrafiła tak dobrze wychować swoją córkę. I mimo straszliwego wypadku nadać jej życiu sens.

– Olu, nie przesadzaj. Leśniewska ma dbać o siebie i ciążę. Skoncentruj się na tym i nie przypisuj

jej nadmiernej wagi w tym przedsięwzięciu. Dobrze, że Leśniewski przychodzi do pracy trzeźwy i jeszcze przed nikim nie wygadał się, jaką rolę odgrywa jego żona.

Nie lubiłam, kiedy mój Jaś był taki zasadniczy i pozbawiony emocji. Przecież mógł przytaknąć, pochwalić wybór Marii na matkę zastępczą, zastanowić się chwilę nad tym, co do niego mówię. A nie gasić wszelkie przejawy radości i satysfakcji.

Pewnie powinnam na tym zakończyć rozmowę, ale jakiś walczący z rozsądkiem chochlik kazał mi kontynuować.

– Nieprawda, Janek. Czy tego chcesz, czy nie, Maria jest ważna w naszym życiu. Mam ci przypomnieć, że to niejedynie brzuch? – powiedziałam powoli, akcentując każde słowo. – I proszę, żebyś ją dobrze traktował.

– A co ja robię?

– Lekceważysz ją, traktujesz instrumentalnie. Nie rób tego przy mnie, proszę – zakończyłam i odeszłam od stołu.

Naładowana emocjami musiałam porozmawiać z Mileną. Ułatwiła mi kontakt, nieoczekiwanie zapraszając na podziwianie świeżo wyremontowanej łazienki. Wpadłam do niej następnego dnia, korzystając z okazji, że Kacper był w pracy, dziewczynki w szkole i przedszkolu, a ona miała popołudniowy dyżur w bibliotece.

– No i jak? – Otworzyła przede mną trzymetrowy „salon kąpielowy” w nowej odsłonie.

Pochwaliłam, wyraziłam nieklamany zachwyt, czym usatysfakcjonowałam gospodynię.

– A wiesz, co mi się najbardziej podoba w nowej łazience? – spytała.

– No?

– Że jest już po remoncie! – Roześmiała się, zaprosiła do pokoju i podała świeżo upieczone domowe ciasteczka. – A teraz mów, jak przebiega ciąża i co Janek powiedział na bliźniaki. – Przeszła do rzeczy, jak zwykle gdy nie miałyśmy zbyt dużo czasu.

– Zaakceptował, rzekomo się cieszy, jeśli ja jestem zadowolona, ale chyba kryje się z prawdziwymi emocjami. A nawet bywa zniecierpliwiony, kiedy mówię o Marii albo o jej córce – wspomniałam Kalinę i opowiedziałam Milenie o naszym ostatnim spotkaniu.

Tym razem nie broniła Jaśka.

– Olka, trudno mi się wczuć w waszą sytuację. Rzeczywiście, z tego, co mówisz, Janek w delikatny sposób dystansuje się od pomysłu na matkę zastępczą. Może się w końcu przekona, kiedy zobaczy dzieci? Nie wiem. Ale czy pozostaje inne wyjście niż czekanie?

Przyznałam jej rację. Przed nami było jeszcze ponad siedem i pół miesiąca ciąży, które musieliśmy jakoś przeżyć. Złe emocje oboje powinniśmy odłożyć na bok.

Milena radziła, by nie podejmować trudnych tematów.

– Jesteś podenerwowana badaniami prenatalnymi. Poczekaj na wyniki, a kiedy okaże się, że wszystko jest w porządku, dojdziecie z sobą do ładu. Będziecie oczekiwać rozwiązania, zaczniecie przygotowywać wyprawkę, Janek oswoi się z wizją zostania ojcem, wszystkie puzzle tej układanki wpadną na swoje miejsca.

Takiego wsparcia mi było trzeba. A kiedy wieczorem Jaś zapowiedział, że na Wielkanoc przyjedzie do nas Wioletta z Dimitrisem i synami, bardzo się ucieszyłam. Z osiadłą przed kilkunastoma laty na Krecie rodziną sios-try Jaśka utrzymywaliśmy fajny kontakt. Nikos miał dziesięć lat, Kostas dwa lata mniej. Wybierali się ze względu na matkę Jaśka i Wioletty, a moją teściową Danutę, która mieszkała kilkadziesiąt kilometrów od nas, w niewielkim domu, w niewielkim mieście. Chcieli zatrzymać się u nas. Miałam wielką ochotę zobaczyć się z nimi wszystkimi i ich ugościć.

– Bardzo się cieszę! – wyraziłam radość na wieść o wspólnych świętach, chociaż mąż nie pytał mnie o zdanie.

A może po prostu już je znał?

Praca, niestety, znów poszła w odstawkę, bo zajęłam się kompletowaniem wielkanocnych prezentów i planowaniem menu. Do kuchennych zajęć wciągnęłam mamę i ciotkę Walerię, która z największą przyjemnością oddawała się pichceni. Wiedziałam, że na świątecznym stole nie zabraknie tradycyjnych polskich potraw ani kolorowych sałatek.

Tonąc w przygotowaniach, na chwilę zapomniałam o badaniach prenatalnych, ale nie o Marii. Przygotowałam kosz smakowitych prezentów i kilka książek dla mojej zastępczej mateczki, jak ją zaczęłam nazywać w myślach, oraz dla Kalinki i pojechałam na ich osiedle.

Otworzył mi pan Leśniewski.

– Aleksandra Boryk. Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać – zaczęłam, stawiając kosz na wycieracze. – Przywiozłam dla państwa drobiazg na święta. Zastałam Marię?

Mężczyzna wykonał gest, który odebrałam jako zaproszenie do wejścia.

Wtargałam pakunek do niewielkiego przedpokoju.

– Żona jest w pracy, córki nie ma. Leśniewski. – Wyciągnął dłoń na powitanie.

– Wszystkiego najlepszego z okazji świąt. I jeśli się przyda, to proszę. – Podałam mu kosz.

– Dziękuję. Napije się pani herbaty?

Z grzeczności nie odmówiłam, chociaż facet nie wydawał mi się przyjazny.

Pogadaliśmy chwilę. W stosownym momencie wstałam jednak z krzesła, wymawiając się brakiem czasu przed świętami. Na koniec spytałam, jak się czuje Maria.

– Różnie. Jak to w ciąży bliźniaczej – odparł. – Kto tego nie przeżył, ten nie wie – dodał, wyraźnie dążąc do konfrontacji.

Nie wiedziałam, o co mu chodziło, i nie chciałam wiedzieć. Niemiły gość, nieprzyjemna sytuacja, w niczym przeze mnie niezawiniona. Powinam mu powiedzieć, że w końcu płacę sto dwadzieścia tysięcy za te niewygody i po tysiącu miesięcznie na utrzymanie, ale to byłoby poniżej mojej godności. Pan Leśniewski wyrażał swoje zdanie, ale Maria, w co wierzyłam, miała inne.

– Proszę przekazać żonie i córce najlepsze życzenia świąteczne i ten prezent. Miło mi było pana poznać – powiedziałam i podażyłam do windy.

W domu zastałam Jaśka w dobrym nastroju. Jutro rano miał pojechać po rodzinę siostry na lotnisko i zaskakiwał humorem.

– Gdzie moja pani tak długo się podziewała? – dopytywał od progu, robiąc oko w kierunku butelki mojego ulubionego merlota, która zajmowała poczesne miejsce na stole.

– Byłam u Leśniewskich z prezentem świątecznym – odparłam.

– I jak?

– Z czym?

– Chyba byli zadowoleni?

– Zastałam męża Marii.

– Niezły gbur. – Podeszedł i chwycił mnie w ramiona.

– Trochę. – Próbowałam się wysupłać, bo na wspomnienie Leśniewskiego zrobiło mi się nieprzyjemnie.

– Zapomnij o nich, choćby dzisiaj – poprosił Jaś. – Zrobią swoje i mogą odejść. I proszę cię o jedno, kochanie: nie przyzwyczajaj się do nich za bardzo. A teraz usiądź i pozwól sobie podać kolację.

– Pobiegł do kuchni, by przynieść aromatyczną zapiekankę.

Poznałam, że pochodzi z naszej ulubionej knajpki, ale udałam niewiedzę.

– Dziękuję. Pachnie wspaniale.

## Rozdział 27

### Aleksandra

Dobry humor nie opuszczał Jaśka również rankiem. Przed wyjazdem po rodzinę Portarianosów mój mąż z zapałem dopieszczał maskę wcześniej wypucowanego auta, na wszelki wypadek sprawdzał poziom oleju i płynu w spryskiwaczu, podśpiewując pod -nosem.

Do Wielkanocy zostały dwa dni. Większość przygotowań miałam za sobą.

– Kiedy przywieziesz mamę? – zapytałam.

– Jutro skoczymy po nią z Dimitrisem – odparł, całując mnie w przelocie.

Cieszyłam się, że choć na chwilę zostawił za sobą sprawy zawodowe i był w domu nie tylko ciałem, ale i duszą.

– Powiemy im? – spróbowałam ustalić wspólne stanowisko w kwestii surogatki.

– Pewnie. Nie widzę powodu, by ukrywać przed nimi prawdę.

Odetchnęłam z ulgą. Nasza tajemnica ciążyła, więc możliwość swobodnej rozmowy na absorbujący temat stanowiła miłą perspektywę.

– Jedź już, kochanie, bo spóźnisz się na samolot. – Wskazówki zegara pędziły naprzód, a Jaś wciąż ścierał z maski auta niewidoczne pyłki.

– Przygotowałaś mi kawę do samochodu? – zapytał. Na widok termicznego kubka, który przyniosłam z kuchni, uśmiechnął się z uznaniem.

– Jak bym mogła zapomnieć? Ruszaj i jedź bezpiecznie.

Odetchnęłam, kiedy wreszcie umościł się za kierownicą, by po chwili zniknąć za rogiem.

Wieczorem siedzieliśmy już wszyscy przy wspólnym stole, serdecznie powitawszy moją szwagierkę i Dimitrisa, którego zawsze pogodny nastrój rozsiewał dobre fluidy.

Wioletka, starsza o siedem lat od Jaśka, w przeciwieństwie do brata była drobną kobietą o delikatnej urodzie jasnej blondynki, czym swego czasu zaskarbiła sobie podziw i namiętną miłość dobrze zbudowanego, choć niezbyt wysokiego Greka.

Historia Portarianosów miała swój początek w trakcie jej wakacyjnego wyjazdu na Kretę. Wystarczył jeden obiad w lokalnej tawernie w Agios Nikolaos, który zafundowała sobie z koleżanką w przerwie między opalaniem i kąpielami w niebieskich wodach Morza Kreteńskiego, by jej życie uległo całkowitej odmianie. Przystojny i bezpośredni właściciel lokalu osobiście przyniósł rachunek, a wraz z nim kartkę z prośbą o spotkanie. W pierwszym momencie Wioletta zamierzała odmówić tak otwartej propozycji, ale uległa czarowi południowego spojrzenia. Kolację zjadła już w towarzystwie Greka, który zawładnął jej uczuciami.

Pamiętam rodzinne rozmowy, niezadowolenie teściowej z powodu tego „zauroczenia”, jak twierdziła, i robenie wszystkiego, byleby tylko uchronić córkę przed fatalnym pomysłem poślubienia Greka i nie daj Boże przeniesienia się na „drugi koniec świata”.

Popierałam szwagierkę, szóstym zmysłem wyczuwając autentyczne uczucie, ale mój mąż stawał po stronie matki.

– Nie rozumiem, jak można w tak krótkim czasie zdecydować się na ślub. Znają się dopiero od tygodnia.

– Ona jest szczęśliwa... – broniłam.

– I do tego głupia. Ma trzydzieści dwa lata i bierze pierwszego lepszego faceta, jaki się jej napatoczył! A przecież ma jeszcze czas, żeby znaleźć kogoś wartościowego! – pomstował nad, w jego mniemaniu, lekkomyślnością siostry. – A jeśli to jakiś naciągacz i podrywacz turystek? Tak tego nie zostawię! – skonkludował i jako jedyny mężczyzna w rodzinie przyjął na swoje barki obowiązek odwiedzenia siostry od decyzji wzięcia ślubu z tym „nieszczęsnym Grekiem”.

Jednak zmasowany atak teściowej i Jaśka nie odniósł oczekiwanego skutku.

Pod koniec sierpnia braliśmy udział w greckim weselu na Krecie. Zakochana Wioletta porzuciła

pracę w korporacji, by pomagać mężowi w tawernie, w ekspresowym tempie urodziła syna Nikosa, a dwa lata później Kostasa i wsiąkla w atmosferę wyspy, miejsca urodzin mitologicznego Zeusa.

Jak pokazał czas, strzała Amora okazała się nie tylko celna, ale i trafiona. Portarianosowie byli wzorową parą, której dom wypełniało żywe od dwunastu lat uczucie. Wielokrotnie odwiedzaliśmy ich w Agios, zawsze mogąc liczyć na serdeczne przyjęcie. Ponieważ jednak z powodu rodzinnego interesu rzadko zaglądali do Polski, ich przyjazd sprawił mi dużą przyjemność.

– Szwagrze, przepraszam, że nie przygotowałam pieczonego barana i w te święta będziesz musiał jeść po polsku – zażartowałam. – Nie jestem może wytrawną kucharką, ale wsparły mnie mama i ciotka Waleria. – Na wielkopiątkowym stole postawiłam z uśmiechem postne dania.

Wiedziałam, że podobnie jak my, Grecy przed Wielkanocą przestrzegają ścisłego postu, jedząc w tym czasie owoce morza, taramasalatę, czyli dip z mleczka dorsza, chałwę. Ja natomiast zaproponowałam łososia ze szpinakiem i fetą w cieście francuskim uformowanym na kształt ryby, nasze polskie sałatki śledziowe, pieczonego sandacza i świeżą zieleninę.

Goście jedli ze smakiem. Doczekałam się nawet słów uznania od szwagra.

Najtrudniej było porozumiewać się z chłopcami. W domu mówili po grecku, znali podstawy angielskiego, niestety polski opanowali jedynie w stopniu podstawowym.

– Dimitrios nie mówi po polsku, a ja nie mam zbyt dużo czasu, by ich uczyć – ubolewała szwagierka. – Rosną mi mali Grecy.

Mali, ale bardzo ruchliwi, pomyślałam, spoglądając na pełnych życia chłopców, których trudno było utrzymać przy stole. Kiedy po wykonaniu kilku rund po ogrodzie i wypróbowaniu na świeżo przyciętym trawniku nowej piłki do nogi, którą od nas dostali, zasiedli przed komputerem, zapanowała chwila spokoju.

– Trudne wyzwanie – skwitowałam, wskazując na synów Wioletty.

– To po Dimitrisie. – Spojrzała na męża z miłością. – Wszystko przed wami – dodała, zanim ugryzła się w język.

Nie chciałam zakłócać wieczoru trudnymi tematami, chociaż świerbiło mnie, by właśnie teraz wspomnieć o surogatce.

Zrobiłam to następnego dnia, kiedy Jaś ze szwagrem pojechali po teściową i zostałyśmy same.

– Wspaniały pomysł, Olu! Już jakiś czas temu chciałam wam go podsunąć, bazując na doświadczeniu mojej bliskiej znajomej, ale nie wiedziałam, jak to odbierzecie.

– To była trudna decyzja. U nas bardzo niepopularna – odparłam. – Nikomu o tym nie wspominałyśmy.

– Dlaczego? W Grecji matki zastępcze wspiera państwowa służba zdrowia, mają opiekę lekarską, wszystko refundowane. Byleby tylko rodzice mieli upragnione dziecko!

Trochę mi ulżyło. Szczerze porozmawiałyśmy o moich sześciu poronieniach, nareszcie, mając świadomość pełnej akceptacji, mogłam wyrazić obawę o wynik badań prenatalnych i szczęśliwe rozwiązanie. Powiedziałam Wioletcie o ciąży bliźniaczej.

– Fantastycznie! Dwoje za jednym zamachem! Na początku będzie trochę ciężko, ale potem jaki komfort! Naszych chłopaków dzielą jedynie dwa lata, więc są dla siebie dobrym towarzystwem. Na szczęście młodszy Kostas jest bardziej przebojowy od Nikosa i nie pozwala się zdominować. Bardzo się cieszę! – Szwagierka ogarnęła mnie ramieniem.

– Jakie miłe święta! – relacjonowałam Milenie, do której w Wielkanoc zadzwoniłam z życzeniami. – Mam Portarianosów, mamę, Walerię, teściową. Cała rodzina wie o Marii, czuję swobodę i spokój.

– My też rodzinnie – odparła przyjaciółka. – Dziewczynki dziękują za prezenty i dopytują, kiedy znowu będą u was spać. Nie czuj się zobowiązana, po prostu sygnalizuję, że tęsknię za swoją ukochaną cioteczka.

Posłałam im całusy i pobiegłam do kuchni, w której Wioletta sprzątała po świątecznym śniadaniu.

– Przepraszam, musiałam zadzwonić do Mileny – wytłumaczyłam krótką nieobecność.

– Żurek z jajeczkiem był wspaniały! – Na znak rozkoszy podniebienia przymknęła oczy. – I ta

pieczona biała kielbasa na podsmażonej kapuście! I gotowana szynka, schab ze śliwką, miódzio. Domowy pasztet też przedni – dodała.

– A to już zasługa Walerii. – Oddałam hołd kulinarnym talentom ciotki. – Moje były tylko sałatka warzywna i biała kielbasa.

Wiola spojrzała tęsknie przez okno, zawieszając wzrok na ścianie rosnących przy płocie daglezi.

– Wiesz, lubię tę ich magiritę – wspomniała zupę, bez której żaden Grek nie zasiadłby do wielkanocnego stołu – a nawet toleruję kokoretsi, chociaż nie przepadam za baranią wątróbką, ale to nie to samo, co nasza pachnąca szynka i biała na kapuście. – Sięgnęła po kawałek kielbasy, który wciąż leżał na półmisku. – Ale ciasta mają dobre – wspomniała słodki chlebek tsoureki, przypominający naszą chałkę, i ciasteczka zwane koulourakia.

– To przyzwyczajenie, smaki dzieciństwa. Tęsknisz czasami za Polską?

Zacisnęła na chwilę usta i zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Tylko czasami. Mój dom jest na Krecie, z chłopcami, przy Dimitrisie. Przyjedziecie do nas latem?

– Zobaczmy, jak się rozwinie ciąża Marii. Wiesz, że za niecałe dwa tygodnie jadę na Łotwę? – Pozostałam przy tematach wyjazdowych. – Krasts zaprosił mnie na targi książki.

Krojąc ciasto na deser, porozmawiałyśmy przez chwilę o mojej pracy zawodowej. Temat gonił temat, niestety pozostał nam ostatni wspólny wieczór. Portarianosowie na kolejną noc jechali do teściowej, a stamtąd prosto na lotnisko.

Spakowałam dla Wioli resztę pasztetu i specjalnie odłożoną gotowaną szynkę.

Po powrocie do Grecji przesłała mi wiadomość z podziękowaniem za gościnę.

„Jestem szczęśliwa, że mogłam Was zobaczyć i porozmawiać z Tobą w cztery oczy. Dimitris już w tawernie, ja zaczynam od jutra. Chłopcy nie rozstają się z piłką. Do szybkiego spotkania. W.”.

Westchnęłam na wspomnienie miłych chwil, ale moje myśli wkrótce zaabsorbowało badanie, na które następnego dnia miałam zawieźć Marię do kliniki.



## Rozdział 28

### Maria

Okres przedświąteczny i święta miałam bardzo pracowite, choć niepozbawione miłych chwil. Należałam do grupy osób, które przedkładają Wielkanoc nad Boże Narodzenie, z jej często słoneczną pogodą, radosną atmosferą obwieszczającą nadejście wiosny, pachnącą szynką, którą zazwyczaj dostawaliśmy od rodziny ze wsi, talerzem pełnym malowanych jajek i wazonem bazi, żółtych narcyzów i brzoszowych gałązek pokrytych jasnozielonymi listkami.

Święta nadziei, tak o nich myślałam, ciesząc się powiewem ciepłego powietrza i mającą na horyzoncie wstęgą rzeki, która połyskiwała w słońcu niebieską tonią.

Wraz z odejściem zimy nadchodził czas spacerów z Kaliną na błonia i zażywania świeżego powietrza. A w tym roku robiłam sobie również nadzieje na wizyty w ogrodzie Aleksandry, do których szczerze zachęcała.

Ola zdążyła poznać moją córkę i mała chyba przypadła jej do gustu. W czasie jednego ze spotkań Kalina wyjawiała nawet informację o wygranej w konkursie literackim, czym mnie niezmiernie zaskoczyła. I choć odczułam nutkę zazdrości, że jako pierwsza dowiedziała się Aleksandra, szybko pokonałam zawód, zobaczywszy, że te dwie bliskie mi kobiety potrafią się dogadywać.

Kalina wróciła od Boryków podbudowana i chętna do dalszych kontaktów z Olą.

– Dostałam od pani Aleksandry wszystkie książki, które przetłumaczyła. – Z dumą wypakowała kilka całkiem okazałych tomów. – A tę *Krainę mrozu* Krasts Mihelons będzie podpisywać na targach książki w Rydze pod koniec kwietnia. Pani Ola będzie tam honorowym gościem z Polski i przywiezie mi autograf autora! – relacjonowała podekscytowanym głosem, jak gdybym nie towarzyszyła jej w trakcie wizyty u Boryków.

– Wspaniale, córuś, że dostałaś do przeczytania książki z pierwszej ręki. Od tłumacza. – Byłam wdzięczna Aleksandrze za zainteresowanie.

– Nie zrozumiałaś, mamuś. Ona mi je dała na zawsze. Muszę przygotować na nie półkę. Kiedy je przeczytam, postawię na honorowym miejscu. Jeszcze nigdy nie poznałam żadnego pisarza ani tłumacza. To takie fantastyczne! Mamuś, jak to dobrze, że na nią trafiłaś!

Doceniałam gest Aleksandry, zdając sobie jednak sprawę, że nasze kontakty wynikają wyłącznie ze wspólnego celu, żeby nie użyć słowa „interes”. Tyle że, podobnie jak Kalina, dostrzegałam w Oli szereg dobrych cech. Gdybyśmy spotkały się w innych okolicznościach, mogłybyśmy nawiązać przyjaźń. Teraz jednak najważniejsze były dzieci, których nie mogłam stracić z oczu.

– Na razie, Kalinko, przeczytaj książki łotewskiego autora i zobacz, czy przypadną ci do gustu. Pożyczysz mi jedną? – Zerknęłam na okładkę przedstawiającą plażę i spokojne morze z kutrem na horyzoncie. Pod nazwiskiem autora widniał tytuł: *Kiedy nadejdiesz*.

– Bierz. Ja zacznę od *Krainy mrozu* – wyraziła zgodę i z książką pod pachą zniknęła w swoim pokoju.

Wiedziałam, że kolację zje u siebie, bo oderwanie jej od lektury było zazwyczaj sprawą niemożliwą. Chyba że przychodził Krzysiek.

Moje serce wezbrało radością. Kalina epatowała szczęściem, ja „zarabiałam” na jej operację, Władek pracował i tylko czasami spotykał się ze Staszkiem, w domu opieki panował spokój. Żaden z naszych pensjonariuszy nie chorował, Julian wprowadzał pogodny nastrój, a nawet zbliżyłam się z Izą, podobnie jak ja opiekunką starsuszków.

Po ostatniej rozmowie z Honoratą, którą do tamtej pory miałam za swoją najlepszą przyjaciółkę, czekałam na telefon od niej czy jakikolwiek akt dobrej woli, niestety bezskutecznie. Widocznie odsądziła mnie od czci i wiary i postanowiła zarzucić kontakty.

Brakowało mi dawnej Honorki, naszych rozmów i jej dobrego humoru. Z uczuciem przykrości przechodziłam obok jej księgarni przy głównym miejskim deptaku, a nawet wypatrywałam sylwetki

właścicielki. Kiedy jednak ją dostrzegłam, przyspieszałam kroku. Znała mój numer i w każdej chwili mogła z niego skorzystać.

Życie nie znosi próżni i prędzej czy później wypełnia luki po różnego rodzaju stratach. Dostrzegłam Izę, do tej pory zwykłą koleżankę z pracy, kumpelę od szybkiej kawy w przerwie między obowiązkami. Łączyły nas doświadczenia rodzicielskie i wymiana informacji na temat dzieci. Ja chwaliłam się literackimi zainteresowaniami Kaliny, ona snuła opowieści o dwójce swoich pociech i mężu, który był jej oczkiem w głowie. Januszek jeździł na tirach, w domu bywał gościem, ale zawsze pożądanym i oczekiwanym. Znałam jego upodobania kulinarne, imiona jego przyjaciół, skłonność do oglądania zawodów sportowych, bo o uprawianiu sportu raczej mowy nie było. Gwiazda Januszka przyćmiewała Bartka i Kasię, dzieci obojga, teraz już uczniów pierwszych klas szkoły podstawowej.

Gryzłam się w język, kiedy Iza stawiała męża na piedestale, a nawet usprawiedliwiała jego drobne potknięcia. To, że zapominał o jej urodzinach czy rocznicy ślubu, było według mojej koleżanki niegodne uwagi. Przecież należało być wyrozumiałym dla mężczyzny, który wykonuje tak ciężką pracę i utrzymuje rodzinę. Nie mnie jednak oceniać stosunki małżeńskie Izy, tym bardziej że Włodek również nie należał do ideałów.

Moja koleżanka kochała swoją drugą połówkę i miała poczucie szczęścia. Nikt nie mógł go jej zakłócić. Może i ja powinnam docenić to, co mam, i uczyć się od niej?

Po przyjeździe do pracy na poranną zmianę zastałam w naszej kuchence Julka przy ekspresie do kawy. Dostałam swoją filiżankę.

– Przygotujesz i dla mnie? Muszę zajrzeć do pani Zofii.

Skinął głową i obdarował mnie szerokim uśmiechem.

Powędrowałam do pokoju na końcu korytarza i zapukałam cicho w obawie, że obudzę starszą panią. Słuch miała dobry, ponieważ po chwili doszły mnie słowa zachęty.

– Otwarte. Proszę wejść.

Siedziała na łóżku, już ubrana, i przeglądała album ze zdjęciami.

– Pani Zofio, teraz, przed śniadaniem wpadłam na chwilę umówić się na nasze wielkie wyjście. Czy mogłybyśmy zorganizować je tydzień po świętach? Przed Wielkanocą mamy sporo zajęć związanych z przygotowaniem pensjonatu. A potem będę mogła pani oddać cały mój czas i uwagę – zaproponowałam.

– Oczywiście, kochana. Teraz nawet nie mam ochoty stawić czoła przeszłości. Zerknij, dziecko, na to zdjęcie mojego Arkadiusza.

Zobaczyłam pultaśnego bobasa w wózku.

– A teraz trochę starszy. – Pani Zofia wskazała na pokaźnych rozmiarów mężczyznę w starszym wieku. – Nigdy się nie ożenił, całe życie mieszkał sam – westchnęła. – Nie wiem, dlaczego tak długo byłam w Niemczech. Powinnam do niego przyjechać i się nim zaopiekować. Może uchroniłabym go przed zawałem? – Jej oczy zaszyły mgłą. – Z powodu wspomnień boję się nawet iść do własnego domu. Wiesz, że od chwili przyjazdu tutaj jeszcze nie byłam na grobie syna?

Powinnam zaproponować natychmiastową wycieczkę na cmentarz, ale do świąt pozostały zaledwie trzy dni i miałam mnóstwo pracy.

– Przepraszam, pani Mario, pojedziemy tam po świętach, dobrze? Ja wiem, jakie to dla pani ważne...

Przerwała mi.

– Oczywiście. Arkadiusza nic już nie wskrzesi. Żaden znicz na grobie. Pojedziemy po świętach.

Do kuchenki wróciłam przygnębiona. Juliusza już nie było, za to na stole, w miejscu, gdzie zazwyczaj siadałam, stała filiżanka cappuccino z pięknie wykreślonym serduszkciem.

– Zobacz, jakiego mamy mistrza baristę. – Pokazałam dzieło naszego rehabilitanta Izie, która krótko po mnie weszła do pomieszczenia.

Wbrew moim oczekiwaniom nie wykazała zainteresowania. Dostrzegłam, że z trudem tłumi łzy.

– Pan Teodor znowu był nieprzyjemny? – spytałam.

Staruszek czasami dawał upust swoim frustracjom.

– Januszek... Nie wiem, co robić! – rozszlochała się Iza.

Przeraziłam się nie na żarty. Czyżby jej mąż miał wypadek?

– Co z nim?

– Zostawił mnie! Wyobrażasz sobie?! Januszek ma kochankę, która spodziewa się jego dziecka! Dzisiaj wyprowadził się z domu! – krzyczała, zakrywając dłońmi uszy.

– Spokojnie, zacznij od początku. Może sytuacja nie jest taka groźna. – Próbowałam pomóc, zamknąwszy wcześniej nóż, który otworzył mi się w kieszeni.

– Maria, to koniec. I teraz nie będę gadać, bo idę do domu. Nie wiem, czy dojdę, bo może po drodze utopię się w rzece! – zawołała zrozpaczona.

– Zostań, porozmawiajmy!

Nie dała się zatrzymać.

Musiałam zakasać rękawy i pracować za nas dwie, a w dodatku wyjaśnić pani Wiesi nieobecność Izy.

– Pięknie! A jutro mamy tyle pracy... Będziesz musiała zastąpić ją na śniadaniu wielkanocnym – stwierdziła ze złością. – Tak się nie robi!

W sobotę przed Wielkanocą pichciłam i malowałam jajka z Kaliną. Staralam się bardzo, by świąteczne potrawy zrekompensowały rodzinie moją nieobecność przy stole. Władek nie był zadowolony, ale łaskawie przyjął ten fakt do wiadomości. Tym bardziej, że niespodziewanie przyjechali Marcinowie i przywieźli kosz wypełniony wyrobami po bicu świniaka.

Kiedy wróciłam po śniadaniu w domu opieki, towarzystwo raczyło się swojskim bimberkiem i okrawało smakowite kąski szynki.

W pewnym momencie mój nieco już wstawiony mąż wyjął zza szafy kosz pełen prezentów.

– To od Borykowej – oznajmił. – Była tu kilka dni temu i zostawiła.

– Władek, dopiero teraz mi mówisz?

– A kto to jest ta Borykowa? – odezwał się Marcin. – Oliwki, jakieś bombonierki... Kurczę, same frykasy! – Wyjmował z koszyka słoiki i pudełka. – Czym się zasłużyłeś, bracie, że kobieta tak cię dopieszcza? – Uśmiechnął się obleśnie.

– Nie ja, tylko moja żona – odparł Władek, dolewając bratu siwuchy. – Będzie rodzić jej dziecko. A właściwie dzieci – rozpędził się. – Bierzemy za to...

– Przestań! – krzyknęłam.

Gdyby wzrok mógł zabijać, mój mąż padłby trupem.

Kalina odjechała do siebie, a ja porwałam kosz i pobiegłam za nią.

– Mamuś, nie przejmuj się. I tak prawda wyszłaby na jaw.

Ja jednak patrzyłam na tę sprawę z innej perspektywy. Echa dochodzącej zza ściany rozmowy mojego męża, jego brata i bratowej nie pozostawiały wątpliwości co do poziomu ich percepcji i uwłaczały mojej osobie. W ich oczach byłam interesowną (co szybko zaakceptowali), przedsiębiorczą osobą, która dobrze się w życiu zakręciła. A Borykowie zdecydowanie powinni podwoić stawkę na bliźnięta.

Z niesmakiem słuchałam tych pijackich wywodów i prymitywnych odzywek, i rosła we mnie złość. Najchętniej zakryłabym Kalinie uszy, ale było już za późno. Słowa padły.

Gdybym grała w filmie lub była bohaterką książki, zapewne rozgoniłabym towarzystwo na cztery wiatry i wystawiła walizki męża na korytarz. Niestety, w życiu obowiązywały inne zasady i radykalne posunięcia musiały ustąpić miejsca rozsądkowi.

Zaczekałam, aż goście sami z siebie opuszczą mój dom, by w milczeniu posprzątać po biesiadzie. Nie miałam sił nawet na rozmowę z Władkiem. On jednak, podchmielony i rozochocony, robił sobie nadzieje na małe wieczorne co nieco z żoną.

– Zostaw mnie! – Odsunęłam męża, kiedy w trakcie zmywania naczyń próbował się do mnie zbliżyć.

– Dlaczego, moja piękna ciężarówko? – wybełkotał.

– Nigdy więcej tak do mnie nie mów! – odparłam, opierając się pokusie trzaśnięcia go w twarz.

– Masz pretensje, że im powiedziałem? Przecież to mój brat i bratowa!

– Władek, zostaw mnie, najlepiej na zawsze. – Nieprzewidziane słowa wypłynęły z moich ust,

ale nie trafiły do adresata.

Mój mąż sięgnął po butelkę i zasiadł przed telewizorem. Ostatnie słowa, jakie od niego usłyszałam, były zawołaniem o szklankę herbaty i kawałek schabu w galarecie.

## Rozdział 29

### Aleksandra

Uważaj na drodze, bo leje jak z cebra – przestrzegali Janek, kiedy we wtorek po lanym poniedziałku przygotowywałam się do wyjazdu do kliniki.

Łapczywie pochłaniałam ostatnie łyki kawy, jak gdyby gęsty aromatyczny płyn miał ukoić moje skołataną nerwy.

– Czym się tak denerwujesz? – zapytał mąż, kiedy po raz drugi upuściłam telefon.

– Jak to czym? Badaniami Marii. A Ciebie to nie rusza?

– Wszystko będzie dobrze. Wyczerpaliśmy już limit niepowodzeń, teraz może być tylko lepiej – pocieszył mnie i obdarował szybkim pocałunkiem. – Jestem spóźniony. Nie szarżuj na drodze – przypomniał i podniósł rękę w pożegnalnym geście.

Dałam znać Marii, że po nią jadę. Czekala przed blokiem.

Czas naglił i nie pozwalał na żaden przystanek po drodze, tym bardziej że pogoda niemiło zaskoczyła deszczem i wiatrem. Musiałam znacznie ograniczyć prędkość. Ledwie zdążyliśmy na wyznaczoną wizytę w klinice, i to tylko dlatego, że rzutem na taśmę upolowałam ostatnie wolne miejsce na parkingu.

Przywitał nas znajomy doktor Lamparski i po krótkim wywiadzie na temat samopoczucia Marii zaznajomił z rodzajem badania, jakiemu miała się dzisiaj poddać.

– Jak się panie doskonale orientują, chcemy wykluczyć u dzieci (o istnieniu drugiego płodu poinformowałam klinikę po wizycie u doktora Witaja) duże anomalie, głównie zespół Downa, zespół Pataua i zespół Edwardsa, oraz -inne choroby genetyczne. Badanie jest rutynowe i w wielu krajach zlecane wszystkim ciężarnym, więc proszę nie zakładać z góry złych wyników. Na potrzeby testu PAPP-A pobierzemy krew, by zbadać jej biochemiczne parametry. Ocenimy również parametry ultrasonograficzne płodu, głównie przezierność karkową.

– Czyli?

– Na karku każdego płodu, pod skórą, znajduje się zbiorniczek z płynem. W momencie badania USG, czyli pomiędzy jedenastym a trzynastym tygodniem i szóstym dniem ciąży, interesujący nas wymiar nie powinien przekraczać trzech milimetrów.

– A jeśli przekroczy, to co?

– Pani Aleksandro, będziemy się martwić, jeśli tak będzie. I kiedy test PAPP-A wykaże ryzyko wad genetycznych większe niż jeden do trzystu. Na razie nie widzę powodu do obaw. Panią Marię zapraszam do pielęgniarki na pobranie krwi, a potem czekam w gabinecie. – Gestem zachęcił do przejścia do drugiego pomieszczenia.

Nie odstępowałam Marii na krok, a nawet skuliłam się w sobie, widząc, jak igła wbija się w jej żyłę.

– Kiedy będą wyniki? – spytałam pielęgniarkę, ale ta odesłała nas do lekarza.

– Za dwa tygodnie – odparł, gdy ponowiłam pytanie. – A teraz proszę się położyć i unieść bluzkę.

– Skierował wzrok na Marię.

Inaczej niż przy wcześniejszych badaniach wodził słuchawką po brzuchu. Monitor skierował w swoją stronę, więc stojąc za nim, mogłam obserwować migające na ekranie linie i paseczki.

– Rzeczywiście są dwa płody – skomentował. – Serca biją, ale na razie nie jestem w stanie określić płci dzieci.

– Czy mogłabym zobaczyć? – usłyszałam cichy szept Marii.

– Za moment, bo muszę przeprowadzić badanie.

Po chwili obie dałyśmy mu spokój i czekałyśmy na werdykt, ale ten długo nie następował. Doktor Lamparski wodził końcówką aparatu po brzuchu Marii i z niepokojem marszczył brwi. Ta mimika wzbudziła moje obawy. Z trudem opanowałam pytanie, czy wszystko jest w porządku, i tylko mocniej

ścisnęłam dłoń Marii.

Moment, w którym podał jej jednorazowy ręcznik do przetarcia brzucha, uzmysłowił nam koniec badania.

– I jak, panie doktorze? – Nie potrafiłam dłużej ukryć niepokoju.

Nie odpowiedział od razu. Musiałyśmy zaczekać, aż zdejmie rękawiczki, starannie umyje ręce i wskaże nam krzesła po drugiej stronie swojego biurka.

– Nie będę ukrywał, że u jednego płodu przezierność karkowa nieco przekracza normę – zaczął.

– To jednak niczego nie przesądza. Musimy poczekać na wyniki testu PAPP-A, choć i ten, nawet jeśli wypadłby niepomyślnie, nie przesądzi o urodzeniu chorego dziecka.

Byłam przerażona. Nie tak wyobrażałam sobie wynik pierwszego badania.

– To po co się go robi, skoro nie uzyskuje się wiarygodnych wyników?

– Dla określenia prawdopodobieństwa wystąpienia nieprawidłowości, które, powtarzam, wcale nie muszą zaistnieć. Zresztą zbyt wcześnie, drogie panie, żeby o nich mówić. Poczekajmy na wyniki badań krwi.

– To znaczy, że jest jeszcze szansa, że dzieciom nic nie jest?! – podniosłam głos przerażona wizją maluchów dotkniętych chorobą genetyczną.

– Oczywiście. Wracajcie do domu i żyćcie normalnie. Zwłaszcza pani, pani Mario, niech się nie stresuje. Dam znać, kiedy będę miał komplet wyników.

Tym razem w drodze powrotnej do domu to ja byłam bardziej milcząca od mojej pasażerki. Maria próbowała mnie pocieszać, przywołując przykład swojej znajomej, która w podobnej sytuacji doczekała się narodzin zdrowego dziecka.

– To badanie przezierności na USG jest bardzo zgrubne. Wystarczy nie trafić w moment i daje nieprawidłowe wyniki. Jestem pewna, że za dwa tygodnie nam ulży – dodawała otuchy.

Jednak ja zbyt dużo przeżyłam w poprzednich ciążach, by bagatelizować wątpliwości lekarza. Wróciłam do domu załamana. Opadłam na fotel i dotrwałam bez ruchu do momentu, kiedy wrócił Jaś.

Słyszałam klucz przekręcany w zamku, doszły do mnie odgłosy zdejmowanych butów, zaskoczyło światło, które zapalił w salonie, i jego pełen zdziwienia głos.

– Ty tutaj? Olu, czy coś się stało? – Podbiegł i zmobilizował do zdjęcia płaszcza.

Na widok męża rozkleiłam się nie na żarty. Nerwy puściły.

Zrelacjonowałam mu przebieg wizyty u doktora Lamparskiego, raz po raz przetykając łzy.

– Olu, przecież nic jeszcze nie zostało przesądzone – podsumował, kiedy wreszcie zrozumiał sens wypowiedzianych przeze mnie słów.

– Mówię ci, że jest źle – powtarzałam jak mantrę. – Z pół godziny ją badał, a potem szukał słów, by w zawołany sposób przekazać fatalne informacje. Wszyscy lekarze są tacy sami! Będę cię zwodzić do ostatniej chwili. Janek, jedno dziecko jest chore.

Mojego męża zniecierpliwił chyba mój depresyjny ton, więc zmienił temat na bardziej przyziemny.

– Powinniśmy zjeść kolację. Nie wiem, jak ty, ale ja jestem głodny. Mamy coś?

– Przygotuję. – Zmusiłam się do opuszczenia fotela i poszłam przegrzebać zakamarki lodówki.

Po chwili na stole zagościło tak zwane coś z niczego. Pachnące świętami resztki białej kiełbasy z kapustą, zrazy z kaszą gryczaną i podarowana przez Dimistrisa butelka domowego wina z niewielkiej winniczki za domem.

Janek, rozparty na kanapie, odpoczywał po całym dniu. Najwyraźniej zamknął na dziś temat badań prenatalnych. Mnie jednak mina Lamparskiego przed ekranem komputera na tyle zapadła w pamięć, że nie potrafiłam odpędzić jej obrazu.

– Jasiek, a jeśli okaże się, że jedno z dzieci ma jakąś wadę genetyczną?

Spojrzał na mnie.

– Oby tak się nie stało, Olu. – Z trudem opanował zniecierpliwienie. – Dasz mi trochę odpocząć?

W gruncie rzeczy miał rację, namawiając mnie do pozytywnego myślenia. W najbliższą sobotę jechałam na Łotwę, warto było przetłumaczyć kilka kolejnych stron *Burzy w Jurmale*, by mieć czym się pochwalić mistrzowi i zawitać u niego z podniesioną przyłbicą.

No i musiałam zarezerwować bilet i ogarnąć wszelkie inne kwestie związane z wyjazdem.

Pocałowałam męża i pogadaliśmy o mojej wyprawie.

– Nie musisz mnie zawozić na lotnisko. – W głowie miałam już plan na najbliższe dni. – Mam lot o trzynastej, żeby zdążyć, nie muszę wyjeżdżać w połowie nocy. Postawię samochód na pobliskim parkingu i będzie na mnie czekał po powrocie.

Kolejne dni spędziłam bardzo pracowicie. Rozdziałów przybywało, podobnie jak sukienek, które sprawiłam sobie specjalnie na targi. W końcu Krasts nie może się za mnie wstydzić, myślałam, fundując sobie przyjemność spenetrowania kilku ulubionych sklepów i uzupełnienia garderoby.

Przeglądając wieszaki z odzieżą, myślałam o Marii, a nawet zdecydowałam się kupić jej kilka ciuzzków. Była mniej więcej mojego wzrostu i postury, choć nieco szczuplejsza, co zresztą niebawem miało się zmienić.

Podjechałam do niej dzień przed wyjazdem, stanęłam przed blokiem i zadzwoniłam.

– Możesz zejść? Jestem na dole.

Szczęśliwie dzisiaj była kobietą domową. Wyszła do mnie w skromnym paltociku, bez makijażu. Miałam ochotę objąć ją i przytulić, ale nie byłam pewna, jak odbierze ten gest.

– Cześć. Jutro wylatuję na targi, a dzisiaj coś ci przywiozłam. Może ci się spodoba? – Podałam jej torbę z zakupami.

Zerknęła ukradkiem do środka i pokręciła głową.

– Olu, ja nie mogę tego przyjąć...

– Weź. Jeśli nie będą ci pasować, oddasz. Jak się czujesz? – spytałam.

– Dobrze – odparła z lekkim wahaniem.

– Mów prawdę.

– Też się martwię wynikami – wyszeptała ze zwieszoną głową.

– Jeszcze tylko półtora tygodnia. Doczekamy. Wszystko będzie dobrze – wsparłam ją. – Niczego ci nie brakuje?

– Skądże. Mam nawet wyrzuty sumienia, że nadmiernie was wykorzystuję. Kalina czyta książki od ciebie i jest zachwycona. Dziękuję.

– Przywiozę jej *Krainę mrozu* z autografem Krastsa. Zostań w kontakcie z Jankiem podczas mojej nieobecności – poprosiłam. – W razie czego pośpiesz z wszelką pomocą – zapewniłam ją, czując bliżej nieuzasadnione wyrzuty sumienia, że wyjeżdżam, kiedy ona nosi nasze dzieci.

– Niczym się nie martw i korzystaj – odparła z uśmiechem, który dostrzegłam u niej po raz pierwszy. Wydał mi się znajomy, ale nie byłam w stanie zmaterializować w myślach osoby, która uśmiecha się podobnie.

W sobotni poranek dosiadłam mojego mechanicznego mustanga, a droga poprowadziła mnie na lotnisko. Uwielbiałam smak tego miejsca, jego zapach i atmosferę. Okna na świat, które właśnie się dla mnie otwierało. Odprawiłam się z największą przyjemnością, z podobną poddałam się kontroli, czy nie przemycam broni tudzież pilniczka do paznokci, którym mogłabym przecież zadać komuś śmiertelny cios.

Informacja stewardesy o zachowaniu się w razie wodowania też mnie usatysfakcjonowała. Zaraz po niej wznieśliśmy się w przestworza i obraliśmy azymut na Rygę. Żałowałam jedynie, że będziemy w powietrzu tylko przez godzinę.

Czułam się tak, jakbym sama dostała skrzydeł. Na mojej twarzy zagościł uśmiech. Dobry nastrój wygrał z doświadczeniami z kilku ostatnich ciężkich miesięcy. Poronienie, nowe wyzwanie z matką zastępczą, niezbyt udane USG u doktora Lamparskiego... To wszystko chwilowo zostawiałam za sobą.

Delikatne stuknięcie o płytę lotniska zasygnalizowało szczęśliwe lądowanie w Rydze. Pozostało mi odebrać bagaż i odnaleźć człowieka, który miał mnie zawieźć do hotelu. Krasts przedstawił Janisa w mejlu jako swojego asystenta i współpracownika. Wiedziałam, że na Łotwie co drugi mężczyzna nosi takie imię, ale moje myśli i tak powędrowały ku temu, którego znałam przed laty.

Pokonałam drzwi prowadzące do hali przylotów i zobaczyłam za barierką kilka osób wypatrujących gości, jednak kartki z moim imieniem lub nazwiskiem nie zauważyłam.

Może się spóźnił?, pomyślałam, ciągnąc walizę w kierunku najbliższej ławki. Jednak zanim

usiadłam, ktoś dotknął mojego ramienia.

– Ola? Przyjechałem po ciebie. Miałaś dobry lot? – usłyszałam, zanim dostrzegłam rysy mężczyzny.

Zaskoczenie mnie sparaliżowało. Przedemną stał ten sam Janis, którego urok w dawnych czasach zdecydował o wybraniu przeze mnie bałtystyki. Od naszego ostatniego spotkania minęły lata.

Wreszcie odzyskałam głos.

– Owszem, lot był bez zarzutu. Krasts nie wspominał, że dla niego pracujesz – odparłam, kiedy błędnik wrócił na swoje miejsce i przestało mi się kręcić w głowie.

– Cóż, pracuję. Pozwolisz, że wezmę walizkę?



## Rozdział 30

### Aleksandra

Mimo upływu dwunastu lat dla niego czas się zatrzymał. Janis wyglądał niemal tak samo jak wówczas, gdy po trzecim roku studiów przyjechałam na Uniwersytet Ryski w ramach wymiany studenckiej. Mówiłam po łotewsku już całkiem niezłe i miałam ogromną ochotę skonfrontować moje umiejętności w trakcie spotkania z przystojnym jasnowłosym tubylcem, który kiedyś sprawił, że serce licealistki zaczęło bić szybciej. I dla którego spontanicznie zdecydowałam o wyborze zawodu.

Wprawdzie wkrótce emocje opadły, a ja nie doczekałam się kontaktu z jego strony, ale dziewczynskie fascynacje nie przestały pobudzać wyobraźni.

Milena była pełna podziwu dla mojej wytrwałości, chociaż czasami żartowała z niej, żeby nie powiedzieć, że pokpiwała.

– Żeby pójść na studia dla faceta, którego widziałas raz w życiu! I to takiego, który mieszka w innym kraju, a w dodatku ani razu nie napisał ani nie zadzwonił?

Próbowałam się tłumaczyć.

– Milena, nie wiedziałam, co chcę studiować, a on mnie przekonał do bałtystyki. I dobrze wybrałam, bo kierunek przypadł mi do gustu. Nie marzę o Janisie jak ślepy o kolorach. Po prostu chcę się z nim spotkać i mu podziękować – wyjaśniałam, ale argumentacja nie trafiała na podatny grunt.

Usłyszałam jedynie znaczące „uhm”, poparte pełnym politowaniem uśmiechem.

W tamtym momencie trudno było się nam porozumieć. Milena wyszła za Kacpra w minione wakacje i akurat wyla rodzinne gniazdko w pokoju u teściów.

Szczerze powiedziawszy, nie zazdrościłam jej. A kiedy w październiku wylądowałam na pół roku w Rydze, zaczęłam więc swoje w akademiku. Międzynarodowa atmosfera ryskiego uniwersytetu bardzo mi odpowiadała, towarzystwo również.

Zaczęłam zwiedzanie miasta od spenetrowania starówki, a głównie wielu sympatycznych knajpek, które chętnie przyciągały studentów spragnionych lokalnego piwa czy innych trunków. Nie raz i nie dwa ciężko mi było wstawać na zajęcia z powodu bolącej głowy i zawalonej nocy, ale dawałam radę. Z czasem jednak niekończąca się balanga zaczęła mi trochę ciążyć. Wypuszczałam się na samotne wędrówki po staromiejskich uliczkach, zaglądałam do mniej uczęszczanych miejsc, odwiedzałam księgarnie. I właśnie w jednej z nich dostrzegłam Janisa, który przy regale prezentował klientowi jakieś książki. Przystanęłam jak wryta, zastanawiając się, w którą stronę uciekać. Mimo fantasmagorii o moim łotewskim idolu w obliczu rzeczywistości stchórzyłam.

Za późno. Kątem oka wychwycił mnie z tłumu i podniósł palec gestem proszącym o pozostanie na miejscu.

Nie mogłam zdezerterować.

Po pracy zabrał mnie do klimatycznej knajpki przy placu Ratuszowym, gdzie jedliśmy cepeliny, ziemniaczane kluski z mięsem okraszone smażonym boczkim. Nie miały wprawdzie nic wspólnego z dietą, ale dwa miesiące pobytu na własnym wikcie za granicą pozbawiły mnie kilku kilogramów, więc bez większych wyrzutów sumienia mogłam sobie pozwolić na grzech najedzenia się do syta. Nie ukrywam, że również na wypicie solidnego kufla piwa.

Rozmawialiśmy długo i nie brakowało nam tematów. Janis, starszy ode mnie pięć lat, po studiach miał się różnych zajęć, by chwilowo trafić do księgarni jako sprzedawca.

– Chciałbym zostać redaktorem, ale u nas jest niewiele wydawnictw, więc jak do tej pory mi się nie udało. Miło cię zobaczyć. Jak sobie radzisz? – dopytywał.

Było niezłe, skoro mogliśmy rozmawiać po łotewsku. Ja jeszcze nieco chropowato i mało finezyjnie, ale znałam język wystarczająco, by się porozumieć.

Janis odprowadził mnie do akademika i poprosił o kolejne spotkanie. Zamierzał pokazać mi wyspę Kipsalę, pełną tak charakterystycznych dla Rygi drewnianych domów. Musiałam utrzymać nerwy

na wodzy, by nie krzyknąć z zachwytu. Wiedziałam, że Milena by mnie zrugowała za pakowanie się facetowi w ramiona, ale dawne fascynacje wróciły.

Oczywiście pognałam z nim na tę Kipsalę, a w trakcie kolejnych spotkań pozwoliłam się oprowadzić po Klusais centrs, dzielnicy dziewiętnastowiecznych kamienic, z flagową ulicą Alberta iela, miejscem pełnym ambasad i ekskluzywnych sklepów. Snuliśmy się po zakątkach utkanych drewnianymi domami rodem z minionych epok, przemierzaliśmy parki, jedliśmy pielmieni w poniemieckich hangarach lotniczych, które teraz tworzyły Targ Centralny pełen stoisk z wszelakim dobrem, przysiadaliśmy w niewielkich pubach, by popatrzeć sobie w oczy.

Bo z każdym dniem mieliśmy na to coraz większą ochotę.

Na święta Bożego Narodzenia wyjechałam do Polski zaopatrzona w miłość Janisa i perspektywę wspólnego życia, którego nic oboje zaczęliśmy snuć. Wróciłam krótko po sylwestrze, stęskniona za jego bliskością. Wiozłam mu wiadomość, że przeprowadzę się do Rygi, by tam skończyć studia. Nie było łatwo przekonać rodziców, ale stanęłam na głowie, by uzyskać ich aprobatę.

Janis również miał dla mnie niespodziankę. Przygotował kolację i zadbał o miły nastrój. Po przekroczeniu progu jego mieszkania poczułam zapach smażonej ryby, doceniłam starania. Spodziewałam się specjalnej okazji. Może chce mi podarować pierścionek zaręczynowy?, przemknęło mi przez myśl, a kiedy usłyszałam, że ma mi coś ważnego do powiedzenia, z trudem powstrzymałam uśmiech.

Kolejne zdania sprowadziły mnie na ziemię.

– Sasza, chciałbym, żeby takie spotkania, kolacje, miłe chwile z tobą trwały całe życie, bo cię kocham. – Poczulałam zaniepokojenie. – Niestety, żenię się.

– Co takiego...? – wykrztusiłam. – Jak to się żenisz? Z kim i dlaczego nic o niej nie wiem?! – krzyczałam, nie bacząc na sąsiadów.

Wyjaśnił, że Inga, z którą był przede mną, urodziła mu syna. Wcześniej nie wspomniała o ciąży, bo miała faceta, który ją wystawił. Podobno nie chciał wychowywać obcego bachora.

Nie potrafiłam pojąć tej retoryki. Zdobyłam się tylko na pytanie, czy jest pewien swojego ojcostwa.

– Zrobiłem testy – potwierdził.

Byłam zrozpaczona i kompletnie zdruzgotana. Powinna natychmiast wyjść i już nigdy nie oglądać na oczy tego faceta, ale wciąż go kochałam. Górę wzięły żal i rozpacz.

– Janis, jak możesz do niej wrócić, skoro się kochamy?!

Pochylił głowę, żeby nie spojrzeć mi w oczy.

– Przepraszam, Sasza. Skele musi mieć ojca. Nie wiedziałem – dodał i zamilkł.

Nie pamiętam, w jaki sposób wróciłam do akademika i co robiłam przez kolejne dwa dni. Chyba na przemian to spałam, to piłam piwo. Telefon milczał, jeśli nie liczyć długiego esemesa od Janisa z zapewnieniem dożgonnej miłości.

Wyjechałam z Rygi po miesiącu, po zakończeniu semes-tru. Jakoś udało mi się zdać egzaminy i wrócić do domu.

Żyłam jak w transie, szukając zapomnienia. I znalazłam je, w osobie Janka. Praktykował w firmie taty, przypadliśmy sobie do gustu. Po kilku miesiącach znajomości wręczył mi pierścionek zaręczynowy na kolacji u moich rodziców. Przyjęłam go ku ucieście i uldze mamy i taty zatroskanych moim podłym nastrojem po powrocie z Łotwy.

We wrześniu byliśmy już po weselu i wprowadziliśmy się do mieszkania, które sprezentowali nam rodzice. Ukończyłam studia i przyszedł czas starań o dziecko, którego wciąż jeszcze nie udało mi się urodzić.

Teraz, po dwunastu latach, życie zafundowało mnie i Janisowi ponowne spotkanie.

Zerknęłam na niego kątem oka i mimo woli policzyłam w myślach, że Skele, powód, dla którego porzucił mnie jego ojciec, ma dzisiaj trzynaście lat. Postanowiłam jednak nie wracać do przeszłości. Miałam wspaniałego Jaśka i dwoje dzieci w drodze. Byłam tłumaczką, która realizuje się w pracy, i nie zamierzałam odgrzebywać starych frustracji.

– Wynająłem ci mieszkanie przy Strelnieku iela. – Janis przerwał ciszę. – W małym drewnianym

domku, wszystkie wygody. Pamiętam, że lubiłaś tę architekturę.

– Nie musiałeś. Mógł być hotel – odparłam.

– Przykro mi, że trafiłaś na mnie, ale może te kilka dni uda ci się przetrwać?

– Janis. – Przystanęłam i spojrzałam mu w oczy. – Nie myślę o tobie od wielu lat. Co było, minęło. Mam wspaniałego męża i jestem szczęśliwa. Proszę, żebyś z uwagi na Krastsa i nasze dobre stosunki dał spokój przeszłości.

– To tutaj. – Wskazał.

Stanęliśmy przed uroczym domem z kolorowymi okiennicami.

Janis pomógł mi jeszcze wnieść walizę na pięterko i usłyszał odmowę na propozycję wspólnego zjedzenia obiadu.

– Dziękuję za zaproszenie. Znam tu niejedną sympatyczną knajpkę i skorzystam, kiedy trochę odpocznę.

– A może jednak? – ponowił prośbę.

– Do jutra, Janis. I dziękuję za podwiezienie.

Zamknęłam drzwi, ale nadśluuchiwałam jego kroków na schodach.

Odszedł dopiero po kilku minutach.

## Rozdział 31

### Maria

Muszę przyznać, że niejasny wynik badania ultrasonograficznego bardzo mnie przygnębił. Mimo zapewnień doktora Lamparskiego o możliwości popełnienia błędu, jak również o niewielkim prawdopodobieństwie wystąpienia wad u jednego z bliźniąt, ziarno niepokoju zostało zasiane. Wiedziałam, że klinika dysponuje doskonałym sprzętem, a ginekolog dużym doświadczeniem, więc jego słowa potraktowałam poważnie. Istniało spore prawdopodobieństwo, że przezierność karkowa płodu rzeczywiście przekracza trzy milimetry.

Wracałyśmy zamysłone i milczące. Próbowałam podnieść Aleksandrę na duchu, lecz ona z trudem podtrzymywała rozmowę.

Wspomniałam, że badanie przezierności bywa niemiarodajne, że wystarczy trafić z nim w nieodpowiedni moment, by uzyskać fałszywe wyniki. Przytoczyłam przykład znajomej, która w podobnej sytuacji urodziła zdrowe dziecko. Ale chyba niezbyt gorliwie przekonywałam Aleksandrę do pozytywnego myślenia, ponieważ skutek był opłakany.

Ola z trudem panowała nad emocjami, za to mocniej naciskała na pedał gazu.

Odpuszciliśmy i zapatrzyliśmy się na mokrą drogę i wycieraczkę, które pracowały na najwyższych obrotach.

W znanej nam już gospodzie zjadliśmy szybki obiad i resztę drogi pokonałyśmy w potokach deszczu ze śniegiem.

– Kto to słyszał, żeby w kwietniu padał śnieg? – Aleksandra wyraźnie zwolniła. – Nawet pogoda nam nie sprzyja...

Siedziałam cicho jak trusia, w obawie przed wywołaniem u niej jeszcze większych nerwów.

Do domu weszłam rozbita. Nie czekając na dogodny moment, przekazałam Władkowi przebieg wizyty w klinice. Kalina siedziała z nosem w książkach, więc mogliśmy spokojnie rozmawiać w kuchni.

W swojej naiwności sądziłam, że otrzymam od męża wsparcie i pociechę. Zawiódł mnie, po raz któryś z rzędu.

– To znaczy, że jeden dzieciak jest niepełnosprawny? – niemal krzyknął.

– Nic takiego nie powiedziałam. Lekarz zwrócił uwagę na nieprawidłowy wynik przezierności karkowej. Za dwa tygodnie odbieramy wyniki testu PAPP-A i wtedy się okaże, czy trzeba będzie robić kolejne badania.

– Ale któreś może być chore? – spytał, zignorowawszy medyczną terminologię.

– W przypadku każdej ciąży istnieje takie ryzyko. Mam jednak nadzieję, że nas to nie dotyczy – uspokajałam, bardziej siebie niż jego.

– Oby. I pamiętaj o jednym: Borykowie biorą dwójkę dzieci, bez względu na to, czy będą zdrowe, czy chore. Żebyś mi nie została z tym wybrakowanym! – dodał, podnosząc do góry palec wskazujący.

Nie mogłam spodziewać się innej odpowiedzi.

Przerażały mnie kolejne dwa tygodnie niepewności, ale trzeba było żyć dalej. Uspokoiliłam się nieco po rozmowie z córką. Kalinka przyniosła ze szkoły kolejne szóstki z wypracowań i zapytała, czy może iść z Krzyśkiem do kina.

Zobaczywszy błysk w jej oku, nabrałam sił na dalsze poświęcenia i zyskałam pewność, że nie mogę załamywać rąk i poddawać się frustracjom.

Mimo że w pracy nie mogłam liczyć na taryfę ulgową. Czekają na mnie Iza i pani Zofia.

Niemal zapomniałam o kłopotach koleżanki z wiarołomnym mężem, lecz dopadły mnie i tak przy porannej kawie. Po świętach Iza wróciła z opuchniętymi oczami i nieładem na głowie. Jej zazwyczaj puszysta fryzura blond piękności nieco przyklapła, a spojrzenie przygasło.

– Widzę, że u ciebie bez zmian? Jak święta? – zapytałam, czym wywołałam fontannę łez.

– A jakie miały być?! Januszek wyprowadził się do tej nowej, więc siedzieliśmy sami. Dzieciaki

pytały o ojca, a co ja miałam im powiedzieć? Zakomunikował mi przez telefon, że chce rozwodu!

Nie miałam pojęcia, jak jej pomóc. Januszek wzbudzał moją głęboką niechęć. Jak można zostawić rodzinę, i to jeszcze w tak nieelegancki sposób, w trakcie świąt? Chociaż właściwie dla kochającej kobiety każdy moment jest niestosowny...

Na chwilę wypłynęłam na swoje małżeńskie wody i wyobraziłam sobie Władka, który przedstawia mi pozew rozwodowy. Jednak moje serce ani drgnęło. A jeśli nawet, to odczułam przyjemny skurcz.

Musiałam jednak jakoś uspokoić koleżankę.

– Izuniu, bardzo mi cię szkoda, ale może jednak to tylko chwilowe zauroczenie?

– Ona chodzi z brzuchem! Maria, ja nigdy nie wyrażę zgody na rozwód!

– Nie musisz. Daj sobie czas. Mogę ci jakoś pomóc?

– A jesteś w stanie namówić Januszka, żeby do nas wrócił? – spytała z przekąsem.

– Raczej nie – odparłam zgodnie z prawdą.

– No widzisz! Nie ma dla mnie ratunku! – chlipnęła i wybiegła z kuchenki.

Bardzo było mi jej żal, ale byłam bezradna. Zaślepiona kobieta w obliczu największego nieszczęścia w życiu jest odporna na wszelkie racjonalne rady. Czułam, że musi odchorować swoje psychicznie, by przejść do następnego etapu.

– Co się tutaj dzieje? – Moment refleksji przerwał mi głos Julka. – Iza wybiegła jak pershing i pognała przed siebie.

– Ma problemy rodzinne. Masujesz dziś panią Zofię? – zmieniłam temat.

– O dziesiątej – odparł, zerknąwszy w grafik. – Dlaczego pytasz?

– Muszę ją zawieźć na cmentarz. A potem mamy w planach odwiedzić jej dom.

Przełknęłam ostatni łyk kawy i sięgnęłam do torby po niewielkie zawiniątko.

– Przyniosłam kilka imbirowych ciastek, które upiek-łyśmy z córką na święta. Z podziękowaniem za cappuccino z serduszkami. Jesteś mistrzem baristów.

Wychodząc, posłałam Julkowi uśmiech, a z wyrazu jego twarzy odczytałam, że sprawiłam mu przyjemność.

Pani Zofia czekała na mnie po masażu. Zdążyła już włożyć gustowny kostium, ułożyć włosy i podmalować usta pomadką. Laska stała przy drzwiach.

Wpadłam zmachana po wizytach u pozostałych staruszków. Co prawda przedpołudniowe mdłości już niemal odpuściły, ale zastąpiła je przelotna słabość, podczas której organizm domagał się krótkiej drzemki. Niestety, niemożliwej w pracy. Z trudem ukrywałam senność, natychmiast dostrzeżoną przez panią Zofię.

– Może przełożymy nasz wyjazd? Widzę, że nie jesteś w formie – zaproponowała.

– Ależ nie. Wszystko w porządku – zaprzeczyłam. – Przywołałam już taksówkę. Po drodze podjedziemy do kwaciarni po bukiet, który zamówiłam na pani prośbę.

Taksówkarz wiozł nas przez całe miasto na cmentarz leżący na krańcach jego północnej części. Starsza pani zachłannie delektowała się widokiem za oknem.

– Jak tu pięknie! Dużo się zmieniło od... – odchrząknęła, usiłując ukryć wzruszenie. – Kiedy wyjechałam na stałe do Niemiec. Kilka razy odwiedzałam stare śmieci, ale rzadko. Zdecydowanie za rzadko – dokończyła cicho.

Czułam, że pragnie się przede mną otworzyć, ale nie ponaglałam.

Po drodze odebrałyśmy kwiaty i w końcu stanęłyśmy przed główną bramą rozległego cmentarza komunalnego. Nie wiedziałam, w którą stronę zmierzamy, na szczęście pani Zofia, mimo wieku, miała dobrą orientację. Dwa miesiące wcześniej pochowała tu syna.

Przemierzyłyśmy dwieście metrów główną aleją i skierowałyśmy kroki w lewo, ku starszej części cmentarza. W przeciwieństwie do tej nowszej, nieporośniętej jeszcze drzewami, była bardziej zaciszna i zagospodarowana. Wiele nagrobków pokrywały las-trykowe płyty, niektóre iglaki przy grobach sięgały dziesięciu metrów.

– To tam. – Pani Zofia wskazała na sporą parcelę obrośniętą żywopłotem z bukszpanu.

Od strony ścieżki stała niewielka ławeczka, na której przysiadłyśmy. Moja towarzyszą

wykonała znak krzyża. Wpatrzona w głowicę nagrobka z imieniem i nazwiskiem syna cicho szeptała słowa modlitwy.

– Miał dwadzieścia pięć lat, kiedy wyjechałam – powiedziała wreszcie. – Skończył studia i dostał dobrą pracę. Poznał miłą dziewczynę, mieli się pobrać, ale nic z tego nie wyszło. Do końca pozostał kawalerem. Przyjeżdżał do nas, do Tomasza, do Niemiec, ja również tutaj bywałam. Ale z każdym rokiem coraz rzadziej. Arkadiusz był jak kot, chodził własnymi drogami. Szkoda, że nie wiedziałam o jego kłopotach z sercem... – Zasepiła się. – A teraz, synusiu, muszę palić znicz na twoim grobie – westchnęła i wstała z trudem.

Nie pozwoliła sobie pomóc i zapaliła świecę samodzielnie.

W duchu liczyłam, że druga część sentymentalnej wycieczki okaże się nieco bardziej przyjemna.

Zajechałyśmy na osiedle starych domków jednorodzinnych, z których większość pamiętała skromne lata sześćdziesiąte. Jednopiętrowe budynki z cegły lub bloczków, kominy dymiące z powodu niekoniecznie zdrowego dla środowiska paliwa. Rozglądałam się wokół w poszukiwaniu rodzinnego domu pani Zofii, ale nie spodziewałam się, że zobaczę piętrowy budynek z drewnianą elewacją i nieco nadszarpniętymi zębem czasu, ale wciąż pięknymi zielonymi okiennicami. Że wejdziemy na posesję przez żeliwną kutą furtkę porośniętą dzikim winem, a sam dom sprawi na mnie wrażenie siedziby czarodzieja.

– Pamiętała pani o kluczu? – spytałam z nadzieją na poznanie wnętrza i w duchu skarciłam się, że nie sprawdziłam tego przed wyjściem z domu opieki.

– Mam, ale nie będzie potrzebny – odparła. – Klucz zawsze leży pod tą doniczką. – Wskazała na jedną z okazałych donic stojących na schodach prowadzących na ogrodową werandę. – O, jest!

Weszłyśmy do środka. Pani Zofia wkroczyła w świat wspomnień, ja do domu z duszą, przed którym padłam na kolana. Do domu, jakiego nigdy nie miałam i nigdy mieć nie będę, pomyślałam.

Pozamykane okiennice i zasunięte story sprawiały, że wokół panował półmrok. Ciemne i stare stylowe meble, ściany zastawione regałami z książkami, wzorzyste perskie dywany – to wszystko składało się na nobliwe wnętrze, które nieco odurzało stęchlizną.

Po uzyskaniu akceptacji pani Zofii pootwierałam okna i pozwoliłam domowi odetchnąć.

Przemierzała salon i gładziła meble.

– Wiesz, że ten fotel pamięta jeszcze czasy mojego ojca? – Wskazała na wygodne siedzisko z podnóżkiem. – Lubił w nim czytać książki. A my z bratem próbowaliśmy go podsiadać. Oczywiście kiedy nie widział. – Roześmiała się na miłe wspomnienie. – Poczekaj tu na mnie, pójdę do pokoju Arkadiusza – poleciła.

Uszanowałam jej wolę i zajrzałam do kuchni, w której wprawnym gospodarskim okiem natychmiast namierzyłam herbatę i czajnik.

Czekałam na panią Zofię z imbrykiem parującego płynu. Zasiadła w ojcowskim fotelu i z rozmarzeniem popatrzyła w okno wychodzące na ogród.

– Widzisz tę altankę? – zapytała. – Tak zarosła dzikim winem, że prawie nie można jej dostrzec. W młodości siadywałam tam z moją najlepszą przyjaciółką Tereską. Straciłyśmy kontakt, nawet nie wiem, czy żyje. Oj losy, losy... – zadumała się.

Postanowiłam podnieść ją na duchu.

– Pani Zosiu, nie można tak narzekać. Pomogła pani synowi wychować wnuki i z pewnością dobrze przeżyła życie. A teraz zaczynamy jego nowy rozdział. Jeszcze dużo przed panią. W każdym razie gdybym ja miała taki piękny dom, byłabym szczęśliwa – dodałam, może nazbyt entuzjastycznie.

Staruszka skinęła głową.

– Muszę coś względem niego postanowić, ale teraz mam pustkę w głowie. Najpierw poproszę cię o pomoc w uporządkowaniu rzeczy Arkadiusza. Do tej pory nie mogę się pogodzić z jego śmiercią...

– Na pewno znajdę czas.

Miałam jeszcze ochotę powiedzieć pani Zofii, że moja mama również miała na imię Teresa, ale zrezygnowałam. Nie chciałam przerywać jej zadumy w trakcie popijania herbaty ze starej filiżanki.

## Rozdział 32

### Aleksandra

Podróż nie była uciążliwa, ale spotkanie z Janisem mnie wyczerpało.

Gdy go odprawiłam, wzięłam gorącą kąpiel. Nie bacząc na burczenie w brzuchu, odłożyłam wizytę w restauracji na później. Ogarnęła mnie obezwładniająca niemoc; wygodne łóżko i puchaty koc przyciągały.

Planowana krótka drzemka przeciągnęła się do kilku godzin. Kiedy otworzyłam oczy, w pokoju panował półmrok, a komórka sygnalizowała nieodebrane połączenia.

Przetarłam zaspane oczy i z wyrzutami sumienia odrobiłam telefoniczne zaległości. Wysłałam esemesy do Jaśka i mamy z informacją o szczęśliwym locie, a potem połączyłam się z Krastsem. Na wstępie przeprosiłam za opieszałość.

– Jestem w Rydze od kilku godzin, ale tak mnie zmog-ło, że dałam się ponieść lenistwu i skorzystałam z wygodnego łóżka – tłumaczyłam niezgrabnie.

– Nie ma problemu, Sasza. Dobrze cię słyszeć – odparł. – Wiem od Janisa, że jesteś na Strelnieku, a to niedaleko mojego domu. Pamiętasz przecież moje mieszkanie na Alberta iela? Nigdzie się stamtąd nie ruszyłem, chociaż teraz częściej siedzę w Jurmale. Przyjechałem na targi i zapraszam na kolację. Nie martw się, sam jej nie przygotowałem. Mam gosposię, i to ona dzisiaj zabłyśnie kulinarnym kunsztem. Tylko nie odmawiaj! – zastrzegł.

Nie śmiałam pytać, czy będzie nam towarzyszyć Janis, chociaż wolałam go nie oglądać. Krasts sam z siebie wyjaśnił tę kwestię.

– Zaprosiłem również Janisa. Podobno już kiedyś się zetknęliście? To dobrze. Ominą nas prezentacje i wzajemne poznawanie, a ja będę w gronie młodych ludzi, którzy uwielbiają starego Mihelonsa – zażartował i zapewnił o zasobnej piwniczce.

Znałam jego upodobanie do win, jedną z nielicznych fanaberii, na jaką sobie pozwalał, wiodąc życie pustelnika.

Nie pozostawało mi nic innego, jak przyjąć zaproszenie i podziękować. Miałam niecałe półtorej godziny na przygotowania, ale od domu Krastsa dzieliły mnie tylko dwie przecznice, więc czasu było aż nadto. Nie bacząc na planowaną obecność Janisa, cieszyłam się na wizytę w przepastnym mieszkaniu mistrza, mieszczącym się w dziewiętnastowiecznej kamienicy.

Chętnie przypomnę sobie te stare, przestronne, wysokie na niemal cztery metry pokoje, pełne rodzinnych pamiątek i ducha minionych epok, pomyślałam z przyjemnością. I to dębowe biurko, przy którym pisywał, kiedy był w Rydze...

Piękne wnętrza nie były jednak w stanie przesłonić osoby gospodarza. Uwielbiałam „starego dziadka”, jak często o nim myślałam, o młodym sercu i otwartej głowie. Nie mogłam pozwolić, żeby obecność Janisa zepsuła mi to spotkanie.

Po zakończeniu rozmowy pognałam do łazienki umyć i ułożyć włosy. Z ręcznikiem na głowie prasowałam sukienkę, podmałowywałam oko, dobierałam apaszkę. Byłam niemal gotowa, kiedy zadzwoniła Milena.

– Jesteś na miejscu? – dociekała, ciekawa mojej wyprawy.

Od urodzenia Leona siedziała w domu i nie mogła doczekać się ciekawszych czasów.

Przez moment pomyślałam, że i mnie niedługo dopadnie proza matczynego życia, ale chwilowo odepchnęłam tę wizję. Nie, nie ze względu na uwięzienie w czterech ścianach, lecz niepewność o los dzieci, którą zasiał doktor Lamparski. Jednak dzisiaj byłam na Łotwie, moja sukienka całkiem ładnie leżała, a dyskretny makijaż podkreślał błękit wypoczętych oczu.

Prezentowałam się nieźle i także miałam samopoczucie.

– Jestem w Rydze od kilku godzin – odparłam. – Krasts zaprosił mnie na kolację.

– Zazdroszczę. Gospodarz pewnie zafunduje jakieś wyborne wino?

Znała moje opowieści o gustach Mihelonsa.

– Z pewnością. Ale jest pewien szkopuł – dodałam i w tej samej chwili pożałowałam długiego ozora.

Milena zastrzygła uszami. Zdecydowałam się dokończyć zdanie.

– Będzie z nami Janis. Ten Janis – podkreśliłam, zdając sobie sprawę, że przyjaciółka doskonale wie, o kogo chodzi.

– Żartujesz! Skąd się tam wziął?

– Jest sekretarzem Krastsa. Robi mu researche, rozmawia o książce, redaguje. Taka prawa ręka mistrza.

– I to dla ciebie problem? – Milena zadała proste pytanie.

– Nie powinien być. Ale wolałabym nie wracać do przeszłości.

Przez moment zachowywała milczenie, by wrócić do mnie z przemyślaną odpowiedzią.

– Olka, sprawy między wami rozstrzygnęły się dwanaście lat temu. Masz Jaśka i w drodze dwoje dzieci. On pewnie też żyje swoim życiem. Nie przejmuj się. Rzeczywiście, głupia sprawa, że nagle stanął na twojej drodze, ale trudno. Musisz z nim współpracować ze względu na Krastsa, czyli czysto biznesowo. Nie wiem, co ci poradzić, ale współczuję. Postaraj się nie dać sobie zepsuć pobytu, i tyle.

To była chyba najlepsza wskazówka, jaką mogłam uzyskać.

Wychodząc z domu, zerknęłam do lustra, by upewnić się, czy dobrze wyglądam, i powędrowałam do Krastsa z zamiarem spędzenia miłego wieczoru.

Ręka gospodyni mistrza okazała się godna najwybredniejszego podniebienia. Cepeliny były wyborne, podobnie smażony marynowany śledź z twarogiem i ziemniakami, rasols, czyli odpowiednik naszej sałatki z majonezem, czy słodki wypiek sklandrausis, składający się z ziemniaczano-marchewkowego farszu ułożonego na spodzie z żytniej mąki i polanego śmietaną. Potężną bombę kaloryczną zapijaliśmy ziołowym balsamem, flagowym łotewskim alkoholem.

Wina na deser odmówiłam, obawiając się o kondycję na jutrzejszych targach. Wystarczyło mi kilka małych kieliszków rigas melnais balsams, stworzonego w zamierzchłych czasach przez aptekarza Kunzego, bym z trudem opanowała zawrót głowy.

Krasts czynił honory domu i zabawiał nas anegdotami i historiami ze swojego długiego pisarskiego życia. Janis siedział cicho i tylko czasami próbował pochwycić moje spojrzenie. Nie czułam się do końca spokojna i bezpieczna w jego towarzystwie, lecz próbowałam zachować twarz i dobry nastrój.

Krasts nie wnikał w szczegóły naszej znajomości. Niemal na pewno, powodowany wrodzoną delikatnością i zmysłem obserwacji, wyczuł początkowe napięcie między mną a Janisem, ale potem było już tylko lepiej.

– Dzieci, liczę na was oboje – odchrząknął. – Jesteście mi potrzebni i mam nadzieję, że jutro będziecie przy mnie na stoisku, na którym oblegnie mnie ta zgraja hien.

– Czytelników, mistrzu – sprostowałam.

– No tak. To jak?

Krasts lubił się droczyć. Następne dwa dni okazały się dla niego sukcesem. A dla mnie okazją, by jaśnieć u jego boku.

Janis dyskretnie krążył wokół stoiska, organizując książki do podpisu i dbając o napoje. Prowadzał mnie na wywiady, czasami sam odpowiadał na pytania dziennikarzy.

– Bardzo miłe dwa dni – zdałam wieczorem relację Jaśkowi. – Nie spodziewałam się takiego przyjęcia ani po Krastsie, ani po mediach. A co u ciebie?

– Wszystko w porządku. Może poza tym, że Leśniewski ponownie przyszedł do pracy pod wpływem alkoholu. Będziemy musieli poważnie porozmawiać – dodał i szybko zakończył rozmowę.

Czułam się niemal winna stanowi nietrzeźwości męża Marii i miałam wyrzuty sumienia, że dzisiaj nie zadzwoniłam, by spytać, jak ona się czuje. Mimo to powstrzymałam chęć sięgnięcia po komórkę w obawie przed złymi wiadomościami. Jutro czekał mnie trzeci i ostatni dzień targów. Miałam odebrać nagrodę Związku Literatów Łotewskich za popularyzację książek Krastsa w Polsce, byłam już umówiona z mistrzem na wyjazd do jego siedziska w Jurmale. Przyznam, że miałam wielką ochotę ujrzeć



morskie fale w Zatoce Ryskiej i przejść się bosą po zimnym jeszcze, ale czyściutkim białym piasku na szerokiej bałtyckiej plaży.

Również i trzeciego dnia towarzyszył nam Janis. Nieco skrępowany swoją ciągłą obecnością przy nas, uznał za stosowne się wytłumaczyć.

– Sasza, pełnię obowiązki kierowcy. Mistrz już nie siada za kierownicą. Jeśli chcesz, zostawię was samych i wrócę po ciebie, kiedy zdecydujesz – zaproponował.

– Dobrze. Wróc za dwie godziny – wyraziłam zgodę i pomachałam mu, kiedy rozpoczął samotną wędrówkę wzdłuż wybrzeża.

Nie sądziłam, że Krasts wykorzysta ten czas, by wziąć mnie na spytki.

– Nie polubiłaś Janisa?

– Skąd! – zaprzeczyłam nieszczerze.

– Przecież widzę, Olu – zaczął miękko. – Może i jestem stary i mam osłabione zmysły, ale jeszcze nie -jestem głupi. A ponieważ wciąż będziemy razem pracować, chciałbym, żeby w naszym gronie panowała uczciwość. Powiesz mi, o co chodzi?

Mimo całej uwagi dla mistrza nie byłam gotowa dzielić się z nim historią nieszczęśliwej miłości. Przerzuciłam piłeczkę na boisko Janisa.

– Wolałabym zachować milczenie. Może Janis zechce się otworzyć? – odparłam.

– Przepraszam. Wyszedłem na wścibskiego starca. A teraz pokaż tłumaczenie *Burzy nad Jurmalą*.

Żegnałam się z Mihelsonsem z poczuciem winy. Mimo łączącej nas przyjaźni nie znalazłam czasu, by podzielić się z nim swoim szczęściem. Nie powiedziałam mu, że będę miała dzieci i że obawiam się o ich zdrowie.

– Nie znalazłaś okazji, Olu – wsparła mnie Milena przed odlotem. – Przecież ten cały Janis was nie opuszczał.

– Powinnaś to zrozumieć. Krasts potrzebuje go jak drugiej laski. To ja nie potrafiłam opanować niechęci...

– Wracaj do Polski i przestań się winić. Najważniejsze, że ponownie nie uległaś urokowi Janisa. Byłaś dzielna – pochwaliła.

Nie byłam tego wcale pewna.

## Rozdział 33

### Aleksandra

Leciałam do Warszawy w południe, przy pogodnym niebie i klarownym czystym powietrzu. Z miejsca przy oknie obserwowałam świat w dole i zachwyciałam się zielonymi połaciami pól i wstęgami nieuregulowanych meandrujących rzek, szczęśliwa, że wzorem zachodniej Europy nie zdążono ich jeszcze obudować betonowymi korytami. W oddali majaczyły kolonie niewielkich dom-ków, a nieskażone cywilizacją pojezierza pobłyskiwały błękitem jezior.

Samochód czekał na lotniskowym parkingu, więc wkrótce znalazłam się na autostradzie i włączyłam tempomat na sto dwadzieścia kilometrów. Auto sunęło równo, ja także starałam się wyregulować swój puls, który skakał jak sinusoida na wspomnienie chwil spędzonych w Rydze. Spotkanie z Krastsem – góra, chwile z Janisem – dół, rozmowy z czytelnikami – góra, wyrzuty sumienia, że nie porozmawiałam o sprawach prywatnych – dół. Obiecałam sobie napisać do mistrza niezwłocznie po przyjeździe i opowiedzieć mu o dawnych kontaktach z Janisem. Jeżeli mieliśmy nadal wspólnie pracować, musiałam oczyścić atmosferę, a przede wszystkim odzyskać równowagę. Bo mimo dobrej woli traktowania Janisa jako pieśni przeszłości wciąż czułam się pokrzywdzona i urażona jego decyzją przed laty. I żadne autosugestie, że już dawno zamknęłam ten rozdział, nie były do końca prawdziwe.

Oczywiście moja postawa nie miała nic wspólnego z uczuciem do Janisa, które wygasło na dobre. Nawet jeśli zaliczyłam drżenie serca na jego widok.

Jaśkowi przekazałam wyłącznie dobre wrażenia.

– Mieszkałam na Strelnieku iela w drewnianym dom-ku, w samym sercu Rygi. Wieczorem Krasts zaprosił mnie na kolację – pominęłam obecność Janisa – byłam w domu mistrza nad morzem w Jurmale, a spotkania na targach przebiegły we wspaniałej atmosferze – relacjonowałam. – A to moja nagroda. – Pokazałam drzeworyt przedstawiający otwartą książkę z nazwiskami Mihelsonsa i moim.

Za to w rozmowie z Mileną byłam bardziej wylewna.

Umówiliśmy się w pobliskiej kawiarni. Przyszła spóźniona, usprawiedliwiając się samopoczuciem męża.

– Kacper wrócił z pracy zakatarzony i z kaszlem. Musiałam położyć Leona – usłyszałam. – Ale mów, jak było!

Zdałam jej krok po kroku relację z trzech dni, okraszając ją wrażeniami z obecności Janisa.

– Co miałam zrobić? – zapytałam na koniec. – Krasts lubi nas oboje i tak samo jesteśmy mu potrzebni. Chyba przyjdzie mi zaakceptować ten układ.

– A gdybyś mu wyjaśniła sprawy z przeszłości? Oczywiście nie zwolni Janisa, ale przynajmniej cię zrozumie.

– Masz rację. Już sama wpadłam na ten pomysł.

– A jaki on jest po dwunastu latach? – spytała mimochodem Milena.

– Mistrz? – Udałam niezrozumienie.

Zaśmiała się pod nosem.

– Przecież wiem, że chodzi ci o Janisa. – Pokiwałam głową z politowaniem. – Niewiele się zmienił. Wydoroś-lał, jak przystoi czterdziestolatkowi. I jest miły, jak wówczas, gdy byliśmy razem.

– A jego życie rodzinne?

– Nie pytałam. Niewiele mnie to obchodzi – odparłam nieszczercze.

Skele ma trzynaście lat, ale być może Janis doczekał się kolejnych potomków?

– Jeszcze dziś wieczorem napiszę do Krastsa – postanowiłam na głos, przy okazji utwierdzając się w tej decyzji. – A teraz powiedz mi, co u dzieci – poprosiłam w przeddzień majowego weekendu. – Gdzie spędzacie wolne dni?

– Koleżanka z biblioteki udostępniła nam swój letni domek nad jeziorem, bo sama, słuchaj dobrze – podniosła do góry palec wskazujący, żebym nadstawiła uszu – jedzie z mężem do Paryża! Już

zaczęłam pakowanie, a tu Kacper zaległ – poskarżyła się Milena. – Nie wiem, czy damy radę, choć dziewczynki już stoją w drzwiach – westchnęła. – Przed wyjściem prosiły, żeby i wam zaproponować wyjazd.

– Podziękuj im. Wpadnę do ciebie jutro i przekażę kilka drobiazgów z Łotwy. A Kacper z pewnością wydobrzeje. Uleczy go perspektywa łowienia ryb – dodałam pogodnym tonem.

– Oby. Pogoda piękna, domek załatwiony, dzieciaki aż się rwą do wyjazdu. Niech mi nie wykręca żadnych numerów! A może rzeczywiście dołączycie? – Przyjaciółka powróciła do pomysłu córek.

– Chyba jednak podziękuję. Mam na ukończeniu *Burzę nad Jurmałą* i świeże wrażenia z tamtego rejonu. Chcę popracować.

Po południu zadzwoniłam do Marii, wybrawszy porę jej powrotu z pracy. Kiedy po kilku dniach esemesowania wreszcie usłyszałam jej głos, ucieszyłam się, że jest rześki.

– Jak się czujesz? Wszystko u ciebie w porządku? – Mimo dobrego początku w napięciu oczekiwałam odpowiedzi.

– Tak, Olu. Jestem w dobrej formie – odparła i na chwilę zamilkła, by powrócić z kłopotem. – Słyszałaś pewnie o Władku?

– A co z nim?

– Mąż ci nie wspominał?

Rzeczywiście, zapomniałam o rozdrażnieniu Jaśka alkoholową recydywą męża Marii.

– Fakt, coś mówił, ale po moim przyjeździe nie wróciliśmy do tematu – stwierdziłam zgodnie z prawdą. – Czy Jasiek go zwolnił? – spytałam zaniepokojona.

Maria pominęła pytanie milczeniem. Przedstawiła swoje stanowisko.

– Olu, nie proszę cię o wstawiennictwo. Władek nie szanuje pracy i dobrej woli twojego męża. Przynosi mi wstyd. Jeżeli straci posadę, to na własne życzenie. Będzie musiał poszukać innej.

– Ale co z tobą? Z Kaliną?

– Wszystko w porządku – podsumowała i zmieniła temat.

Z pewnością tak nie jest, pomyślałam, przypomniawszy sobie wrażenie, jakie odniosłam po pierwszym spotkaniu z Leśniewskim, kiedy przed świętami przywiozłam im kosz z prezentami. Był wybitnie niemiły, z wyczuwalnym dystansem do kobiety, która nie nosi własnej ciąży, czyli mnie. Pewny siebie na trzeźwo, a jaki po pijaku, nie chciałam wiedzieć. Martwiłam się wyłącznie o dziewczynę i o ciążę Marii.

– Mimo wszystko porozmawiam z Jaśkiem – zadeklarowałam, chociaż podskórnie wyczuwałam, że nie będzie to przyjemna pogawędka.

Nie wypytywałam o majowy weekend, który zapewne spędzały w domu, ale obiecałam sobie w duchu, że któregoś dnia zaproszę Marię i Kalinę do siebie.

– Pamiętasz, że piątego maja jedziemy do kliniki? – zapytałam.

– O niczym innym nie myślę – odparła. – Kończę, bo ktoś dzwoni do drzwi.

Jaś wrócił późno, po kolacji z klientem, więc schowałam risotto do lodówki na jutrzejszy obiad. Spytałam go o Leśniewskiego.

– Jestem zmęczony i nie chce mi się rozmawiać o tym lumpie. – Wzbudziłam negatywne emocje.

– Powinien siedzieć na zielonej trawce, ale nie wiem, jak wtedy powstrzymałbym jego język. Wydaje mi się, że ludzie już gadają o zamówionej ciąży. Dałem mu jeszcze jedną szansę i przenieśliśmy z dźwigu na plac. Wykonuje proste prace, więc przynajmniej nie zepsuje mi sprzętu. Nie robi sobie krzywdy. Ale jeżeli nadal będzie przychodzić pijany, dostanie dyscyplinarkę i wilczy bilet! – Jaś był wściekły. – Kogo ty mi przyprowadziłaś? Powiniennem sam sprawdzić tych ludzi, a nie zdawać się na ciebie! Ciekawe, czy w domu Leśniewski nie popija z żonką? Bo jeżeli tak, to ja dziękuję za dzieci, jakie ona urodzi!

Byłam przerażona i zszokowana. Jeszcze nigdy nie widziałam Jaśka w stanie takiego wzburzenia. Wyczułam, że nie powinnam dolewać oliwy do ognia. Jutro mnie przeprosi za wybuch i przygotowuje śniadanie do łóżka, miałam nadzieję i milczałam.

Również wtedy, gdy poprosił o chwilę spokoju, by obejrzeć program na ulubionym kanale. Poszłam do gabinetu i zastygłam nad ekranem komputera. Jednak o tłumaczeniu nie mogło być mowy.

I pewnie poszłabym się położyć, gdyby nie list od Krast-sa, który przykuł moją uwagę.

„Sasza, bardzo dziękuję Ci za odwiedziny i wspaniałe towarzystwo – pisał. – Przeżyłem kilka przemiłych dni na targach razem z tobą i Janisem. Jestem nawet zażenowany szacunkiem, jaki okazują mi ludzie, czytelnicy i wydawcy. Nie zasłużyłem na tak dobre traktowanie. Po prostu całe życie robię to, co lubię, więc żadna w tym moja zasługa. Trochę warsztatu, życiowego doświadczenia i widok morza za oknem składają się na powieści, które same wyskakują spod klawiszy komputera.

Pisałaś niejednokrotnie, że z trudem przychodzi Ci tłumaczenie *Burzy nad Jurmałą*, ale wcale mnie to nie dziwi. Dla mnie również ta książka była trudna, bo najbardziej osobista ze wszystkich. Oczywiście, że w postaci bohatera dostrzegłaś dziadka Mihelonsa, który na starość rozprawia się z samym sobą. Tak, Sasza. Maris Freigbers u schyłku życia ma problemy z dziećmi, emocjami, zdarzeniami, którym nie był w stanie poddać dawno temu. Tak jak ja – kiedy dzieci były małe, nastoletnie, potem już dorosłe. A teraz? Teraz może być już za późno, i dla mojego bohatera, i dla mnie.

Pewnie drży Ci serce, kiedy to czytasz. Niepotrzebnie. Stary Krasts już wszystko przemyślał i ułożył swoje sprawy. Jedną z nich jest współpraca z Tobą, drugą zatrudnienie Janisa. Zgodnie z Twoją sugestią spytałem go o Wasze relacje, które jak wynikało z wyjaśnień, mają źródło w przeszłości. Nie wiedziałem, że wcześniej coś Was łączyło. Zresztą wydobyć prawdy z mojego sekretarza zajęło mi trochę czasu i determinacji, choć tej mi nie brakuje. Kiedyś zrozumiesz dlaczego.

Sasza, bardzo mi zależy, żebyście wspólnie pracowali nad moimi książkami. Bez względu na to, co się kiedyś zdarzyło. Z tego, co wiem, jesteś szczęśliwą mężatką, Janis również jakoś ułożył sobie życie. Mogłabyś porzucić dawne emocje i jednak zaakceptować go u mojego boku?

Ja tak o sobie, a serce pyta, co u Ciebie. Pozbierałaś się po poronieniu? Nie śmiałem zadawać Ci pytań prosto w oczy, łatwiej na odległość. Wybacz, jeśli poruszyłem delikatną strunę. Może stary Mihelons stracił wycucie?

Znów jestem w Jurmale. Nawet tu, u nas na północy, zaświeciło słońce, ale wcale mi się to nie podoba. Wolę pisać w czasie szarugi, przy dźwiękach sztormu, w potokach deszczu ze śniegiem. Taka pogoda uruchamia mózg, emocje, wywołuje dreszcze, przywołuje wspomnienia.

Chyba się zakręciłem, bo już po raz drugi wracam do motywu powieści.

Moja Ty polska tłumaczko... Napisz, co u Ciebie, i nie gniewaj się, jeśli w czymś Ci uchybiłem. Nie marudzę dłużej. Bardzo chciałbym się jeszcze kiedyś z Tobą spotkać i porozmawiać wieczorem przy winie i szumie morza. Może się uda?

Teraz pozdrawiam i żegnam. Krasts”.

Na moją duszę spłynęła strużka spokoju. Gdzieś na dalekiej Łotwie ktoś myśli o mnie i mimo że nieświadomy swojego działania, daje mi niewidzialne wsparcie.

Z miejsca przycisnęłam klawisz „odpowiedz”.

„To ja, Sasza. Również dziękuję za pobyt i dobre fluidy. I jak Ty żałuję, że nie znaleźliśmy czasu na prywatne rozmowy. U mnie zmiany. Będę mieć dwoje dzieci, ale ich nie urodzę, bo lekarz nie widział możliwości, bym donosiła ciążę. Wynajęliśmy z Jaśkiem matkę zastępczą. Temat niemal na książkę.

Z Janisem się porozumiemy, zwłaszcza że Tobie na tym zależy. Wróciłam do domu i od razu zatęskniłam za Rygą, Jurmałą i Tobą. Zdecydowanie muszę wpaść jeszcze przed wakacjami, zanim ciąża mojej Marii urośnie. Chociaż na chwilę. Wtedy pogadamy do woli o życiu i dzieciach. Może zgodzisz się być ojcem chrzestnym jednego z nich?

A teraz nie zamartwiał się słońcem i pisz kolejną książkę. Może jutro nadejdzie jakiś zabłąkany śnieg lub choćby skromny deszczyk? Pozdrawiam. Aleksandra”.

List do Krastsa mnie odprężył i przywrócił dobry nastrój. Kładąc się spać, nie wracałam myślami ani do Janisa, ani do problemów Jaśka z mężem Marii.

Czekał mnie długi majowy weekend i kilka ostatnich rozdziałów do przetłumaczenia.

## Rozdział 34

### Aleksandra

Rano nie było śniadania do łóżka, Jasek wstał naburmuszony. A kiedy dołączyłam do niego w kuchni, właśnie kończył jedzenie tostów.

– Cześć, słonko. – Przybrałam minę kochającej żony i zmierzwiłam mężowskie włosy. – Jeszcze się boczysz?

– Mam powody do niezadowolenia – burknął. – Chyba że, według ciebie, powinienem skakać jak wróbel na nitce.

– Janek, wierz mi, że Maria to naprawdę porządna, solidna kobieta i prawy człowiek. Nie prosiła o wyrozumiałość dla męża. Prosiła o surowe potraktowanie go, ze zwolnieniem włącznie. A ludzkim gadaniem się nie przejmuj. Może zresztą Leśniewski będzie trzymać język za zębami? W końcu oboje biorą od nas pieniądze.

Prychnął zniecierpliwiony i sięgnął do szafy po krawat.

– Pomóc ci? – zaproponowałam polubownie.

Nie lubiłam, kiedy rozstawaliśmy się w gniewie i niedopowiedzeniach.

– Poradzę sobie. Mam coraz większe wątpliwości w kwestii desperackiego kroku, na który się zdecydowaliśmy. Za twoją sprawą i na twoje życzenie. Zaczynam czuć się jak zaszczuty pies i tylko łowię spojrzenia ludzi, którzy mogą znać nasz sekret. Nie wątpię, że kiedy wyrzucę Leśniewskiego, ten poużywa sobie na nas do woli. A ja jeszcze im płacę tyle kasy!

Reakcje Jaśka zaczynały budzić lęk. Zastanawiałam się, kiedy postanowi zakręcić kurek z pieniędzmi. A może ma problemy finansowe w firmie i stąd ten zły nastrój?, przeszło mi przez myśl.

– Jaś, sytuacja jest trudna dla nas wszystkich. Rozumiem twoje rozdrażnienie. Ja również martwię się wynikami badań prenatalnych, przebiegiem ciąży, podobnie jak Maria. Ale poradzimy sobie. – Spróbowałam przytulić męża, ale pozostał sztywny jak kłoda.

Przycesał włosy przed lustrem, porwał teczkę i rzucił kilka słów pożegnania.

Zamiast kolejnej kawy zaparzyłam sobie dwie torebki melisy i zasiadłam do tłumaczenia. Na kilka godzin wyciszyłam telefon, by całkowicie pograżyć się w pracy. Do końca pozostało już niewiele stron. W głowie wciąż miałam list od Kratsa i odczuwałam ciężar nagrody, którą obdarowano mnie na Łotwie, a jednocześnie polskie wydawnictwo zaczęło mnie ponaglać. Wyznaczono ostateczny termin oddania dzieła na połowę maja. Pomarańczowe dotąd światełko zaczęło przybierać czerwony odcień.

Na szczęście szło mi nieźle. Stron przybywało. Zapomniałam o utarczce z Jaśkiem i zapamiętałe stuknęłam w klawisze.

Okolo szóstej po południu postanowiłam zrobić sobie przerwę i sięgnąć po wczorajsze risotto.

Odruchowo zerknęłam na ekranik komórki, która sygnalizowała nieodebrane połączenie z Mileną.

„Oddzwonię później, tłumaczę”, wysłałam wiadomość, wiedząc, że zrozumie.

Ale przyjaciółka nie dawała za wygraną. Po chwili spróbowała ponownie.

Niechętnie kliknęłam zielony klawisz „odbierz” i usłyszałam jej zdenerwowany głos.

– Olka? Przepraszam, że przerywam ci pracę, ale mam ważny powód. Kacper leży z gorączką ponad czterdzieści stopni i rozległym zapaleniem płuc. A w dodatku Leoś też kaszle i gorączkuje. Jestem w kropce. Mogłabyś wziąć na noc dziewczynki? – zapytała z desperacją w głosie. – Wiem, że ci przeszkadzam, tak mi niezręcznie, ale...

– Już jadę. – Momentalnie podjęłam decyzję i wyskoczyłam z dresów.

Przełknęłam kilka kęsów risotta, by wypełnić pustkę w żołądku, sięgnęłam po kluczyki i z wprawą rajdowca wyprowadziłam samochód z garażu.

W domu Mileny panował zaduch i ogólny rozgardiasz. Przyjaciółka wprowadziła mnie do kuchni, bym nie miała kontaktu z prątkującym Kacprem, tysiąc razy dziękując za przysługę.

Leon popłakiwał w łóżeczku, dziewczynki zbierały swoje rzeczy do toreb.

– Kochana, ratujesz mi życie! – usłyszałam. – Jutro je zabiorę – zapewniła Milena.

Nie wydawało mi się to realne, więc zaproponowałam dłuższy pobyt.

– Niech zostaną u mnie kilka dni.

– Naprawdę?! A może wyjedziecie razem do domku nad jeziorem? Pamiętasz hacjendę Oliwki?

Oczywiście, że pamiętałam wieczór paniński Mileny, który zorganizowała w domku swojej koleżanki z pracy, oddalonym od naszego miasta o kilkadziesiąt kilometrów. Położony był na skraju wsi, na leśnej, dochodzącej do jeziora działce. Opalałyśmy się na przylegającej do parceli plaży i zbierałyśmy maślaki w zagajniku. Tamtego lata wyjątkowo pojawiły się już w sierpniu. Przysmażone na maśle i podlane śmietanką pieściły podniebienie.

– Tam mieliście jechać?

– Właśnie. Olka, przepraszam, że stawiam cię w niezręcznej sytuacji, ale nie mam wyjścia. Odwdzięczę się, jak tylko będę mogła. Po prostu weź klucz i zdecyduj, czy macie ochotę skorzystać.

Wracałam do domu z Lenką i Nataszą, które nie kryły radości z nieoczekiwanego przebiegu akcji. Od razu pobiegły do „swojego pokoju”, jak nazywały gościnnie na piętrze, by po chwili stawić się w kuchni. Przyciągnął je zapach odgrzewanego risotta.

– Ciociu, pobędziemy u ciebie kilka dni? – Młodsza Lena eksplodowała radością.

– Oczywiście, dziewczynki. Aż tatuś wydobrzeje – zapewniłam ją.

W perspektywie miałam rozmowę z Jaśkiem, którego spodziewałam się w każdej chwili.

– A jutro pojedziemy nad jezioro? – spytała Natasza.

– Zobaczymy, co powie wujek.

Janek wrócił z pracy po dwudziestej, z bukietem róż.

– Jestem, kochanie! – Z przedpokoju dobiegło mnie pogodne powitanie.

Było dobrze. Widać zostawił zły humor za sobą.

Wybiegłam mu na spotkanie. Dziewczynki były na górze i sądząc po ciszy, pewnie oglądały filmy lub oddawały się grze.

– Jakie piękne! To dla mnie? – Posłałam i Jaśkowi, i bukietowi uroczy uśmiech.

– Oczywiście. Przepraszam, Oluś, za mój poranny nastrój. – Poczulałam na ustach pocałunek. – A do kwiatów dołączam jeszcze to! – Triumfalnie przekazał mi kopertę.

– Co to jest? – zapytałam.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie, by wyczuć kłopoty.

Opatrzona rysunkiem samolotu koperta musiała zawierać bilety. Migiem dodałam dwa do dwóch. Przeprosiny, długi weekend, lot.

O matko.

– No, zobacz żono. – Rozradowany Jaś czekał, aż sprawdzę zawartość i rzucę mu się na szyję.

Ja jednak otwierałam kopertę powoli, by na koniec utwierdzić się w przekonaniu, że niestety miałam -rację.

Zawierała dwa bilety do Paryża.

– Kochanie, bardzo ci dziękuję... – wydukałam nie swoim głosem. – Ale nie mogę jechać.

Jeszcze nigdy niczym tak nie zaskoczyłam Jaśka. Zanim odpowiedział, wlepił we mnie oczy przypominające wielkością spodki.

– Co ty mówisz? Dlaczego?!

– Na górze są dziewczynki Adamczyków. Kacper leży z zapaleniem płuc. Leon też zachorował. Milena poprosiła mnie, żebym się nimi zajęła. Właśnie miałam cię prosić, żebyśmy pojechali z nimi na weekend nad jezioro. – Opanowałam lęk i rzutem na taśmę opisałam mężowi sytuację.

– Chyba żartujesz?! Wolisz jechać nad jakieś jezioro z obcymi dziećmi niż ze mną na romantyczny weekend w Paryżu?

– Jaś, nie wiedziałam... Zgodziłam się wcześniej.

– To odwołaj! Przecież nie jesteś ich niańką! Były z nami nad morzem, a my chyba mamy prawo też się gdzieś wyrwać sami?

Poprosiłam go o spuszczenie z tonu, żeby odgłosy kłótni nie dotarły na piętro.

– We własnym domu nie mogę już podnieść głosu? – Mąż obdarzył mnie spojrzeniem bazyliuszka szykującego się na ofiarę.

– Przepraszam, kochanie. Jestem zachwycona niespodzianką i bardzo chciałabym z tobą wyjechać, ale...

– Ale ciągle myślisz o dzieciach. Swoich, cudzych i Bóg wie jakich jeszcze. Kobieto, opanuj się, bo ja tego nie wytrzymam! – Trzasnął kopertą o stół i zamknął się w gabinecie.

Było mi przykro i głupio. Sama nie wiedziałam, które z tych uczuć przeważało. Jednak o moich rozterkach nie miały prawa dowiedzieć się dziewczynki.

Jaś nie opuścił pokoju, więc kolację jadłyśmy tylko we trzy. Na pytania dziewczynek o wujka odpowiadałam zdawkowo. Że wrócił zmęczony z pracy i odpoczywa. Że pojedziemy same, a on dojedzie później. Lenka była za mała, by ją wprowadzać w temat, Nataszy postanowiłam wyjaśnić nieobecność Jaśka w domku nad jeziorem już na miejscu. Bo oczywiście byłam przekonana, że Jasiek zdecydował się nie dotrzymać nam towarzystwa.

Nie myliłam się. Ale przynajmniej zachował się na tyle przyzwoicie, by rano stworzyć pozory normalności. Pomógł nam się spakować i pomachał na pożegnanie.

Wyjeżdżałam spięta jak agrafka. Drżała mi powieka i łomotało serce, które przecież cały czas było przy mężu i niedoszłym wyjeździe do Paryża.

Pamiętałam naszych kilka wcześniejszych wypraw i ogromnie żałowałam, że tym razem ominie mnie wino na Saint-Michel, spacer po ogrodzie Luksemburskim, -zakupy u bukinistów na Saint-Germain, rejs po Sekwanie i mnóstwo romantycznych, nieodkrytych jeszcze miejsc.

A może jednak powinnam odmówić Milenie?, zamęczałam się myślami w trakcie prowadzenia.

Przed odjazdem zapytałam Jaśka, co robi z biletami.

– Jeden wykorzystam, Aleksandro. Mówiłem ci o kliencie, z którym chcę się spotkać. Specjalnie dla mnie przyjedzie z Cannes i nie mogę go zawieść. Chciałem mu ciebie przedstawić, ale ty masz inne plany.

– Jaś, przepraszam. Zrozum.

– Rozumiem – odparł. – Tyle że w tym domu tylko ja ciągle muszę wszystko rozumieć. A mogło być tak miło...

Z ciężkim sercem dotarłam na miejsce. Klucz pasował i wkrótce z dziewczynkami objęłyśmy we władanie niewielki domek z wychodzącym na jezioro tarasem. Woda była spokojna i koła widokiem niewielkiej, uderzającej o brzeg falki.

Młode od razu dorwały się do stojących w garażu rowerów i wybierały się na wycieczkę.

– Hola, hola! – zawołałam i zgarnęłam je do rozpakowania bagaży. – Najpierw obowiązki!

Okoliczności przyrody sprawiły, że z każdą chwilą nad jeziorem oczyszczałam organizm i wyzwalalam go z wyrzutów sumienia. Jasiek nie odpowiadał na telefony, ignorował esemesy. Aż w końcu dałam sobie spokój i odetchnęłam pełną piersią.

W godzinach popołudniowych kolejnego dnia przesłał mi informację, że wylądował w Paryżu. Dołączył fotkę z hotelu, z widokiem na Pont Neuf, most, którym nieraz się przechadzaliśmy, by na Cité nakarmić gołębie przed katedrą Notre Dame. Krótki dół, jaki zaliczyłam, przeszedł mi z chwilą nadejścia dziewczynek.

Poniosła mnie fala ich radości i entuzjazmu.

– Ciociu, pójdziemy się wykąpać? A może popływamy kajakiem? – wołała Natasza.

– Ja chcę na rower! – Lena nie zamierzała skrywać własnych potrzeb.

– Cicho, spokojnie. – Próbowalam opanować eksplozję życzeń. – Natka, zobaczymy, czy woda jest wystarczająco ciepła. I czy któryś z rowerów będzie dla ciebie odpowiedni – zwróciłam się do młodszej.

To była ostatnia chwila spokoju. Dziewczynki wypełniły mi cały dzień, a potem drugi i trzeci. Dopiero wieczorami, kiedy usypiały, a ja, wygodnie rozparta w fotelu na tarasie, pozwalałam sobie na kieliszek wina, kierowałam myśli w stronę Jaśka.

Na moje esemesy odpowiadał zdawkowo.

Bardzo chciałam być z nim teraz w Paryżu, ale naprawdę nie mogłam. Liczyłam jednak, że nic straconego.

## Rozdział 35

### Maria

Wizyta w rodzinnym domu pani Zofii przeciągnęła się do dwóch godzin. Wystarczy doliczyć do tego odwiedziny na cmentarzu, a można się domyślić, że z trudem zdążyłyśmy na obiad.

W domu opieki panowało ożywienie, jak zawsze gdy zbliżał się posiłek. W stołówce pobrzękiwały rozkładane na stołach sztuce, z kuchni dochodził zapach ogórkowej i mielonych kotletów. Kucharka, pani Ludmiła, przyrządzała je nadzwyczaj smacznie. Nieraz zabierałam kilka do domu, gdzie uciekałam się do fortelu, wmawiając Władkowi, że są mojej roboty. Nie licząc pizzy i hamburgerów, tolerował wyłącznie domowe jedzenie.

Wobec pustej lodówki także tym razem postanowiłam skorzystać z dobrej ręki Ludmiły. Kartofelki i surówkę mogłam przygotować sama.

Korytarz wypełnił się pensjonariuszami, którzy ciągnęli do stołówki, by zająć swoje stałe miejsca. Nikt im ich nie wyznaczał, ale siłą przyzwyczajenia i wzajemnych sympatii siadywali zwykle przy tych samych stolikach.

Lubiłam patrzeć na ożywienie naszych staruszków, dla których czas posiłku był swego rodzaju rozrywką, urozmaiceniem dnia. Jedynie pani Zofia nie miała jeszcze przydziału. Szesnaścioro pensjonariuszy zajmowało cztery stoliki, więc zmuszona była siedzieć sama, chyba że ktoś akurat jadł w pokoju i zwalniał miejsce.

Dziś jednak wszyscy stawili się w komplecie i pani Zofii groziła samotność.

Przysiadłam obok niej, by towarzyszyć jej chociaż przy zupie.

– Nie musisz się o mnie martwić, Marysiu. – Poglądziła mnie po ręce, kiedy stawiałam swój talerz. – I tak już dużo dla mnie zrobiłaś.

– Co pani opowiada. Z przyjemnością obejrzałam pani uroczy dom i obejrzę go jeszcze nieraz, jeśli pani pozwoli. Właściwie dlaczego nie chce pani się do niego wprowadzić? Z tego, co widziałam, jest ogrzewany z miejskiej sieci. Po niewielkim odświeżeniu dom odzyskałby blask.

Pani Zofia spojrzała w przestrzeń i westchnęła.

– Kochanie, taki dom dla starszej pani to wyzwanie. Widziałaś, ile tam jest rzeczy? Niestety, Arkadiusz nieco go zaniedbał. Nie mam sił walczyć z fachowcami, remontować, dbać o ogród i jeszcze do tego przygotowywać sobie posiłki. A gdzie chodzenie do apteki, po zakupy, ech...! – Z rezygnacją machnęła ręką. – Poza tym Tomasz liczy, że sprzedam dom i wesprę finansowo wnuki.

– Tego pani chce?

– Sama nie wiem. Po śmierci syna uświadomiłam sobie, że źle zrobiłam, wyjeżdżając przed laty. Czy ty wiesz, że nigdy nie zaaklimatyzowałam się na obczyźnie? Do tej pory mówię „my” o Polakach i „oni” o Niemcach. Chciałam tu wrócić, choćby i do domu starców. Mimo miłości do wnuków, Kateriny i Alexa. Jak widzisz, mój syn nadał dzieciom obco brzmiące imiona. Niestety, niektórych kroków z przeszłości nie da się cofnąć, a one w pewnym momencie zaczynają determinować życie.

– Pani Zofio...

– Nie musisz mnie pocieszać. Późno, bo późno, ale wróciłam. Może uda mi się jeszcze pooddychać polskim powietrzem, powspominać dawne czasy i trochę pożyć. Przypomnę sobie rodzinny dom, poszperam w szufladach z listami, zaciągnę zapachem przeszłości. A kiedy mi się znudzi, sprzedam dom i wyślę Tomaszowi pieniądze.

Przyspieszyłyśmy grzebanie łyżkami w zupie, kiedy salowa przyniosła pani Zofii talerz z drugim daniem. Mnie przywołał do porządku wzrok szefowej. Wskazał mi drogę do gabinetu.

– Co ty wyprawiasz, Marysiu! – Pani Wiesia przywitała mnie niezbyt przyjaźnie.

Przez skórę czułam, o co jej chodzi.

– Za długo nas nie było? – zapytałam.

– Mamy siedemnaścioro pensjonariuszy, a ty cały swój czas poświęcasz jednej osobie! Rozumiem, że pani Zofia musi się zaaklimatyzować, i cenię sobie twoje starania. Ale w placówce została tylko Iza, która, jak dobrze wiesz, chodzi nieprzytomna z powodu tego swojego nieszczęsnego męża.



Dziękuję ci za zaangażowanie, ale oczekuję go również w stosunku do pozostałych osób.

- Pani Zofia siedziała sama przy stole, więc chciałam dotrzymać jej towarzystwa... – zaczęłam.
- Jutro zadbam, żeby połączyć stoliki i zapewnić jej komfort. A ty wracaj do pracy.

Zanim tak się stało, zaszłam jeszcze do służbowej kuchenki, by napić się wody. Może rzeczywiście straciłam czujność i zaniedbałam obowiązki?, pomyślałam, szukając ukojenia w rozległym widoku na błonia.

- Coś się stało? – Chwilę zadumy przerwało mi nadejście Julka.
- W porządku. Mały opeer od szefowej. A u ciebie?
- Też dobrze. Zrobić ci kawy? – Spojrzał, zawiesiwszy rękę nad ekspresem.
- Dziękuję. Mam wystarczająco wysoki poziom adrenaliny – odparłam i siląc się na uśmiech, wyszłam z kuchni.

Zdałam sobie sprawę, że w sentymentalnych wypadach pani Zofii będę jej mogła towarzyszyć po pracy. Ale nie zamierzałam jej zawieść. Polubiłam ją, bo w pewnym stopniu przypominała mi moją mamę. No i jak powiedziała, w przeszłości miała przyjaciółkę Tereskę.

Wprawdzie mama nie żyła od kilku już lat, ale nieraz była obecna w moich myślach i tęsknotach. Korzystałam z przepisów kulinarnych skreślonych jej ręką w zeszycie o niebieskich, teraz już poszarzałych okładkach, nosiłam jej ulubiony wisiołek ze szmaragdem, jedyny wartościowy „klejnot”, jaki kiedykolwiek miała, spoglądałam na zdjęcie zdobiące niewielki fragment ściany nad toaletką. Czasami nawet złorzeczyłam losowi, że przedwcześnie mi ją odebrał.

Jakimś cudem w pani Zofii odnalazłam bratnią duszę i miałam wielką ochotę zagłębić się w jej świat. Nawet po godzinach.

Kolejne dni w pracy poświęciłam, jak życzyła sobie szefowa, wszystkim pensjonariuszom. Na kolejną wycieczkę umówiliśmy się z panią Zofią po długim weekendzie. A ten zbliżał się wielkimi krokami.

Aleksandra najpierw zajęta była tłumaczeniem, potem wyjechała na targi do Rygi.

Przeglądałam internet i z mapami Google’a przemierzyłam ulice Rygi i Jurmały, zastanawiając się, dlaczego to nie ja jestem na miejscu Oli. Czasami chwyciły mnie tęsknoty za dalekimi podróżami. A nawet tymi bliższymi, które również odświeżają i dają power do życia.

Moje dywagacje były, oczywiście, czysto teoretyczne, niepoparte jakimkolwiek doświadczeniem. Władek nigdy nie przejawiał potrzeby podróżowania, nasze kieszenie ziały pustką, a choroba Kalinki stwarzała kolejne utrudnienia. Jedynie pobliskie nadrzeczne błonia zwiedziłam wszczep i wzdłuż. Jeśli nie liczyć sporadycznych wyjazdów nad polskie morze, nasze najdalsze wycieczki kończyły się na rodzinnej wsi męża.

Płynące z tych przemyśleń wnioski jednoznacznie sprowadziły mnie na ziemię. Nie mogłam być na miejscu Aleksandry, bo nie skończyłam studiów i nie miałam pieniędzy. Wprawdzie odnalazłam się w pracy w domu opieki, ale przy Oli powracały niespełnione marzenia o edukacji. I stopniowo wierciły coraz większą dziurkę w mojej głowie, by wreszcie ujrzeć światło dzienne.

W myślach karciałam się za nie, ilekroć spoglądałam na rosnący brzuch, który w tym momencie był najważniejszy. Jeszcze niewidoczny dla innych, ale dający o sobie znać. Reagowałam paniką na najmniejszy skurcz, koncentrowałam myśli na wynikach testu PAPP-A, który miałyśmy poznać dzień po długim weekendzie.

Pan Boryk okazał się nadzwyczaj wyrozumiały i po ostatnim wyczynie alkoholowym mojego męża zachował go w pracy, przesuając z dźwigu na plac. Odczuwałam wdzięczność, ale i wstyd za Władka, który nie potrafił uszanować zatrudnienia i nie dawał mi spokojnie donosić ciąży.

Kiedy Aleksandra przyjechała, by zabrać mnie na wizytę do kliniki, nie wiedziałam, jak jej spojrzeć w oczy. Siedziałam jak trusia, obserwując kolejne kilometry drogi.

- Jesteś milcząca. Wszystko w porządku? – spytała.
- Tak. Dobrze się czuję. Oby wyniki były...

Przerwała mi.

- Będą. Jak spędziłaś długi weekend?
- W domu. A tobie jak się udał wyjazd na Łotwę?

Ujrzałam uśmiech na jej twarzy, który zapoczątkował opowieść o tym jej Krastsie i nagrodzie literackiej.

Chłonełam każde słowo, oczami wyobraźni podążając po nieznanymi uliczkach Rygi i innych niedostępnych mi rewirach.

Nagle Ola zmarkotniała.

– Na długi weekend Jasiek załatwił nam wycieczkę do Paryża, ale nie mogłam pojechać – oznajmiła.

– Dlaczego?

– Milena była w sytuacji podbramkowej. Jej mąż i Leoś zachorowali i musiałam wziąć dziewczynki.

– Szkoda, że Paryż przepadł. – Rozmarzyłam się. – Ale nad jeziorem też pewnie było przyjemnie – dodałam, kiedy usłyszałam, że zabrała dzieci do letniego domku.

– Tak. Chociaż bez Jaśka...

Stężała mina wskazywała, że nie powinnam drażnić tematu.

Przed kliniką stanęłyśmy godzinę przed czasem. Aleksandra zostawiła mnie w barku, poszła załatwić formalności i pewnie zapłacić za wizytę. Wcześniej zamówiła mi lekki lunch i herbatę.

Sięgnęłam po gazetę, ale tylko bez ładu i składu skakałam wzrokiem po linijkach, mając z tyłu głowy spotkanie z doktorem Lamparskim.

Po chwili dołączyła do mnie Ola, by zmęczyć kawałek tarty ze szpinakiem. Aż wreszcie zerknęła na zegarek i powoli podniosła się z krzesła.

– Chodźmy. Za dziesięć minut mamy wizytę. – Pomogła mi sięgnąć po torebkę.

Przemierzyłyśmy kilka korytarzy, by w końcu stanąć przed gabinetem.

Doktor czekał na nas i gestem zaprosił do zajęcia miejsc w fotelach. Usiadłyśmy bez słowa. Sięgnął po pomarańczową teczkę, która leżała na biurku.

– Proszę pań, nie mam dobrych wiadomości – zaczął, a mnie zrobiło się słabo. – Test PAPP-A wykazał ryzyko wystąpienia zespołu Downa i zespołu Edwardsa. Ale, jak mówiłem, to nie wyklucza, że dziecko urodzi się zdrowe – dodał. – Potrzebne będą jednak dalsze badania diagnostyczne. Amniopunkcja.

– Chodzi o jedno dziecko czy o oboje? – Ola najwyraźniej zachowała zimną krew, skoro zadała to pytanie.

– O jedno. Ale potwierdzimy to dopiero w kolejnym badaniu.

O downie wiedziałam co nieco, ale o chorobie Edwardsa absolutnie nic. Z przerażeniem spoglądałam na Olę, która po wypiciu kilku łyków wody zadała kolejne pytanie.

– Czy mógłby pan przybliżyć nam te... zespoły?

– Down charakteryzuje się niepełnosprawnością intelektualną w stopniu lekkim lub średnim oraz cechami dysformii, czyli zmianami w wyglądzie. Dzieci dotknięte zespołem Edwardsa borykają się z trudnościami w przyjmowaniu pokarmów i nie w pełni kontrolują odruch połykania. Mogą się krztusić i wymiotować, dlatego często praktykuje się karmienie sondą. Starsze dzieci wymagają pomocy przy chodzeniu, a ich zdolności porozumiewania się są ograniczone. Proszę jednak jeszcze się nie martwić – ponownie podkreślił doktor. – W pani przypadku – zerknął na mnie – szansa urodzenia dziecka z wadami wrodzonymi jest jak jeden do dwustu.

– A ile wynosi w przypadku kobiety, która ma dobre wyniki?

Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią. Prawdopodobnie nie spodziewał się takiego pytania.

– Jeden do siedmiu tysięcy.

Odczułam mrowienie w ciele. Gdybym stała, zapewne nie utrzymałabym się na nogach.

Po chwili doktor wyjaśnił, na czym polega amniopunkcja, i wyznaczył termin kolejnej wizyty.

– Czy naprawdę jest szansa, że dwójka urodzi się zdrowa? – próbowała dociec Aleksandra, kiedy stałyśmy już przy drzwiach.

– Wynik kolejnego badania będzie wiążący – odparł doktor Lamparski na pożegnanie.

Byłam przerażona.

## Rozdział 36

### Aleksandra

Kiedy jechałam z Marią po wyniki testu, mimo obaw nie traciłam nadziei na pomyślne rozwiązanie. To ona była bardziej spięta i milcząca. Odganiałyśmy złe myśli rozmową na tematy poboczne. Opowiedziałam jej o swoim pobycie w Rydze, o spotkaniu z Krastsem i nagrodzie, którą dostałam. Wspomniałam, że ominął mnie romantyczny wyjazd z Jaśkiem do Paryża, ale w zamian spędziłam kilka miłych dni z córkami Mileny.

Dziewczynki rzeczywiście były zachwycone pobylem. Wprawdzie dopytywały o wujka, ale szybko przyjęły do wiadomości jego nieobecność.

Pogoda dopisała, racząc nas słońcem, które jak na zamówienie ogrzało jezioro do tego stopnia, że nawet ja byłam w stanie zamoczyć nogi do kolan. Małe natomiast korzystały z dobrodziejstwa kąpieli w całej pełni. Mimo początkowych wątpliwości uległam ich błaganiom i pozwoliłam na pierwszy tego roku chrzest w niespecjalnie jeszcze ciepłej wodzie.

Modliłam się w duchu, żeby nie złapały zapalenia płuc, a nawet wieczorami prewencyjnie podsuwałam im herbatę z cytryną i miodem, ale szczęśliwie choroba je ominęła. Każdego dnia znajdowałyśmy sobie nowe aktywności, puszczając wodze wyobraźni. Przy pomocy męskiej ręki sąsiada uruchomiłyśmy rowery i spuściłyśmy na wodę kanoę. W składziku znalazła się piłka do koszykówki i paletki do badmintonu. Robiłyśmy zakupy w wiejskim sklepiku, by potem wyczarowywać smakowite kolacje zjadane na naszym tarasie z widokiem na jezioro. Może to i nie był plac Saint-Michel, a w oddali nie połyskiwała Sekwana, ale starałam się być zadowolona. Choćby z powodu wspaniałego nastroju dziewczynek, których zachwyty, że spędzają czas ze mną, rekompensował mi tęsknotę za Jankiem i Paryżem.

Milena była mi bardzo wdzięczna. Te kilka dni nieobecności małych pozwoliło Kacprowi i Leosiowi wrócić do zdrowia.

– Wiem, że Merci niczego nie załatwi. – Wepchnęła mi pudełko czekoladek, kiedy po powrocie zegnałam się z dziewczynkami. – Kochana, jesteś wielka. Podziękuj też Jankowi. Nie każdy mężczyzna zajmowałby się w wolnym czasie obcymi dziećmiakami – dodała.

Zachowałam milczenie, mając jednak świadomość, że temat niebawem ujrzy światło dzienne. Prędzej czy później Milena musiała poznać część prawdy z relacji Nataszy lub Leny.

Mój mąż zasygnalizował swój przyjazd na po dwudziestą, a zatem miałam kilka godzin na rozpakowanie i przygotowanie powitalnej kolacji.

Milena zadzwoniła, kiedy postawiłam samochód na podjeździe.

– Olka? Podobno zrezygnowałaś z randki z mężem w Paryżu! Mogłaś powiedzieć! Nawet nie wiesz, jak mi przykro, że obarczyłam cię dziewczynkami. Jasiek pewnie wściekły?

– Skąd wiesz? Nic im nie mówiłam o Paryżu.

– Natka podsłuchiwała waszą rozmowę przez telefon.

– Wszystko gra, Miłka. Będziemy mieć jeszcze niejedną okazję. A ta wyprawa nad jezioro była strzałem w dziesiątkę – odparłam tonem pełnym entuzjazmu. – Teraz jednak daj mi chwilę, bo Janek dzisiaj wraca i muszę przygotować coś na stół. Ukochaj ode mnie małe. – Cmoknęłam do mikrofonu.

Szybkim ruchem porwałam torby z bagażnika i przekręciłam klucz w drzwiach.

W domu panował lekki zaduch. Otworzyłam okna na przestrzal i zawróciłam po siatkę z zakupami. Powinnam zdążyć z quiche lorraine i sałatką nicejską, by godnie współgrały z francuskim winem, które z pewnością przywiezie Jaś.

Tworzyłam tartę z pewnym niepokojem, nie mając pewności, w jakim wróci nastroju. Na szczęście przywitał się ze mną nader serdecznie.

– Jak ci się udał pobyt? – zapytał, z trudem skrywając zadowolenie.

– A tobie? – Przerzuciłam piłeczkę na jego boisko.

– Wszystko w porządku. Spotkanie z kontrahentem udane, odwiedziłem również Pierre’a – wspomniał o koledze sprzed lat. – Pytał o ciebie.

Zarzuciłam mu rękę na szyję.

– Kochany, nawet nie wiesz, jak tęskniłam! I tak mi przykro, że nie mogłam ci towarzyszyć!

– Nie ma sprawy – odparł, trochę zbyt szybko.

– To kiedy pojedziemy razem? – Spojrzałam zalotnie.

– Pozwolisz mi się rozpląszczyć? Chyba czuję jakieś wspaniałe zapachy, czy to quiche?

Przypomniałam sobie o tarcie w piekarniku i z prędkością światła popędziłam do kuchni.

Wieczór z Jaśkiem, czerwonym merlotem i białym sauvignon prosto z Paryża okazał się bardzo udany. Mój mąż nie zgłaszał żadnych pretensji, a nawet życzliwie wypytywał o szczegóły mojego wypadu z dziewczynkami. Wspomniał jedynie, że ostatni, jutrzejszy dzień długiego weekendu spędzi w pracy, ale ja również miałam plany zawodowe, więc nie było sprawy.

Do końca tłumaczenia pozostało kilka rozdziałów, postanowiłam zatem przysiąc fałdów, również dlatego, żeby nie myśleć o przypadającej dzień po wolnym wizycie w klinice.

Udało mi się niemal dociągnąć do końca, więc z lżejszym sercem w drodze opowiadałam Marii o swoich ostatnich aktywnych kilku dniach.

Nie dziwiłam się, że siedzi spięta. Również ona obawiała się o wyniki badań. A poza tym dotknęła ją z pewnością sytuacja z mężem, o której w sumie nie rozmawialiśmy.

Zaparkowałam samochód przed kliniką godzinę przed wizytą. Zostawiłam Marię w barku i poszłam uregulować należność. Wcześniej zamówiłam jej lekki lunch, a dla siebie tartę ze szpinakiem, której jednak niemal nie tknęłam. Zaczynałam się denerwować na serio.

Doktor Lamparski nie miał dobrych wiadomości: test PAPP-A wykazał u jednego z bliźniąt duże prawdopodobieństwo wystąpienia zespołu Downa i zespołu Edwardsa.

Czytałam co nieco na ten temat, ale wołałam usłyszeć od fachowca, na czym polegają obie choroby. Byłam przerażona wizją dziecka porażonego choćby jedną z nich. Doktor Lamparski wciąż dawał nadzieję na nieprecyzyjny wynik i możliwość urodzenia zdrowych dzieci, a jednak, mimo dużego optymizmu, nie zdołał mnie przekonać. Jeden do dwustu, w stosunku do prawidłowego jednego do siedmiu tysięcy, było słabym i mało obiecującym wynikiem. Kwestię genetycznej choroby jednego z bliźniąt miała ostatecznie rozstrzygnąć zlecona przez doktora amniopunkcja.

– Zapraszam na badanie za dwa tygodnie. – Ledwie dotarły do mnie jego słowa.

W drodze powrotnej zatrzymałyśmy się z Marią na szybki obiad w znajomej gospodzie, ale pożegnałyśmy się w kiepskich nastrojach.

Jaś czekał w domu.

– I jak? – zapytał od progu, pomagając mi zdjąć kurtkę. – Wszystko w porządku?

Opadłam ciężko na fotel.

– Co z tobą? Zmęczona drogą?

Zaprzeciłam ruchem głowy.

Jaś nalał mi kieliszek wina i wyraźnie zaniepokojony zachęcił do zwierzeń. Niemal bezgłośnie powtórzyłam opinię lekarza.

– Czy ja dobrze zrozumiałem? Potwierdzili downa u jednego z dzieci?

– Jeszcze nie, Jaś. Maria musi poddać się amniopunkcji.

– Możesz się wreszcie otrząsnąć?! Mów jaśniej! – podniósł głos.

– Pobiorą jej igłą przez brzuch próbkę płynu owodniowego zawierającego komórki płodu, które posłużą do określenia zestawu chromosomów dziecka. Wynik niemal w stu procentach wskaże na odchylenia i chorobę genetyczną.

– Chcesz przez to powiedzieć, że zbliżamy się do realizacji czarnego scenariusza? Że Maria urodzi nam downa?!

Skinęłam głową, zachowując dla siebie informację o podejrzanym przez Lamparskiego zespole Edwardsa.

Mój mąż wstał z fotela i nerwowo przemierzał pokój.

– To niesłychane! W mojej rodzinie nigdy nie było żadnych chorób genetycznych! Chyba że

u ciebie? – Spojrzał znacząco, szukając winnej.

Zapreczyłam.

– To jej wina! – Wytknął palcem nieobecna Marię.

– Nie, Jaś.

– To znaczy, że ci w klinice coś popieprzyli, kiedy zapładniali twoje jajeczko! Pozwę ich!

– Uspokój się. Poczekajmy na wynik amniopunkcji.

– Masz nadzieję, że on zmieni rzeczywistość? Wierzysz w cuda?

Trafił w punkt.

Nie wierzyłam. Powoli zaczynała do mnie docierać tragiczna prawda, która wprawiała mnie w przerażenie. Jedno z dzieci było obciążone ciężką chorobą genetyczną.

– Jaś, poczekajmy jeszcze, dobrze? – Zdobyłam się na lekki uśmiech.

– Olka, ja nie jestem gotowy na takie rewelacje. Muszę poradzić się pana Kazimierza – wspomniął naszego prawnika.

Nie dopytywałam, w jakiej sprawie, ale zabrzmiało to groźnie.

Mimo doła zasiadłam do tłumaczenia, licząc, że to pozwoli mi opanować złe myśli.

Od pracy oderwał mnie dźwięk nadchodzącego mejla. Nie fatygowałam się jednak odbieraniem, gdyby nie pochodził od Janisa. Pewnie w sprawie książki.

Otworzyłam list i zagłębiłam się w jego treści.

„Sasza, wiem, że nie jestem mile widziany, mimo to zdecydowałem się napisać do Ciebie. Zdaję sobie sprawę, że odkrycie mnie w osobie asystenta Krastsa nieprzyjemnie Cię zaskoczyło. Oczywiście wiedziałem o Tobie, ale nie uprzedziłem mistrza. Było mi głupio i niezręcznie. Nie wiem, na co liczyłem. Wierz mi, nie chciałem się Wam narzucać, ale wyszło inaczej. Teraz Krasts wie już o nas wszystko, a mnie ulżyło, że sytuacja się wyklarowała. Oboje pracujemy dla niego, a ja zadeklarowałem, że ze wszystkich sił będę się starał utrzymać z Tobą dobre kontakty. Może i Ty mnie nie skreślił?”

Chciałbym wytłumaczyć Ci sytuację sprzed lat, nie wiem jednak, czy mi na to pozwolisz. Może w kolejnym liście.

Teraz jednak piszę w innej sprawie. Jak wiesz, sporo czasu spędzam z mistrzem i widzę, że ostatnio nie czuje się dobrze. Wprawdzie nic mi nie mówi, ale przypuszczam, że ma kłopoty z sercem. Zmarniał, a na półce w łazience przybyło lekarstw. Często kładzie się po obiedzie, a rano, kiedy przyjeżdżam do Jurmały, zastaję go w łóżku.

Postaraj się jak najszybciej dokończyć tłumaczenie, bo niebawem dostaniesz jego kolejną książkę. O ile będzie na siłach ją dokończyć. Przeraza mnie, kiedy wspomina, że to ja będę pisać ostatnie rozdziały.

Może to tylko niczym nieuzasadnione obawy, ale postanowiłem się nimi z Tobą podzielić. Jak twierdzi Krasts, jesteśmy najbliższymi mu ludźmi.

A zatem proszę, zakopmy wojenny topór, bo on nas potrzebuje. Może znajdziesz czas, żeby przyjechać do niego? Obiecuję, że nawet się nie pokażę.

Pozdrawiam Cię i raz jeszcze przepraszam za dawne czasy. Mimo tego, co się wówczas stało, nigdy nie przestałem o Tobie myśleć. Janis”.

Z listu wyłowiałam, co najważniejsze: Krasts źle się czuł. Może rzeczywiście powinnam odwiedzić go ponownie?

## Rozdział 37

### Maria

Proszę się nie martwić o Kalinę. Będę o nią dbać – usłyszałam od Krzyska w przeddzień szkolnej wycieczki do Krakowa.

Nie ulegało kwestii, że tych dwoje łączy coś więcej niż tylko przyjaźń i wspólne zainteresowania. Spędzali ze sobą długie godziny, a od pewnego czasu chłopak był stałym gościem w naszym domu. Dziwiło mnie jedynie, że nigdy nie zapraszał Kaliny do siebie.

Zdobyłam się na odwagę i wzięłam córkę na spytki. Nastawiona na odmowę współpracy, postanowiłam nie odpuszczać. W końcu jako matka miałam prawo wiedzieć, co jest między nią i Krzysztofem. Do pełnoletności oboje mieli jeszcze dwa lata.

Korzystając z nieobecności Władka, wsunęłam się do jej pokoju z dwiema filiżankami herbaty. Pretekstem była rozmowa z doktorem Kozubem, który zaprosił nas na badania.

Telefon z jego gabinetu najpierw mnie zaniepokoił, a potem ucieszył. Rehabilitacja pacjentów po operacjach w Szwajcarii przebiegała pomyślnie, dając nadzieję na szersze stosowanie nowej metody.

– Pani Mario, zapewne poczekamy jeszcze kilka miesięcy, ale nie z założonymi rękami – poinformował mnie i zaprosił na wizytę. – Kalina musi być przygotowana pod kątem sprawności mięśni, więc będziemy potrzebować rehabilitacji celowej. Proszę przyjść w przyszłym tygodniu, ustalimy plan ćwiczeń. Rejestratorka wyznaczy dzień i godzinę.

Nareszcie jakaś dobra informacja!, pomyślałam z radością. Po chwili byłam już umówiona z doktorem Kozubem na kolejny piątek. Do tego czasu moja córka zdąży wrócić z wycieczki, stwierdziłam.

Kiedy weszłam z herbatą, Kalina rozmawiała przez telefon, który na mój widok szybko wyłączyła.

– Krzysztof? – rzuciłam w przestrzeń, z miną osoby mało zainteresowanej tematem.

Rumieniec na policzkach zdradził konsternację.

– Podsluchujesz?

– Po prostu jestem domyślna – odparłam zgodnie z prawdą. – Kalinko, możemy porozmawiać?

– A o czym? – zapytała buńczucznie. – Bo jeśli chcesz snuć te swoje domysły...

Po raz pierwszy wychowywałam nastolatkę, więc i doświadczenie miałam zerowe. Ale postawiłam na szczerość. Taką, jaka łączyła mnie z mamą.

– Dzwonił doktor Kozub – zaczęłam, by po omówieniu tematu rehabilitacji łagodnie przejść na Krzysztofa.

Wspomniałam o umówionej wizycie i planach operacji, która majaczyła na horyzoncie coraz wyraźniej.

Zamiast wybuchu spodziewanej euforii zobaczyłam zatroskane spojrzenie.

– A jak twoja ciąża? – zapytała Kalina. – Wiem, że byliście z panią Aleksandrą w klinice. Sądziłam, że sama coś mi powiesz na ten temat.

Akurat na to nie miałam specjalnej ochoty, ale moja córka przyparła mnie do muru i nie dała się zwieść tłumaczeniom, że musimy poczekać na dalsze wyniki.

– Kalina, jedno z bliźniąt jest zagrożone chorobą genetyczną. Ale do czasu amniopunkcji, to znaczy kolejnego badania, które mam za dwa tygodnie, proszę, nie mów nic ojcu. Nie chcę, żeby się martwił – dodałam, niekoniecznie szczerze wyjawiając powód prośby.

– A co będzie, jeżeli prognozy się sprawdzą?

Westchnęłam i odparłam zgodnie z prawdą, że nie wiem.

– Ale nie ma co się martwić na zapas. Krzysiek zaopiekuje się tobą na wycieczce? – Pośpiesznie zmieniłam temat.

– Tak. Pomoże mi. Albo Klaudia, jego dziewczyna.

– Kochanie, przecież mam oczy. Nie musisz niczego przede mną ukrywać.

– Mamo...

Mimo potrzeby szczerzej rozmowy z córką odpuściłam. Zawsze wyrzucałam sobie słabą siłę przebiccia i skłonność do robienia kroku w tył. Po prostu życzyłam jej miłego pobytu.

A może zwyczajnie myślę się w ocenie tej relacji?, pomyślałam.

Władkowi nie zdradziłam wyników testu. Postanowiłam zapoznać go z sytuacją, dopiero kiedy całkowicie się wyklaruje. Tym samym zostałam sama z problemem i zgryzotą, bo podobnie jak Aleksandra straciłam nadzieję na dobry wynik. Raczej nastawiałam się na ogromne problemy, kto wie, czy do przeskoczenia.

Dobrodziejstwo pracy pozwalało mi przez kilka godzin dziennie zapominać o prywatnych kłopotach.

Majowe słońce umożliwiało naszym pensjonariuszom spacerować po terenie. Niektórzy z nich aż rwali się do uprawiania kilku grządek na tyłach budynku, pielili rabaty z tulipanami, pod okiem ogrodnika przycinali gałązki krzewów. Musiałam dbać o ich bezpieczeństwo i hamować te pielęgnacyjne zapędy. Krążyłam zatem pomiędzy domem i ogrodem, próbując zapanować nad swoją trzódką i dopilnować rytmu jej dnia.

Iza wciąż nie potrafiła opanować emocji związanych z odejściem męża. Była obecna ciałem, ale duchem krążyła wokół Januszka i swojego nieszczęścia.

Radziłam się Julka, jak do niej dotrzeć.

– Nie umiem z nią rozmawiać. Żadne argumenty nie docierają. Może ty, jako facet, z nią porozmawiasz?

– Niby jak ty to sobie wyobrażasz? – zapytał zdziwiony.

– Powiedz jej komplement, dowartościuj. Niech poczuje się pewniej.

Pokręcił przecząco głową.

– Mam kłamać?

– Dlaczego? Przecież to ładna, szykowna kobieta. Nie uważasz?

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie.

– Rzecz gustu. Mnie się podoba ktoś inny – wyszeptał.

– Jasne. Każde z nas jest zaangażowane, ale mógłbyś skomplementować Izę, że się tak wyrażę, terapeutycznie. Dać jej poczucie wartości, wspomóc – drażyłam.

Dostrzegłam w jego oczach iskierki wahania.

– Może masz rację. A u ciebie wszystko w porządku? – zapytał nieoczekiwanie.

– W jak najlepszym – odparłam nieszczerze i poczułam ukłucie wstydu, że kłamię w żywe oczy.

– Jutro po pracy, kiedy córka wyjedzie na wycieczkę, wybieram się z panią Zofią do jej domu. Jest tyleż piękny, co zaniedbany. I czuję z tego powodu ogromną ekscytację, bo to jak grzebanie w wielkich skrzyniach na strychu. Nie wiesz, co w nich znajdziesz. Muszę pomóc pani Zofii przejrzeć rzeczy jej nieżyjącego syna i posprzątać kąty.

– Chce go sprzedać?

– Jeszcze nie jest zdecydowana. Szkoda takiego pięknego domu... – rozmarzyłam się na głos, ale szybko wróciłam na ziemię. – Niezależnie od wszystkiego czuję się wyróżniona, że poprosiła mnie o pomoc.

– Gdybym i ja mógł się do czegoś przydać, daj znać – zaoferował. – Poprzestawiać meble, zdjąć zasłony, kogoś zrehabilitować – zakończył żartem.

Że też nie pomyślałam o Julianie wcześniej! Przecież to idealny kandydat do ćwiczeń z moją córką!

– Zapamiętam, Julek! – odparłam radośnie. – I może nawet niebawem się do ciebie zgłoszę. – Wyszczyłam ostatni łyk kawy i wybiegłam na korytarz.

Wzywały mnie przygotowania do obiadu.

Kalina wyjechała, Władek miał obiad z wczoraj, a ja wolne popołudnie, na które zaplanowałam wyprawę do domu pani Zofii. Tym razem się przygotowałam: zabrałam dla nas upieczony własnoręcznie jabłecznik i kawałek sernika.

Zajechałyśmy na miejsce taksówką niewiele po szesnastej. Słońce wciąż stało wysoko, oświetlając niewielką połąć trawnika od strony ogrodu. Przyniosłam dwa drewniane krzesła z altany, a z kuchni przyciągnęłam nieco chwiejący się stolik.

– Weź ten talerz. – Pani Zofia wskazała na angielską ceramikę z niebieskim nadrukiem. – Bardzo go lubię. A ja poszukam filiżanek i podstawek do kompletu.

Zastawa stanęła na przepięknym haftowanym obrusie. Gospodyni znalazła również srebrny mlecznik i kryształową cukiernicę w metalowej obejmie.

– Przywiozłam ją kiedyś z Moskwy. To melchior – wyjaśniła.

– To znaczy?

– Stop miedzi z niklem, cynkiem i żelazem. Nie koroduje i jest tak samo piękny jak srebro. Ale to nieważne. Przypomina mi o wycieczce do męża, na którą wybraliśmy się wtedy z Arkadiuszem. Był tam na stypendium. Powinnam mieć gdzieś jeszcze pierścionki i wisiorki. I albumy z Galerii Tretiakowskiej. Muszę to wszystko odnaleźć. – Nasadą dłoni przetarła zwilgotniałe oczy.

Byłam szczęśliwa. Ta starsza kobieta wprawiła mnie w tak dobry, choć nieco nostalgiczny nastrój, że poczułam się przy niej bezpieczna i zachwycona każdą chwilą.

W dodatku chwaliła mój jabłecznik i pochylała się nad każdym kwiatkiem, któremu udało się przebić przez grubą warstwę od lat nieplewionych chwastów.

Cierpliwie czekałam na opowieści z przeszłości, które miały ożywić ten uroczy dom, ale nie ponaglałam. Starsza pani obłaskawiała go po trzydziestu siedmiu latach nieobecności, łowiąc wzrokiem każdy szczegół ogrodu, a potem i wnętrza domu.

Czas mijał niepostrzeżenie.

Pani Zofia postanowiła zrezygnować z porządkowania rzeczy syna i odłożyć tę czynność na później, a teraz zajrzeć do swoich skarbów. Po otwarciu szufladek jej sekretarzyka w pokoju na piętrze nie znalazłyśmy wprawdzie wspomnianych pierścionków, za to natrafiłyśmy na paczuszki listów spiętych sparciałymi gumkami.

– Te są od męża. – Staruszka wskazała na pokaźny pakiet kopert z niebiesko-czerwonym emblematem poczty lotniczej. – A te od mojej przyjaciółki Tereski.

Milczałam, spoglądając, jak gładzi dłonią wierzch niewielkiej paczuszki zawierającej może kilka listów.

– Mieszkałyśmy w tym samym mieście, ale lubiłyśmy do siebie pisać – wyjaśniła. – Niestety, kiedy wyjechałam, nasz kontakt umarł śmiercią naturalną.

– Dlaczego?

– Czy ja wiem? Zajęłam się wnukami, ona miała małe dziecko...

– Małe dziecko? – zdziwiłam się, wiedząc, że przyjaciółki były w tym samym wieku.

– Skomplikowana historia. Zostawmy ją na inną okazję. A teraz chodź ze mną do kuchni – zakomenderowała pani Zofia.

Wręczyła mi srebrny mlecznik z grawerem.

– To prezent od mojego męża. Mnie się już nie przyda, a zauważyłam, że tobie się spodobał.

Na niewielkim srebrnym dzbanuszkowi widniała dedykacja: „Dla mojej Zofii”.

– Nie mogę go przyjąć – odmówiłam. – To zbyt cenny i osobisty prezent.

– Weź. – Wetknęła mi cacko w dłoń i nie pozwoliła sobie oddać. – Sprawisz mi przyjemność.

Wracałam do domu, dzierżąc zapakowany w gazetę relikwiarz przeszłości. Już marzyłam o porannej kawie i śmietance, którą do niego naleję.

Powitał mnie głos Władka.

– Nareszcie jesteś! Ten twój Boryk wywalił mnie z pracy! Też sobie znalazłaś ojczulka dla swojego bachora!



## Rozdział 38

### Aleksandra

List Janisa bardzo mnie zaniepokoił. I choć z tyłu głowy pobrzmiewały lęki o wynik zaplanowanej za dwa tygodnie amniopunkcji, stan Krastsa również spędzał mi sen z powiek. Miałam jedynie nadzieję, że Janis nie wyolbrzymia problemu dla realizacji bliżej niezidentyfikowanych własnych celów. Trudno było nie dostrzec ukradkowych spojrzeń, jakimi mnie obdarzał, i konsternacji w momentach, kiedy nasze oczy się spotykały, ale definitywnie nie miał szans. Po pierwsze nigdy nie mogłabym zapomnieć mu sytuacji, w jakiej mnie zostawił przed laty, po drugie byłam szczęśliwą mężatką spodziewającą się dwojga dzieci. A po trzecie, czwarte i piąte nie szukałam rozrywki ani innych kłopotów.

Jeśli jednak kierował się dobrem Krastsa, powinnam sprawdzić stan mistrza u źródła.

Nie czekając zbyt długo, skreśliłam mejla, w którym wyraziłam zaniepokojenie jego zdrowiem. Odpisał tego samego wieczoru.

„Widzę, że Janis nie posłuchał i zawraca Ci głowę moim samopoczuciem. Czyż nie jest sprawą normalną, że starszy pan czasami ma gorszy dzień? A u doktorów byłem na rutynowej wizycie. Co na to poradzę, że są nadgorliwi i lubią wypisywać kolejne recepty? Gdybym łykał wszystkie medykamenty, które dla mnie przeznaczyli, chybabym umarł z przedawkowania leków. Najlepiej mi robi klimat Jurmały i widok plaży z okna, dlatego zamknąłem ryskie mieszkanie na cztery spusty i przenieśliśmy się do swojej samotni nad morzem.

Piszę książkę, przy której pewnie dobrze się ubawisz. Coś w rodzaju kryminału z gatunku Agathy Christie, okraszonego naszym lotewskim klimatem. A co? Czy stary przyk z Rygi nie może nagle zmienić upodobań i zamiast przyciężkich psychologicznych dramatów podjąć lżejszego tematu? Mam z tego mnóstwo radości.

Wielokrotnie chciałem napisać kryminał, ale rezygnowałem w przedbiegach. Czasami traciłem zainteresowanie, częściej jednak wybijał mi to z głowy wydawca. Podobno gatunek nie pasował do szufladki, w której siedziałem przez całe życie. Mam image pisarza psychologii i obyczaj. Poważnego gościa z problemami, przyjaciela myślących czytelników, zadumanych nad własnym losem i sensem życia. Ale teraz powziąłem wątpliwości, czy dobrze robiłem, dając się prowadzić na pasku wydawniczego marketingu i słupków sprzedaży.

Powiesz pewnie, że źle na tym nie wychodziłem, i będziesz miała rację. Zarobiłem trochę grosza, nie muszę z trudem wiązać końca z końcem. Tylko co z tego wynika? Że moje dzieci już dzielą po mnie spadek. Przegapiłem moment, kiedy powinienem być przy nich, przy żonie, bo pisałem. Nie zauważyłem, kiedy urodziły się wnuki, nie poświęcałem im czasu, bo klepałem w klawiaturę.

Teraz go zabrakło na odbudowanie więzi, o czym dobrze wiesz, bo tłumaczysz *Burzę nad Jurmałą*. Maris Freigbers to moje alter ego. Obaj przegraliśmy na rodzinnej niwie.

Córka i syn z rodzinami mieszkają w Ameryce i od lat nie mamy kontaktów. A ja nie mam moralnego prawa, żeby się ich spodziewać. Dlatego żyję własnym życiem, które chcę sobie ubarwić na stare lata jakąś fajną lekką powieścią z małym morderstwem w tle. I nie obchodzi mnie, czy mój wydawca zechce ją opublikować. Bardzo mi jednak zależy, byś podjęła się tłumaczenia, jeśli ktokolwiek u was wyrazi zainteresowanie drukiem.

Cieszy mnie deklaracja, że dogadacie się z Janisem. To obecnie najbliższa mi osoba. I ma dobre pióro, a ja w szufladzie kilka niedokończonych książek.

Nie lubię wyrzucać efektów swojej pracy, nawet jeśli w pewnym momencie trafiają do zamrażarki. Może kiedyś Janis je dokończy? Brzmi dziwnie, ale wolno mi tak twierdzić, wszak sam jestem starym dziwakiem.

Wybacz przydługi list, ale pisarza trudno powstrzymać, kiedy już osiodła konia tworzenia.

I proszę, nie martw się o mnie. Serce działa i jeszcze trochę popika. Dziękuję za troskę. To

najlepszy balsam dla mojej duszy. A gdybyś chciała przyjechać, pokój w Jurmale czeka.

Sasza, niech ciąża przebiega jak najpomyślniej, a dzieciaki urodzą się zdrowe i dorodne. Będziesz wspaniałą matką, bo jesteś cudowną, ciepłą kobietą.

Do zobaczenia w Rydze. Pozdrawiam Cię mocno. Krasts”.

Zadumałam się, dostrzegłszy w jego słowach własnego ojca. Zawsze mnie wspierał i widział we mnie w przyszłości dobrą matkę. Ileż to razy wypłakiwałam na jego ramieniu żal po stracie kolejnego dziecka? Pozwalałam się pogłaskać po głowie i ukoić głosem?

Poczułam wyrzuty sumienia. Kiedy ostatnio byłam na cmentarzu?, pomyślałam ze wstydem i żalem do samej siebie. Kolejna myśl zaatakowała z innej strony: mamy także dawno nie odwiedzałam, ograniczając się do sporadycznych esemesów i telefonów. Codziennie przekonywałam samą siebie, że porozmawiam z nią po wyniku amniopunkcji, kiedy sytuacja się wyklaruje. Szczęście mi trochę sprzyjało. Mama wyjechała do siostry, więc nie musiałam się o nią kłopotać. Teraz jednak spontanicznie postanowiłam sięgnąć po telefon.

Nie odbierała, więc wybrałam numer ciotki Walerii.

– Tu Ola. Zastałam mamę, bo nie odbiera? – Lekko zaniepokojona próbowałam zachować rzeński ton.

– Nie wiesz? Wyjechała dwa dni temu, choć jej mówiłam, że te badania możemy zrobić u mnie.

– Jakie badania? Ciociu, co się dzieje?

Na moment zapadła cisza.

– Powiem ci, bo od niej niczego się nie dowiesz. – Ciotka westchnęła. – Jadzia ma kłopoty z ciśnieniem. Chciałam doprowadzić ją do kardiologa i zamówić holtera, ale uparła się i postanowiła wrócić do domu. Nie dzwoniła do ciebie?

– Nie.

– Chyba będziesz musiała jej dopilnować. Olka, a jak ciąża tej matki zastępczej?

– Dobrze – odparłam, myśląc wyłącznie o mamie.

Kiedy nie odebrała po raz drugi, wsiadłam do samochodu.

Zastałam ją w kuchni, przy pichcieniu obiadu. Wokół unosił się zapach sosu pieczeniowego i kiszzonej kapusty. Jedyнным dodatkiem mogły być kopytka, i właśnie przy ich lepieniu namierzyłam gospodynię.

Mój widok najwyraźniej ją zaskoczył. Zwłaszcza że odgłos kroków w przedpokoju skojarzyła z kimś innym.

– Poldek? – usłyszałam, a po chwili poczułam na sobie zdziwione spojrzenie.

– To ja – odparłam. – Widzę, że spodziewasz się gościa.

Podniosła unurzane w cieście ręce i zamilkła.

– Dobrze, że jesteś. Zaprosiłam znajomego, może się do nas przyłączysz? – W końcu odzyskała rezon.

– Mamo, nie chciałabym przeszkadzać.

– Ależ nie przeszkadzasz, kochanie. To tylko mój kolega sprzed lat. Zostań proszę. A może nawet rozłożysz talerze?

Sytuacja była trochę niecodzienna, ale ostatnio także ja wszystkiego mamie nie mówiłam, więc nie mogłam oczekiwać od niej spowiedzi z każdego kroku. Miała prawo spotykać się z dawnym kolegą.

Na stole już leżał biały obrus, wystarczyło sięgnąć po zastawę. Zabrałam się do tego z tym większą przyjemnością, że prawdę mówiąc, kiszki grały mi marsza, a maminy kopytkom nie odpuściłby największy smakosz. Porozstawiałam talerze i sztucce, nie zapomniałam o półmiskach.

Kiedy przysiadłam w kuchni i przyglądałam się zabiegom przy blacie, przypomniał mi się tato. Lubił przytulać swoją Jadwigę przy pracy i szeptać jej miłe słówka.

Ja również dobrze trafiłam z Jaśkiem. Wprawdzie kopytka zamieniłam na tarty, a pierogi na sałatki, ale także mój mąż doceniał wysiłki kucharki.

Uśmiechnęłam się, ale spoważniałam na odgłos klucza przekręcane go w zamku. Pierwszą myśl, że ktoś się włamuje, wyparła druga, znacznie bardziej niepokojąca. Ten ktoś miał własny klucz.

– Kochanie, wróciłem. Kupiłem boczek i śmietaną trzydziestkę, tak jak chciałaś. – Ostatnie

głoski rozmyły się w przestrzeni, kiedy gość stanął w drzwiach kuchni.

Dostrzegłam wysokiego szpakowatego mężczyznę z siatką w ręce. W obliczu mojej osoby jakby trochę się skurczył, ale nie tracił fasonu.

– Leopold Kramski – przedstawił się. – Przyszedłem na obiad. – Wyciągnął do mnie dłoń i dyskretnie puścił oko do mamy.

– Aleksandra Boryk. Jestem córką. – Odwzajemniłam uścisk. – Wpadłam na chwilę.

– Olusiu, przecież zjesz z nami. Właśnie odcedzam kopytka. – Mama po krótkiej konsternacji wróciła do siebie.

Nie wiem, dlaczego stchórzyłam. W powietrzu pachniało obiadem, miałam ochotę poznać „kolegę” mamy, który nie wiedzieć czemu nazywał ją „kochaniem”, a jednak uciekłam.

– Trzeba było zostać! – Milena ochrzaniła mnie, kiedy wyjawiałam jej powód tej ewakuacji. – Nie chciałaś poznać swojego przyszłego ojczyma?

– Co ty mówisz? To mamy kolega sprzed lat!

– Który mówi do niej „kochanie”?

– Może tak zwraca się do każdej kobiety?

– Uhm. Twoja mama to fajna babka. Wcale nie dziwię się temu Leopoldowi.

– Ale tato zmarł dopiero rok temu – przypomniałam.

– Już rok, koleżanko. Starsi ludzie nie mają zbyt wiele czasu. A poza wszystkim nie nakryłaś ich w łóżku, tylko w kuchni. Masz z tym jakiś problem?

Chyba rzeczywiście miałam. Byłam zazdrosna o mamę niczym mała dziewczynka. Idiotyzm!, pukałam się w czoło, ale uczucie niechęci do obcego mężczyzny nie przechodziło.

Straciłam czujność, zaniedbałam mamę w ostatnich tygodniach, a ona go sobie znalazła.

Następnego dnia pojechałam na cmentarz, by zapalić tacie świeczkę. Na płycie dostrzegłam dwa płonące znicze. Pewnie jacyś znajomi odwiedzili grób, wysnułam wniosek i włożyłam do wazonu wiązanek tulipanów.

Pod nosem prosiłam go o pomoc.

– Tatuś, za kilka dni jadę z Marią na amniopunkcję. Zrób coś, żeby moja dwójka była zdrowa i czas niepewności się zakończył. Mama spotyka się z jakimś nowym facetem. Niby nic, a jednak wydaje mi się, że są mocno zaprzyjaźnieni. On powiedział do niej „kochanie”... Myślisz, że mama może jeszcze się z kimś związać? -Krasts choruje. Co prawda bagatelizuje sprawę, ale Janis odczuwa niepokój. Chyba do niego pojedę, kiedy tylko poznam wynik amniopunkcji. Boję się o przyszłość. Niby wszystko jakoś się układa, ale czuję podskórny niepokój. Na szczęście wczoraj skończyłam tłumaczenie *Burzy nad Jurmalą* i wysłałam do wydawnictwa. Teraz myślę wyłącznie o wizycie w klinice. Tatuś, potrzebuję spokoju i pewności, że wszystko będzie w porządku. Pomożesz?

Zerknęłam na zdjęcie ojca na pomniku i złożyłam dłonie do modlitwy.

Odeszłam od grobu z nadzieją, że moje modły zostaną wysłuchane.

## Rozdział 39

### Maria

Stało się. Władek ostatecznie stracił pracę, ale zamiast położyć uszy po sobie, napadł na mnie z karczemną awanturą. Miłe popołudnie u pani Zofii diabli wzięli.

– Mógłbyś przestać? – poprosiłam, starając się zachować resztki spokoju. – Usiądźmy i wytłumacz mi wszystko.

– A co tu jest do tłumaczenia?! Dzisiaj nawet nie ruszyłem piwa, a tu Boryk lata po budowie z alkomatem i wszystkich sprawdza. Może coś mi tam zostało od wczoraj, i tyle. Na dźwig nie szedłem, a do przenoszenia desek w tę i nazad nadawałem się wystarczająco.

Byłam wściekła na męża i zmartwiona, co ze sobą pocznie i gdzie dostanie pracę z dyscyplinarką, jednak opanowałam złość, by ustalić stan faktyczny.

– Zwolnił cię dyscyplinarnie? – spytałam.

– Nie. Mam wypowiedzenie – odparł.

– To nie denerwuj się na niego i nie wyzywaj go od ojczulków, a dzieci, które noszę, od bachorów. Czy ty jesteś dzieckiem, żeby nie widzieć własnej winy w tym, co się stało? Władek, nie mam siły do ciebie. Oboje dla dobra Kaliny zdecydowaliśmy się na ciężą zastępczą, ale to ja ją przeżywam, a jak wiesz, nie zawsze jest łatwo. A w miarę upływu czasu będzie coraz trudniej. Potrzebujemy pieniędzy Boryków. Powinieneś starać się w robocie jak nigdy wcześniej, a ty pozwalasz sobie na utratę pracy. Myślisz, że utrzymamy się z mojej pensji i tego tysiąca, który Borykowie dają mi na lepsze odżywianie i witaminy? Bo z tych dwunastu tysięcy miesięcznie nie pozwolę uszczknąć ani złotówki, co najwyżej na rehabilitację Kaliny przed operacją, która prawdopodobnie odbędzie się na początku, najpóźniej do połowy przyszłego roku. Wstyd mi za ciebie.

Mąż, o dziwo, wysłuchał kazania do końca, ale w jego wzroku nie odnalazłam skruchy. Ostentacyjnie otworzył butelkę piwa i pociągnął długi łyk. Jego nienawistne spojrzenie zwiastowało bojowy nastrój.

– Maryśka, nie będziesz rozmawiać ze mną jak z dzieckiem lub z tymi swoimi staruszkami, którzy niedosłyszą, niedowidzą, niczego nie rozumieją i należy im wszystko wytłumaczyć drukowanymi literami – wycedził. – Mam gdzieś twojego Boryka i jego łaskę. Niech mu się nie wydaje, że skoro płaci, to będzie mnie przestawiał z kąta w kąt. Jestem dźwigowym, a nie popychadłem na budowie! Znajdę nową robotę, a teraz daj mi spokój! – krzyknął i sięgnął po pilota. – Co dziś na kolację?

– Nic! – odparłam i zatrasnęłam za sobą drzwi do pokoju Kaliny.

Na szczęście była na wycieczce, więc ominęła ją nasza żenująca kłótnia. Wtuliłam głowę w poduszkę i dałam upust łzom.

Dzisiejszy dzień dobiegał końca, ale czekały nas kolejne. Zdawałam sobie sprawę, że sen, który mnie ogarnął, w niczym nie pomoże. Byłam przerażona postawą męża, na którego coraz mniej mogłam liczyć.

Kiedy wstałam rano do pracy, Władek jeszcze spał. Przywołał go zapach jajecznicy z pomidorami i krojonego szczypiorku. Jak gdyby nigdy nic przysiadł na kuchennym taborecie i rozstawił talerze.

– Przepraszam, Marysiu. – Zdziwiona usłyszałam słowa skruchy. – Za kilka dni poszukam nowej pracy.

– Dlaczego nie dziś?

– Pojadę do Marcina na wieś. Dzwonił, że ma świniobicie, więc pewnie przywiezę trochę wyrobów. Kiedy wraca Kalina?

– Pojutrze. Tylko nie używajcie sobie zanadto przy tym świniobiciu – poprosiłam, znając lokalne obyczaje.

Panowie rzeźnicy przy pracy nie wylewali za kołnierz.

– Maria, daj wreszcie spokój. – Mój mąż zareagował zniecierpliwieniem. – Nie jestem twoim wychowankiem.

– Przepraszam. Podaj talerz, nałożę ci jajecznicę.

Oczywiście chęć pomocy bratu wiązała się z perspektywą dobrej imprezy, ale nie miałam sił oponować. Wyjazd Władka był mi nawet na rękę. Wczoraj odebrałam telefon od Aleksandry, która chciała do mnie zajechać i przywieźć trochę zdrowej żywności, którą kupiła w nowo otwartym sklepie bio. Jak myślałam, również wytłumaczyć męża ze zwolnienia Władka.

Tego dnia wyszłam z pracy o czasie i czym prędzej pojechałam do domu, by ukręcić szybkiego piegusa. Zdażyłam już gotowy polać czekoladą, kiedy zadzwonił domofon.

W drzwiach stanęła Ola z dwiema siatkami jedzenia i pękiem bzu.

– Dziękuję. – Odebrałam pachnący bukiet. – Nie pamiętam już, kiedy dostałam kwiaty.

Aleksandra zaczęła wyjmować wiktuały na kuchenny stół: wędliny bez konserwantów, sery i przetwory mleczne, zdrowe pomidory, owsiane ciasteczka.

– Musiały kosztować majątek... – Zerknęłam. – Nie trzeba było, przecież dajecie mi dodatkowo tysiąc złotych.

– Jedzcie. Sobie też zaopatrzyłam lodówkę. To naprawdę fajny i solidny sklep – dodała, ale i tak czułam się niezręcznie.

Nie tylko z powodu jej hojności, ale i skromności mojego mieszkania.

– Wejdz do pokoju – zaprosiłam ją do naszej przejściowej klitki zwanej dumnie salonem.

Pochwaliłam się w duchu za gorliwość w trakcie przedświątecznych porządków. Przynajmniej miałam umyte okna i uprane firanki. Co prawda pamiętały jeszcze czasy mojej mamy, ale były czyste i schludne.

Postawiłam kawę i kilka kawałków piegusa.

Aleksandra dyskretnie rozglądała się wokół, nie komentując naszej ciasnoty.

– Kalina wyjechała na wycieczkę. Chcesz zobaczyć jej pokój? – Nie wiem, co skłoniło mnie do tego ekshibicjonizmu.

– Bardzo przytulny – pochwaliła ośmiometrowy tramwaj obstawiony ze wszystkich stron regałami z książkami.

– I ciasny – dodałam. – Mamy wszystkiego czterdzieści dwa metry i musi wystarczyć.

– Pokój z widokiem. – Ola ogarnęła spojrzeniem perspektywę na nadrzeczne błonia. – Ale rzeczywiście latem musi tu być gorąco. Nawet teraz, w maju, jest ciepło. Musicie przyjeżdżać do mnie z Kaliną. Ogród czeka.

– Chętnie. Może po zakończeniu roku szkolnego. O ile twój mąż nie będzie miał nic przeciwko.

– Właśnie o nim chciałam porozmawiać – zaczerpnęła powietrza. – Tak mi przykro, że zwolnił pana Władka. Po powrocie z Paryża jest jakiś nerwowy. Próbowалаm przekonać Jaśka, by dał twojemu jeszcze jedną szansę, niestety bez skutku.

– Miał rację – przyznałam z przekonaniem. – To Władek zawinił. Przepraszam za niego.

– A ja za swojego.

– Nie masz za co. Może to i lepiej, że Władek będzie pracował na neutralnym gruncie. Zresztą ma już coś na oku – skłamałam.

Krótką przerwą w rozmowie, następny kawałek ciasta, łyk kawy i płynne przejście do kolejnego tematu rozmowy.

Ola pytała, jak się czuję, jak znoszę ciężę i czy jestem gotowa na wyjazd do kliniki na amniopunkcję. Dostrzegałam jej słabo ukrywane podenerwowanie. Zresztą obie myślałyśmy tylko o jednym: by wynik wykluczył chorobę genetyczną któregoś z bliźniąt.

Na pożegnanie przytuliła mnie mocno i powiedziała coś miłego.

– Wiesz, Marysiu, czuję z tobą dziwną więź. Jak z własną siostrą, której nie mam.

– To pewnie przez nasze losy, które nagle się skrzyżowały. Ale dziękuję za dobre słowo. Ja również bardzo cię lubię.

Przez kolejne dni nawet tęskniłam za nią i mile wspominałam nieoczekiwaną wizytę.

Kalinka wróciła z wycieczki pełna wrażeń i zamyślenia, które przywodziło mi na myśl tylko

jedno: moja córka jest zakochana. Sama miałam zaledwie trzydzieści siedem lat i jeszcze pamiętałam czasy pierwszej miłości. Wprawdzie życie niekoniecznie utrzymało temperaturę uczuć i rzuciło kłody pod nogi, jak się wydawało – nie do przejścia, jednak pierwsze drgania serca zapadły mi głęboko w pamięć.

Dla faceta, który teraz zarzywał świniaka i dogadzał sobie wspomagaczami w postaci niejednego kieliszka.

Ale przynajmniej wrócił zadowolony, dzierżąc w rękach pakunki z mięsem i kiełbasą. Miał również kaszankę, pasztetową i mendel jajek.

Nie wiedziałam, że za pazuchą trzymał butelkę samogonu.

Ręce opadały, kiedy wychodząc do pracy, zostawiałam go w domu. Było mi żal Kaliny, że musi oglądać ojca przed telewizorem, z kieliszkiem w dłoni i kaszanką na talerzu. Prosiłam, błagałam!, by zaczął szukać pracy. Nadaremnie. Władek się staczał.

Postanowiłam powstrzymać się z działaniem do amniopunkcji. Nie chciałam się denerwować, pobudzać dzieci w moim brzuchu. Należał im się spokój i dobre warunki rozwoju.

Z każdym dniem przybliżającym do wizyty w klinice byłam jednak coraz bardziej spięta. Kalina o wszystkim wiedziała i wspierała mnie na każdym kroku. Ola również dzwoniła. A kiedy nadszedł ten dzień, przyjechała pod blok.

Po raz kolejny przemierzyłyśmy znajomą trasę i stanęłyśmy przed gabinetem. Doktor Lamparski zaczął od rutynowego badania i wykonał USG.

– Mamy dwóch chłopców – powiadomił nas z uśmiechem.

– Jest pan pewien? – Aleksandra aż krzyknęła z radości.

– Jak najbardziej. Proszę spojrzeć. – Obrócił ekran w naszą stronę. – Nie ulega żadnej wątpliwości.

Przez moment obie zanurzyłyśmy się w poczu-ciu szczęścia. Niemal zapomniałam o czekającym mnie zabiegu, a kiedy spojrzałam w oczy Oli, prawie się rozplakałam. Choć nieco zażawione, lśniły blaskiem.

Po badaniu doktor pozwolił nam odetchnąć i zaprosił do drugiego pokoju, w którym już czekała na mnie kozetka i lekarz przygotowany do zabiegu.

– Proszę się niczym nie martwić – usłyszałam. – Nakłuję brzuch, a potem pęcherz płodowy w miejscu oddalonym od dzieci. Dostanie pani miejscowe znieczulenie, nie będzie bolało. Pobiorę płyn owodniowy, czyli wody płodowe, i założę opatrunek. Wynik badania cytogenetycznego będziemy mieć po trzech tygodniach. Czyli... – Zerknął w kalendarz. – Czyli około dziewiątego czerwca. Jest pani gotowa?

Skinęłam głową. Ola, za przyzwoleniem lekarza, została przy mnie.

Cały zabieg trwał kilka minut, a potem przeniosłam się do sąsiedniego pokoju i zajęłam miejsce w wygodnym fotelu.

– Boli? – Aleksandra spojrzała z troską.

Zawstydzono mnie, że gotowa jest spełniać każde moje życzenie. Woda? Kawa? A może coś do zjedzenia? Ale myślałam tylko o jednym. O wyniku badania, który miał rozstrzygnąć najważniejszą kwestię.

Czy obaj chłopcy są zdrowi.

## Rozdział 40

### Aleksandra

Maria czuła się po amniopunkcji nadzwyczaj dobrze. W każdym razie nie narzekała na żadne dolegliwości. A wiadomość, że nosi dwóch chłopców, uskrzydliła nas obie. Była jak zastrzyk optymizmu. Tłumaczyłyśmy sobie, że lekarz nie wyklucza dobrych wyników, a inwazyjne badanie wykonał przewencyjnie.

– Przecież gdyby coś było nie tak, powiedziałby nam po dzisiejszym USG – pocieszałam bardziej siebie niż Marię.

– Niestety, dowiemy się dopiero po trzech tygodniach – stwierdziła oczywisty fakt, który ciążył i mnie.

Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałam, jak wytrwam tyle czasu bez pracy. *Burza nad Jurmalą* powędrowała do wydawcy i teraz musiałam czekać na zredagowanie tekstu, by dokonać poprawek. Redaktor obiecał szybko się uwinąć, ale musiał mieć co najmniej tydzień, półtora. Praca angażowała i nie pozwalała wykielkować obawom i lękom, lecz jej brak wręcz przeciwnie.

Na szczęście Maria czuła się na tyle dobrze, by wciąż chodzić do domu opieki. Trzymiesięczna ciąża była jeszcze niewidoczna, choć przecież z każdym miesiącem rosła.

Nadszedł moment, by porozmawiać o jej sytuacji w pracy.

– Marysiu, wiem, że to twoja sprawa, ale jeśli mogę zapytać... Czy poinformowałaś swoją szefową o ciąży?

Po minie domyśliłam się prawdy.

– Właśnie nie. Nie wiem, jak to zrobić, a boję się wyznać prawdę. Nie każdy jest w stanie zrozumieć mój krok. Nawet moja najbliższa przyjaciółka Honorata odwróciła się ode mnie – wyznała rozżalona.

Sytuacja rzeczywiście była nietypowa i z pewnością dla niektórych kontrowersyjna. Czułam, że nie powinnam zostawiać Marii samej sobie, a jednocześnie nie chciałam narzucać jej rozwiązań.

– Co zatem zamierzasz? We wszystkim ci pomogę – zadeklarowałam.

– Nie wiem. Pani Wiesia jest dość... Jest osobą o dość tradycyjnych poglądach, może zareagować jak Honorata. Wyznaniem prawdy ryzykuję utratę pracy, a tego bym nie chciała. Lubię ją i nie zamierzam zmieniać. Z drugiej strony nie mam ochoty ukrywać ciąży ani brać zwolnień lekarskich, czyli w konsekwencji oszukiwać.

Sytuacja wydawała się patowa, ale nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Marysiu, przecież po porodzie oddasz dzieci do adopcji. I to jest prawda. Może tej wersji się trzymaj?

– Jak bym wyglądała, gdybym planowała oddanie własnych dziecko? Pani Wiesia zna moją mamę i mnie od lat, i wie, jak kocham wszystkie. Zawiodłaby się na mnie, byłaby bardzo zniesmaczona. Straciłabym w jej oczach.

Nie wiedziałam, jak jej pomóc.

– Coś wymyślę – powiedziała. – Mam jeszcze miesiąc, może półtora, zanim zaczniesz być widać.

W kolejnych dniach nie traciłyśmy kontaktu. Od czasu do czasu jeździłam po nią i Kalinę, by skorzystały ze słonecznych popołudni w moim ogrodzie. Kalinka chętnie uczyła się w altanie, Maria, wbrew zakazom, pielęła grządki z kwiatami, aż pan Artur zaczął obawiać się o swoje status quo.

– Niedługo nie będę już potrzebny! – burczał pod nosem, zezując z niechęcią na gorliwą ogrodniczkę, która nieoczekiwanie opanowała jego rewiry.

O dziwo, Jaś nie miał nic przeciwko wizytom pań Leśniewskich. Głównie dlatego, że jeszcze bardziej oddał się pracy i rzadko bywał w domu. Zapomniał mi już niedoszły wyjazd do Paryża, a nawet czasami przynosił kwiaty i stawiał dobre wino.

Od momentu, kiedy zwolnił męża Marii, odpadł nam kłopotliwy temat i powód do utarczek.

Miałam nadzieję, że pan Włodek szybko znajdzie inną pracę i podejdzie do niej poważnie. Być może w firmie Jaśka czuł się zbyt pewnie i dlatego pozwalał sobie na wyskoki?

Wolne dni wykorzystywałam na odrabianie towarzyskich zaległości i trochę biegałam po sklepach. Przy okazji kupiłam również Marii kilka sukienek ciążowych i dodatków do garderoby. Nie chciała przyjąć.

– Nie podoba ci się ten żakiet? Będzie pasował do letniej sukienki. – Przyłożyłam do siebie piękną princeskę o podwyższonym stanie, malowaną w kwiatowy wzór, i okręciłam na pięcie. – Powinna być dobra. Zmierzyłam. Mamy podobne sylwetki.

– Jest cudowny, ale...

– Zaklepane. I nie odmawiaj, bo robisz mi przykrość.

Nareszcie znalazłam czas także na spotkanie z mamą. Nauczona doświadczeniem zrezygnowałam ze spontanu i wcześniej umówiłam się na wizytę. Tym razem była sama i od progu zapewniła, że nikt nam nie przeszkodzi.

– Olu, dlaczego ostatnio wybiegłaś? Leopold nie gryzie.

– Kim on jest? – Przeszłam do rzeczy.

Mama usiadła na skraju fotela i splotła ręce, posyłając mi spojrzenie nastolatki, którą rodzic pyta o sprawy intymne.

– Mieszkacie razem?

– Co też przychodzi ci do głowy? – Tym razem podniosła nieco głos. – To przyjaciel, kolega z dawnych lat. Spotkaliśmy się na cmentarzu, kiedy odwiedzał grób żony. Byliśmy kilka razy w kawiarni, aż wreszcie zaprosiłam go na obiad.

– A on przyniósł boczek i śmietankę trzydziestkę, od progu wołając do ciebie „kochanie”?

– Kupił, bo go poprosiłam. A w ten sposób zwraca się do każdego. Gdybyś została, miałybyś okazję zauważyć.

Brzmiało to przekonująco, ale jakoś nie do końca wierzyłam. A zwłaszcza nie po kolejnym zdaniu.

– A nawet gdyby, to czy miałybyś coś przeciwko, gdyby u mojego boku pojawił się mężczyzna?

Zgodnie z odczuciem powinnam wykrzyknąć, że tak! Że wszystko się we mnie buntuje, kiedy widzę własną matkę z obcym facetem! Że przecież tato zmarł tak niedawno i powinno go jej brakować!

I tak zapewne bym uczyniła, jak jakaś trzynasto- czy piętnastolatka. Ale miałam trzydzieści pięć lat, więc stłumiłam rozdrażnienie i udzieliłam jedynej słusznej odpowiedzi.

– Mamuś, nie o to chodzi. Po prostu byłam zaskoczona. Bo on nie jest tylko kolegą, prawda?

Ujrzałam uśmiech ulgi. Przełamałyśmy lody.

– Kochanie, za wcześnie wyrokować – odparła. – Oboje jesteśmy bardzo dorośli i mamy swoje życie. Ja ciebie, on swoje dzieci, każde z nas lubi dom, w którym mieszka, i ma przyzwyczajenia. Po prostu lubimy z sobą przebywać, rozmawiać i czasami obejrzeć jakiś film. Nie było mi łatwo bez ojca... A teraz powiedz, co u ciebie – zmieniła temat. – Jak przebiega ciąża pani Marii?

Uświadomiłam sobie, że strasznie dawno rozmawiałyśmy na ten temat. I dyskrecję mamy nienagabującej o zwierzenia.

Opowiedziałam jej o wyniku testu PAPP-A i amniopunkcji.

– Za niecałe dwa tygodnie usłyszemy werdykt – zakończyłam.

– Czy dobrze zrozumiałam, że ostatecznie wykluczy on lub potwierdzi chorobę genetyczną jednego z bliźniąt?

Kiwnęłam głową.

– Ale drugie jest zdrowe?

– Raczej tak. W każdym razie miało prawidłową przezierność karkową.

– Boże mój. Oluś, a co na to Janek?

– Na razie przeżył informację o ciąży bliźniaczej. I jak możesz się domyślać, nie jest zachwycony złym scenariuszem. Ja jednak liczę na dobre wiatry. Chmury przejdą, będziemy mieć dwóch zdrowych chłopców i zaczniemy żyć jak prawdziwa rodzina. Może jako tatuś trochę odpuści z pracą, bo ostatnio prawie nie bywa w domu.



– A wiesz, że czasami widuję go w okolicy kawiarni, w której pijamy kawę z Poldkiem? Pewnie spotyka się z kimś na rozmowach biznesowych. Tato też lubił tam zachodzić z kontrahentami czy klientami.

Widocznie tradycja pozostała w rodzinie.

Miałam to szczęście, że mój mąż i ojciec doskonale dogadywali się w interesach, od momentu kiedy Janek został zatrudniony w deweloperskiej firmie taty. Ze stanowiska szefa zaopatrzenia szybko awansował na dyrektora, a tato pozostawił sobie fotel architekta, z ochotą pozbywając się niewdzięcznej roli żołnierza na pierwszej linii budowlanego frontu. Z czasem przekazał zięciowi część udziałów, tym samym czyniąc go swoim współnikiem.

– To miłe, że Jaś kontynuuje dzieło taty. Ile to już osiedli zbudował Tadbud? – wspomniałam kilka lokalizacji, które na stałe wpisały się w koloryt naszego miasta. – Na jednym mieszka nawet Milena. O właśnie! Przepraszam, zapomniałam, że umówiłam się z nią na drugą! Dam ci znać po amniopunkcji, ale jestem dobrej myśli – obiecałam nieco zbyt pewnym głosem. – I pozdrów pana Leopolda. Chętnie poznam go przy najbliższej okazji.

Niepotrzebnie wybiegłam od mamy, ponieważ po chwili Milena odwołała spotkanie. Nataszy wypadł niespodziewany trening na basenie i musiała ją odwiedzić. Niemniej treść esemesa mnie zafrapowała.

„Alusia, nie dzisiaj, bo mamy z Nataszą trening, ale koniecznie musimy pogadać. Zadzwoń w wolnej chwili. Kiedy jedziesz do kliniki po wynik? M.”

„Dziewiątego czerwca. A teraz, po wysłaniu książki, lenię się na całego. Zakupy, pogaduszki, winko z Jaśkiem. Czuję, że będzie dobrze. A.”

Milena musiała być jednak bardzo zajęta, bo przez kilka kolejnych dni nie dawała znaku życia. Pewnie i ja niebawem taka będę, rozmyślałam o moich chłopakach. A nawet zaczęłam odwiedzać sklepy z ciuszkami dla niemowląt, przyglądając się malutkim śpioszkom i równie miniaturowym bucikom.

Zgodnie z przesądem, który mówi o niezapeszaniu przed porodem, nie zamierzałam kompletować wyprawki, ale pozwoliłam sobie na jedne maleńkie paputki, które obracałam w rękach jak największy skarb, zanim włożyłam do szuflady toaletki przy łóżku. Przecież takie niewielkie sprzeniewierzenie się zabobonowi nie mogło zaszkodzić dzieciom.

Podniecona zakupem, jak i innymi zdobyczami ze sklepów z odzieżą, przymierzałam kolejne sukienki, czekając na Jaśka. Wszedł, kiedy miałam na sobie najładniejszą.

– Zobacz, kochanie! Podoba ci się? – Zarzuciłam mu ręce na szyję. – Nie pytaj, ile wydałam, bo wcale nie tak dużo.

Jasiek spojrzał posłusznie, ale nie wyraził entuzjazmu.

– Co z tobą? Znowu problemy w pracy?

Machnął ręką i poprosił o chwilę na odświeżenie.

Powoli zaczynałam mieć dość jego ciągłego zmęczenia i późnych powrotów. Tato też ciężko pracował, ale nie zapominał o swojej Jadwidze. Podjęłam kolejną próbę reanimacji pracoholika.

– Tadam! Kolacja! Tym razem nie przygotowałam jej sama, ale przywiozłam sushi z naszej ulubionej restauracji. Do tego białe wino!

– A co świętujemy? – spytał, siłąc się na pogodny ton.

– Twój powrót z pracy, mężu. I to, że przez resztę wieczoru będę cię miała tylko dla siebie. – Usiadłam przy nim, zalotnie unosząc sukienkę, by odsłonić udo.

Jednak Jasiek nie był w nastroju do amatorów.

– Przepraszam, Olu, jestem zmęczony.

Sięgnął po butelkę i nalał nam po kieliszku wina. Swój wychylił do końca.

– Stało się coś? – spytałam, widząc to niecodzienne zachowanie.

– Standard, jak to w pracy. Może puścimy jakiś film? – zaproponował.

– Dobrze. Wybierz. – Podałam mu pilota.

Sama sięgnęłam po komórkę, która sygnalizowała nadejście esemesa od Mileny.

„Olu, musimy się spotkać i porozmawiać. Mogę wpaść do Ciebie jutro przed południem? Chodzi o Janka. M.”

## Rozdział 41

### Aleksandra

Zaprosiłam przyjaciółkę na jedenastą. Ciekawość i niepokój podpowiadały wcześniejszą porę, lecz ograniczała mnie umówiona uprzednio wizyta u dentys-ty. W drodze powrotnej od lekarza zaszłam do cukierni i wzięłam ulubione ciastka Mileny, z kokosem. Dla Leosia miałam serek wyciskany z tubki i kilka słoiczków zdrowych zupek, które zawsze czekały na małego gościa.

– Jak zwykle przygotowana. – Milena powitała mnie od progu, ogarniając wzrokiem zastawiony stół.

– Pozwól, że ja ograniczę się do wody, bo po plombowaniu trochę jeszcze czuję ząb – odparłam, pomagając jej przy małym.

Chodził już całkiem pewnie i od razu pobiegł do swojego kącika. Ciocia Ola zadbała, by Leos się nie nudził i dał starszym chwilę spokoju, stąd zaopatrzyła się kiedyś w pudła z zabawkami. Dzięki tej atrakcji my zyskiwałyśmy czas na rozmowę. Małolat przepadał na co najmniej pół godziny, oczywiście stale będąc na oku.

– Mów, Milena, bo jestem cała w nerwach. – Postawiłam przed nami kawę i przesłam do rzeczy.

– Co z Jankiem?

Dostrzegłam zażenowanie i niepewność, a zatem była sprawa. Moja przyjaciółka wyraźnie nie wiedziała, jak zacząć. W końcu się przełamała.

– Olka, nie wiem, czy dobrze robię, zawracając ci głowę. W pierwszym odruchu zadzwoniłam, żeby ci o tym powiedzieć, potem nabrałam wątpliwości, ale w końcu uznałam, że powinnaś wiedzieć.

– Boże, Milena, przestań się wreszcie krygować i mów, o co chodzi z Jaśkiem. Jest chory?

– Raczej trudno to tak określić. Widziałam go w kawiarni z kobietą – wyrzuciła z siebie.

– No i co z tego?

– W sytuacji, która wskazywała na bliską zażyłość.

To gadanie nie wprost zaczynało mnie męczyć.

– Jaśniej, koleżanko, skoro już tu jesteś.

Prawdę powiedziawszy, zachowanie przyjaciółki mnie zirytowało. Jasięk często spotykał się z ludźmi w sprawach zawodowych, a jego zażyłość z inną kobietą w ogóle nie wchodziła w rachubę. Milena musiała coś pokręcić.

– Dobrze. Dwa tygodnie temu siedział z młodą kobietą w naszej osiedlowej kawiarni. Nawet mu pokiwałam przez szybę, ale chyba mnie nie poznał. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że kilka dni temu ponownie dostrzegłam ich w tym samym miejscu. Z tą samą, na oko dwudziestopięciolatką. Przepraszam za wstrząs, jaki wywołam, ale całowali się. Byłam tak zszokowana tym widokiem, że w pierwszym momencie wmurowało mnie w ziemię. Ale potem stanęłam za słupem i zaczęłam podglądać. Olka, przykro mi to mówić, ale oni wyglądali na zakochanych.

Dla porządku spytałam, czy w osobie mężczyzny naprawdę zidentyfikowała Jaśka.

– Oczywiście! Ola, tak bardzo mi przykro, że jestem heroldem złych wiadomości. Ale chyba jednak powinnaś wiedzieć... Tylko dlatego te słowa przeszły mi przez gardło.

Spojrzałam przed siebie.

– Teraz, kiedy spodziewamy się dzieci? Nie wierzę. To musi być nieporozumienie. Przynosi mi kwiaty, pijemy razem wino – klepałam, bardziej zdumiona niż zawiedziona.

Chciałam jeszcze powiedzieć, że myślimy o przyszłości, ale uświadomiłam sobie, że przecież od kilku tygodni nie poruszaliśmy tego tematu. Janek wymigiwał się zmęczeniem, uciekał w pracę. Wprawdzie do Paryża poleciał sam, ale po powrocie nie robił mi wymówek. A jeśli ona mnie zastąpiła?

Jedna myśl goniła drugą, a moja naiwność, niczym oliwa, wypływała na wierzch.

Nie swoim głosem, zdławionym przez kluchę w gard-le, zadałam pytanie.

– Milena, co ja mu zrobiłam, że spotyka się z inną?

– Nie myśl w ten sposób. Niczego złego nie zrobiłaś. To nie ty całowałaś się z obcym mężczyzną – odparła. – Zresztą porozmawiajcie i wyjaśnijcie sobie to i owo. Jeszcze raz przepraszam za donosicielstwo, ale jesteś moją przyjaciółką. Pewnie też byś mi powiedziała, gdyby Kacper pozwalał sobie na takie spotkania.

Może. Ale teraz sprawa dotyczyła mnie i to ja musiałam zmierzyć się z mężem.

Czekałam na niego w porze kolacji, bez kolacji na stole. Przyszedł, jak zwykle zmęczony i głodny, i rozejrzał się po kuchni w poszukiwaniu czegoś smacznego. Tym razem bez kwiatów, za to z dobrymi wiadomościami.

– Kochanie, oddaliśmy kolejny dom. To ta ekskluzywna lokalizacja w pobliżu rzeki i starówki. Apartamenty dla VIP-ów, na parterze lokale użytkowe. Mamy pierwszych najemców, w tym kilka sklepów z elegancką odzieżą. Będiesz klientką numer jeden, taką, co to wiesz: specjalne ceny za markowe sukienki i buty. Możesz na jutro zamówić sobie fryzjera i kosmetyczkę?

Nie to mi było w głowie. Poprosiłam Jaśka o chwilę rozmowy.

– Zaraz przyjdę na kolację, tylko wpadnę na moment pod prysznic – poinformował mnie.

Siedziałam na kanapie i czekałam.

– Wychodzimy dzisiaj do restauracji? – Po powrocie ogarnął zdumionym spojrzeniem pusty stół.

– A może do kawiarni? – spytałam przekornie. – Chyba że już dzisiaj byłeś?

– Nie rozumiem. Co to za insynuacje? – odparł hardo.

Poprosiłam, żeby usiadł i odpowiedział mi na jedno proste pytanie.

– Jaś, czy ty masz romans?

Żachnął się i niemal wyskoczył z fotela.

– Że niby co?!

– Pytałam, czy masz romans? – powtórzyłam.

– To jakiś nonsens. Kto ci naopowiadał takich bzdur?

– Zaprzeczasz, że byłeś w kawiarni i całowałaś się z młodą kobietą? – ciągnęłam.

– Nieraz spotykam się z ludźmi w lokalach, a wśród nich trafiają się kobiety. Śledzisz mnie?

Ta zdeterminowana obrona dawała do myślenia.

– Całowałaś się z nią? – brnęłam.

– Coś ty! I w ogóle nie życzę sobie takich zarzutów! Ciężko pracuję, daję ci pieniądze na tę Marię i toleruję twoje zainteresowanie dziećmiakami Mileny. Bo to ona pewnie judzi? – Janek rzucił mi niechętnie spojrzenie. – A tak w ogóle to mam dosyć tego śledztwa! I do twojej wiadomości: nie mam żadnego romansu. Pewnie widziała mnie z Arletą, córką Kiejdana, mojego nowego architekta, którą zamierzam zatrudnić w firmie jako sekretarkę. Przeprowadzałem rozmowę kwalifikacyjną. Nie wiem, co tam widziała twoja informatorka – przesyłabizował ostatnie słowo – ale następnym razem niech się zastanowi, zanim przedstawi zarzuty – zakończył i wstał z krzesła. – Wychodzę.

Zbyt pochopnie zawierzyłam Milenie i tylko się ośmieszyłam. Zapewne źle zinterpretowała sytuację i co nieco sobie dopowiedziała, stwierdziłam. Nie miałam jednak ochoty do niej dzwonić i roztrząsać tematu.

Wieczorem przeprosiłam Jaśka za podejrzenia.

Za niecałe półtora tygodnia miałyśmy pojechać z Marią po wyniki amniopunkcji, więc odsuwałam od siebie wszelkie wstrząsy, które mogły dodać jeszcze więcej niepokoju do tego, który w sobie nosiłam. Milenie odpowiedziałam zdawkowo.

„Rozmawiałam z Jaśkiem. Wszystko w porządku. Teraz zabieram się do poprawek w tekście *Burzy nad Jurmalą*, który przesłał mi redaktor. Odezwe się później. A.”

Praca przyniosła trochę stabilizacji. Zaczynałam rano, kończyłam wieczorem.

Od czasu do czasu zamieniałam mejlowo kilka słów z Krastsem, by bodaj w ten sposób monitorować jego zdrowie. Zapewniał, że czuje się dobrze i że zasiadł do kolejnej powieści.

Janis, który również do mnie pisał, nie był jednak tak optymistyczny. Według niego mistrz wyraźnie podupadał.

„Widzę, że z każdym dniem ma coraz mniej sił. Dojeżdżam do niego do Jurmały, ale niebawem będę go namawiać na powrót do Rygi. Tu jest lepsza opieka lekarska i szybciej przyjedzie pogotowie.

Może Ty jesteś w stanie go przekonać do przeprowadzki?

Ostatnio, oczywiście za przyzwoleniem, przejrzałem jego szuflady i znalazłem kilka rozpoczętych książek. Przekazał mi notatki, które do nich robił, i inne zapiski. Sasza, on mnie przygotowuje do przejęcia jego pisarskiej schedy. To oczywiście duże wyróżnienie, a wręcz zaszczyt, ale nie chcę, żeby już wybierał się na tamten świat. Przyjedź, proszę, na kilka dni i potrząśnij nim. Może razem doprowadzimy go do lekarza i da się jeszcze coś zrobić z jego zdrowiem. Jest dla mnie jak ojciec, a wiem, że i Tobie nie pozostaje obojętny.

Odpisz, czy i ewentualnie kiedy możesz przyjechać. Janis”.

Ten dramatyczny list bardzo mnie poruszył. Nie zwlekając, zaczęłam szukać w internecie lotów do Rygi, celując w terminy po dziewiątym czerwca, czyli dniu wizyty zaplanowanej w klinice. Trafiłam i zabukowałam miejsce w samolocie dwa dni po niej.

Zanim jednak dokonałam rezerwacji, skonsultowałam się z Jaśkiem. Nie widział żadnego problemu.

– Kochanie, o mnie się nie martw. Co najwyżej pójde do kawiarni z kochanką – wyzłośliwił się.

Byłam wdzięczna losowi za powrót normalnych stosunków z mężem. A z Mileną chwilowo zarzuciłam kontakty. Redagowałam, czasami przywoziłam do domu panie Leśniewskie. Z Kaliną wręcz się zaprzyjaźniłam, a i rozmowy z Marią sprawiały mi dużą przyjemność. Czytałam jej fragmenty książki i zawsze mogłam liczyć na dyskretną pomoc w przeformułowaniu fraz.

– Jesteś naprawdę niezła! – chwaliłam jej redaktorski zmysł.

– Przesadzasz. Może gdybym skończyła studia...

– Wtedy sama pisałabyś książki – skomentowałam. – Masz dużą ogładę literacką. Maria, wszystko przed tobą. Zastanów się nad stworzeniem czegoś własnego. To jasne, że Kalina odziedziczyła talent po tobie.

Reakcją na moje komplementy był uśmiech, ale Maria nie oponowała. Kto wie, może zasiałam w niej ziarenko nadziei?

Jakoś dotrwałyśmy do dziewiątego czerwca. Po trzech tygodniach niepewności podążyłyśmy, jak zwykle obie, do kliniki.

Dzień był wyjątkowo upalny jak na początek czerwca, a słońce nie pozwalało wytrwać na powietrzu. Włączyłam klimatyzację i podałam Marii butelkę z wodą. Droga mijała niepostrzeżenie, każdy kilometr przybliżał nas do celu. W pewnym momencie pomyślałam, że mogłabym tak jechać jeszcze przez kolejne kilkaset kilometrów, byleby nie musieć stawiać czoła wynikom. Obawy powoli zaczęły wypierać optymizm i dobre myśli.

Maria siedziała obok, milcząca. Zapewne też przeżywała katusze niepewności.

– Jesteśmy – odezwałam się, parkując przed budynkiem kliniki. – Mam nadzieję, że to przedostatni raz. Kolejny przystanek to porodówka – zdobyłam się na pogodny ton.

– Chodźmy – odparła.

Doktor Lamparski już na nas czekał, a wraz z nim lekarz, który przeprowadzał amniopunkcję. Trzymali dokumentację.

Już kiedy grzecznie poprosili nas o zajęcie miejsc przy ławie, poczułam, że nie mają dobrych wieści. Niestety, nie myliłam się.

– Proszę pań, amniopunkcja wykryła u jednego z płodów istnienie trzeciej kopii chromosomu, tak zwaną trisomię 13 – zaczął ten drugi lekarz. – W większości przypadków płody z trisomią obumierają w łonie matki lub rodzą się martwe. U dzieci, które przeżywają dłużej niż miesiąc, obserwuje się postępujące upośledzenie rozwoju. Przykro mi.

Niczego więcej nie usłyszałam.

Obudziłam się na kozetce w pokoju pielęgniarek.

## Rozdział 42

### Maria

Zatem sprawdził się najgorszy scenariusz.

Na wieść o straszliwej chorobie jednego z chłopców Aleksandra zemdłała. Ja siedziałam odrętwiała, z niedowierzaniem spoglądając w oczy lekarzy. Jednak nie znalazłam w nich pocieszenia. Nie było nawet sensu pytać o błąd, błagać o nadzieję, że diagnoza się nie sprawdzi.

Bywają momenty w życiu, wobec których jesteśmy bezradni. Wprawdzie nie nosiłam własnego dziecka, ale werdykt i tak bardzo mnie dotknął. Mały chłopiec w moim łonie praktycznie nie miał szans na przeżycie. Jeśli nie załamalam się jak Ola, to tylko dlatego, że czułam obecność drugiego dziecka. I być może irracjonalne, ale ogromne poczucie winy. Nie chciałam nawet myśleć, co by było, gdyby nieszczęście dotknęło obu braci.

– Napije się pani wody? – Doktor Lamparski przerwał mi potok myśli i podał szklankę.

– Dziękuję. – Pociągnęłam długi łyk, płuczac zaschnięte gardło.

– Z drugim dzieckiem wszystko jest w porządku – pocieszył. – Ma szansę urodzić się zdrowe.

– Co to znaczy, że ma szansę?! Czy ono też może być chore?

Lekarz gwałtownie zaprzeczył.

– Wyniki badań dobrze prognozują. Proszę się nie martwić.

Łatwo mu mówić! Tysiące przebiegających przez głowę myśli nie pozwalały mi na racjonalne wnioski. Czy urodzę chociaż jedno zdrowe dziecko? A co z tym chorym? Jak do diagnozy podejda Borykowie, Aleksandra, pan Jan? Jak teraz będzie przebiegać ciąża? W jaki sposób zareaguje Władek? Czy zostanę sama z problemem, czy umowa z Borykami będzie wciąż aktualna? I przede wszystkim: dlaczego ten biedny maluszek został tak mocno okaleczony już w życiu płodowym?

Wobec żalu nad upośledzonym dzieckiem nie mogłam powstrzymać łez. Nie pomogła nawet kolejna szklanka wody ani zapewnienia lekarzy, że drugi chłopiec ma szansę być zdrowy. Płakałam nad nim, nad sobą, nad Aleksandrą. Zawiodłam. Może byłam za stara na matkę zastępczą? Może gdyby Borykowie wzięli młodszą, finał ciąży okazałby się inny?

Niestety, cały ten szereg wątpliwości i żalu wracał z nami do domu.

– Możesz jechać? – zapytałam, kiedy wsiadałyśmy do samochodu.

Przytaknęła.

Powstrzymałam się od pytania, co teraz. Postanowiłam zaczekać, aż sama zacznie mówić.

– Marysiu, jeden z chłopców jest zdrowy. Myślmy tylko o tym – przerwała wreszcie trwającą ponad godzinę ciszę.

Skinęłam głową.

Nagle Ola zatrzymała auto mocnym naciśnięciem na hamulec; usłyszałam dźwięk ABS-u i poczułam silne szarpnięcie. Wyszła i sięgnęła po papierosa.

Stałyśmy na przydrożnym parkingu. Ona przy barierce, ja dwa kroki dalej. Przyglądałam się wydychanym w przestrzeń smużkom dymu i instynktownie kładłam ręce na brzuchu, doszukując się ruchów obu płodów. Wprawdzie byłam w ciąży dopiero od czterech miesięcy, ale teoretycznie pierwsze mogłam już czuć.

Aleksandra skończyła jednego papierosa i drżącą dłonią zapaliła kolejnego.

– A co z drugim? – spytałam.

– Nie wiem. Maria, jestem przerażona, ale nie martw się o siebie i dzieci. To nasi chłopcy i cokolwiek się wydarzy, zabieramy ich do domu. Po prostu nie potrafię pojąć, dlaczego dotknęło nas takie nieszczęście. Kocham ich obu... – dodała, ocierając łzy.

Dotarliśmy pod blok z głowami ciężkimi od kłębiących się myśli. Załamane, pogrążone w żalobie po jednym z chłopaczków, który nie dostał od losu szansy na normalne życie.

Doktor Lamparski wyznaczył kolejną wizytę w lipcu, ale obie zdawałyśmy sobie sprawę, że to

już niczego nie zmieni. Od tego momentu miałam przejść pod opiekę domowego lekarza Aleksandry, doktora Witaja, i dociągnąć do końca ciąży.

Pożegnałyśmy się. Upał nieco zelżał, winda zawiozła mnie pod drzwi mieszkania.

Jeśli nawet miałam zamiar przekazać Władkowi wieści łagodnie, nie dałam rady. Emocje wzięły górę.

– Chodź, porozmawiamy. – Zgarnęłam męża sprzed telewizora i zaciągnęłam do kuchni.

– Jak to może być? Jeden z dzieciaków jest chory? – Po zrelacjonowaniu wizyty w klinice usłyszałam dokładnie to, czego się spodziewałam.

– Niestety.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Władek, mam zamiar donosić ciążę.

Mój mąż spojrzał na mnie, jakby zobaczył ducha.

– Rozumiem, że Borykowie wezmą obu chłopaków? – spytał.

– Teraz nie rozmawiamy o interesach. Czy ty nie pojmujesz, że jedno z dzieci, które noszę, może nie przeżyć najbliższego miesiąca?!

– Trudno. Ale Borykowie zakontraktowali ciążę, więc niech biorą obu!

Jeśli miałam jakiegokolwiek nadzieje związane z moim mężem, te słowa pozbawiły mnie złudzeń. Niemniej podjęłam jeszcze jedną próbę.

– Władek, nie chodzi o pieniądze. Noszę dziecko, które nie ma szans na normalne życie, a nawet na jakiegokolwiek życie. Ale ze względu na dobro zdrowego chłopczyka będę, być może, musiała je urodzić i się z nim rozstać. Bo ono umrze.

Mój mąż nie zrozumiał ani słowa.

– W takim razie Borykowie dostaną tylko jedno. I po problemie.

Nie pozostawało mi nic innego, jak zakończyć rozmowę jedynym słusznym podsumowaniem, które przyszło mi do głowy:

– Masz rację. Z twojego punktu widzenia nie ma problemu z niczym. Bylebyś miał pełny żłób i kilka piw pod ręką.

Moje słowa raczej go nie poruszyły. A ostatnie wypowiedziane przez niego zdanie dowiodło, że nasza wspólna droga dobiega kresu.

– Nie będę wychowywał żadnego niepełnosprawnego dzieciaka Boryków! Nawet o tym nie myśl!

Byłam rozżalona i wściekła. Na siebie, że wyszłam za mąż za takiego faceta.

Następnego dnia w pracy Iza zrobiła mi wykład, że wszyscy są tacy. Januszek definitywnie wyprowadził się z domu i założył sprawę o rozwód. Moja koleżanka ostrzyła pazurki i złorzeczyła na pleć przeciwną w obecności Juliusza.

– Mężczyźni to pieprzone dziady! Lecą za każdą dupą! Czego mu przy mnie brakowało? Dawałam, kiedy chciał, kochałam go, obiad też codziennie miał na talerzu. A teraz okazuje się, że bardziej mu zależy na dziecku kochanki niż na tych, które ma ze mną. Zejdź mi z oczu! – wrzasnęła na Bogu ducha winnego Julka. – Wszyscy jesteście jednakowi!

Oboje poczuliśmy się niepewnie, ale to ja zareagowałam.

– Izka, wyluzuj i daj spokój Julkowi. Chętnie ci pomożemy, jeśli będziesz w potrzebie.

Odetchnęła i przeprosiła.

Już na korytarzu doczekałam się podziękowania.

– Nie wszyscy mężczyźni są źli – odezwał się Julek i obdarzył mnie uśmiechem. – Szkoda mi Izki, ale te jej uogólnienia...

– Przeżywa, jak to na początku rozstania. Może się zejdą, może rozwiodą? Kiedyś dojdzie do siebie. A teraz wracajmy do swoich zajęć. – Skinęłam mu dłonią i poszłam na obchód.

Po drodze spotkałam panią Wiesię, która zwróciła uwagę na moją bladość i podkrążone oczy. Zdawałam sobie sprawę, że zbliża się moment, w którym będę musiała wyjawić jej prawdę. Ale jeszcze nie w tej chwili, pomyślałam i nakarmiłam ją historyjką o problemach ze spaniem. Skinęła głową z niedowierzaniem, ale szczęśliwie nie pociągnęła tematu.

Aleksandra nie dzwoniła. Wysłała jedynie wiadomość, żebym była spokojna i wybaczyła jej kilkudniową nieobecność spowodowaną nagłym wyjazdem do Rygi.

Wspominała o tej podróży już wcześniej, zdawkowo, ale nie tłumaczyła powodów. Zresztą to były jej sprawy. Nie miała obowiązku wprowadzać mnie w szczegóły.

Atmosfera w domu zgęstniała. Władek podobno szukał pracy, choć jak na razie bez efektu. Nie protestowałam, kiedy wychodził z kolegami, poprosiłam jedynie, by po powrocie rozkładał sobie polowe łóżko. O dziwo, spełnił moje życzenie.

Musiałam również porozmawiać z Kaliną i z ciężkim sercem zapoznać ją z wynikami amniopunkcji. Była już wystarczająco dorosła, by nie odgrywać przed nią teatru niedopowiedzeń.

– Przykro mi i boję się o przyszłość – zakończyłam. – Kochanie, muszę być silna i nastawiona na wszelkie ewentualności. Rozumiesz?

– Wiem, mamus. Jeśli chodzi o mnie, to nie martw się pieniędzmi. Najwyżej poczekamy na inną okazję. I tak poświęciłaś się dla mnie ogromnie. A z tym dzieckiem... To jest straszne! – Popatrzyła przerażona.

– Może zdarzy się cud? – odruchowo rzuciłam w przestrzeń, nie wierząc w to, co mówię. – Tak czy inaczej, powinnam urodzić Borykom choć jedno dziecko. O ile będzie to możliwe.

Mijał dzień za dniem. Kalina niebawem kończyła rok szkolny i czekały ją kolejne wakacje w domu. Sprzeciwiła się propozycji, by naruszyć pieniądze od Boryków i gdzieś wyjechać. Władek często przebywał poza domem, a ja nie pytałam, gdzie się włóczy. Zbyt ceniłam sobie momenty, kiedy go nie było. Ale te wspólne ciążyły. Kiedy zasiadał przed telewizorem, ja zajmowałam miejsce w kuchni, chociaż z każdym dniem taboret stawał się coraz twardszy.

Dlatego kiedy pani Zofia ponownie zaprosiła mnie do swojego domu, zgodziłam się z ochotą. I to nie tylko z powodu odetchnięcia pełną piersią, które zapewniała mi wizyta u starszej pani. Musiałam z kimś szczerze porozmawiać, a nie licząc małej córki, której nie chciałam nadmiernie obciążać, i nieobecnej Aleksandry, nie miałam nikogo.

W najbliższą sobotę Kalina pojechała z Krzyśkiem do podmiejskiego domku jego rodziców, a bliżej niezidentyfikowane plany Władka mało mnie interesowały. Z radością opuściłam blokowisko i stanęłam przed furtką pani Zofii.

Bardzo czekałam na ten dzień, mając szczerzy zamiar pomóc w porządkach, które wobec sporych zaniedbań ustawiły wysoko poprzeczkę. A tu ledwie mogłam utrzymać w rękach formę z ciastem porzeczkowym, które upiekłam na nasze spotkanie.

Dowieziona wcześniej na miejsce taksówką gospodyni pomachała mi zza firanki.

– Jesteś! Wejdz, proszę, nastawiłam właśnie wodę na herbatę! – przywitała mnie serdecznie w otwartych drzwiach. – I nie przestrasz się bałaganu w kuchni. Akurat zaczęłam sprzątać.

Oddychałam głęboko, próbując powstrzymać łomotanie serca i opanować słabość, która ledwie pozwoliła dotrzeć do najbliższego krzesła.

– Marysiu, czy ty się dobrze czujesz? – usłyszałam, ocierając pot z czoła.

– Tak. Bardzo dziś ciepło – odparłam. – Czy mogę prosić o szklankę wody?

## Rozdział 43

### Aleksandra

Obaj lekarze z kliniki nie pozostawili wątpliwości względem wyników amniopunkcji. Dziecko miało trzy możliwości: albo umrzeć w łonie Marii, albo tuż po porodzie, albo żyć jeszcze przez krótki czas z postępującym upośledzeniem. Tego wszystkiego dowiedziałam się, kiedy doszłam do siebie po środkach uspokajających.

Kolejne wizyty w klinice nie miały sensu. Maria miała przejść pod opiekę mojego ginekologa, doktora Witaja.

Przez pierwszą godzinę drogi do domu milczałam, coraz silniej naciskając na pedał gazu. Dopiero krótki postój na parkingu i dwa wypalone papierosy, które kupiłam na stacji benzynowej, przywróciły mi głos. Uspokoilałam Marię w kwestii zabrania obojga dzieci do domu. Zamierzałam to zrobić bez względu na ich stan i stanowisko Jaśka.

Nie byłam go do końca pewna, ale nie wyobrażałam sobie innego rozwiązania.

Mimo ogromnej goryczy musiałam podtrzymać Marię na duchu. Jak jednak to zrobić, kiedy serce krwawi, a ciężar w piersi staje się nie do zniesienia?

Na dodatek miałam w perspektywie zabukowany lot do Rygi, którego ze względu na Krastsa nie chciałam odwoływać. Dobrze przynajmniej, że zakończyłam poprawki książki po redakcji, bo w obecnych warunkach trudno byłoby mi wykrzesać z siebie należne prace skupienie.

Wróciłam do domu krótko po piątej, licząc, że jeszcze nie zastanę Jaśka. Podświadomie obawiałam się rozmowy z mężem i pragnęłam odsunąć ją w czasie. Jakież zatem było moje zdziwienie, że jego terenowe volvo stoi na podjeździe, a mój mąż na mnie czeka. Zadbął nawet o bukiet herbacianych róż, który kątem oka dostrzegłam przez kuchenne okno.

Zdziwiłam się wprawdzie, że wybrał róże, które nie należały do moich ulubionych kwiatów, ale pewnie zdecydował się na nie dla ich wyjątkowej urody.

– Już jesteś? – powitał mnie w progu wyraźnie zaskoczony.

– Przeszkodziłam ci w przygotowaniu kolacji? – odparłam z uśmiechem, na moment zapominając o przerażających wynikach amniopunkcji.

– Po prostu spodziewałem się ciebie później. Jak poszło?

Koszmar powrócił. Rzuciłam się w jego ramiona i zaczęłam płakać.

– Jaś, jest źle! Chciałabym przynieść ci najlepsze wieści, ucieszyć, zasłużyć na te piękne kwiaty, które dla mnie kupiłeś – zerknęłam w stronę kuchni – a tu fatalna dia-gnoza!

Spowaźniał i powoli doprowadził mnie do fotela.

– Co się stało? – poprosił o wyjaśnienia, kiedy już siedziałam wygodnie.

Minęła chwila, zanim powstrzymałam łkanie i mogłam wykrztusić choć słowo. A nawet w miarę dokładnie streściłam lekarską diagnozę.

Jaś miarowym krokiem przemierzał salon z kieliszkiem koniaku w dłoni, wyraźnie poirytowany. Taka reakcja wprawiła mnie w zdumienie.

– Olu, to nie tak miało wyglądać – powiedział w końcu. – W co ja się dałem wkręcić?! Jak sobie wyobrazasz dalszy ciąg? A jeśli to chore dziecko przeżyje, co nas czeka?

Miałam go zapewniać, że szanse na przeżycie są niewielkie, a my ze zdrowym synem będziemy żyć długo i szczęśliwie? Patrzyłam na swojego męża przerażona, głównie faktem, że tak słabo go znam. Powinien mnie objąć, pocieszyć, powiedzieć, że oboje damy radę w każdej sytuacji, tymczasem wybrał zupełnie inną drogę.

Nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo odmienne są nasze cele i pragnienia. Poczulałam wyrzuty sumienia, że w swoim dążeniu do posiadania dziecka nie zwracałam uwagi na jego wolę i potrzeby. A przecież nieraz próbował mi sygnalizować, że to ja dążę do ciąży, a on jedynie próbuje spełniać moje zachcianki. W głowie pulsowały słowa: „Ważne, żebyś to ty była zadowolona i szczęśliwa”.



Wypowiedział je po raz ostatni, kiedy zdecydował się przeznaczyć na ciążę Marii sto dwadzieścia tysięcy złotych. A potem dorzucił jeszcze po tysiącu na miesiąc.

Mimo rozpaczy rozumiałam go i pragnęłam pocieszyć.

– Jaś, usiądź, porozmawiajmy – poprosiłam, wskazując mu miejsce obok siebie na kanapie.

– Muszę odebrać. – Podniósł dłoń w przeproszającym geście i pobiegł do gabinetu. – Dzwonili z pracy – powiedział po powrocie.

– Kłopoty? – Próbowałam się domyślić, zobaczywszy zdekoncentrowane spojrzenie.

– Nieważne. No więc co zamierzasz?

Wydawało mi się, że powinien użyć liczby mnogiej, ale nie chciałam się czepiać.

– Nic wielkiego nie możemy zrobić. Maria będzie pod opieką doktora Witaja i mam nadzieję, że donosi ciążę. Oczywiście bierzemy obu chłopców.

– Olka, żeby wszystko w życiu było tak proste, jak ty to widzisz! Nie byłem nastawiony na niepełnosprawne dziecko. Gdybym wiedział, jakie są zagrożenia...

– To co? – rzuciłam mu w twarz.

– Naprawdę się nie domyślasz? Skąd mam wiedzieć, czy ta skaza to nie wina Marii? Gdyby przytrafiło się to nam, wziąłbym to na klatę, ale w takiej sytuacji musimy powołać biegłego lekarza, który jednoznacznie stwierdzi przyczynę niepełnosprawności.

– Jaś, to genetyka. Moje i twoje geny, które zmutowały.

– Poczekamy, co powiedzą lekarze. Nie martw się o pieniądze. Będę płacił na dziecko, chociaż w tej sytuacji nie mam pewności, jakie jeszcze rewelacje mi przyniesiesz.

Mój mąż był wyjątkowo spokojny, ale wysnute przez niego wnioski mnie zawiodły.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałam.

– Żałuję, że dałem się namówić na surogatkę. Trzeba było zaufać naturze i poczekać, co przyniesie życie. I nie chodzi mi o pieniądze, gdybyś dopuściła do siebie taką myśl. A teraz przepraszam, ale praca wzywa. – Znacząco spojrział na dzwoniącą komórkę.

Wrócił późnym wieczorem. Jeśli do tego czasu nie rozpadłam się na kawałki, to tylko z powodu lotu do Rygi. Bilet leżał na biurku, a ja pakowałam walizki. Napisałam Marii, żeby dbała o siebie, i wspomniałam o wyjeździe. Przypuszczałam, że również ona nie miała łatwej rozmowy z mężem.

Mamie wysłałam lakoniczną wiadomość o powrocie z kliniki i umówiłam spotkanie w przyszłym tygodniu. Nie pytała o szczegóły, a ja nie byłam w nastroju, żeby kolejną osobę wprowadzać w temat.

W samolocie poczułam się niemal jak na wakacjach, zdziwiona, że patrząc na zielono-niebieskie połacie Mazur, a potem na równinną Litwę, odzyskałam namiastkę spokoju.

Janis czekał na lotnisku, skąd zawiózł mnie do domu Krastsa na Alberta iela. Tym razem miało obejść się bez hotelu czy bez, jak przy poprzedniej wizycie, lokum z Airbnb.

– Dzięki, że jesteś – usłyszałam. – Miałaś dobrą podróż?

– Tak. Całkiem miłe pięćdziesiąt pięć minut nad światem. Widzę, że pogoda u was tak samo ładna jak w Polsce.

– Nawet za bardzo. Nie pamiętam tak upalnego początku czerwca... – Janis przerwał, by po chwili przedstawić koncepcję dzisiejszego wieczoru. – Sasza, sądzę, że dobrze będzie, jeśli dzisiaj zostanieie sami. Ja muszę popracować – puścił oko – więc z przykrością was zostawię. Dobrze?

Mistrz przywitał mnie stekiem wymówek.

– Mówiłem Janisowi, że nic mi nie jest, ale ten musiał cię tutaj ściągnąć! Mimo wszystko bardzo się cieszę, że przyleciałaś. Zaprowadzę cię do twojego pokoju, a potem przy naszym ziołowym balsamie pogadamy o starych, jak to wy mówicie?, Polakach?

Skinęłam głową z uśmiechem.

– A może Łotyszach? W każdym razie pogadamy – skwitowałam.

Rozmowa z Krastsem miała pomóc jemu, ale chyba to ja stałam się jej główną beneficjentką.

Udało mi się namówić go na wizytę u lekarza. Uspokoiłam się trochę i odsunęłam od siebie obawy o życie przyjaciela.

– Chyba nie jest tak źle – relacjonowałam Janisowi następnego dnia przy obiedzie, na który

umówiliśmy się na podniebnym tarasie Gallerii Riga. – A zresztą lekarz wszystko nam powie. Może wystarczą stenty i serce zacznie działać, jak należy? Albo wstawią mu rozrusznik? Najważniejsze, by trafić do dobrego -specjalisty.

Janis, mimo moich optymistycznych prognoz, siedział osowiały.

– Sasza, byliśmy już u wielu.

– I co?

– To nie tylko miażdżycy, ale niewydolność serca. Nasz staruszek musi o siebie dbać, a my powinniśmy mu to uświadomić. Dlatego wybrałem znajomego lekarza, który wyłoży mi, jak może przedłużyć życie. Dziękuję, że przyjechałaś.

Pozwoliłam się odprowadzić do domu Krastsa, a następnego dnia zgodziłam na kolejne spotkanie na mieście. Musieliśmy omówić niezbędne kroki. W sumie nieskomp-li-kowane, ale jakże ważne dla życia.

Janis miał plan.

– Przeprowadzę się do niego i pod pretekstem pracy dopilnuję, żeby brał leki i wypoczywał.

– A co ja mogę zrobić? – zapytałam, mając świadomość, że za kilka dni wracam do Polski.

– Zawiozę was do Jurmały. Posiedzicie, pogadacie, pokaże ci nową-starą książkę, którą wyszperał w szufladzie. Pobędziesz z nim.

Mówił tak, jak gdyby Krasts miał zaraz umrzeć. Pogrzebałam plany, by mu wspomnieć o kłopotach z ciążą.

I rzeczywiście pojechaliśmy do domku nad Bałtykiem, i rzeczywiście, zgodnie z przewidywaniami Janisa, Krasts wyjął z szuflady swoją starą powieść, a wraz z nią zaklejoną kopertę.

– Sasza, w środku jest bardzo ważna wiadomość, która nie powinna trafić w niepowołane ręce. Przekaż ją Janisowi, gdyby coś mi się stało.

– Daj spokój. Wszystko będzie dobrze.

– Do czasu, mała. Nikt z nas nie jest wieczny. Przrzekasz mi, że przechowasz ten list?

– Przrzekam.

– Świetnie! W takim razie mów, co u ciebie.

Mimo silnego postanowienia, żeby go nie stresować, doszczętnie się rozkleiłam. I, o nieba!, opowiedziałam o ostatniej wizycie w klinice i wyniku badania.

Wysłuchał z uwagą, podszedł i przytulił.

– Będziesz potrzebować dużo sił, Sasza. Może kiedyś jeszcze zobaczę cię z maluchami?

Wyjeżdżałam z Rygi z niepokojem i żalem, że muszę wracać. Te kilka dni nad morzem dało mi oliwkową opaleniznę i mnóstwo wspomnień z rozmów z Krastsem. Kiedy nadszedł czas, oboje wróciliśmy do Rygi, a ostatni wieczór przed wylotem spędziliśmy w towarzystwie Janisa. Wprawdzie nie doczekałam wizyty u lekarza, ale mistrz obiecał, że się od niej nie wymiga.

– Pozwolisz się odwieźć na lotnisko? – spytał Janis przy pożegnaniu po obfitej kolacji.

Nie miałam powodu, żeby odmówić.

– Jeśli masz czas – odparłam.

W hali odlotów było sporo ludzi, jak zwykle gdy odlatywał samolot do Polski. Załatwiłam wstępną odprawę, nadałam bagaż.

– Może wypijemy kawę na strzebiennego? – zaproponował Janis. Namówił mnie jeszcze na łotewskie ciastko bezowe z owocowym purée.

Kiedy raczyłam się czarnym espresso, zapytał, czy wszystko u mnie w porządku.

– Tak. Skończyłam poprawiać *Burzę nad Jurmałą* i wysłałam do wydawnictwa. A u ciebie?

Spojrzał z ukosa i posłał mi szczerzy uśmiech.

– Też. Wiesz, że często wracam do... – przerwał.

Spojrzałam zaciekawiona.

– Do czego?

– Nieważne. Będę dzwonił lub pisał w sprawie Krastsa. A ty się trzymaj mocno.

Zerknęłam na zegarek. Zostało niewiele czasu do zakończenia odprawy.

Janis ujął moją dłoń i przytrzymał, trochę zbyt długo. Powinam się zachnąć, ale nie cofnęłam

ręki.

Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, pomyślałam i pożegnałam go tradycyjnym „do widzenia”.

Odprowadzał mnie wzrokiem, dopóki nie zniknęłam za szklanymi drzwiami.

## Rozdział 44

### Maria

Kilka minut na krześle, szklanka wody i słabość zaczęła mi przechodzić. Najwidoczniej zakończyłam etap porannych mdłości, lecz rozpoczęłam kolejny.

Powoli przyzwyczajałam oczy do słońca, które swoimi promieniami osaczyło pokój. Z poświaty wyłoniła się sylwetka zaniepokojonej pani Zofii. Gospodyni stała nade mną ze zmarszczonymi brwiami i dopytywała, jak się czuję.

– Już dobrze – odparłam, gdy opanowałam niemoc.

Ujęła mnie delikatnie pod ramię i zaprowadziła na kanapę. Nie pomogły zapewnienia, że wracam do siebie i wszystko jest w porządku, była nieugięta. Tym sposobem zajęłam miejsce w pozycji horyzontalnej.

– Co ci jest, dziecko? – usłyszałam, już bardzo wyraźnie.

Forma zaczęła wracać, bym ostatecznie stanęła na nogi w ciągu kilku minut. Próbowałam zbagatelizować zasłabnięcie i wyraziłam gotowość do pracy, ale pani Zofia nie chciała o tym słyszeć.

– Marysiu, robota nie zając, nie ucieknie. A teraz powiesz mi, co ci dolega.

– Jestem w ciąży – wyrzuciłam z siebie, zanim zmieniłam w tej kwestii zdanie.

– Wspaniale! Od dłuższego czasu podejrzewałam dob-rą nowinę! – Szeroki uśmiech rozświetlił twarz starszej pani. – Często wydawałaś mi się blada i wycieńczona, a teraz sprawa się wyjaśniła. Tak mi miło to słyszeć.

Leżałam, widząc wpatrzone we mnie oczy i czując ciepłą dłoń, którą gładziła moją rękę. Jeśli nawet do tej pory miałam jakiegokolwiek wątpliwości, czy dzielić się z panią Zofią swoim sekretem, odsunęłam je na bok. Nasza niedawno zawiązana przyjaźń nie mogła bazować na kłamstwie czy niedopowiedzeniach. A poza wszystkim potrzebowałam życzliwego konfesjonału.

– Czy możemy porozmawiać przy herbacie? Przygotuję – zaproponowałam, wstając na równe nogi.

Zawroty głowy popchnęły mnie z powrotem na kanapę, a gospodyni odpłynęła.

Kiedy otworzyłam oczy, nikogo przy mnie nie było. Rozejrzałam się wokół, nie potrafiąc zidentyfikować miejsca akcji. Dopiero głos pani Zofii przywrócił mi orientację.

– Spałaś dwie godziny, Marysiu – usłyszałam. – A teraz poleż jeszcze, proszę, i nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów.

Wytrzymałam jeszcze przez chwilę, ale w końcu usiadłam i wypiłam szklankę herbaty. Czułam się znacznie lepiej.

– Musisz dużo odpoczywać, kochanie – powiedziała pani Zofia i zaproponowała obiad. – Usmażyłam kilka naleśników. Zapraszam do stołu, bo ja również jestem głodna – zapobiegła odmowie.

O dziwo, wróciła mi nie tylko kondycja, ale i apetyt.

Po obiedzie sprzątnęłam sama, odsunawszy gospodynię od zlewu. A przy kawie i ciście porzeczkowym powróciłam do tematu ciąży. Nie wiedziałam, jak zostaną przyjęte moje rewelacje, ale rzuciłam prawdę jak rękawicę.

– Pani Zosiu, jestem w ciąży z nie swoimi dziećmi.

Spojrzała zaskoczona i dezorientowana.

– Zgodziłam się zostać surogatką dla pewnego małżeństwa, które nie może ich mieć.

Nadal nie wypowiedziała słowa.

– Dla pieniędzy, które potrzebuję na operację Kaliny w Szwajcarii. Ja wiem, jak to brzmi, że zapłodnienie in vitro i zgoda na rolę matki zastępczej jest dla wielu osób nie do przyjęcia, ale musiałam. Nie miałam skąd wziąć pieniędzy, a bez operacji moja córka nie ma szans na powrót do zdrowia. A poza tym jestem szczęśliwa, że mogę komuś pomóc. Tak wygląda sprawa mojej ciąży.

Starsza pani wciąż milczała, więc sięgnęłam po torebkę, by wyjść, kiedy tylko wskaże mi drzwi.

– Dziecko, zrobiłaś bardzo dobrze i szlachetnie. – Długą ciszę przerwał aksamitny głos. – Ci ludzie, o których mówisz, zostaną rodzicami, a Kalinka zyska szansę na normalne życie.

– Nie widzi w tym pani nic złego?

– Koleżanka mojej synowej również wynajęła surogatkę. Znalazła Greczynkę, bo w Niemczech to nielegalne, i ta urodziła jej i jej mężowi dorodną córeczkę. Marysiu, może jestem stara, ale nie ślepa. Wiem, jakie kłopoty miewają niektóre pary z urodzeniem dziecka. Spełniasz dobry uczynek. Myślę, że Bóg ci to wynagrodzi.

– Moja przyjaciółka Honorata i pewnie wielu innych ludzi to potępiają...

– To tylko ludzie. Każdy ma prawo do własnego zdania i własnej woli. I bierze odpowiedzialność za swoje czyny. Tak jak i ty. Życzę ci szczęśliwego rozwiązania, a przyszłym rodzicom radości z dzieciaczka.

Doszłyśmy do newralgicznej kwestii. Mimo zahamowań postanowiłam pociągnąć temat i opowiedziałam o wynikach amniopunkcji.

Zareagowała standardowo.

– Ale ten drugi chłopiec jest zdrowy?

– Tak. Na razie tak.

– A co na to rodzice dzieci?

Zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że nie wiem. Aleksandra nie informowała mnie o rozmowie z mężem, a ja nie naciskałam. Wystarczyło mi jej zapewnienie, że bez względu na wszystko weźmie obu chłopców. A nawet jeśli nie, byłam skłonna zaopiekować się chorym, o ile udałoby się mu przeżyć. Rozwijał się w moim łonie i niebawem miał się zacząć ruszać. Był częścią mnie.

– Pani Zofio, mam prośbę, by nie wspominać szefowej o mojej ciąży. Niestety, jak dotąd nie znalazłam w sobie odwagi, żeby z nią porozmawiać.

– Ale zamierzasz?

– Może. Albo wezmę zwolnienie lekarskie. Boję się konsekwencji.

– Przemyśl to jeszcze, kochanie. W każdym razie masz we mnie wsparcie. Nie dam ci pracy, ale gdybyś potrzebowała trochę spokoju w moim domu, możesz nań liczyć.

Nie pamiętałam, czy wspominałam o swojej klitce na blokowisku i Władku, który nie był najlepszym mężem, ale tak czy inaczej, pani Zofia musiała wychwycić moje zawołane żale i wyciągnąć wnioski.

Kolejne zdanie potwierdziło jej zmysł obserwacji.

– I przywieź do mnie kiedyś swoją córkę. Chętnie ją poznam. Mam tu sporo klasyki, może przypadną jej do gustu któreś książki.

Po naleśnikach z twarogiem i rodzynkami odzyskałam siły i mimo obaw gospodyni przystąpiłam do sprzątnięcia pokoju na górze.

Usytuowany w kąciu, na lewo od schodów, zajmował przytulny narożnik w południowej części budynku. Słońce grzało od zachodu, ale pojedyncze promienie przeciskały się jeszcze przez barierki balkonu. Dostrzegłam na nim dwa wiklinowe krzesła i stolik ze szklanym blatem. Z przyjemnością otworzyłam francuskie drzwi i wpuściłam do wnętrza tchnące latem powietrze.

W pomieszczeniu zadrżały drobinki kurzu wzniecone przez firany nieprane od lat.

Pani Zofia dreptała za mną krok w krok, kiedy zbierałam do prania narzutę i zwiijałam dywan. Przestrzegła, upominała, zniechęcała do wysiłku.

– Marysiu, daj sobie spokój. Ledwo co wstałaś z łóżka.

Nic się jednak ze mną nie działo. Odzyskałam siły, a po słabości sprzed kilku godzin nie pozostał ślad. Machałam ścierką, władałam odkurzaczem, przygotowując wnętrze do malowania. Julek obiecał pomoc, więc chciałam ogarnąć grunt.

Pani Zofia postanowiła na razie nie sprzedawać domu i pozostawić go sobie na okazjonalne wizyty. Zamierzała jedynie uprzątnąć kuchnię i łazienkę oraz ten niewielki pokój na piętrze. Awaryjny, gdyby zechciała zatrzymać się w domu na noc i nie wracać do pensjonatu.

Nie bardzo rozumiałam jej plan, ale przyjmowałam go z pełną akceptacją. Płaciła za dom opieki, była sprawna, mogła urządzić sobie życie zgodnie z własnymi wyobrażeniami. A pani Wiesia nie miała

nic przeciwko niekonwencjonalnemu zachowaniu starszej pani.

Tym bardziej ja, która byłam jego beneficjentką. Mogłam odwiedzać panią Zofię w jej pięknym starym domu z duszą i oddychać klimatem ogrodu. Wprawdzie za-niedbanego, żeby nie powiedzieć zapuszczonego, przez lata, ale pełnego drzew i krzewów, które dawały cień.

Marzyło mi się chwycenie za motykę i grabie, odchwaszczenie zarośniętych klombów, uformowanie krzewów bukszpanu, posadzenie kolorowych kwiatów. Nie byłam wprawdzie ogrodniczką, ale lata temu pomagałam mamie uprawiać niewielką działkę pracowniczą, do chwili gdy teren zabrano nam pod budowę osiedla.

Ogród aż się prosił o zainteresowanie, jednak w pierwszej kolejności musiałam pomóc pani Zofii wysprzątać pokój na piętrze.

Wyglądało na to, że Arkadiusz w ogóle tu nie zaglądał. Kurz nie tylko pokrywał wszystkie meble, ale i gęsto rozstawione ramki ze zdjęciami. Omiotłam spojrzeniem niektóre z nich, zanim gospodyni poprosiła mnie o pomoc w otwarciu szuflady w stylowej sekretarce.

– Chyba jest zamknięta na klucz – odparłam po krótkich zmaganiach z oporem materii.

– Spróbuj jeszcze raz. Mam tam wyjątkowo cenne zdjęcia i listy. Widziałam w filmach, że złodzieje używają szpilki do włosów. Masz. – Podała mi swoją. – Może się uda.

Grzebałam w zamku, zdobywając szlify włamywacza. Już miałam zrezygnować, gdy w środku zaskrzypiało i szuflada drgnęła. Wystarczyło delikatnie pociągnąć i naszym oczom ukazała się zawartość.

Na prośbę gospodyni wyjęłam szufladę i położyłam na tapczanie. Chciałam zająć się dalszym sprzątnięciem i pozostawić panią Zofię samą na samą ze wspomnieniami, ale ta gestem dłoni poprosiła mnie o pozostanie.

– Usiądź obok mnie, bo sama całkowicie się rozkleję. – Wzięła do ręki pierwsze zdjęcie.

Ją rozpoznałam, domyśliłam się, że mężczyzna obok to jej mąż, a kilkuletni chłopcy to Tomasz i Arkadiusz. Zadowolona rodzinka pozowała na bałtyckiej plaży, jakieś pięćdziesiąt kilka lat temu. Jeden z synów chwalił się kołem ratunkowym, drugi, z umorusaną buzią, trzymał w dłoni loda.

– To było w Stegnie, w sześćdziesiątym pierwszym. Zygmunt dostał wczasy pracownicze. Mieszkaliśmy w niewielkim drewnianym domku w lesie i gotowaliśmy na kuchni z paleniskiem. O szyszki nie było trudno, tylko fajerek trochę mało dla mieszkańców kilkunastu domków. Ale co tam! Człowiek był młody, silny, do morza miał dwa kroki. A wieczorami czekał go brydż ze znajomymi.

Czułam, że chwilowo dalsze sprzątnięcie oddala się w bliżej nieokreślonej przyszłości. Pani Zofia z pietyzmem sięgała po kolejne fotografie i przeżywała zapisaną na nich przeszłość.

W pewnym momencie zareagowała wyjątkowym wzruszeniem.

– Zobacz, to właśnie moja wieloletnia przyjaciółka Tereska. Wspominałam ci o niej. – Podała mi zdjęcie.

Mimo że pochodziło sprzed lat, nie miałam wątpliwości, kogo przedstawia.

– Przecież to moja mama – szepnęłam poruszona.

## Rozdział 45

### Aleksandra

Jestem w Warszawie”, wysłałam wiadomość Janisowi z płyty polskiego lotniska.

Prosił o sygnał po szczęśliwym zakończeniu lotu.

Odpisał, że bardzo się cieszy, i dołączył uśmiechniętą buźkę, podniesiony do góry kciuk i czerwone serduszko.

Po odebraniu bagażu próbowałam dodzwonić się do Jaśka, ale telefon niezmiennie informował o niedostępnym abonencie. Pewnie mój mąż był na jakimś kolejnym ważnym posiedzeniu lub rozmowie z klientem.

Odebrałam samochód z parkingu i po kilku minutach wskoczyłam na autostradę, która poprowadziła mnie prosto do domu. Miałam w perspektywie trzy godziny samotnej jazdy i tête-à-tête z własnymi myślami, które po kilkudziesięciu kilometrach zaowocowało nieciekawym wnioskiem: Jaś miał rację, że go zaniedbuję i że zbyt pochłonęło mnie pragnienie posiadania dziecka. Oczywiście nie zamierzałam schodzić z obranej drogi, ale powinnam również zadbać o jego dobre samopoczucie. Dać do zrozumienia, że jest dla mnie ogromnie ważny i bliski. Czekał nas trudny czas po narodzinach dzieci, może nawet śmierć jednego z nich. Nie byłam psychologiem, ale zdawałam sobie sprawę z odmienności płci i ich zdolności przeżywania. Jaś z pewnością szukał ucieczki od problemów w pracę, a ja nie powinnam się dziwić, a jedynie pomyśleć, jak go odzyskać.

Jednak plan na najbliższy wieczór nie miał szans powodzenia. Jaś odpisał, że wyjechał w delegację i wróci następnego dnia.

Czekał mnie zatem samotny wieczór, bo po rewelacjach, które usłyszałam od Mileny, chwilowo rozluźniłam z nią kontakty. Powinna się powstrzymać od siania niepokoju i ferowania wyroków, myślałam. Podjeżdżałam pod dom pogodzona z własnym towarzystwem po powrocie. Jednak w środku paliły się światła.

Jasiek zrobił mi niespodziankę!, z nadzieją wybiegłam z auta i chwyciłam za klamkę.

Drzwi były otwarte, a w przedpokoju zastałam mamę.

– Dobrze, że jesteś. Jan zostawił włączony piekarnik i gdyby nie pan Artur, mogło dojść do pożaru – wytłumaczyła swoją obecność. – Zadzwoił do mnie, kiedy pracując w ogrodzie, zobaczył dym, który wydostawał się przez okno. Przyjechałam i wyciągnęłam spalone resztki pizzy. Jeszcze trochę śmierdzi – odgarnęła ręką szarą poświatę.

Okna były pootwierane, a mimo to poczułam pieczenie oczu od gryzącego powietrza, które utrzymywało się wokół.

– Dobrze, że miał mój numer telefonu, bo w przeciwnym wypadku pozostawała tylko straż pożarna – skwitowała mama. – Dzwoniłam do Janka, ale nie odbiera. Nie wiesz, gdzie jest?

Uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia. Nigdy nie dopytywałam o cel jego wyjazdów, przyjmując wyjaśnienie o bliżej nieokreślonych delegacjach. Zresztą jakie to miało znaczenie? Odgrzewał pizzę, zapomniał wyłączyć piekarnik, i tyle. Na szczęście nic się nie stało.

– Mamo, bardzo ci dziękuję, że przyjechałaś. Zajmę się wszystkim. A teraz bądź już spokojna i napij się ze mną kawy.

– Wiesz, jak się zdenerwowałam? – Wciąż przeżywała akcję.

– Dlaczego nie skontaktowałaś się ze mną?

– Jechałaś autostradą, nie chciałam cię rozpraszać. Brakowało nam tylko wypadku – odparła, z trudem panując nad emocjami.

Obyśmy mieli tylko takie problemy, pomyślałam.

Resztki spalonej pizzy nie wyglądały jak po tej zamówionej w pizzerii, ale nie wnikałam. Nastawiłam ekspres i zaniósłam do pokoju dwie filiżanki cappuccino, słusznie przyjąwszy, że mamie bardziej posłuży lżejsza wersja kofeiny.

Po kilku chwilach mogliśmy już normalnie rozmawiać. Wprawdzie nie miałam wielkiej ochoty na zwierzenia, ale mama znalazła sposób, by mnie zmotywować. Opowiedziałam jej o Krastzie i jego kłopotach ze zdrowiem, jak również o Janisie, który trwa przy mistrzu.

– Czy to ten Janis? – spytała z niepokojem.

Znała moje przeżycia sprzed lat, którymi jako dobra i zrozpaczona wówczas córka dzieliłam się z rodzicami.

– Tak, mamo. To mój były Janis – odparłam dosadnie, już uodporniona na jego wdzięk.

– Jak sobie radzisz w jego towarzystwie?

– Normalnie. Każde z nas ma swoje życie, łączy nas wyłącznie Krasts.

– A co u Janisa? – dopytywała ostrożnie.

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Jeśli dobrze liczę, jego syn powinien mieć trzynaście lat, ale nie rozmawialiśmy o sprawach prywatnych. Na razie interesują mnie moje dzieci.

Mama nieco się speszyła. Zapewne odczuwała wyrzuty sumienia, że nie zapytała o to do tej pory.

– Olu, przepraszam. Kiedy jedziesz z panią Marią na amniopunkcję?

Chciałam być dzielna, ale łzy popłynęły same.

– Byłyśmy już w klinice, kilka dni temu.

Ku mojej uciechu mama nic nie powiedziała, kiedy skończyłam relacjonować wizytę. Nie miałam ochoty wysłuchiwać żalów nad dziećmi ani przyjmować dawki optymizmu pod tytułem „wszystko będzie dobrze”. Szczepionkę na dalszy ciąg wydarzeń przyjął już od lekarzy i chciałam wierzyć, że jestem uodporniona na koleje losu. Najchętniej z nikim bym nie rozmawiała o chłopcach, ale mamie musiałam powiedzieć.

I nie pożałowałam. Po pierwszym szoku chwyciła moją rękę i poprosiła o zaufanie.

– Kochanie, pomogę ci w każdej sytuacji. I przepraszam, że dopytywałam o Janisa. Najważniejsze, żebyście byli razem z Jaśkiem.

Tego popołudnia naprawdę dobrze nam się rozmawiało. Mama sporo mówiła o Leopoldzie, ja słuchałam, przekonując samą siebie, że sprzyjam ich uczuciu. Jakoś do tej pory nie potrafiłam wymazać obrazu taty u boku mamy, było to jednak nieuchronne. Ona miała prawo ułożyć sobie życie z innym mężczyzną, a mnie pozostawało tylko zaakceptować ten fakt.

U Marii było wszystko w porządku. Fizycznie czuła się dobrze, chodziła do pracy, odwiedzała swoją nową przyjaciółkę, panią Zofię. Nie chciała tylko rozmawiać o mężu.

Powstrzymałam się od forsowania muru milczenia, który postawiła. Zwłaszcza że także ja z pewnością nie roztrząsałabym swoich stosunków z Jaśkiem.

Zadzwoił do mnie wieczorem i poinformował, że jest w Krakowie. Dopytywał o wrażenia z Rygi.

– Wiesz, że nawet się trochę opaliłam? – zdradziłam mu tajemnicę, którą chciałam zachować do naszego spotkania.

Zawsze lubił moją liźniętą słońcem oliwkową skórę.

– To wspaniale. Dzisiaj mam jeszcze wieczorny raut, a jutro wracam do domu. Porozmawiamy – odparł.

– Czekam, kochanie, z niecierpliwością. Co przygotować na kolację? Może być pizza? – zażartowałam.

Nieoczekiwanie się zachnął.

– Dlaczego pizza? – odpowiedział niemiłym tonem. – Od kiedy to jadamy pizzę?

– Jasiek, o co ci chodzi? Przepraszam, nie powinnam ci niczego wypominać...

– Nie rozumiem.

– Oj tam. Wyjeżdżając, zostawiłeś włączony piekarnik z dwoma trójkątami pizzy i trochę się nadymiło. Wspominam, ale nie zamierzam robić z tego sprawy. Trochę mnie ta pizza zdziwiła, w końcu za nią nie przepadasz, ale każdy ma czasem zachcianki. Nic się nie stało, dom wywietrzony. Na jutro przygotuję paellę z owocami morza. Może być?

Liczyłam na większy entuzjazm niż zaledwie łas-kawe przyzwolenie, ale nie zamierzałam analizować każdego słowa. Najważniejsze, że czekał nas przyjemny wieczór.



Nie zawiodłam się. Jaś przywiózł mi przepiękny wisiołek ze szmaragdem i bukiet kwiatów.

– Może trochę już oklapły, ale to od krakowskich kwiaciarek. – Wręczył mi ozdobę i wiązanę, okraszając prezent namiętym pocałunkiem.

Aromat paelli wypełnił salon, wino wjechało na stół. Janek zadbał o nastrojową muzykę. Nareszcie poczułam się bezpieczna i szczęśliwa, gotowa podjąć wszystkie wyzwania losu.

– Smakuje? – pytałam przewrotnie, patrząc, jak mąż pałaszuje danie.

– Doskonale. Czy mogę prosić o jeszcze?

Tego mi było trzeba. Jasiak obok, szum w głowie, błogość. Przetrywamy wszelkie zakręty, a może nawet zagrożony maluszek wydzwignie się i urodzi zdrowy. Byłam w stanie uwierzyć we wszystko.

– Oleńko, przepraszam, że przerywam tak miły wieczór, ale muszę porozmawiać z tobą o czymś bardzo ważnym. – Jasiak spojrział na mnie zatroskanym wzrokiem.

– Żadnych złych wiadomości! – odparłam ze śmiechem, nieco już pod wpływem kilku kieliszków wina.

– Absolutnie. Posłuchaj mnie uważnie. Mamy do wzięcia duży kontrakt z unijną dotacją. I możemy stanąć do przetargu, ale pod pewnymi warunkami. Posiadanie przez właściciela uprawnień budowlanych jest jednym z nich.

– Rozumiem, ale co ja mam z tym wspólnego?

– Olu, twój tato podarował mi czterdzieści procent udziałów w firmie, ty odziedziczyłaś po nim pozostałe sześćdziesiąt. Jak jednak wiadomo, nie jesteś budowlanicem. Dobrze by było, gdybyś przekazała mi swoje. Na tym przetargu firma może dużo zarobić.

– Jak dużo?

– Och, wystarczyłoby na kilka cięż zastępczych! – roześmiał się. – A potem na dziecko.

Zaskoczył mnie. Ale skoro to on w naszej rodzinie zajmował się interesami, nie oponowałam.

– Dobrze. Jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej, przygotuj papiery i umów nas z notariuszem – wyraziłam zgodę.

Tego wieczoru kochaliśmy się namiętnie jak nigdy. Jaś nawet wyłączył telefon, czego nigdy wcześniej nie czynił, choć obojgu nam przeszkadzało nieustanne popiskiwanie.

– Mógłbyś chociaż wieczorem zostawiać pracę za sobą – utyskiwałam nieraz, ale dzisiaj zdecydował się na rozwód z komórką.

– Przepraszam. Jestem cały twój.

Rano pożegnałam męża w koszuli nocnej, która jeszcze pachniała jego wodą kolońską, a potem umówiłam się na spotkanie z wujkiem Kazimierzem, z którym chciałam przedyskutować sprawę przekazania udziałów w firmie.

Przywitał mnie serdecznie i usadził w fotelu. Kiedy jednak wyłożyłam plan Jaśka, zmarszczył brwi.

– Jesteś pewna, że chcesz przekazać mu wszystkie udziały w firmie? – zapytał, nie wymieniając imienia mojego męża.

– Tak. Powiedział mi, że od posiadania przez właścicieli uprawnień budowlanych zależy możliwość udziału w przetargu.

– Ufasz mu?

– Oczywiście! – zachnęłam się.

– Dobrze, Olu. Ale jako wieloletni przyjaciel twojego ojca muszę cię przestrzec: jeśli to uczynisz, firma będzie Janka, i tylko jego. A jest dużo warta. W przypadku rozwodu nie dostaniesz ani grosza.

O czym on mówi? Jaki rozwód?

– Jestem zdecydowana. Czy mógłbyś przygotować dokumenty potwierdzające przekazanie udziałów? – zapytałam z absolutną pewnością.

– Tak, ale...

– Jestem zdecydowana – powtórzyłam. – I proszę, zrób to jak najszybciej, bo przetarg już niebawem.

## Rozdział 46

### Maria

Obie z panią Zofią byłyśmy zaskoczone nieoczekiwanym odkryciem. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało wysoką, ładną kobietę o jasnych włosach ściągniętych w koński ogon. Ubrana we wzorzystą sukienkę przepasaną paskiem wydawała się bardzo szczupłą, wręcz wiotką.

Nie pamiętałam mamy o takiej sylwetce, ale moja percepcja zaczynała się od momentu, kiedy przekroczyła czterdziestkę. Pomijając ostatnie miesiące życia, była raczej przy kości i nosiła krótkie włosy. Jako jasna blondynka długo nie siwiała, a i później odbarwienie nie rzucało się w oczy. Jednak mimo to nie miałam żadnych wątpliwości, że zdjęcie przedstawia mamę.

– Kochanie, czy Tereska żyje? – zapytała pani Zofia.

– Zmarła osiem lat temu na stwardnienie rozsiane. Chorowała siedem.

– Nigdy sobie nie wybaczę, że straciłyśmy kontakt, i to z mojej winy – westchnęła ciężko. – Kiedy w osiemdziesiątym roku wyjeżdżałam z rodziną Tomasza do Niemiec, nie miałam pojęcia, że spędzę tam tyle lat. Miałam przez jakiś czas zająć się Alexem i wrócić. Potem jednak przyszła na świat Katerina, więc zostałam jeszcze na chwilę i tak minęło trzydzieści sześć lat. Zostawiłam Arkadiusza, dom, przyjaciół. A wśród nich moją Tereskę... – zasępiła się.

Pragnęłam jej powiedzieć, że mama wspominała przyjaciółkę, ale minęłabym się z prawdą. Nigdy nie słyszałam opowieści na jej temat. Mama należała do osób skrytych i cichych. Wolą słuchać niż mówić.

Pani Zofia na chwilę zamilkła.

– Spotkałyśmy się w moim sklepie – podjęła. – Wtedy, na początku lat siedemdziesiątych, prowadziłam komis. Sprzedawaliśmy używane ubrania i inne rzeczy, głównie z zagranicy. Taki dzisiejszy lumpeks, tylko bardziej ekskluzywny. Wiesz, ludzie oddawali w komis ciuchy, które dostawali w paczkach od rodziny. Przychodziły do nas różne elegantki szukające czegoś ciekawego, odbiegającego od szarzyzny ówczesnej ulicy. Nie było zielonego światła dla prywatnej przedsiębiorczości, ale na komis państwo patrzyło łaskawym okiem.

Czasami odwiedzała nas miła wysoka blondynka, głównie by pooglądać. Może raz coś kupiła? Zagadałam do niej, kiedy nie było klientów, nawiązałyśmy kontakt i tak zaczęła się nasza znajomość. Mimo odmiennej sytuacji rodzinnej, bo ja miałam dwoje dzieci, a ona zabiegała o dziecko, i trzynastoletniej różnicy wieku doskonale się nam rozmawiało. Ja gadatliwa i przedsiębiorcza, ona spokojna. Po kilku miesiącach zaczęła u mnie pracować, dzięki czemu miałyśmy stały kontakt i wiedziałyśmy o sobie wszystko.

Słuchałam i układałam w myślach historię mojej mamy. I to jej właśnie dotyczyło kolejne pytanie, które zadałam.

– Z tego, co słyszę, moi rodzice długo nie mieli dzieci?

– Tak – odparła pani Zofia z pewnym ociąganiem. – Minęło dziesięć lat od naszego poznania, zanim ty pojawiłaś się na świecie – odparła.

– A może ma pani jakieś zdjęcia mamy w ciąży lub tuż po porodzie, bo nie znalazłam ich w domu?

Zaprzeciżyła, trochę zbyt gwałtownie.

– Naprawdę nie. W tamtych czasach nikt nie myślał o robieniu zdjęć. Nie to, co teraz, kiedy mamy pod ręką komórki. Był rok osiemdziesiąty, po Sierpniu, kiedy otworzyły się granice na Zachód. Tomasz załatwiał formalności wyjazdowe, Alex był malutki, ja zamykałam komis i likwidowałam interes. A Tereska... Również była zaabsorbowana. Wreszcie niebawem miała zostać matką. Dopiero kiedy osiadłam w Niemczech, napisałam do niej list, a ona odpisała. Byłam pewna, że wkrótce odwiedzę Polskę albo Tereska mnie. Niestety, nadszedł osiemdziesiąty pierwszy, stan wojenny, i dla wszystkich stało się jasne, że postawiono nas po dwóch stronach barykady. Pisałyśmy do siebie jeszcze przez kilka

lat. Po urlopie wychowawczym twoja mama znalazła pracę w domu starców, w którym nomen omen teraz mieszkam. Wtedy jeszcze, zanim przejęła go pani Wiesia, był publiczny. Wciąż wymienialiśmy korespondencję, ale listy krążyły coraz rzadziej. Alex poszedł do szkoły, Katerina nadal siedziała ze mną w domu. Może spytasz, dlaczego nie przyjeżdżałam, choćby po to, by spotkać się z Arkadiuszem. Wpadłam w pętlę dnia codziennego. Tomasz i moja synowa Joanna stale pracowali, prowadzili warsztat samochodowy, a obowiązki domowe spadły na mnie. Nie byłam do końca szczęśliwa, ale nawet Teresce się nie żaliłam. W końcu miałam wnuki, pełne półki w Aldim. Czego chcieć więcej? Arkadiusz czasami przyjeżdżał i dzwonił. Przeżyłam jego rozstanie z dziewczyną, a z czasem pogodziłam się z myślą, że lepiej mu samemu. W Polsce byłam kilka razy. Pamiętam moment, kiedy spotkałyśmy się z Tereską. Odwiedziła mnie w domu z tobą, ze swoją ukochaną córeczką. Jako matka dwóch synów byłam zauroczona pięcioletnią dziewczynką z ciemnymi kręconymi włosami. Kiedy biegałaś między grządkami w ogrodzie, twoje loki falowały na ramionach. „Jaka ona ładna!”, powiedziałam zapatrzona w twój ufną uśmiech. „Jestem szczęśliwa, że ją mam”, odparła Tereska, nie mniej tobą zafascynowana. „Późno, bo późno, ale się udało”. Marysiu, mama cię bardzo kochała – zakończyła pani Zofia.

Nie miałam co do tego wątpliwości. I byłam wdzięczna gospodyni za podarowanie mi okrucichów przeszłości, które już dawno pokrył kurz zapomnienia.

– A potem? Co było potem? – zapytałam.

– Grzech zaniechania, dziecko. Kolejne obowiązki, obiady, normalne życie, które zaczęło powoli stawać się moim prawdziwym i jedynym. Alex i Katerina przechodzili do kolejnych klas, Tomasz rozwinął warsztat, zamieniliśmy dom na większy i dostałam dwa pokoje na piętrze. Ostatni list od Tereski nadszedł kilkanaście lat temu. Informowała o śmierci Zenona. Miałam szczerzy zamiar przyjechać i ją pocieszyć, ale dopadła mnie choroba. Przez dwa lata zmagalam się z nowotworem, a potem podupadłam na duchu. Myślałam, że moje dni dobiegają kresu. Chyba byłam zbyt skoncentrowana na sobie i jakaś taka... zamknięta. Pochłonął mnie inny świat, który nie pozwalał wrócić do poprzedniego. Jak to się mówi: przeszłość umarła śmiercią naturalną. Nie zapomniałam polskiego, chociaż porozumiewanie się po niemiecku przychodziło mi z łatwością. Wystarczało, że Arkadiusz przyjeżdżał, i miałam z nim kontakt. Do czasu, kiedy zmarł. – Twarz starszej pani stężała.

Siedziałam cichutko, oczekując dalszego ciągu zwierzeń.

– I wtedy zrozumiałam, że muszę wrócić. Choćby do domu starców, ale do Polski. Do mojego syna, do Tereski, do tego, co kochałam. – Z trudem wypowiedziała ostatnie słowa. – Chociaż tak naprawdę mój dawny świat przestał istnieć.

– Jestem ja, pani Zofio – szepnęłam. – Los chciał, żebyśmy się spotkały.

Nie śmiałam prosić o listy mamy, chociaż bardzo ich byłam ciekawa. Nie żyła od siedmiu lat, a ja miałam ochotę ponownie zobaczyć jej pismo, poznać myśli. A może jednak pani Zofia wyrazi zgodę?

Serce drgnęło i ośmieliłam się zadać pytanie.

– Czy mogłabym kiedyś przeczytać listy od mamy?

– Nie teraz, Marysiu. Może kiedyś? To sprawy osobiste i nie wiem, czy Tereska życzyłaby sobie, bym dała je komukolwiek do przeczytania, nawet tobie. Przepraszam, mam ochotę napić się herbaty. – Pani Zofia wstała i dała do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Stanęłam przed nieoczekiwanym murem. Niepotrzebnie wyrwałam się z propozycją.

Wieczorem taksówka odwiozła nas do domu opieki. Kiedy stanęłyśmy przed furką, moja podopieczna była zmęczona dniem, podobnie jak ja.

Podziękowałam jej za popołudnie i pożegnałam się do poniedziałku.

– To ja jestem ci wdzięczna – odparła. – Przywołałaś moje wspomnienia.

Miło było uścisnąć osobę, która nagle stała ci się bliska.

Jechałam do domu autobusem, nie mogąc się doczekać, kiedy przekażę Kalince swoje wrażenia ze spotkania z panią Zofią i zaproszę córkę w jej imieniu na wizytę w domu z duszą. Telefon sygnalizował, że na konto trafił kolejny przelew od Boryków. Ostatnimi dniami niezbyt często kontaktowałam się z Aleksandrą, i w sumie bardzo dobrze. Obie musiałyśmy odreagować klinikę i złe wiadomości.

Ona wyjechała na Łotwę, ja czułam się podbudowana wizytą u pani Zofii i miałam nadzieję, że wszystko się uleży.

Wchodziłam właśnie do windy, kiedy poczułam delikatnie rybki w brzuchu. Czyżby to były ruchy dzieci? Pomyślałam, że życie we mnie daje o sobie znać. Powstrzymałam nagłą chęć, by powiadomić Aleksandrę, i spokojnie dotarłam do drzwi mieszkania.

Wewnątrz zastałam Władka ze Staszkiem w towarzys-twie innych kolegów. Raczyli się piwem i dogadzali sobie swojską kaszanką. Mój mąż szerokim gestem zaprosił mnie do środka.

– Maryśka, poznaj Mietka i Radka, bo Staszka już znasz. – Rozbawiła go własna kurtuazja. – Oglądamy mecz. Może się przyłączysz? – brnął w pijacką retorykę.

Światło w pokoju Kaliny wieściło, że córka jest u siebie i od początku przysłuchiwała się popijawie. Gdyby nie to, może po raz któryś położyłabym uszy po sobie i zdzierżyła niestosowne zachowanie mojego męża. Ale nie w takiej sytuacji.

Uspokoiliam emocje, które domagały się ostrej reakcji. Bez podnoszenia głosu obwieściłam koniec imprezy.

– Przepraszam bardzo, ale muszę się położyć, a panowie wyjść. I zabierzcie z sobą niedokończone butelki z alkoholem.

– Marysiu, nie bądź taka. – Mój ledwo trzymający się na nogach mąż próbował negocjować. – Bo jeżeli wypędzisz moich przyjaciół, ja też z nimi pójdę – zagroził.

– Droga wolna – odparłam.

– Pożałujesz! – Obdarzył mnie nienawistnym spojrzeniem, wychodząc z mieszkania.

Trzaśnięcie drzwiami przyniosło ciszę, ale nie spokój. Właśnie wyrzuciłam męża z domu.

– Nie martw się, mamuś. Poradzimy sobie – usłyszałam głos Kaliny i się rozplakałam.

## Rozdział 47

### Aleksandra

Po rozmowie z wujem Kazimierzem postanowiłam odwiedzić Jaśka w firmie, by oznajmić mu dobrą wiadomość, że ruszyłam sprawę przekazania udziałów w jego ręce.

W holu przeszklonego biurowca powitałam pana Jurka, można by rzec, majordomusa, który administrował budynkiem, pańskim okiem doglądając pracowników obsługi.

– Dawno pani nie widziałem, Olu – przywitał mnie ciepło i nisko się skłonił. – Czym mogę służyć?

Zamieniłam kilka słów na temat jego licznej rodziny, z której był bardzo dumny. Kilka minut wystarczyło, bym poznała ostatnie koleje losu trzech córek i dwóch synów oraz ich dzieci.

Pan Jurek wiele lat temu został zatrudniony przez tatę, którego darzył ogromną atencją. Po latach przeniósł to uczucie na mnie. Tato również uważał swojego podwładnego i często opowiadał mi o moich dokonaniach. Ola skończyła studia, Ola wyszła za męża, Ola została tłumaczką lotewskich pisarzy, chwalił się. Natomiast Jaś był bardziej powściągliwy w kontaktach z pracownikami i zachowywał dystans. Na szczęście po śmierci taty pozostawił w firmie niektóre osoby ze starej ekipy, do których należał między innymi pan Jurek.

Miło było poczuć w firmie choćby cień obecności dawnego właściciela.

– A co u pani, Olu? Jeżeli oczywiście mogę spytać? – usłyszałam pełne życzliwości słowa.

Nie wnikałam, jak szeroko rozniosły się w firmie informacje o naszej surogatce. Zresztą nie chciałam rozpoczynać tematu, więc zdecydowałam się na zdawkową odpowiedź.

– Wszystko w porządku. Pracuję i tłumaczę kolejne książki. Nie narzekam. Gdyby jeszcze mąż był trochę mniej zajęty... – westchnęłam, kierując kroki w stronę biura Jaśka. – Proszę pozdrowić ode mnie całą rodzinę.

Złowiłam współczujące spojrzenie, nie po raz pierwszy w tym miejscu. Wiadomo, młoda Kniaziówna jest przy kasie, ale nie ma dzieci.

W sekretariacie zastałam nową osobę. Na krześle pani Elwiry, która zapewne przeszła na emeryturę, dostrzegłam kobietę na oko młodszą ode mnie o co najmniej dziesięć lat. Miała długie, jasne proste włosy i uprzejmy profesjonalny uśmiech, którym mnie obdarzyła, kiedy spytałam o Jaśka.

– Była pani umówiona?

Powtórzyłam swoje personalia.

– Aleksandra Boryk. Chciałabym zobaczyć się z mężem. Jest u siebie?

– Proszę poczekać, sprawdzę. – Dziewczyna uniosła z krzesła zgrabną pupę i kręcąc nią, podążyła do gabinetu.

We mnie zawrzało. Miałam ochotę popędzić za nią, ale powstrzymałam zapał.

Panienka weszła do Jaśka i zamknęła drzwi, by po chwili łaskawie obwieścić mi decyzję szefa.

– Pan prezes zaprasza.

Na ogół jestem osobą spokojną i nieskłoną do gwałtownych ruchów, ale w tym momencie puściły mi nerwy.

Wkroczyłam do gabinetu i dałam im upust.

– Kto to jest? Kogo ty przyjąłeś za panią Elwirę?!

Mój mąż wyszedł zza biurka i położył mi dłonie na ramionach.

– Kochanie, złość piękności szkodzi – powiedział. – To nowa sekretarka, dopiero się uczy. Mogłaś zadzwonić, że przyjdiesz, przedstawiłbym cię, a tak wyszło niezręcznie.

– Mnie byś przedstawił? A może raczej ją? Jaś, czuję się intruzem we własnej firmie! Bo o ile się nie mylę, wciąż jestem współwłaścicielką?!

Mój mąż był wyjątkowo potulny. Próbował tonować moje nerwy.

– Oczywiście, masz rację. Wspominałem ci, że Arleta jest córką naszego architekta i pracuje tu

od niedawna. Napijesz się czegoś?

Miałam ochotę, ale niemal odebrał mi chęć na wodę widok tejże Arlety, która po chwili wkroczyła z tacą z dwiema pełnymi szklankami, seksownie wydymając usta.

Może naoglądałam się filmów, a może byłam w złym nastroju, ale ta dziewczyna nie przypadła mi do gustu.

– Jaś, wydaje mi się, że ona długo będzie musiała się uczyć. I nie jestem pewna, czy ta nauka da jakiegokolwiek efekty.

– Olusiek, zostawmy tę sprawę. To tylko zwykła sekretarka. Najwyżej ją zwolnię. Pomówmy o przekazaniu twoich udziałów – zmienił temat.

Kilka łyków wody pomogło. Mogłam głębiej odetchnąć i zająć się meritum.

– Byłam u wuja Kazimierza. Ma przygotować papiery do notariusza. Niebawem załatwimy sprawę.

Jaś nieco się zasępił.

– Kochanie... – zawahał się. – Od jakiegoś czasu nie współpracuję już z panem Kazimierzem. Mamy innego prawnika, i to on zajmuje się przejęciem. Jutro zapraszam cię do jego kancelarii na dopełnienie formalności.

– Nie rozumiem.

– Olu, musimy iść naprzód. Kazimierz jest prawnikiem starej daty, nie radzi sobie z unijnymi przepisami. Musiałem zatrudnić kogoś innego, ale wierz mi, równie dobrego. Masz czas jutro o dziesiątej? – zapytał retorycznie, doskonale wiedząc, że tłumaczenie rozdziału kolejnej książki może poczekać.

– Taaak – odparłam wstrzemięźliwie. – Może wyjdziemy na obiad? – zaproponowałam, choć w mojej duszy pojawiła się wątpliwość.

Musiałam wyjaśnić pewną sprawę.

– Za chwilę mam spotkanie z klientem – odparł po mojej myśli. – Odbijemy sobie wieczorem. Zamówię coś smacznego. – Poczulałam dłoń Jaśka na udzie i jego przyspieszony oddech, który zwiastował niechybne rozkosze. Te jednak musiały zaczekać do wieczora.

Wychodząc z gabinetu, miałam już obciążoną sukienkę i przypudrowane policzki. W każdym razie nie było widać rumieńców, a nad błyskiem w oku postarałam się zapanować.

Rzuciłam sekretarce stosowne „do widzenia” i powędrowałam do drzwi.

Wsiadałam do samochodu, porzuciwszy plan roztrząsania wątpliwości, ale w tej samej chwili zadzwonił wujek Kazimierz.

– Olu, chciałbym się z tobą spotkać. To pilne.

Niezbyt zadowolona z nieoczekiwanego obrotu spraw pojechałam do lokalu na starówce, usytuowanego pod jego kancelarią. Minęła trzynasta, poczułam głód, więc zaproszenie trafiło na podatny grunt. Podawano tam całkiem przyzwoite pierogi i kwas chlebowy, który bardzo mi smakował.

Wuj Kazimierz już czekał przy stoliku; w przeciwieństwie do mnie miał do pokonania tylko kilka schodków. Ja musiałam znaleźć miejsce dla samochodu i zapłacić za parking.

Siedział przy szklaneczce wody z cytryną i przeglądał jakieś papiery.

– Jestem! – oznajmiłam, może trochę zbyt głośno, i pocałowałam go w policzek. – To dla mnie? – Wskazałam na leżącą na stoliku teczkę.

– Co zjesz, czego się napijesz? – zagadał, ignorując moje pytanie.

Zamówiłam, oczywiście, te pierogi z mięsem i kwas, nie spuszczać z oczu twarzy Kazimierza. Był zasępiiony i wyraźnie nieswój.

– Dobrze się czujesz? – spytałam z niepokojem.

– Tak. Olu, musimy poważnie porozmawiać.

Czułam, że usłyszę o rozwiązaniu współpracy z Jaśkiem, i byłam na to gotowa. Nie wiedziałam wprawdzie, jak obronię stanowisko męża w tej kwestii, z którym trudno mi było się zgodzić, ale widocznie wuj rzeczywiście przestał przystawać do tempa rozwoju firmy. Jaś najwidoczniej wiedział, co robi, o czym świadczyły jej wyniki.

Kilka kolejnych minut dowiodło, jak bardzo się myliłam.

Zjedliśmy obiad i dopiero wówczas Kazimierz sięgnął do dokumentów.

– Olu, wczoraj twój mąż rozwiązał ze mną umowę. Nie myśl tylko, że mam mu to za złe, bo nie cierpię na brak zleceń, a poza tym jestem już starszym panem, który zapracował sobie na godziwą emeryturę i trochę spokoju. Szczerze mówiąc, obsługiwałem was głównie ze względu na ciebie i pamięć o moim przyjacielu Tadeuszu. Wybacz, że to powiem, ale czułem się w obowiązku dbać o twoje interesy po śmierci Tadzika. Od wczoraj już nie mogę tego robić. Mogę już jedynie przestrzec cię, jakkolwiek to brzmi, przed twoim mężem.

– Wujku, ale ja nie rozumiem, o co ci chodzi. Jesteśmy dobrym małżeństwem, spodziewamy się dzieci. Dlaczego chcesz mnie źle nastawić do Jaśka?

– Naprawdę życzę wam wszystkiego dobrego. Nie jestem jednak psychologiem, tylko prawnikiem. A prawnik to taki wredny gość, który patrzy na życie bez sentymentów. Powiem zatem wprost. Nie przepisuj na niego udziałów w firmie. Są twoją własnością, zabezpieczeniem. To nieprawda, że udział w przetargu jest zdeterminowany uprawnieniami budowlanymi właścicieli. Jan wprowadził cię w błąd, bo pragnie twoich udziałów. Olu, zaraz się pożegnamy, a ty podejmiesz decyzję, na którą nie będę miał wpływu. Ale proszę z serca, jak twój ojciec, przemyśl jeszcze sprawę. Firma ma dużą wartość. Nie rezygnuj z niej.

Podziękowałam, ale nie zmieniłam zdania. Przykro mi było, że Jaś go odsunął, lecz widocznie miał powody. Staruszek zaczynał pogrywać na sentymentalnej nucie. Zapewne czuł żal i nie potrafił pogodzić się ze zmianą pokoleniowej warty.

Wróciłam do domu zmęczona rozmową i przysnęłam. Obudził mnie zapach róż. Zobaczyłam nad sobą okazały bukiet i uśmiechniętą twarz Jaśka.

– Leż, leż, królowo, zaraz poczujesz coś smacznego – obwieścił, szczelniej okrywając mnie kocem.

Wtuliłam się w ciepły pled, czekając na obiecujący ciąg dalszy. Pamiętałam o zapowiedzi kolacji we dwoje, którą Jasiek zamierzał zorganizować.

Dzwonek do drzwi obwieścił nadejście cateringu. Niebawem na stole pojawił się zestaw sushi i dwa kieliszki do wina. Jaś wyjął z barku długo skrywany skarb, rieslinga, którego przywieźliśmy z Piemontu, i po krótkim odświeżeniu się zajął miejsce.

– Mam przyjechać po ciebie przed wizytą u notariusza? – zagadnął, nalewając mi kolejny kieliszek wina.

– Nie ma potrzeby. Dojadę sama.

– Może jednak? Nie chciałbym się spóźnić, bo notariusz zaraz potem ma kolejne spotkanie.

– Jesteś pewien, że dobrze robimy? – zapytałam dla formalności. Wszak już podjęłam decyzję. Niemal podskoczył na krześle, ale powściągnął emocje.

– Oczywiście! Kiedy wygramy ten przetarg, kupię ci wisior z wielkim brylantem.

– Jasiek, a może po prostu przeznaczymy tę kasę na dzieci?

– Oczywiście! Kochanie, niczym się nie martw. Zadbam o naszą przyszłość.

Odetchnęłam głęboko, wciągając aksamitne wieczorne powietrze, które znalazło drogę do salonu przez otwarte drzwi na taras.

W tle pobrzmiwał przyjazny uchu jazz, a z dworu wiatr przywiewał zapach jaśminu. Czułam szczęście i spokój, choć przeszkadzały mi dźwięki komórki w kieszeni męża.

Gestem poprosiłam, by ją uciszył. Przeprosił mnie i odszedł do kuchni.

– Wybacz, zaraz wracam – usłyszałam.

Wygodnie wyciągnęłam się na kanapie i przymknęłam oczy.

Mimo nadciągającej senności dobiegł mnie głos Jaśka. Starał się mówić szeptem, ale najwyraźniej miałam wyostrzone zmysły.

– Jeszcze jej nie powiedziałem. Daj mi trochę czasu. Najważniejsze, żeby podpisała. Ja ciebie też.

## Rozdział 48

### Aleksandra

Tekst, którym mój mąż uraczył swojego rozmówcę, jednoznacznie wskazywał na złe zamiary. Każde zdanie niosło nieprzyjemne konotacje. Dotyczyło czegoś ważnego, czego mi nie powiedział, ponieważ jeszcze nie podpisałam dokumentów. Domyśliłam się, że chodzi o przekazanie udziałów. Najgorsze ze wszystkiego było jednak ostatnie zdanie: „Ja ciebie też”. Nie musiałam być prorokiem, by zrozumieć sens.

Milena mówiła prawdę. Mój mąż miał kochankę.

W pierwszej chwili wpadłam w przerażenie. Jeśli wyciągnęłam właściwy wniosek, Janek właśnie zadawał śmiertelny cios naszemu małżeństwu i przyszłości rodziny. Byłam jak tonący, który chwyta się przysłowiowej brzytwy, poszukując resztek nadziei na to, że nastąpiła pomyłka.

Może źle usłyszałam?, łudziłam się, kiedy wszedł do pokoju z dwiema filiżankami herbaty. A kiedy obdarzył mnie szerokim uśmiechem i pocałował, zaczęłam podejrzewać się o głosowe omamy. Postanowiłam zapytać.

– Kto dzwonił?

– Nikt ważny.

– Kto mało ważny wielokrotnie wydzwania wieczorową porą? – dociekałam.

Mój mąż powściągnął zniecierpliwienie.

– Olka, czy ty musisz zepsuć każdy miły wieczór? A, wysłałem przelew Leśniewskim – spróbował zmienić temat i podkreślić swoje zasługi.

– To dobrze. Nie powiesz mi zatem, z kim rozmawiałeś?

– A możemy wrócić do tematu jutro? Wystarczająco zawracają mi głowę w sprawach służbowych, żebym jeszcze omawiał je z tobą. Chodzi o ten przetarg.

– Jaś, wszystko słyszałam – zagrałam *va banque*. – Czy ty masz kochankę?

Albo był świetnym aktorem, albo rzeczywiście coś źle zrozumiałam, ponieważ reakcja była gwałtowna.

– Czy ty siebie słyszysz? Ja i kochanka? Już raz prosiłem, żebyś nie rzucała bezpodstawnych podejrzeń, a najlepiej, żebyś przestała spotykać się z Mileną. Bo to ona cię nastawia przeciwko mnie, prawda? – wykrzyczał. Rozkręcony nie zamierzał powstrzymać ataku. – Żmija jedna! Zabieramy te jej dziewczuchy na wakacje i do domu, a tej plotkarze ciągle mało!

– Jasiek, słyszałam twoją rozmowę. Co miało oznaczać: „Najważniejsze, żeby podpisała”? I: „Ja ciebie też”?

– A, to? – Wyraźnie się rozluźnił.

Usiadł naprzeciwko mnie i ujął moje dłonie. Nie wysunęłam ich.

– Kochanie, już dobrze, skoro mnie przyciskasz, nie będziemy odkładali rozmowy do jutra. Wszystko ci wytłumaczę. Przygotowujemy się do przetargu razem z firmą Barański i właśnie dzwonił Paweł, jej szef. Powiedziałem mu, że najważniejsze, by ogłaszająca go firma podpisała i przydzieliła nam kontrakt, a także dodałem, że też będę go wspierał w przygotowaniu wniosku. Zadowolona?

Brzmiało to wiarygodnie, ale nie byłam do końca przekonana. Namierzone przez Milenę spotkania z młodą kobietą, wyzywające zachowanie nowej sekretarki, ostrzeżenia wujka Kazimierza dawały do myślenia. Postanowiłam dać sobie trochę czasu.

– Jaś, przyjmuję tłumaczenie – powiedziałam. – Może rzeczywiście źle zinterpretowałam twoje słowa, ale do notariusza jutro nie pójdę.

– Jak to?! Dlaczego? – Z trudem zapanował nad nerwami.

– Bo taki ruch wymaga ogromnego zaufania, a ty nie jesteś szczerą wobec mnie. Twierdzisz, że wszyscy właściciele firmy przystępującej do przetargu muszą posiadać uprawnienia budowlane, a to nieprawda.



– A ty gdzie posiadałaś taką wiedzę? Studiowałaś dokumentację?

Zignorowałam pytanie.

– Ważne, że wiem. Mam rację?

Długa przerwa przed odpowiedzią świadczyła przeciwko niemu. W końcu jednak znalazł odpowiedź.

– Oluś, nie muszą, ale wykształcenie budowlane jest mile widziane, bo to bardzo trudny i intratny kontrakt, więc musimy zrobić wszystko, żeby zmaksymalizować szanse. Przepraszam, trochę minąłem się z prawdą, ale to z pośpiechu. Przecież wiem, jak martwisz się o dzieci, o Kratsa, masz tyle spraw. Nie chciałem zawracać ci głowy. Wszystko będzie dobrze, kochanie. A teraz kładźmy się spać i nie rozmawiajmy już o sprawach zawodowych, bo jutro musimy zdążyć na dziesiątą – zakończył i poszedł przygotować mi kąpiel.

Jeśli myślał, że zmienię zdanie, bardzo się pomylił. Postanowiłam ponownie przegadać sprawę przepisania udziałów z wujem Kazimierzem, więc następnego ranka spokojnie popijałam kawę, spoglądając, jak Jaś uwija się przed lustrem w jednej ze swoich najlepszych koszul i starannie dobiera krawat.

– Ty jeszcze w proszku? Kochanie, pośpiesz się, bo przyjedziemy spóźnieni! – ponaglał.

– Jaś, ja nie jadę. Chcę tę sprawę przemyśleć spokojnie.

– Nie zrobisz mi tego! – podniósł głos.

– Przecież sam rozumiesz, że to poważny krok. Pozbywam się własności na twoją rzecz.

– I co z tego? Przecież jesteśmy rodziną! Finansujemy Marię, żeby urodziła nam dziecko – serce piknęło na tę liczbę pojedynczą – więc niebawem będziemy pełną. Czy kiedykolwiek czegokolwiek ci żałowałam?

– Nigdy. A czy ja kiedykolwiek wtrącałam się do prowadzenia firmy? – odpowiedziałam pytaniem. – I nie zamierzam się wtrącać. Po co zmieniać dobry układ? A z przetargiem sobie poradzisz, przecież startujecie razem z Barańskim. Zresztą jeśli nie ta robota, to inna. Potrzebuję trochę czasu na zastanowienie.

Moja wypowiedź nie przypadła mu do gustu. Po kilku kolejnych nagabywaniach Jasiak złapał teczkę i szybkim krokiem wyszedł z domu bez pożegnania.

– Myślisz, że dobrze zrobiłam? – szukałam akceptacji u Mileny, która przyjęła marnotrawną przyjaciółkę po kilku tygodniach bez kontaktu.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, żeby ponownie nie wyjść na żołą. Z pewnością wuj Kazimierz ma rację, pragnąc zabezpieczyć cię na wszelki wypadek. – Była tak uprzejma, że nie użyła słowa „rozwód”. – Znam Jaśka od wielu lat i do tego nieszczęsnego momentu, kiedy zauważyłam go w kawiarni, zawsze go ceniłam i miałam za porządnego męża. Może zresztą coś mi się przywidziało, a oni wcale się nie całowali?

Pogrzebałam w komórce i weszłam na stronę firmy Jaśka. Miał zwyczaj udostępniać zdjęcia zarządu, wśród których do tej pory widniała również fotografia głównej sekretarki, pani Elwiry. Teraz zastąpiono ją podobizną tej nowej, Arlety.

– Czy to z nią Jasiak siedział w kawiarni? – zapytałam, podsunąwszy przyjaciółce ekran komórki pod nos.

Milena aż krzyknęła.

– Tak! To właśnie ona! Mówiłam ci, młoda wyfiokowana siksa. Kim ona jest?

– Nową sekretarką. Córką głównego architekta.

W głowie huczały mi słowa: „Ja ciebie też”. A jego tłumaczenie, że były skierowane do partnera w interesach, nagle straciło na wiarygodności.

– Boże, Olka, chciałabym myśleć, że to jakiś zły sen...

– Ale nie ma szans, prawda? – zapytałam retorycznie, ocierając zamglone oczy.

– Co zamierzasz? – Milena dała mi chwilę na uspokojenie.

Nie miałam pojęcia. Dopóki Jasiak nie przyznał się do romansu, mleko nie do końca się wylało. A nawet gdyby, to przecież może być tylko przelotny flirt. Mój mąż to porządny, odpowiedzialny człowiek. Być może nieco się pogubił i zaraz wróci na dobre tory, myślałam, chociaż „Ja ciebie też”

kąsało umysł.

Każdy moment był zły na wieści o wiarołomstwie Jaśka, ale teraz dotknęły mnie one wyjątkowo. Jutro szłam z Marią na wizytę do doktora Witaja i na niej powinnam się skoncentrować. Na szczęście moja surogatka nie narzekała na samopoczucie.

– Jesteś tu? – Milena przerwała mi gonitwę myśli.

– Tak, tak. Co zamierzam? – Powróciłam do jej pytania. – Chyba zapytam go o tę Arletę, choć on, jak zawsze, znajdzie wytłumaczenie. Milenko, przecież to niemożliwe, żeby teraz, kiedy spodziewamy się dzieci, Jaś mnie zdradzał – rozżaliłam się. – A może zrobił to właśnie dlatego, że ciągle marzyłam tylko o dzieciach? Co ja mam począć?

Przygarnęła mnie, przytuliła, ukołysała. Dodała, że wciąż nie wiadomo nic pewnego i powinnam myśleć pozytywnie.

Wychodziłam od Mileny bez jednej myśli w głowie, prowadzona przez nią do drzwi jak dziecko we mgle.

– Wiesz co? – zapytałam już w progu. – Nie wiem, jak sobie poradzę bez Jaśka, jeśli on...

– Olka, nawet tak nie myśl! Poradzisz sobie w każdej sytuacji. Tylko nie oddawaj mu swoich udziałów w firmie – doradziła, czym dobiła mnie ostatecznie.

Miała rację, bo jej słowa zabrzmiały jednoznacznie: w razie rozwodu potrzebowałam zabezpieczenia. W tym momencie nie potrafiłam jednak wyobrazić sobie takiej sytuacji. Nie z moim ukochanym Jaśkiem...!

Wizyta u doktora Witaja przebiegła pomyślnie. Oczywiście wyniki amniopunkcji bardzo go zafrasowały, ale USG wykazało istnienie dwóch żywych płodów, których serduszka były regularnie. I nic nie wskazywało na to, że jeden z nich ma obumrzeć.

Spytałam o szanse chorego dziecka.

– Nic nowego paniom nie powiem oprócz tego, co wykazały badania. Prawdopodobieństwo urodzenia zdrowego noworodka jest znikome, ale istnieje. Natura czasami potrafi zaskakiwać i opiera się statystykom. W każdym razie zdrowy chłopiec rozwija się absolutnie prawidłowo.

Nie to chciałam usłyszeć, choć zdawałam sobie sprawę, że na zbyt dużo nie mogę liczyć.

Po wizycie zabrałam Marię do kawiarni. W domu obawiałam się spotkać Jaśka.

Wspomniała o swoich wizytach u pani Zofii, której wprawdzie nie znałam, ale polubiłam jako bohaterkę jej opowieści.

– Naprawdę przyjaźniła się z twoją mamą? – Zainteresował mnie ten isticie książkowy wątek. – To niezwykły przypadek!

– Pani Zofia ma sporo listów od mamy. Nawet spytałam, czy mi je pokaże, ale stwierdziła, że są zbyt osobiste. Szkoda, bo chętnie zobaczyłabym mamy pismo i odczytała jej myśli. Kochałam ją i bardzo bym chciała raz jeszcze poczuć powiew dawnych lat... – Spojrzała w przestrzeń.

– Może kiedyś da się przekonać? – Postanowiłam podarować Marii szczyptę optymizmu.

– A, bardzo dziękuję za przelew – zmieniła temat. – Wprawdzie czuję się nieco dziwnie, biorąc od was tak duże pieniądze, ale to dla Kaliny. – Spuściła głowę.

– Dbaj o siebie, a w najbliższy weekend przyjedź z córką do mnie. Zrobimy grilla, pogadamy. Chyba za kilka dni zakończenie roku szkolnego?

– Jutro. Ty jeszcze chwilę poczekaś, zanim twoje dzieci przyniosą ci cenzurki – roześmiała się.

Myśl o biegających po ogrodzie maluchach wprawiła mnie w dobry nastrój. Pogadałyśmy jeszcze przez parę minut, a potem odwiozłam Marię do domu i wróciłam do siebie.

Jaśka jeszcze nie było. Po naszym niezbyt fortunnym porannym rozstaniu nieco obawiałam się spotkania z nim. W końcu odsunęłam w czasie przekazanie udziałów w firmie, wykazując daleko idącą małżeńską niesubordynację. Mógł wrócić niezadowolony.

Skleciłam sobie kilka kanapek i zaparzyłam herbatę.

Zadzwoiła mama z pytaniem, czy wszystko w porządku, i zachęciła mnie do wspólnej wyprawy na grób taty. Umówiliśmy się na kolejny tydzień.

Zasiadłam przed telewizorem, włączwszy mało absorbujący, aczkolwiek przyjemny program o kupowaniu domu na Hawajach. Ładne widoki i miła atmosfera relaksowały, a zdjęcia lokalnych

smakowitości wzmagały apetyt. Niemal zapomniałam o Jaśku i czekającej mnie najprawdopodobniej kolejnej trudnej rozmowie.

Zamiast odgłosu przekręcanego klucza usłyszałam dzwonek. Pewnie pan Arek przyszedł podlać trawę, pomyślałam i niechętnie wstałam z tapczanu.

Za drzwiami stała sekretarka Jaśka.

– Czy coś się stało? – zapytałam zaniepokojona.

– Mogę wejść?

Odsunęłam się i wpuściłam Arletę do środka. Usiadła na wskazanym fotelu i przystąpiła do rzeczy.

– Kochamy się z Jankiem i będziemy mieć dziecko.

## Rozdział 49

### Maria

Niepotrzebnie martwiłam się swoją gwałtowną reakcją i wskazaniem Władkowi drzwi. Otworzył je po kilku godzinach, kompletnie zawiany, i zwałił się bezwładnie na małżeńskiego łóżko. Zabrałam poduszkę, koc i przeniosłam się na materac, który stał nadmuchany w kącie, nie robiąc sprawy z tego, że to miejsce powinien zająć mój mąż.

Na dworze dniało, zaciągnęłam zatem szczelniej zasłony, by promienie czerwcowego słońca pozwoliły mi dospać do rana.

Czekał mnie długi i intensywny dzień pracy, ponieważ przygotowaliśmy dla naszych pensjonariuszy szczególną imprezę związaną z nocą świętojańską. Od kilku dni na pobliskich błoniach nad rzeką panie plotły wianki, a panowie zacierali ręce na planowane kiełbaski z ognis-ka, którego organizacją miał się zająć nasz gospodarz pan Bogdan przy wsparciu Juliana.

Z uwagi na wiek pensjonariuszy, jak również na godziny naszej pracy, piknik na łące miał się odbyć po południu, ale i tak wiedziałam, że do domu wrócę dopiero późnym wieczorem. Należało ogarnąć naszych starszków, zadbać o ich leki i posprzątać po imprezie. Obiecane Kalince lody z okazji zakończenia roku szkolnego musiały poczekać do następnego dnia.

Moja wspaniała córka jak zwykle zrozumiała.

– Mamuś, nie przejmuj się. Jutro będą smakować równie dobrze – uspokoiła mnie i z pewnym ociąganiem przyjęła pięćdziesiąt złotych, które wysupłałam na kawiarnię z Krzyśkiem.

Podzieliłam się z nią wynikiem wizyty u doktora Witaja i obie nabrałyśmy optymizmu. Była już niemal połowa ciąży, a dzieci żyły, co odczuwałam coraz częściej.

– Tak mi przykro, kochanie, że nie możesz do nas dołączyć – wspomniałam o pikniku nad rzeką.  
– Ale może już niebawem?

Nieraz myślałam o operacji Kaliny i robiłam sobie wielkie nadzieje. Każdorazowy przelew od Boryków przybliżał nas do wymarzonego celu. I chociaż Władek nie ułatwiał mi zadania, byłam twarda, podobnie jak materac, na którym wytrwałam do rana.

Zdawałam sobie jednak sprawę, że pijacka huśtawka męża nie ułatwi mi przeżycia drugiej połowy ciąży, kiedy organizm kobiety domaga się większych wygód.

Czekała mnie rozmowa z Władkiem. Nie było jednak sensu przeprowadzać jej rankiem. Mój mąż leżał jak kłoda i pochrapywał, a ja śpieszyłam się do pracy.

Jak każdego dnia w autobusie męczyła mnie myśl, że wciąż jeszcze nie wspomniałam o ciąży pani Wiesi. Sytuacja nabrzmiewała, ale lęk powstrzymywał przed zwierzeniami. Dzisiaj również nie jest sprzyjająca, rozważałam. Znowu odłożyłam rozmowę na bliżej nieokreśloną przyszłość, która jednak nadchodziła wielkimi krokami. Mój wezbrany brzuch zaczynał być widoczny.

W domu opieki panowało niezwykle ożywienie. Fryzjerka, którą wezwała pani Łucja, miała zająć się kilkoma kolejnymi głowami. Nasze kobiety przygotowywały się do puszczenia wianków ze starannie ułożonymi fryzurami. Nie przypuszczałam, że święto panien i kawalerów aż tak poruszy wyobraźnię starszków, którzy nagle włączyli szósty bieg. Śniadanie zostało zmiecione w mig, a mój obchód, zazwyczaj spowalniany przez narzekania na dolegliwości i frustracje, ograniczony do minimum. Panie i panowie czekali na ognisko i czynili stosowne przygotowania.

– Wspaniały pomysł, Marysiu. – Pani Zofia dopadła mnie na korytarzu i pochwaliła.

– Nie mój, szefowej – odparłam zgodnie z prawdą. – A pani uplecie wianek?

– Ja? Chyba nie – roześmiała się. – Nie spodziewam się, że wyłowi go z rzeki jakiś kawaler – odparła. – Ale te niektóre babcie... – Puściła oko.

Spojrzałam z zaciekawieniem.

– Tak, tak. Nie zauważyłaś, że Barbara i Teodor na siebie zerkają?

– Grają razem w karty – odparłam.

– To też. Teodor ostatnio nawet przestał być upierdliwy – zachichotała. – Jeszcze się doczekamy ożenku!

W naszym domu widziałam już niejedno, ale sugestie pani Zofii nieco wykraczały poza standardy.

– Byłoby ciekawie. Do zobaczenia na łące – odpowiedziałam i zostawiłam ją w pokoju.

Wskazówki zegara zbliżały się do dwunastej, a mój biologiczny zegar sygnalizował południowy głód. Na śniadanie jadałam niewiele, za to po kilku godzinach organizm domagał się czegoś na żer. Dzisiaj przyniosłam przygotowaną przez Kalinkę sałatkę z kurczakiem, o której myślałam już od kilku minut.

Wbiegłam do naszej kuchenki i włożyłam pudełko do mikrofal.

– Ależ jestem głodna! – zawołałam, dostrzegając Juliana i Izę.

– Przecież za chwilę mamy obiad. – Iza wyraziła zdziwienie.

– Zjem i obiad. Spróbujecie? – spytałam, wyjmując z pudełka gotowe danie. – Bardzo dobre, Kalina zrobiła – wyjaśniałam z pełnymi ustami, ale widząc ich wstrzemięźliwość, powstrzymałam się od dalszego nagabywania.

Będzie więcej dla mnie, stwierdziłam.

Niechący wywołałam niepożądaną reakcję Izy. Rozpłakała się jak dziecko, a wręcz zaczęła szlochać.

– Wiesz, kiedy ostatnio miałam taki apetyt? – powiedziała. – W ciąży z Kasią. Może ty będziesz miała dziecko?

Odchrząknęłam, zaskoczona trafną diagnozą, i zaprzeczyłam, gdy tylko przełknęłam kolejny kęs.

– Daj spokój.

Na szczęście Iza nie słuchała. Płynnie przeszła do Januszka i pierwszej rozprawy rozwodowej, której termin został już wyznaczony.

– Nigdy się na to nie zgodzę! – zaperzyła się. – Kocham go i będę o niego walczyć. Januszek się pomylił i niebawem przejrzy na oczy. Ta baba go omotała i złapała na dziecko! Popatrz na Marię i Władka – zwróciła się do Juliana. – Są wspaniałym małżeństwem od kilkunastu lat, tak jak ja z Januszkiem. Prawda?

Spojrzelśmy po sobie nieco skonsternowani, ale wobec tak silnej determinacji naszej koleżanki nie mogliśmy pozwolić sobie na jakiegokolwiek uwagi.

Na szczęście opuszczona żona została wezwana do szefowej i mogliśmy odetchnąć.

– Cappuccino? – usłyszałam, napawając się chwilą spokoju.

Dostałam dobrze mi znaną filiżankę z kawą, na której było wymodelowane serduszko.

– Znowu? Gdzie się tego nauczyłeś?

– Dorabiałem jako barista. Dobrze jest coś w życiu umieć.

Miał rację. Ja chyba nie nauczyłam się niczego, nie licząc zajmowania się starszami i doglądania rodziny. Jedyne, co mogłam zaoferować innym, to wynajęcie własnego brzucha. Byłam beznadziejna.

– Zajrzę do kuchni – powiedziałam po wypiciu kilku łyków. – Zostaniesz na wieczór? – spytałam i od razu pożałowałam pytania.

Nie chciałam, by zabrzmiało zbyt osobiście.

– Tak, zamierzam. Pani Wiesia prosiła. I zawołaj mnie, kiedy będziesz potrzebować pomocy.

Kalina przesłała zdjęcie swojego świadectwa. Kolumna piątek i szóstek wzbudziła wzruszenie i wycisnęła kilka łez. Byłam dumna ze swojej córki, która jak nikt potrafiła dać mi chwilę szczęścia.

Wy też będziecie kiedyś uszczęśliwiać swoich rodziców, pomyślałam, składając ręce na brzuchu. Dzieci to piękny dar od losu.

Do tej pory żałowałam, że nie mam ich więcej. Najważniejsze jednak, że te, które nosiłam, żyły i dawały o sobie znać.

Po wyjściu z kuchni spotkałam szefową. Była zabiegana, ale znalazła chwilę, by się zatrzymać.

– Marysiu, czy ty masz mi coś do powiedzenia? – zapytała głosem, który zdążyłam już poznać w różnych trudnych momentach.

Zaniemówiłam, ale mimo to nie zdobyłam się na szczerość.

– Nie rozumiem. Pani Wiesiu, czy na stołach rozkładamy białe obrusy? – Spróbowałam zmienić temat.

– Dobrze wiesz, że tak. Przyjdź do mnie, kiedy się namyślisz. Przecież wiesz, że zawsze ci pomogę.

Skąd wiedziała?

Tak czy inaczej, jej oświadczenie zabrzmiało optymistycznie. Chyba już mogłam wyjawić jej sekret. Tyle że jeszcze nie dzisiaj.

Razem z innymi pracownikami domu opieki przystąpiłam do przygotowywania sobótki. Niebawem na błoniach stanęły stoły z zastawą, przy nich krzesła, a miejsce na ognisko wypełniło się drewnem. Po poobiedniej drzemce przybyli nasi dziadkowie: panie w wiankach na głowach, panowie ożywni i elegancy.

Powietrze było spokojne, rzeka płynęła leniwie, a promienie popołudniowego słońca z lekka muskały trawę. Zaczęliśmy zabawę od puszczania wianków.

O dziwo, funkcję wodzireja objął Julian.

– Zapraszamy wszystkie panie, ja poprowadzę! – usłyszałam jego głos. – Potem rzucamy wianki na wodę i patrzymy, dokąd poniesie je nurt! Niech zabiorą dawne, niespełnione i nieszczęśliwe miłości daleko stąd i zwiastują nowe! Każdy ma szansę!

Nasze babcie rzucały wianki z zapalem nastolatek, aż serce rosło.

Zastanowiłam się, czy i ja nie powinnam puścić wianka z przesłaniem niezbyt udanej miłości do Władka, ale tylko uśmiechnęłam się na tę myśl. Już dawno minął czas, kiedy miłość cokolwiek znaczyła w moim życiu. Miło było jednak popatrzeć na naszych pensjonariuszy i ich entuzjazm, by przypomnieć sobie dawne czasy, kiedy byłam młoda i zakochana.

– Pani Marysiu! Złapałam wianek Barbary! – usłyszałam głos Teodora. – Teraz już się nie wywiniesz – spojrzał na wybrankę, pokazując wszystkim swoje trofeum.

Kiełbaski dochodziły na ognisku, a ich zapach nęcił. Ogarnął nas przyjemny nastrój plenerowej imprezy. Wciąż było ciepło, mimo rzeńskiego wiatru od rzeki.

Zjadłam małe co nieco i na chwilę opuściłam gromadkę, by przysiąść.

Kiedy lekki wiaterek zmierwił moje włosy, dostrzegłam obok siebie Juliana.

– Może i ty puścisz wianek? – zaproponował, zaglądając mi w oczy.

Machnęłam ręką.

– Mój już dawno odpłynął.

– Trochę zabawy nikomu nie zaszkodzi – ciągnął, rwąc trawę i licznie rosnące wokół rumianki.

– Proszę. Uwij wianek, choćby dla tradycji. – Podał mi pęk kwiecica.

Niedbale splotłam wianuszek i rzuciłam przed siebie. Popłynął wzdłuż brzegu, ale kiedy miał opuścić zakręt i wpaść w główny nurt, Julian wbiegł do wody i chwycił go w obie dłonie.

– Mam go, Marysiu! Jestem kawalerem i złapałam wianek! Już mi się nie wywiniesz! – pokrzykiwał w mokrych spodniach i zmoczonej koszulce.

– Lepiej się przebierz, bo przeziębienie gotowe – odparłam, ale serce mi zadrżało.

A może to tylko któreś z dzieci dało o sobie znać pod sercem?

## Rozdział 50

### Aleksandra

Po wyznaniu sekretarki męża zaniemówiłam. Ta kobieta właśnie mi obwieściła, że kochają się z Jaśkiem i spodziewają się potomka. Nie licząc zagrożenia zdrowia moich nienarodzonych dzieci, była to chyba najbardziej hiobowa z wieści, jaką mogłam usłyszeć.

Zanim jednak zdecydowałam się wyrzucić Arletę za próg, podważyłam jej słowa.

– Nie wierzę. Jak pani śmie nachodzić mnie w domu i opowiadać takie niestworzone rzeczy?

Arleta nie zamierzała spuścić z tonu.

– Przyszłam, bo Jan zbyt długo zwleka z wyznaniem prawdy, a ja muszę zadbać o przyszłość naszego dziec-ka. Bardzo mi przykro, że mąż już pani nie kocha, ale takie rzeczy się zdarzają. Jeśli mi pani nie wierzy, proszę porozmawiać z Janem. Niech sytuacja wreszcie się wyjaśni, dla dobra nas trojga – dodała bezczelnie i żwawo powędrowała w kierunku drzwi. – A, i jeszcze jedno. – Cofnęła się od progu i położyła na stole wydruk badania USG. – Mam termin na koniec grudnia – dodała.

Jeśli rzeczywiście pomazane kreski na zdjęciu przedstawiały dziecko Jaśka, mogło to oznaczać wyłącznie jedno: mój mąż zabawiał się z Arletą półtora miesiąca po tym, jak Maria zaszła w ciążę. W momencie, kiedy oboje, a przynajmniej tak mi się wydawało, walczyliśmy o wspólne dziecko.

Mimo szoku, jakiego doznałam, wciąż nie chciałam uwierzyć. Niecierpliwie czekałam na powrót męża, by wyjaśnić nieporozumienie. Była młoda, pewna siebie, może po prostu chciała go wrobić? Ale nawet gdyby, to najwyraźniej miała jakieś podstawy. Musiał się z nią przespać.

Każda kolejna refleksja wprawiała mnie w coraz gorszy nastrój, dlatego odetchnęłam z ulgą, słysząc odgłos przekręcanego w zamku klucza.

Jaś wszedł do domu nieświadomy czekających go rewelacji. Przywitał mnie chłodno, w ramach kary za odmowę wizyty u notariusza. Wystarczyło jednak jedno zdanie, by powstrzymać go od ucieczki na górę.

– Była tu twoja nowa sekretarka.

– Arleta? – zapytał niezbyt inteligentnie.

– A masz inną? Tak, Arleta. Chciałbyś o czymś ze mną porozmawiać?

Oczywiście „nie wiedział”, czego dotyczyła wizyta, niemniej zatrzymałam go w salonie kolejną informacją.

– Przyniosła zdjęcie USG swojego dziecka. Podobno jesteś jego ojcem. Czy to prawda?

Jeżeli można sobie wyobrazić człowieka, w którego nagle trafił grom z jasnego nieba, Jasiek właśnie go uosabiał. Jego twarz była jednym wielkim potwierdzeniem wiarołomstwa.

Słowa, które zaraz popłynęły, miały tłumaczyć niefortunną sytuację.

– Posłuchaj, Olu, bardzo cię przepraszam, że musiałaś się w taki sposób dowiedzieć o Arlecie. Zbłądziłem, i nawet nie wiesz, jak mi z tego powodu głupio i przykro. Pamiętasz czas, kiedy zatrudnialiśmy Marię? Te wszystkie nerwy i wątpliwości? Ty byłaś ukierunkowana wyłącznie na dzieci, ja poznałem Arletę i stało się. To miał być tylko jeden raz, zresztą nie było ich wiele. Zatrudniłem jej ojca, on poprosił mnie o posadę dla córki, zgodziłem się. Ale dziecko z pewnością nie jest moje. Ona ma narzeczonego, a teraz próbuje mnie wrobić. Że też ośmieliła się ciebie nachodzić! – dodał, patrząc ze współczuciem.

Jeszcze całkiem niedawno dałabym się nabrać na miłe słówka i pozornie szczere wyrazy skruchy, ale dziś czara goryczy się przelała, i to nawet nie z powodu dziecka Arlety w drodze. Mój ukochany Jaś mnie zdradził. Nie chciałam myśleć o tym, że knuje za plecami i chce przejąć moje udziały w firmie. Przetykałam niewyobrażalnie gorzką pigułkę zawodu i żalu.

– Janku, nie interesuje mnie, kto jest ojcem – odparłam. – Interesuje mnie twoja niewierność, i to teraz, kiedy spodziewamy się dzieci. Jesteś zwykłym łajdakiem. Proszę, żebyś wyprowadził się z domu.

Okazało się, że nic w życiu nie bywa proste, nawet pokazanie mężowi drzwi. Miałam nadzieję,

że Jaś zachowa się honorowo i pójdzie pakować walizki, ale nie.

Postanowił brnąć w nonsensowne tłumaczenie.

– Oluś, zrobię testy i udowodnię ci, że nie jestem ojcem dziecka – zaczął. – Przepraszam, klękam przed tobą i proszę o łaskę. A te nieszczęsne kilka skoków w bok może kiedyś mi wybaczysz... Kochanie, nie odsuwaj mnie od siebie, choćby przez wzgląd na tyle lat razem i moją miłość do ciebie. Arleta nic dla mnie nie znaczy. Była przelotnym romanssem, przyznaję, niefortunnym i nie na miejscu. Wybaczysz mi? – Posłał krzywy uśmiech pokornego spaniela z opuszczonymi uszami.

Byłam niemal pewna, że kłamie i odstawia teatr, ale jakaś częśćka mojego serca pragnęła dać mu szansę. Niejeden film czy książka traktowały o zdradach i wybaczeniu. Niektóre z nich nawet dobrze się kończyły. Może i ja powinnam nieco ochłonąć i spojrzeć na sprawę z dystansu? Mimo że serce krwawiło?

– Przepraszam, muszę odebrać telefon – przerwałam rozmowę z Jankiem, dostrzegłszy na wyświetlaczu połączenie od Janisa, i wyszłam do sypialni.

Nigdy dotąd do mnie nie dzwonił, więc uznałam, że to coś ważnego.

– Sasza, Krasts trafił do szpitala – przekazał wiadomość. – Zasłabł. Dobrze, że byłem przy nim i mogłem wezwać pogotowie. Uznałem, że chciałybyś wiedzieć.

– Jak on się teraz czuje? Jest przytomny? – pytałam zaniepokojona.

– Tak. Lekarze robią, co mogą, ale jak wiesz, w jego przypadku stenty nie wchodzą w rachubę. Zawiadomiłem jego dzieci, nie sądzę jednak, że przyjadą z Ameryki. A co u ciebie?

– Wszystko w porządku – odparłam z zaciśniętym gardłem. – Bardzo chciałabym przyjechać, ale teraz nie mogę. Dasz sobie radę?

– Oczywiście. Będę cię informować na bieżąco. Wiesz, Sasza... – Janis na moment zawiesił głos.

– Chyba jest źle.

Czułam to. Najchętniej zamówiłabym bilet na samolot.

– Janis, trochę się ogarnę i jutro dam ci znać, czy przyjadę – odpowiedziałam. – Postaram się sprężyć.

– *Sveiki*, zatem czekam na wiadomość – pożegnał mnie łotewskim „cześć” i zakończył połączenie.

Krasts był poważnie chory. Myślałam o nim często i targał mną niepokój. Wspominałam nasze ostatnie spotkanie w jego domku w Jurmale, moje zwierzenia, jego współczujący wzrok i absolutną akceptację dla drogi życiowej, którą obrałam. I nadzieję, że kiedyś zobaczy moje dzieci.

Też tego pragnęłam, bo podświadomie chciałam widzieć w nim tatę, któremu nie dane będzie ujrzeć swoich wnuków. Pamiętałam również moment, kiedy wyjął z szuflady swoją starą powieść i zaklejoną kopertę. Miałam ją przekazać Janisowi, gdyby, jak to ujął Krasts, cokolwiek mu się stało.

Jak dotąd leżała nietknięta w szafie i czekała na swój czas.

Składając dwa do dwóch, zaczęłam się poważnie martwić o Krastsa. Koperta, książka, szpital, niepokój Janisa. Ale przecież w trakcie mojej ostatniej wizyty na Łotwie nie wyglądał źle...

Na dłuższą chwilę zapominałam o własnych problemach. Przypominałam sobie, gdy Jasiek wszedł do sypialni.

– Oluś, wszystko w porządku?

Nic nie było w porządku. Mój mąż mnie zdradził, -Krasts leżał w szpitalu. Przypominałam sobie tatę i jego dolegliwości, którym obie z mamą starałyśmy się zaradzić. Nie pomagały wizyty u lekarza. A kiedy dia-gnoza wreszcie została postawiona i termin zabiegu wyznaczony, nadeszło najgorsze.

Tamtego dnia, jak zwykle przez lata, byłam w kolejnej ciąży i miałam wyznaczoną wizytę u doktora Witaja. Wyniki rokowały nieźle, więc wyszłam z gabinetu zadowolona. Pierwszy telefon wykonałam do Jaśka.

– Minął dwunasty tydzień! Kochanie, mam szansę na donoszenie! Witaj powiedział, że jest dobrze! – piałam z zachwytem.

Zajechałam na targ po kwiaty do wazonu. Te wirtualne miałam w sercu.

Wieczorem zadzwoniła mama z wiadomością, że tatę zabrała karetka. Zmarł na zawał w szpitalu. Ja poroniłam kilka dni później.



– Olu, mówię do ciebie – ponownie odezwał się Jaś. – Kto dzwonił?  
– Janis. Krasts jest w złym stanie. Chyba powinnam do niego pojechać.  
– Teraz? Jesteśmy kilka dni przed przetargiem! Bardzo ci współczuję z powodu tego... Krastsa, ale załatwmy najpierw nasze rodzinne sprawy. Kochanie, sam osobiście zawiozę cię do Rygi, kiedy... No wiesz.

Takiej reakcji się nie spodziewałam.

– Nie wiem – odparłam.

– Słonko, to wielki kontrakt, musimy go zdobyć! Nie myśl już o Arlecie, bo to nikt ważny. Załatwmy sprawy formalne i jedźmy razem na Łotwę.

Zawsze byłam łatwowierna, więc Jasiak pewnie dlatego grał na tej nucie. Ale dotarło do mnie, że w tym cyrku chodzi wyłącznie o jedno. O wyłudzenie moich udziałów.

Patrzyłam na męża. Zastanawiałam się, czym zawiniłam, że się nam nie udało, i składałam słowa, które chciałam mu przekazać.

– Nigdzie z tobą nie pojedę, Jaś. I nie przekażę ci udziałów w firmie – oznajmiłam. – Masz romans z tą kobietą i spodziewacie się dziecka. Radź sobie sam. W przetargu i w życiu. Jeszcze nikt nigdy tak mnie nie zawiódł. A teraz proszę: spakuj walizkę i wyjdź – zakończyłam, zaskoczona samą sobą.

– Olu.

Nie zareagowałam na dźwięk własnego imienia, ale kolejne słowa Jaśka tak kęsały, że nie mogłam ich nie słyszeć.

– Czy ty myślisz, że łatwo mi było z tobą wytrzymywać? Nic, tylko dziecko i dziecko, co chwila poronienie, rozpacz i przygotowania do kolejnej ciąży. Polowanie na owulację, wizyta u ginekologa, euforia, a po trzech miesiącach wielka katastrofa i nie mniejsza depresja. Kobieto, nas już nie było w tym wszystkim! Wiecznie toczyliśmy walkę o potomstwo. A z Arletą wyszło od razu, choćby i wbrew woli – przyznał się do ojcostwa. – Mam dość tych twoich utyskiwań i huśtawek nastrojów. I nie bawią mnie polowania na jajeczko, które właśnie jest gotowe danego dnia od godziny osiemnastej do dwudziestej drugiej. Chciałem być choć trochę facetem, a nie tylko reproduktorem! – podniósł głos.

I zaczął pakować walizkę.

Błada i zdołowana patrzyłam, jak bez ładu i składu wrzuca do niej koszule i swetry, dopycha bielizną i przygniata marynarkę. W pierwszym odruchu chciałam go zatrzymać, wybaczyć, wyjaśnić. Przecież musiało być jeszcze dla nas jakieś wyjście.

Jednak nie byłam w stanie się ruszyć. Niemo towarzyszyłam poszczególnym czynnościom męża, który zamykał walizkę, po raz ostatni zerkał do szafy. W końcu rzucił mi nieprzychylnie spojrzenie i podniósł rękę w pożegnalnym geście.

Trzaśnięcie drzwi na dole uświadomiło mi, że zostałam sama.

## Rozdział 51

### Maria

Sobota zapowiadała się słonecznie, a przede wszystkim już wczoraj mnie i Kalinie dopisywał dobry nastrój. Moja córka świętowała pierwszy dzień wakacji, ja cieszyłam się z decyzji Władka o wyjeździe na kilka dni do Marcina i Marzeny. Zdawałam sobie sprawę, że niebawem wróci, a wraz z nim częste wizyty kolegów, ale nawet krótka nieobecność męża dawała ukojenie.

Przystałam go już pytać o efekty działań w sprawie pozyskania pracy i interesować się, jak mu minął kolejny dzień. Nie ciekawiło mnie również, skąd bierze pieniądze na piwo i wieczne przesiadywanie w pubach. Pieniądze od Boryków deponowałam na oddzielnym koncie, które przezornie założyłam, a na naszym wspólnym trzymałam jedynie część pensji, resztę sposobem zapobiegliwych gospodyń przechowując w słoiku, w jednej z kuchennych szafek.

Do tej pory nie została naruszona.

– Może i wy byście zajrzały do Marcinów? – Władek dobrodusznie zaprosił nas na wieś. – Zaczęły się truskawki, mogłabyś pomóc Marzenie zbierać, a i dla nas warto by było zrobić kilka słoików dżemu.

– Muszę dbać o ciążę, a ciągle schyłanie może jej zaszkodzić – odparłam, znajdując dobre wytłumaczenie, by zostać w domu. – A poza tym jeszcze nie wzięłam urlopu.

– Jak chcesz. – Mój mąż z ulgą przyjął odmowę. – Dałabyś mi parę złotych na bilet?

Sięgnęłam do szafki i wysupłałam stówę.

– Władek, obiecaj mi, że po powrocie znajdziesz pracę.

– Jasne – odparł ochoczo, sięgając po banknot.

Dojadł ostatni kęs jajecznicy, chwycił kanapkę w garść i zarzucił worek na plecy.

Sprzątałam nieśpiesznie po śniadaniu, napawając się ciszą. Kalinka jeszcze spała, więc obmyślałam plan na dzisiaj. Aleksandra od kilku dni nie dzwoniła, pewnie z panem Janem zaplanowali weekend, a ja nie chciałam zawracać jej głowy. Z panią Zofią umówiłam się na przyszły tydzień, o ile dostałabym kilka dni urlopu. Chciałam dokończyć sprzątanie pokoju na piętrze i poprosić Juliana o pomoc w jego odświeżeniu.

Lubiłam kolegę rehabilitanta, ale po nocy świętojańskiej i puszczaniu wianków trochę krępowała mnie jego obecność. Nie powinien okazywać mi aż tak daleko idącej atencji. Te serduszka na kawie i zmoczenie ubrania, żeby wyłowić mój wianek... Czułam się niezręcznie, a najbardziej z prostego powodu – jego zachowanie sprawiało mi przyjemność. Ale cóż było zrobić, kiedy w odwodzie nie czał się żaden inny mężczyzna do pomocy, a pani Zofia potrzebowała czystego pokoju.

Rozmyślenia przerwała mi Kalina, która nagle pojawiła się w drzwiach kuchni.

– Ale się wyspałam! Taty nie ma?

– Wyjechał do wujostwa na wieś. Chciałaś coś od niego?

– To bardzo dobrze. Bo mam do ciebie sprawę – odparła zadowolona i wyjęła z lodówki sałatę.

Sięgnęłam po miskę i pozostałe warzywa, i obie panie Leśniewskie ręką w rękę przystąpiły do szykowania babskiego śniadania. Po chwili wiosenna sałatka została wzbogacona pestkami z dyni i kawałkami kurczaka oraz polana sosem anchois, który od jakiegoś czasu wyjątkowo dobrze trafiał w mój gust. Zaczynałam mieć ciążowe zachcianki.

Na koniec przygotowałam kilka grzanek i zasiadłyśmy do stołu.

– Jaka to sprawa? – zagadnęłam, nakładając na talerz dwie łyżki kolorowej zawartości mojej ulubionej porcelanowej salaterki w tulipany, której używałyśmy z Kaliną w chwilach celebrowania wspólnych posiłków.

– Rodzice Krzyśka zaprosili mnie do swojego domku pod miastem. No wiesz, byłam tam już kilka tygodni temu.

– I jak rozumiem, masz ochotę jechać?

Jej uśmiech zdradził szczere chęci.

– Kochanie, przecież wiesz, że nie mam nic przeciwko temu, ale powinnam najpierw porozmawiać z rodzicami Krzyśka. Oni również tam będą?

– Jasne, mamuś. Nie musisz się obawiać, że przedwcześnie zostaniesz babcią. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek.

– Nawet tak nie myśl! Wiesz, że mamy już sześćdziesiąt tysięcy na twoją operację? – Z radością uścisnęłam jej dłoń. – Oby tak dalej!

Oduściłam sobie sobotnie sprzątanie i inne domowe prace. Spędziłyśmy kilka godzin nad rzeką, podjadając, czytając, mocząc nogi w wodzie. Wieczorem na prośbę Kaliny zadzwoniłam do mamy Krzysztofa i dogadałam szczegóły pobytu. Spytałam, co mam jej przygotować na drogę.

– Niech Kalina zabierze z sobą tylko dobry humor – usłyszałam sympatyczny głos pani Kłós. – Na razie umówmy się na tydzień, a potem zobaczymy – dodała.

Ustaliłyśmy termin wyjazdu na następny dzień.

– Przepraszam, ale jutro nie będę miała okazji pani poznać – powiedziałam na zakończenie. – Mam dyżur w pracy. Czy Kalina naprawdę nie sprawi państwu zbyt dużego kłopotu?

– W żadnym razie. Papużki nierozłączki zajmą się sobą. – Mama Krzyśka wspomniała nasze dzieci. – To wspaniała dziewczyna.

Oby jeszcze kiedyś była sprawna, pomyślałam, ale tę refleksję zachowałam dla siebie. Na pożegnanie wcisnęłam córce kilka złotych, by mogła przy sposobności postawić gospodarzom lody lub sfinansować grilla, i życzyłam jej miłego pobytu.

– Kochanie, może później uda nam się wyjechać razem? – zamarzyłam, choć nie bardzo wierzyłam, że samopoczucie i finanse pozwolą.

– Zobaczymy, mamuś. Teraz jadę do domku nad jeziorem – odparła szczęśliwa, podobnie jak ja, że nie będzie musiała siedzieć w upale w naszym bocianim gnieździe na ogromnym blokowisku.

Niedzielne dyżury nie należały do moich ulubionych, chociaż na ogół były spokojniejsze niż zwykle. Szefowa nie sterczała nad głową, sprzątaczkі miały wolne, jak i połowa personelu. Zabrałam do pracy książkę, licząc na wolną chwilę.

Drogę od autobusu jak zwykle pokonałam piechotą. Nawet lubiłam ten niespełna półkilometrowy spacer po ulicy, w szpalerze kasztanowców, które zachwycały o każdej porze roku, zmieniając barwy liści, wielkość pąków, dojrzałość. Teraz lśniły zielenią, jak gdyby pociągnięte lakierem, by cieszyć oko. I przede wszystkim dawały tak pożądaną cień.

Gdy dotarłam przed bramę domu opieki, minęła mnie karetka pogotowia na sygnale. Kątem oka dostrzegłam, że skręca na nasz podjazd, i poczułam ucisk w sercu.

Kto tym razem?, pomyślałam z niepokojem i przyspieszyłam kroku. Nie daj Boże kolejny pogrzeb! Od śmierci pani Gertrudy minęło zaledwie kilka miesięcy...

Przed budynek wybiegła pani Wiesia, której towarzyszył Julian. Przystanąłam zdenerwowana, obserwując akcję.

– Proszę za mną. Leży w kuchence dla personelu, pokażę. – Szefowa dygotała.

Ubrani na czerwono ratownicy pobiegli z torbami w dłoniach we wskazanym kierunku.

Julian musiał mnie zauważyć, bo poczekał, aż się zbliżę, i wyjaśnił, co się dzieje.

– Iza próbowała się truc. Znalazłem ją w naszej kanciapie na podłodze, kiedy zaszedłem po zabiegu u pana Teodora.

– Żyje?

– Mam nadzieję. Jest z nią pielęgniarka. Wyjątkowo przyszła dzisiaj, żeby zrobić zastrzyk Barbarze.

Zanim zdążyliśmy wejść do środka, panowie w czerwonych uniformach już dźwigali Izę na noszach do karetki. Towarzyszyła im grupa przerażonych pensjonariuszy.

– Proszę się rozstać i nie zastawiać przejścia!

Ciekawscy nie odpuszczali.

Włączyłam się do akcji i zagarniałam starszusków do wewnątrz, ale rozeszli się, dopiero gdy kogut sanitarki obwieścił odwrót. Szmery rozmów dowodziły ich poruszenia. Niektórzy próbowali

dochodzić prawdy, inni dopytywali o szczegóły, niektórzy przypomnieli sobie o niedokończonym śniadaniu i konieczności powrotu do stołówki.

Z pomocą Juliana sprowadziłam tę czeredę na miejsca przy stolikach, na których czekała już gorąca herbata i przygotowana po raz drugi jajecznica.

– Kochani, sama nie wiem, co się stało – wydałam oświadczenie pośrodku sali. – A wy teraz musicie spokojnie dokończyć śniadanie. Czy ktoś się źle poczuł?

Pokręcili przecząco głowami.

Pracowałam w domu opieki wystarczająco długo, by wiedzieć, że cudze nieszczęścia nie boją tak jak własne, jednak wzbudzają emocje. Ale kiedy tylko dotarło do mnie równomierne postukiwanie sztućców, zostawiłam podopiecznych w jadalni i pośpieszyłam zasięgnąć języka u szefowej.

Siedziała u siebie zafrasowana, ze szklanką świeżo zaparzonej kawy.

– Pani Wiesiu, może jednak wody? – zaproponowałam, zauważywszy jej rozpalone policzki i rozbiegany wzrok.

Upiła spory łyk, nie zwróciwszy uwagi na moje życzliwe sugestie.

– Marysiu, jak można się truć z powodu faceta? Ona ledwo żyje!

– Ale przeżyje?

– A skąd ja mam wiedzieć? Dobrze, że Julian ją znalazł i wezwał karetkę, a pogotowie przyjechało w ciągu dziesięciu minut. Wyobraź sobie, że połknęła całą fiolkę leków uspokajających! Nie miałam pojęcia o drugim życiu tego jej Januszka. A zawsze chlubiłam się tym, że jestem dla swoich pracowników jak matka! Chyba najwyższy czas na emeryturę... – westchnęła ze łzami w oczach.

– To nie pani wina. Ja wiedziałam i nic nie zrobiłam. Julian również.

– To właśnie on mi powiedział, ale za późno.

Zabrałam jej kawę, otworzyłam okno i podałam szklankę wody. Po kilkunastu minutach zadzwoniłyśmy do szpitala, gdzie udało się nam uzyskać informację, że Iza jest po płukaniu żołądka i żyje.

Obie pozwoliłyśmy popłynąć łzom ulgi.

Nie miałam pojęcia, czy to odpowiedni moment, ale mając przed sobą szefową, której nie groził już zawał, rzutem na taśmę postanowiłam zrobić to, czego obawiałam się najbardziej. Powiedziałam jej o swojej ciąży.

– Czulałam to, Marysiu – odparła ze spokojem.

Nie mogłam się domyślić, co to oznacza. Siedziałam zatem cicho i czekałam, gotowa na każdy werdykt.

– Jesteś bardzo dzielna i odważna. – Te słowa przywróciły mi oddech. – Może nawet łatwiej się zabić niż stanąć dla kogoś kochanego pod pręgierzem – dodała. – Masz moje pełne poparcie. A teraz, Marysiu, czy możesz na chwilę zostawić mnie samą? Jak na jeden dzień to trochę zbyt dużo emocji. Nie martw się, nic mi nie jest. – Pani Wiesia uniosła się z krzesła.

Na korytarzu dopadł mnie Julian, który czekał na wieści o Izie.

– I jak?

– Żyje – odparłam. – Znalazłeś ją w odpowiednim momencie. Trzeba jednak co jakiś czas zaglądać do szefowej, bo jest wykończona.

Podniósł dłoń w skautowskim geście zrozumienia.

– A ty? – zapytał. – Może zrobić ci cappuccino?

– Chętnie – wyraziłam zgodę.

Nie dlatego, żeby zobaczyć kolejne serduszko, ale żeby wyjaśnić sytuację między nami.

Zasiadłam na taborecie w kanciapie, on obsługiwał ekspres.

– Julek, nie jestem osobą, o jakiej marzysz – powiedziałam. – Cztery i pół miesiąca temu pewne małżeństwo zatrudniło mnie jako surogatkę. Zdecydowałam się urodzić im dzieci za pieniądze, których potrzebuję na operację córki.

– Proszę, już gotowa. – Postawił przede mną filiżankę z kawą.

Na powierzchni pianki unosił się kontur serca.

## Rozdział 52

### Aleksandra

Właśnie wyrzuciłam męża z domu. Czy tak ma wyglądać koniec naszego małżeństwa?

Mimo ogromnego żalu, który mną targnął, nie popędziłam za Jaśkiem, by go zatrzymać. W moim sercu tkwiła ogromna zadra, a myśli krążyły wokół człowieka, który tę noc miał spędzić u boku innej kobiety.

Nie potrafiłam zmobilizować się do jakiegokolwiek ruchu, nie mówiąc o śnie. Nawet łzy nie chciały płynąć.

Pustka, jaka zapanowała w domu, kompletnie mnie przytłoczyła. Prawdopodobnie gdyby teraz Jaś stanął w drzwiach i poprosił o przebaczenie, dałabym mu szansę. Tak się jednak nie stało. Ani wieczorem, ani kolejnego dnia.

Śniadanie jadłam w samotności, otoczona ciszą, która przenikała każdy nerw mojego ciała. Takie warunki sprzyjały przy pracy, tyle że jak dotąd zawsze miałam świadomość, że Jaś wróci do domu. Teraz natomiast doznawałam uczucia, na które nie byłam przygotowana. Mój mąż wybrał inną. Nieważne, co się wydarzy, nie wrócimy już do dawnego życia.

Siedząc przy filiżance zimnej kawy, przeżywałam zdradę Jaśka, analizowałam każde jego słowo, wyobrażałam sobie minę Arlety, która z nonszalancją przynależną młodym kochankom raniła mnie słowami o miłości i oczekiwaniu na dziecko.

Poczułam się stara, brzydka, niepotrzebna. A w dodatku w oczach Jaśka byłam rozhisteryzowaną niespełnioną matką, która w mężu poszukiwała, jak się wyraził, reproduktora.

Z pewnością popełniłam kilka błędów, ale zawsze grałam tak, jakbyśmy byli zgraną drużyną i mieli wspólne cele. Jak widać, pomyliłam się i nie potrafiłam znaleźć sposobu, żeby się podnieść. Kusiło mnie, żeby zadzwonić do Mileny i wypłakać się jej w rękaw, ale nie miałam ochoty wysłuchiwać słów współczucia. Sposobem zranionego zwierzęcia postanowiłam w samotności wylizać rany we własnej norze.

Po południu przyjaciółka zadzwoniła z propozycją.

– Cześć, Olka, macie plany na weekend? Na wstępie wyjaśniam, że nie zamierzamy was obdarować dziewczynkami – usłyszałam jej roześmiany głos. – Mamy wolny domek koleżanki i jedziemy. Może będziecie do nas dołączyli?

Odmówiłam głosem, którego tembr Milena odczytała właściwie.

– Coś się stało? Jakies problemy z dziećmi?

Staralam się trzymać, ale nie bardzo mi wyszło. Przez chwilę na łączach panowała cisza.

– Hej, odezwij się! Ola, co się dzieje?!

– Wyrzuciłam Jaśka z domu.

Nie pytała o szczegóły.

– Będę u ciebie za pół godziny – zapowiedziała swój przyjazd.

Zanim zdążyłam zaprotestować, przerwała połączenie.

Niebawem wkroczyła do salonu z butelką wina w ręce. Widocznie musiałam zostawić otwarte drzwi. Zrzuciła żakiet, przygarnęła mnie ramieniem, wyjęła z witryny dwa kieliszki i otwieracz, a potem cała zamieniła się w słuch.

– Mów. Jednak miałyśmy rację z tą Arletą?

– Gorzej. Ona jest w ciąży.

Nie wiem, ile Milena zrozumiała z mojej nieskładnej, przerywanej łzami relacji, ale opowiedziałam jej wszystko. O młodej kochance, o udziałach w firmie i pretensjach Jaśka, że zabiegałam o dziecko. Zmęczona kłuszącymi serce zwierzeniami całkowicie opadłam z sił.

Milena najpierw zaniemówiła, a później wyraziła swój stosunek do Jaśka jednym słowem.

– Świnia.

– A może rzeczywiście to ja pchnęłam go w ramiona Arlety?

Spojrzała karcąco i złapała się za głowę.

– Dziewczyno, co ty wygadujesz? Gość zdradza cię, kiedy oczekujecie dzieci, i w dodatku próbuje przejąć firmę, a ty bierzesz winę na siebie?! – zawołała. Po chwili uspokoiła się i dodała łagodniej: – Olka, wiem, że ci ciężko, rozumiem. Tyle lat razem, wygodne życie, wielka miłość, a na koniec równie wielki zawód. Nie ma na to mądrych. Gdyby Kacper mnie zdradził w tak perfidny sposób, też pewnie wpadłabym w rozpacz. Powiesz, że łatwo radzić, kiedy człowiek patrzy na wszystko z zewnątrz, i będziesz mieć rację. Ale ktoś musi cię wesprzeć i padło na mnie. A zatem powiem: nie załamuj się. Musisz teraz myśleć o dzieciach i o własnej przyszłości. Życzę ci, żeby Jan wrócił do domu z podkulonym ogonem i błagał o przebaczenie. Może nawet dasz mu szansę. Ale jeśli tak się nie stanie, powinnaś zadbać o swoje interesy. Popłacz sobie, poprzeżywaj i rusz do przodu. Masz mnie, masz matkę, ciotkę Walerię, dzieci, które przyjdą na świat za kilka miesięcy, i pracę. Tłumaczysz coś teraz?

Przypomniałam sobie zbiór nowel Krastsa, który dostałam z wydawnictwa kilka dni temu. Powrócił niepokój o przyjaciela.

– Janis pisał, że Krasts jest w szpitalu – odparłam. – Wspominałam ci ostatnio o jego kiepskiej formie. Może powinnam jechać?

– Najpierw ochłoń po zadymie z Janem. Ale pozostań w kontakcie z Janisem i trzymaj rękę na pulsie. Bilet na samolot zawsze zdążysz kupić. Z tego, co mówiłaś, codziennie jest kilka rejsów do Rygi.

Brzmiało to rozsądnie. Niemniej kiedy Milena poszła skorzystać z łazienki, napisałam esemesa do Janisa.

„Jak się czuje Krasts? Po weekendzie postaram się wygospodarować czas i przylecieć. Bardzo się martwię. Daj znać. A.”

Odpowiedź nadeszła niebawem.

„Stan jest stabilny, jak mówią lekarze. Mam nadzieję, że najgorsze za nami. J.”

Po dwóch kolejnych godzinach rozmowy z przyjaciółką uspokoiłam się nieco. Milena wyłożyła mi, że powinnam porozumieć się z wujkiem Kazimierzem, który jak nikt znał sytuację w firmie i mógł mi pomóc w razie problemów prawnych. Z przerażeniem skonstatowałam, że zamiast rozpaczać po utraconej miłości, zacznam obawiać się działań własnego męża.

Jaś nie wrócił w poniedziałek i nie odezwał się również we wtorek.

Zadzwoiłam do Marii, którą przez to wszystko zaniedbałam. Czuliła się dobrze. Kalinę wysłała za miasto, do Krzysztofa i jego rodziców. Myśl o ponownym spotkaniu z córką Marii, dla której zamówiłam kilka ciekawych książek, sprawiła, że na chwilę zapomniałam o własnych kłopotach. Złapałam się na tym, że zaczęłam traktować obie panie Leśniewskie jak rodzinę, a nawet zatęskniłam za ich towarzystwem.

Maria poinformowała szefową o usługowej ciąży i dostała błogosławieństwo.

Odetchnęłam z ulgą. Przynajmniej na tym polu nie było problemów.

Jeśli jednak miałam funkcjonować normalnie, musiałam jeszcze zawiadomić o wszystkim mamę. Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli przekażę jej wiadomość na cmentarzu, gdzie umówiliśmy się, by uczcić urodziny taty. Nie miałam ochoty na wielogodzinne roztrząsanie sytuacji, więc krótka wizyta przy grobie wydała mi się odpowiednią okazją.

Podjechałam pod dom mamy, by zabrać ją wraz z pokaźną wiązką, która spoczęła w bagażniku obok mojej, złożonej z czerwonych róż, jakie zwykle tato kupował mamie. Zaparkowałam przed bramą główną i obie powędrowałyśmy w kierunku grobu.

Wypuściłam powietrze i na wydechu opisałam swoją obecną sytuację.

– Jaś będzie mieć dziecko z inną kobietą. Wyprowadził się z domu, ale nie martw się, już jakoś zdołam się pozbierać.

Spojrzałam niepewna, oczekując gwałtownej reakcji, ale mama była nad wyraz spokojna.

– Wiem, i bardzo mi przykro. Szkoda tylko, że nie przyszedł do mnie ze swoimi problemami.

– Od kogo się dowiedziałaś?!

– Pozwól, że nie ujawnię źródła. Bardzo ci współczuję i zawsze oferuję pomoc. Córciu, pamiętaj, że mój dom jest też i twoim. Możesz przyjść, kiedy chcesz i z czym chcesz. Proponuję kontakt z wujem

Kazimierzem, bo powinnaś zabezpieczyć swoje interesy.

– To on ci powiedział?

– A jeśli nawet? Zapomniałaś, że oboje jesteśmy ci najbardziej życzliwymi osobami na świecie?

– Przepraszam – bąknęłam.

– Nie musisz. Jesteś moją jedyną córką i nigdy nie przestanę cię kochać. Bez względu na to, co się dzieje.

W milczeniu przemierzałyśmy długą aleję prowadzącą do grobu taty, a ja uświadomiłam sobie, jak kiepską byłam córką ostatnimi czasy. Tak bardzo wsiąkłam w związek z Jaśkiem i w zmagania o dziecko, że niemal zapomniałam o mamie. A przecież dopiero rok temu straciła swojego Tadeusza.

– To już tutaj – przerwała moje rozmyślenia, skręcając w prostopadłą ścieżkę.

Dostrzegłam granitowy pomnik w odcieniu brązu i podażyłam za nią. Przy sąsiednim nagrobku stały jakieś osoby, ale nie zwróciłam na nie uwagi. Do momentu, kiedy jedna z nich się odezwała.

– Aleksandra?

– Marysia? Co ty tu robisz?

– Jestem z panią Zofią na grobie Arkadiusza, jej syna. A ty pewnie z mamą?

Podopieczna Marysi i mama patrzyły zaskoczone nieoczekiwanym spotkaniem, więc uznałam za stosowne dokonać prezentacji.

– Mamo, pozwól, to Maria Leśniewska, o której ci mówiłam.

Celowo nie wyjawiałam jej roli w moim życiu, nie mając pojęcia, czy starsza pani, która jej towarzyszy, jest wtajemniczona.

– Bardzo mi miło. – Mama wyciągnęła rękę.

– A to pani Zofia Muller, moja przyjaciółka. – Marysia dopełniła prezentacji.

– Jadwiga Kniaź – przedstawiła się mama.

Może mi się wydawało, ale przez twarz pani Zofii przemknął grymas zdziwienia.

– Tadeusz to pani mąż? – zapytała, spoglądając na napis na pomniku.

– Tak. Miałby dzisiaj urodziny.

– Prawie jak moja mama – wtrąciła Maria. – Obchodziłaby je jutro.

– Tereska? Nie wiedziałam, że urodziła się w czerwcu. Może pójdziemy także na jej grób? – zaproponowała starsza pani. – Gdzie on się znajduje?

– Mama leży w rodzinnym grobie Krawczyków – odparła Marysia. – To niedaleko.

Tym razem mama otworzyła usta ze zdziwienia.

– Krawczyków?

– Tak. Z domu jestem Krawczyk.

Nie ogarniałam, co się dzieje. Ukłoniłyśmy się sobie na pożegnanie.

– Mamo, czy ty znasz tę panią Zofię? – nie wytrzymałam, kiedy dotarłyśmy do domu.

Nie odpowiedziała od razu.

– Olu, chyba będę musiała ci powiedzieć coś o Marii, skoro to ona nosi wasze dzieci... Bo tak właśnie jest, prawda? – wydusiła po przełknięciu kilku łyków wody.

– Tak. Co to takiego?

– Daj mi trochę czasu. – Mama opadła ciężko na fotel.

– Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową.

Odeszłam na bok i odebrałam komórkę, która dzwoniła od dłuższej chwili. Usłyszałam głos Janisa.

– Sasza, Krasts zmarł przed dwiema godzinami. Dam ci znać, kiedy pogrzeb.

## Rozdział 53

### Maria

Zaprowadziłam panią Zofię na grób mamy, w którym leżał również tato i dziadkowie. Uświadomiłam sobie, że ostatnio odwiedziłam ich przed Wielkanocą. W wazonach tkwiły jeszcze bukiety sztucznych narcyzów i niebieskich irysów. Zanim jednak zabrałam się do uprzątnięcia płyty, stanęłam u boku mojej towarzyszki i pozwoliłam jej w spokoju odmówić modlitwę.

Była wyraźnie wzruszona, aż musiała sięgnąć po chusteczkę.

– Tereska leży przy swoim Zenku. Jak oni się kochali! – wspomniała z czułym uśmiechem. – A ja nawet nie wiedziałam, kiedy zmarła...

– Może pani usiądzie? – Wskazałam na ławeczkę, zauważywszy, że wzruszenie odebrało jej siły.

– Tak, kochanie. Nie mam dla ciebie nawet kwiatka ani żadnego znicza – przemawiała ze łzami w oczach do mamy na zdjęciu.

Zaoferowałam się, że podbiegnę do pawilonu przy pobliskiej cmentarnej bramie.

– Gdybyś mogła?

Zostawiłam panią Zofię na kilka minut i poszłam po zakupy. Przy okazji wypożyczyłam od sprzedawczynie miotłkę, by chociaż usunąć z płyty suche gałązki rosnących po obu stronach grobu cyprysów.

Kiedy wróciłam, moja staruszka siedziała wpatrzona w nagrobek i poruszała ustami. Była już w znacznie lepszym nastroju. Dostrzegła mnie i pomachała.

– Rozmawiamy sobie z Tereską – oznajmiła. – Wiesz, może to śmieszne, ale w takich momentach jak ten przypominają się człowiekowi szczegóły, drobne wydarzenia, w sumie nic nieznaczące.

Spojrzałam uważnie, licząc na dalszy ciąg.

– Lubiła salaterkę w tulipany. Mówiła, że przygotowuje w niej sałatkę, kiedy chce okazać Zenkowi swoją miłość.

Gdyby nie to, że nie chciałam przerywać, poinformowałabym panią Zofię, że po stracie męża mama przeniosła tę tradycję na mnie. Używałyśmy tej salaterki do śmierci mamy, a teraz korzystałyśmy z niej z Kaliną.

– I zawsze malowała powieki na zielono. Nigdy nie widziałam jej w innym kolorze.

– To prawda – wtrąciłam. – Miała jeden cień, jeden tusz i jedną szminkę.

– Ale także fantazję i dryg do szycia. W skromnych latach siedemdziesiątych, kiedy na ulicy panowała szarzyzna, Tereska potrafiła czarować przy maszynie. Pamiętam jej barwne bananowy... Pewnie nawet nie wiesz, co to takiego? – zapytała, szukając u mnie przyzwolenia na dalsze zwierzenia. – Spódnice z wielu kolorowych pasów, do których nosiło się białe bluzki z haftowanym wzorem na rękawach. Takie dzisiejsze etno.

– A wie pani, że jedna z nich leży u mnie w pawlaczu? – Przypomniałam sobie o worku z ubraniami mamy sprzed lat, których nigdy nie ośmieliłam się wyrzucić. – Biały kreton, bufiaste rękawy, łowickie wzory. Chyba że mole ją zjadły.

Wniebowzięta pani Zofia wspominała dalej, a ja przystąpiłam do porządków i układania w wazonach świeżych kwiatów. Celowo nie kupiłam sztucznych, by częściej zaglądać na cmentarz i zmieniać dekorację.

Słońce powoli zaczynało zachodzić, więc należało ogłosić odwrót i zamówić taksówkę do domu opieki. Postanowiłam odwiedzić panią Zofię i umówić się z Julianem na malowanie pokoju na piętrze jej domu.

Po próbie samobójczej Izy nastroje w ośrodku dzięki Bogu uspokoiły się nieco i wróciły do normalności. Seniorzy przegadali sensację, my daliśmy odpór licznym telefonom od ich rodzin, które zaniepokojone zawirowaniem domagały się szczegółów. Niektóre nawet z powodu „takich ekscesów”



groziły przeniesieniem pensjonariuszy do innych domów.

Szefowa miała urwanie głowy i niemal nie wychodziła z pracy.

Zaszłam do niej, kiedy odstawiłam panią Zofię na kolację.

– Dobrze, że jesteś – powitała mnie, nie wstając z krzesła. – Będę musiała prosić cię o pomoc.

– Tak?

– Ostatnio nie najlepiej się czuję, a lekarz zaleca krótki urlop. Zająłabyś się domem przez kilka dni?

Robiłam to już nieraz, Kalina wyjechała, więc czemu nie?

– Z rodzinami pensjonariuszy mamy już spokój, oni również są na prostej, Iza ma dwa tygodnie zwolnienia, ale poprosiłam Lucynę i Klaudię o dodatkowe dyżury. Wytrzymacie beze mnie przez tydzień, dwa?

– Oczywiście, pani Wiesiu. Proszę podreperować zdrowie i niczym się nie przejmować – odparłam. – Nie wiem, jak będzie później, ale teraz dobrze się czuję i mogę przejąć obowiązki.

Tym sposobem zasiadłam w fotelu szefowej.

Poczucie odpowiedzialności sprawiło, że wyszłam do domu po dwudziestej drugiej, kiedy już przejrzałam zaopatrzenie, harmonogram wizyt lekarskich, a na koniec zajrzałam do staruszków.

O dziwo, Julian, który zakończył zabiegi przed kilkoma godzinami, był jeszcze w pracy. Przypomniałam sobie o malowaniu u pani Zofii, które zapewne, w związku z zastępowaniem pani Wiesi, ulegnie opóźnieniu.

– Jadę do sklepu z farbami – zakomunikował, kiedy podeszłam. – To widzimy się w piątek?

– Julek, nie mogę. Szefowa poprosiła mnie o opiekę nad domem, a wiesz, że ona nie robi takich rzeczy bez powodu. Musimy przełożyć malowanie na następny tydzień. Pewnie pani Zofia zdążyła cię już zwerbować?

– Podobno rozmawialiście...

– Nie ustalałyśmy terminu. Pogadam z nią.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie znaleźć – pożegnał się.

Szybko odwróciłam wzrok, żeby nie złowił mojego zaintrygowanego spojrzenia. Matko, ten facet mógł mieć każdą kobietę! Rumieniłam się na myśl, że zwrócił uwagę właśnie na mnie. Nie zasługiwałam.

– Jasne, dziękuję. Umówię nas z panią Zofią na inny termin – odparłam i pobiegłam z powrotem do biura, gdzie zaspokoiliłam nagłe pragnienie, uspokoiłam nerwy i odsunęłam od siebie obraz Juliana.

Kolejny dzień minął spokojnie. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że doskonale potrafię sobie radzić z obowiązkami szefowej. Nawet użeranie się z dostawcami i pilnowanie porządku przychodziło mi z łatwością. A co najważniejsze, odkryłam w sobie talent do delegowania obowiązków i zarządzania ludźmi. Byłam nawet w stanie zorganizować sobie wolne popołudnie. Klaudia zgodziła się przejąć ode mnie piątkowy wieczór, więc mogłam zaplanować długi weekend u pani Zofii. Umówiłyśmy się na noc, by od sobotniego ranka przystąpić do kontynuacji robót.

Pakowałam rzeczy do torby, raz po raz wyglądając samochodu Juliana. Miał mnie odebrać z domu i zawieźć na miejsce.

Właśnie sięgałam po przygotowane dzień wcześniej pierogi, kiedy odgłos przekręcane go w zamku klucza zasygnalizował nadejście Władka. Zjawił się w towarzystwie brata i bardzo się zdziwił, zauważywszy w przedpokoju spakowaną torbę.

– Gdzieś się wybierasz? – spytał niezbyt przyjaźnie.

– Jadę do pani Zofii. Mamy tam mały remont – wytłumaczyłam. – A ty już wróciłeś?

– Tylko na chwilę. Widzę, że doskonale sobie radzisz beze mnie. A może ta pani Zofia to jakiś facet? – zaatakował.

– Władek...

– No, odbierz! – ponaglił, kiedy zadzwoniła moja komórka. – To on?

Z przerażeniem odczytałam na wyświetlaczu imię Juliana. Sygnalizował, że czeka na parking.

– Pokaż! – Mąż sięgnął po mój telefon.

– Brat, czy ty upadł na głowę? Ona jest w ciąży. Marysiu, przyjechaliśmy po słoiki, bo Marzenie zabrakło do truskawek. Gdzie masz klucz od piwnicy? – Marcin w kilku zdaniach rozładował atmosferę.

Odetchnęłam.

Z ulgą przekazałam im klucz, zaczekałam, aż wrócą. Do Juliana wysłałam esemesa, żeby czekał cierpliwie. Dopiero bym miała, gdyby zechciał wejść na górę!

Władek z Marcinem wkrótce odjechali, a ja mogłam spokojnie zejść.

– Coś się stało? Dobrze się czujesz? – dopytywał na widok mojej bladej twarzy.

– W porządku, jedźmy.

Tego dnia nie zrobiliśmy wiele, ale sobota zapowiadała się pracowicie. Zanim to jednak nastąpiło, czekała mnie ogromna przyjemność: śniadanie w kuchni pani Zofii, przy rozległym dębowym stole. Słońce grzało przez okno, na patelni skwierczała cebulka, a zaraz potem pachnące płyty cieniutkiego boczku.

Jak dobrze, że czas porannych mdłości miałam za sobą! Cięża rosła, chłopcy musieli się dobrze czuć, skoro brak było jakichkolwiek niepokojących objawów.

– Pokroisz szczypiorek? – Pani Zofia wybudziła mnie z błogich myśli.

Z werwą poderwałam się z krzesła i chwyciłam nóż.

– Może jeszcze pomidory? – zapytałam z uśmiechem.

– Jeśli możesz? – Rzuciła mi zaciekawione spojrzenie.

Zapewne zszokowała ją ta euforia.

– Czyżby ktoś dzwonił do drzwi? – Zerknęła w stronę przedpokoju. – Otwórz, dorzucę dwa jajka.

Po chwili siedzieliśmy już we trójkę z Julianem. I pałaszowaliśmy jajecznicę.

Potem było już tylko lepiej. Rozkładanie papierów na podłodze, przy okazji robienie gazetowych czapek dla malarzy, stawianie drabiny, którą przywiózł Julian, mieszanie farby.

I on, i gospodyni, mając na względzie ciężę, próbowali odsunąć mnie od pracy. Pani Zofia nieustannie mnie upominała, Julek nie pozwalał mi nosić ani malować, domagając się kolejnych filiżanek herbaty.

Fakt, nadawałam się wyłącznie do jej parzenia. Ale dawno niezaznana opiekuńczość bardzo mnie wzruszała.

Skończyliśmy pokój, kiedy słońce już zdążyło zająć i trzeba było zapalić światło. Pani Zofia zaprosiła nas na kolację.

Nasz projekt wypalił, ściany schły. Na następny dzień pozostało już tylko rozstawienie mebli, zawieszenie karnisza i przeniesienie tapczanu z pokoju na dole.

– O której mam przyjść? – Poczułam na sobie spojrzenie Juliana.

– Pani Zofio? – Wzrokiem przekazałam pytanie.

Chwyciła Julka za rękę.

– Kochany, nawet nie wiesz, jak jestem ci zobowiązana! Będę miała swój pokój na piętrze! Przyjdź, kiedy się wyśpisz i będziesz czuć się na siłach. Czekamy na ciebie obie. – Uśmiechnęła się i spojrzała w moją stronę, czym wprawiła mnie w niemałe zakłopotanie.

Odprowadziłam Juliana do samochodu i podziękowałam.

– Nie do końca rozumiem motywację pani Zofii, żeby mieszkać w naszym domu opieki, a trzymać swój, ale to nie moja sprawa. W każdym razie fajnie, że pomogłeś. To dla nas dużo znaczy.

– Marysiu, chciałbym ci powiedzieć...

– Tak? – Spojrzałam. Dokładnie widziałam jego twarz w świetle księżyca.

– Może nie dzisiaj. Dobranoc. – Dał mi buziaka w policzek i zniknął w ciemnej, prowadzącej do bramy alejce.

Spodziewałam się przemilego dalszego ciągu wieczoru z panią Zofią. Wszak miałyśmy dla siebie dużo czasu, bo zamierzałam spędzić u niej kolejną noc. Zapewne powróci do wspomnień o mamie, myślałam szczęśliwa. A te zawsze dobrze mnie nastrajały.

– Jestem! – obwieściłam, wchodząc do domu. – Julek pojechał.

Gospodyni w milczeniu krzątała się po kuchni, sprząając po kolacji.

– Możesz mi podać sztucę? – zapytała, nie patrząc na mnie.

– Oczywiście. Przepraszam, że zostawiłam panią z tym wszystkim.

Pani Zofia gwałtownie się odwróciła.

– Marysiu, musimy porozmawiać.

– Czy w czymś uchybiłam? Albo Julian? – spytałam, mocno zaniepokojona jej nastrojem.

– Chodźmy do pokoju. – Zostawiła zmywanie i wytarła ręce w ścierkę.

Nigdy wcześniej nie widziałam pani Zofii tak wzburzonej.

– Wyjmij z kredensu kieliszek i nalewkę, która stoi na górnej półce – zarządziła, a ja potulnie wykonałam zadanie. – I usiądź obok mnie. – Wskazała na fotel przy sofie, na której znalazła miejsce. Wychyliła zawartość kieliszka, westchnęła i przesunęła dłonią po włosach. – Marysiu, przyjeżdżając do Polski, nie spodziewałam się, że stanę wobec tak trudnego zadania. Że przeszłość da o sobie znać. Pytałaś mnie, czy pokażę ci listy twojej mamy, a ja odpowiedziałam, że może kiedyś. I nieoczekiwanie ten czas nastąpił. Mam je w jednej z szuflad i niebawem ci przekażę. Proszę jednak, byś przy czytaniu zachowała rozagę i nie wyciągała pochopnych wniosków. A przede wszystkim nie myślała źle o Teresce i kimś jeszcze... Marysiu, po prostu musisz poznać prawdę.

Niczego więcej nie usłyszałam. Pani Zofia straciła przytomność i zsunęła się z sofy.

Zadzwoiłam po karetkę.

## Rozdział 54

### Aleksandra

Co się stało? – zapytała mama, gdy zakończyłam rozmowę.

– Krasts nie żyje. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przyk-ro! – rozryczałam się i niczym mała dziewczynka wpadłam w jej ramiona. – A jeszcze dwa dni temu Janis pisał o dobrych rokowaniach! Najpierw tata, teraz on! – łkałam, wypłakując ból.

– Zawał?

Skinęłam głową.

– Zawsze mieliśmy dobry kontakt, ale ostatnio bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Wiedział o Marii, dzieciach, wynikach badań. Marzył, by kiedyś zobaczyć maluchy. – Wciąż myślałam o obu chłopcach, nie dopuszczając do siebie złych myśli. – Ale nie ma już na to szans.

– Kochanie, tak bardzo chciałabym cię pocieszyć i ci ulżyć... Jedziesz na pogrzeb?

To było oczywiste. Najchętniej już dzisiaj złapałabym samolot i pomogła Janisowi zorganizować ceremonię, ale nie mogłam wybiegać przed szereg. Krasts miał rodzinę, która pewnie w tej chwili rezerwowała bilety lotnicze ze Stanów. Mogłam jedynie być myślami ze zmarłym przyjacielem, przeżywać jego śmierć i czekać na termin pogrzebu.

Zainteresowanie, jakie wywołała mama stwierdzeniem, że musi mi coś powiedzieć na temat Marii, zeszło na dalszy plan.

Ona też nie powróciła do tematu. Postanowiła pomóc działaniem.

– Odrzuję ci kopytka z karkówką i sosem – zarządziła i zniknęła w kuchni, nie pytając o przyzwolenie.

Analizowałam słowa Janisa o ostatnich godzinach -Krastsa niczym największy skarb, punkt zaczeplenia -myśli o przyjacielu, który właśnie zmarł.

– Przyszedłem do szpitala i przyniosłem mu kilka mandarynek. Wiedziałem, że je lubi, a poza tym chorym chyba przynosi się mandarynki? – relacjonował, także rozkładając minione chwile na czynniki pierwsze. – Leżał na OIOM-ie, ale podobno był świadomy. Poprosiłem pielęgniarkę, żeby pozwoliła mi wejść. Pewnie by się zgodziła, lecz przechodzący obok lekarz kategorycznie zabronił. Powiedział, że chory jest przytomny, ale bardzo słaby i każde wzburzenie może go uśmiercić. Usiadłem zatem przed drzwiami, czekając nie wiadomo na co. Może i wszedłbym do sali, kiedy lekarz opuścił OIOM, ale bałem się, że ta wizyta dobieje Krastsa. Sasza, nigdy sobie nie wybaczę, że umarł, a ja nie trzymałem go za rękę! – przerwał, by opanować drżenie głosu. – Powiniem być bardziej stanowczy!

Przeżywałam tę sytuację. Oczami wyobraźni widziałam Krastsa, który dobiegał kresu w samotności, bez przyjaznej ręki, a z drugiej strony rozumiałam Janisa.

– O której zmarł? – spytałam, by przerwać ciszę.

– O dziesiątej piętnaście. Zadzwonili ze szpitala, zanim zdążyłem wrócić do domu. Byłem jedynym upoważnionym do odbierania informacji o jego zdrowiu. Dlaczego nie zostałem tych kilka minut dłużej?

Bardzo mi było żal Janisa, ale sama również byłam zdołowana. Pogrzebałam w talerzu z kopytkami i pożegnałam mamę, odbierając zapewnienia, że służy pomocą w każdej chwili.

– Tak, tak. Dziękuję – odparłam, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w domu i ponownie zadzwonić do Janisa. Choć było to mało prawdopodobne, to jednak możliwe, że zna już termin pogrzebu.

Przed domem dostrzegłam samochód Jaśka. Czyżby mój mąż przybył z wyjaśnieniami?

– Przyjechałeś po rzeczy? – zapytałam bez ogródek, zobaczywszy go przed telewizorem ze szklaneczką -whisky.

– Niezupełnie, Aleksandro. Dobrze, że nareszcie jesteś, musimy porozmawiać – odparł wystudiowanym tonem.

– Może innym razem. Nie jestem w nastroju. Właśnie się dowiedziałam o śmierci Krastsa –

wyjaśniłam.

– Bardzo mi przykro, ale to nie ma nic wspólnego z naszymi sprawami. Usiądź, proszę, i poświęć mi kilka minut.

Jedynie Bóg w niebiosach wiedział, jaką w tych okolicznościach miałam ochotę gadać z mężem, ale po stojących obok niego walizkach zorientowałam się, że sprawa jest poważna. Spełniłam więc jego życzenie i postanowiłam go wysłuchać.

– O co chodzi?

Nie mogłam uwierzyć, że rozmawiam z Jaśkiem, od pierwszego słowa, jakim mnie uraczył. Dowiedziałam się, że był dyskryminowany przez mojego ojca, wykorzystywany w firmie i niedoceniany. I za swoją ciężką pracę dostał tylko czterdzieści procent udziałów w firmie, a reszta przypadła mnie. Osobie, która, jak wiadomo, nie przyłożyła do rozwoju interesu najmniejszego palca.

– Olka, firma jest w większości twoja, ale nie myśl sobie, że zamierzam ci ją odpuścić. Podobnie jak dom. Włożyłem w niego kupę pieniędzy i nie będę się wyprowadzać, bo ty tak sobie życzysz. Wracam do swojego domu i nikt mnie z niego nie wyrzuci – dodał, dolewając sobie whisky do szklaneczki. – A jutro dołączysz do mnie Arleta. Masz coś przeciwko? – zapytał z przekąsem.

Stwierdzenie, że po raz drugi zawalił mi się świat, byłoby eufemizmem. Mój świat właśnie został przysypany warstwą wulkanicznego pyłu. Nie potrafiłam pojąć, jak to możliwe, że po tylu, jak mi się wydawało, szczęśliwych latach stoimy po dwóch stronach barykady. W sensie emocjonalnym, a nawet finansowym. Ta kobieta zrobiła Jaśkowi wodę z mózgu, a ja nie miałam teraz sił, by walczyć.

– Co zamierzasz? – zapytałam chłodno.

– Słyszałaś: zostaję w domu, a jutro wprowadza się tu Arleta. Będę płacił Marii do końca ciąży, a po rozwodzie dostaniesz alimenty. Niestety, nie udało się nam, a ja chcę mieć rodzinę i swoje normalne dziecko. Olka, możesz nie wierzyć, ale naprawdę mi przykro, że nie z tobą.

Niemal mu uwierzyłam. Jednak nie na tyle, by wyrazić zgodę na wprowadzenie się jego flamy do mojego domu.

– Ty możesz wrócić, ale ona nigdy tu nie zamieszka.

– Owszem, zamieszka, Olu. A jeżeli nie chcesz z nią żyć pod jednym dachem, możesz się wyprowadzić.

Co za niewyobrażalnie idiotyczna i nonsensowna sytuacja! Wiarołomny mąż próbuje mnie wyrzucić z domu, by zająć go do spółki z kochanką.

Byłam tak zdezorientowana i zgnębiona, że nie potrafiłam znaleźć słów. A poza wszystkim gdzie miałabym pójść i kogo się poradzić?

Przytłoczona sytuacją zdobyłam się na ostatnią próbę pojednania.

– Pamiętasz, że za cztery miesiące Maria urodzi nasze dzieci? Jaś, jak możesz teraz się od nas odwracać?

Długie milczenie dało mi nadzieję, ale to, co usłyszałam, zakończyło temat.

– Oła, będę ojcem. Prawdziwym, nie jakimś tam z próbówki. Jest mi naprawdę przykro, że nam nie wyszło. I wybacz, ale w takiej sytuacji muszę walczyć o rodzinę. Pamiętaj o tym, że Leśniewska będzie dostawać przelewy do końca ciąży. Zamierzam wywiązać się z umowy.

Byłam tak zdruzgotana, że nawet tej nadzwyczajnej odpowiedzialności Jaśka nie odebrałam jako przyjaznego gestu. Stanowisko mojego męża wymagało wizyty w kancelarii wuja Kazimierza. Miłość odeszła, pozostały paragrafy kodeksów.

Rozwód wisiał w powietrzu, ale dziś miałam przed sobą zasadniczy cel: zapobiec wprowadzeniu się Arlety. Zdzierżenie w domu ciężarnej kochanki własnego męża było dla mnie niewyobrażalne.

Opanowałam emocje i zdobyłam się na spokojny ton.

– Janek, nawet nie wiesz, jak mnie ranisz, ale trudno. Pozwól, że wrócimy do tej rozmowy po pogrzebie Krastsa i moim powrocie z Łotwy. Przyjmujesz taki wariant? – spytałam, choć w tym momencie miałam ochotę sięgnąć po tasak.

– Dobrze. Zaczynasz mówić rozsądnie. – Chyba go uspokoiłam. – Olka, ja wiem, że jesteś zawiedziona, i do-brze cię rozumiem. – Uderzył w polubowne tony. – Ale ty chyba także pojmujesz moją sytuację. Sądzę, że się dogadamy. Co do firmy, domu i wszystkich innych spraw.

Nigdy!, po raz pierwszy poczułam do niego nienawiść. Nie po tylu latach, nie po takiej miłości, nie po takich wspólnych planach! I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno byłam z nim szczęśliwa...

– Z pewnością – powiedziałam na głos z nadzieją, że przynajmniej do mojego powrotu nie sprowadzi Arlety do naszego domu.

Wieczorem odczytałam esemesa od Janisa.

„Pogrzeb we wtorek o szesnastej trzydzieści. Eriks i Gabija przyjeżdżają ze Stanów. Wszystko załatwiłem. Daj znać, kiedy mam Cię odebrać z lotniska. J.”.

Natychmiast zasiadłam do komputera i zarezerwowałam lot. Samolot wylatywał nazajutrz o trzynastej trzydzieści. Żeby zdążyć, musiałam wyjechać o dziewiątej.

Jasiek wciąż siedział w salonie przed telewizorem z nieodłączną szklaneczką whisky. Dochodzące z parteru dźwięki świadczyły o jego obecności.

Dużo bym dała, żeby go tam nie było. Miałam serce ściśnięte śmiercią Krastsa i przeczołgane niewiernością męża. Sama nie wiedziałam, czym bardziej.

Rano Jasiek wyszedł do pracy, a mnie pozostało spakować walizkę i odpalić samochód.

Nie zapomniałam o książce i liście dla Janisa, które Krasts dał mi na przechowanie w trakcie mojego ostatniego pobytu na Łotwie. Niestety, moment, w którym miałam je przekazać, nastąpił wcześniej, niż mogłam się spodziewać. Spoczywały bezpieczne na dnie walizki, gdy gotowa ruszałam na lotnisko.

Telefon zadzwonił w chwili przekręcania kluczyka w stacyjce. Zobaczyłam na wyświetlaczu imię Marii, więc odebrałam.

– Olu, przepraszam, że niepokoję cię tak wcześnie, ale mam krwawienie i jadę do szpitala – usłyszałam.

Gdybym stała, ugięłyby się pode mną nogi.

– Może przyjadę?!

– Już wszystko ogarnęłam. Siedzę w karetce. Mam nadzieję, że to nic takiego...

Rozmowę przerwał nam głos w tle, prawdopodobnie należący do lekarza.

– Proszę wyłączyć telefon i się nie ruszać. Niech przygotowują salę operacyjną – wydawał dyspozycje.

Wyjęłam kluczyk ze stacyjki i zaczęłam głęboko oddychać.

**Koniec części I**